

**MICHAEL CORDY**

**KOD  
LUCYFERA**

LUCYFER: z łaciny *lucifer* -nios cy wiatło  
(*lux* - wiatło, *ferro*- nie )

## PROLOG

Jasna, okręta lampa nad głowami o mioletniego dziecka przygasa, kiedy rodek znieczulający zaczyna działać. Dziewczynka wyciąga rękę do dłoni na stole operacyjnym. Czuje ucisk i odwzajemnia go, z całej siły, w obawie, że nadciągnie ciemność i mrok zerwie ją na zawsze. Jak wiele dzieci instynktownie boi się ciemności, głębi boka pod wiadomo podpowiada jej, że światło dzieli wszech świat na dwie części: dzień i noc, widzialne i niewidzialne, dobro i zło, życie i śmierć.

Ale ta ciemność daje ukojenie. Niesie ze sobą nic, w której dziewczynka zapada, zanim piła chirurgiczna zacznie wrzynać się w jej czaszkę. Nie słyszy przenikliwego wizgu metalu przecinającego cegło, nie widzi między cegłami światła lamp czerwonej mgiełki kropelek krwi i kawałków tkanki, nie czuje zapachu krwi i ropki odkaśnika. Nie jest wiadoma niczego prócz siebie samej - swojego umysłu unoszącego się w ciemności tak głąb boku, że ma własny zapach, kolor i smak. Ta aksamitna otchłań jest bezpieczna jak matczyne łono.

Neurochirurg odkłada piłę i laserowym skalpelem rozcina miękkie tkanki. Ruchy jego wprawnych dłoni są pewne, ale wie, że to jedyny w swoim rodzaju zabieg; nikt przed nim jeszcze tego nie próbował. Adrenalinowy podczuwanie nie powie mu, gdzie jest.

Po trzynastu godzinach i dwudziestu siedmiu minutach pozwala sobie na westchnienie, a pielęgniarka ociera mu pot z czoła. Najgorsze ma za sobą. A przynajmniej tak mu się wydaje.

Kilka sekund później monitory czynności życiowych przy stole operacyjnym wybuchają szalejącą kakofonią sygnałów alarmowych.

W tej samej chwili otulają dziecko aksamitnie ciemno przebijają wietlisty punkt. Dziewczynka nie unosi się już, mknie przez czarny wir w jego stronę. Początkowo widzi tylko plamki, ale kiedy zbliża się do niej w oszalałym cymperze, światło rośnie jej w oczach, przybiera kształt stołki, jakby płynęło z latarki. I nagle dziewczynka jest w środku, staje się jego częścią. Leci z tak zawrotną prędkością, że jasno wokół wydaje się nieruchoma, nie jest już jednolitym strumieniem, tylko zbiorem przemykających obok, giniących w ciemności czy steczek, jasnych nieyńek światła. Dziewczynka czuje przy sobie obecność kogoś bliskiego, kto cięgnie ją za sobą, prowadzi przez srebrzysty zamieć ku szczytowi stołki, do ródła. Więć jest mocna, krzepiąca. Teraz kiedy znowu są razem, dziewczynka już się nie boi.

I wtedy przeszywa ją ból, nie fizyczny - emocjonalny, duchowy. Potęna siła wciąga ją z powrotem w wir, oddala od światła, przecina więć. Dziewczynka chce krzyczeć, kurczowo trzyma się ukochanej istoty, odrywanej od niej ciężno po ciężno, komórka po komórce, podczas gdy uciekające światło na nowo zlewa się w jednolite, odległe całość.

Nagle widzi z góry sam siebie - leży na stole i przygląda się, jak chirurg i pielgniarka gorczkowo przywracają ją do życia. Sal operacyjny zalewa mocne białe światło. Wszystko wydaje się jasne, czyste. Dziewczynka wpatruje się w siebie pora ona widokiem błyszczącej, otwartej rany w lewej skroni i kształtu rysującego się pod zieloną płachtą u jej boku. Widzi, jak pielgniarka rozplata małą dłoń, której silny ucisk przez cały czas czuła. Zdaje sobie sprawę, że po raz pierwszy w życiu jest sama.

I

W GŁ BI DUSZY

# 1

Fundacja VenTec, Alaska  
Dwadzieścia dziewięć lat później

Najgorsze było to, że nie mogła mrugać. To i przejmujący strach wywołany wiadomością rychłej śmierci.

Matka Giovanna Bellini wiedziała, co ją czeka, od chwili kiedy obudziła się i stwierdziła, że leży unieruchomiona na stole laboratoryjnym, z ogolonym głową i szeroko otwartymi oczami, w których tkwiły rozwieracze. Była świadkiem setki podobnych eksperymentów, a nawet w nich uczestniczyła, udzielając ostatniego namaszczenia. Ale wszyscy ci ludzie, w odróżnieniu od niej, byli miertelnie chorzy. Bliscy agonii i dlatego bezcenni dla projektu.

To niemożliwe, by odpowiadali za to naukowcy. Pracowała z nimi przez ostatnich dziewięć miesięcy, pomagała im w, jak się działo, dziele Bożym. Sam Czerwony Papież wyznaczył ją do udzielania ostatniego namaszczenia, tłumaczył jej, że weźmie udział w wielkiej wojnie tej misji. „Nie kwestionuj słów naukowców, matko Giovanno, oni bowiem, jak ty, noszą na piersi szkarłatny krzyż Kościoła Prawdy Duchowej”.

Nie mogła jednak długo milczeć. Pozostawała wierna Ojcu w tym, kiedy jeszcze był w nim watykańskim kardynałem, i zdecydowała się podjąć za niego, gdy odszedł, by założyć własny Kościół. A teraz powierzono jej tę przynajmniej częściowo odpowiedzialność, jak mogła zawiązać jego zaufanie i milczenie?

Do oczu wpuszczono jej jakiś płyn, ale nie mogła odwrócić głowy.

Dobry Boże! Pomóż!

Usiłowała wydobyć z siebie te słowa, ale usta odmawiały jej posłuszeństwa. Nawet jej krzyk był niemy. Wstrzyknij mi, przez blondynkę w białym kombinezonie i okularach ochronnych, unieruchomił jej ciało.

Na samym początku ustalono, że matka Giovanna będzie opuszczała laboratorium zaraz po oddaniu ostatniej posługi, od jakiego czasu jednak, kiedy już wyszła, przystawała za przyciemnianymi oszklonymi drzwiami; była ciekawa, jak udaje się naukowcom uchwycić ten najważniejszy moment, moment śmierci. Po obejrzeniu końcowych etapów ostatnich trzech eksperymentów uznała, że musi zwrócić się do siostry Konstancji, jej najstarszej, najbardziej zaufanej przyjaciółki, z prośbą. Siostra Konstancja obiecała, że zachowa rozmowę w tajemnicy, i namówiła ją, by powiedziała bezpośrednio Ojcu w tym celu, że naukowcy nie czekają na śmierć pacjentów, tylko ich zabijają.

Skąd wiedzieli, że ich zdradziła? I jak mieli zrobić to jej, protegowanej samego Czerwonego Papieża?

Nawet kiedy unieśli jej głowę i włożyli na nią pustą, przezroczystą kulę, wciąż wypatrywała kłosem oka błysku czerwieni - charakterystycznych szkarłatnych szat monsignora Diageo czy samego Czerwonego Papieża. Ale kiedy zamykali szklaną kulę wokół jej szyi, ratunek wciąż nie nadchodził.

Kula składała się z warstw o różnej strukturze; załamujące się w nich światło było zimne i piękne jak blask księżyca w ciemnym jeziorze gdzieś na uboczu, i nie dawało ukojenia. Blondwłosa laborantka uniosła przed siebie kulę jak szybko w kasku astronauty. Odsłoniła te gałki oczne matki Giovanny zakryte soczewki kontaktowe, ale nie drapała rogówki. Do jej prawej skroni przyklepiono mały kawałek folii - i wtedy zaczęła jej się ogolona skóra.

Gorsza od niewygód była jednak wiadomość, że ona sama w swojej niewiedzy stała z boku, kiedy innych spotykał ten sam los. Powiedziano jej, że wszyscy ci ludzie są ochotnikami, że do samego końca nie czują nic. Teraz jednak przekonała się, że to nieprawda. To przerażało ją nade wszystko; zgrzeszyła i potrzebowała rozgrzeszenia, zanim umrze.

Strach przeszedł w rozpacz, chciało jej się płakać, ale oczy pozostały suche.

Gdzie jeste , Ojczyści ty?! - krzyczała w duchu. Dlaczego mnie nie ocalisz?

- Zaraz zaczniesz odliczanie - oznajmiła spokojnie blondynka.

Serce matki Giovanni, jeden z nielicznych miłośników, które oparły się działaniu rodnika paraliżującego, łomotało w jej piersi. Ogarnął ją paniczny strach, **nie** dlatego że miała zaraz umrzeć, lecz dlatego że nie otrzymała rozgrzeszenia.

Przebacz mi, Panie, i miej litość nad moją duszę. Przewidywana osłona opadła z powrotem. Do wnętrza kuli wpłynął bezwonny gaz i skądś dochodził wiatr w zielonej pościeli. Matka Giovanna usłyszała początek odliczania i wiedziała, że śmierć nadchodzi.

## 2

### **Tate Modern, Bankside, Londyn Trzydzieści osiem minut wcześniej**

Ciepłego popołudnia pogodny wiatłko słoneczne zmieniło Tamizę w rzekę roztopionego złota. Czarna limuzyna, która przejechała obok mostu Millennium, była standardowym mercedesem, tylko wyposażonym w mocno przyciemniane szyby i wykonane na zamówienie osłony przed promieniowaniem ultrafioletowym. Siedzący z tyłu Bradley Soames zerknął w lewo, na katedrę św. Pawła ze wspartą kopułą zaprojektowaną na wzór tej, która wieńczyła Bazylikę św. Piotra w Rzymie. Po prawej stronie, na drugim brzegu rzeki, rysował się kształt bardziej nowoczesnej wieży, wzniesionej ku czci technologii. Ten kanciasty gmach z cegły, z wysokim kwadratowym kominem zastąpił cym dzwonnica, dawniej był elektrownią. Teraz mieścił się w nim największe muzeum sztuki nowoczesnej na świecie.

Soames zobaczył swoje odbicie w przydymionym szkłe. Nie podobał się sobie: niebieskie oczy i falujące włosy o barwie i fakturze złotego drutu były jeszcze do przyjęcia, ale na skórze, tuż obok, usianych piegami mozaik blizn, nie mógł patrzeć. Odwrócił się.

- Walt, wiem, że większość dziennikarzy jest już na prezentacji, mimo to chciałbym wejść bocznymi drzwiami - powiedział.



- Jak pan sobie życzy, doktorze Soames - odparł jego asystent siedząc obok kierowcy. Walter Tripp, wytworny, łysiej cy Murzyn w okularach bez oprawek, miał na sobie elegancki ciemny garnitur, biały koszul i krwistoczerwony jedwabny krawat. - Dyrektor galerii urządził pokój obserwacyjny na górze, tak jak pan sobie życzył, ale nadadnym z wejście nie ma osłon przed promieniowaniem ultrafioletowym.

- Jeden kłopot, okryj się. - Soames spojrział na zegarek. Amber powinna właśnie zaczynać prezentację w hali turbin. Do jego wystąpienia została mu jeszcze niogodzina, chciał jednak wygłosić przemówienie Amber i potwierdzić swoje podejrzenia.

Kiedy wóz skręcił w prawo nad mostem Southwark, Soames odwinął mankiety ocieplanej czarnej marynarki - powstały z nich rękawice, do których wcisnął dłonie. Skrzywił się, kiedy materiał zaczepił o wiejską bliznę na lewej dłoni, spadł po ostatnim usunięciu tym czerniaku. Rękawice zapisały na rękach, żeby nie wystawał spod nich najmniejszy skrawek skóry, i postawił kaptur. Nałożył duże przyciemniane okulary i przyczepił do kaptura płachtę, która spłynęła mu na pierś, okrywając usta i broda jak czarzak. Kiedy samochód zatrzymał się, skóra Soamesa była zabezpieczona przed jesiennym słońcem.

Wysiadł z wozu, spojrział w górę na pozbawione okien urwisko z czerwonej cegły, tworzące południową część budynku, i ruszył za Trippem do bocznych drzwi. Po lewej stronie, przy głównym wejściu, zobaczył zwieszające z masztów transparenty z tytułem wystawy: KSZTAŁT WIATŁA. Dzięki jej sponsorowaniu i przekazaniu galerii wielomilionowej darowizny Optrix dostał zgodę na zorganizowanie w hali turbin pierwszego w Europie prasowego pokazu monitora soft-screen Lucyfer.

Dwaj pracownicy galerii rozpoznali Soamesa po ochronnym stroju i poprowadzili go w głębokie przestronne holu, obok parkietu w szwach restauracji ze szklanymi ścianami i równie zatłoczonego sklepu z pamiętkami, przez tłum czekających w kolejce do galerii na wyszczykach piętach. Winda zawiozła ich na piętrze z ominięciem kondygnacji. Znajdowało się tam prowizoryczne pomieszczenie wydzielone z jednej z większych galerii i wychodzące na ogromną halę turbin w dole. Wszystko było przygotowane zgodnie z życzeniem Soamesa; mógł obserwować przebieg uroczystości, miał optyczny komputer z dostępem do optycznego Internetu i mały lodówk z coca-cola.

Kiedy pracownicy wyszli z galerii, Tripp wyjął z marynarki kieszonkowy wykrywacz promieniowania ultrafioletowego i gdy upewnił się, że

pomieszczenie jest bezpieczne, skin i głow Soamesowi, a wtedy on zdj ł wierzchnie okrycie i skupił uwag na tym, co działo si w dole.

A widok zapierał dech w piersiach. Hala miała prawie pi dziesi t metrów wysoko ci i sze dziesi t długo ci. Filary zast pione zostały szkieletem z elaznych d wigarów odcinaj cym si na tle szarych cian; wysoki płaski dach wspierał si na sklepieniu z elaznych belek. Biegn ce rodkiem dachu wietliki zasłoni te były poprzecznymi aluzjami, podobnie jak inne ródła wiatła naturalnego. Na ko cu hali rozpo cierał si biały transparent z logo Optrix Optoelectronics i mottem firmy: NIECH STANIE SI WIATŁO . Podium pod nim umieszczono naprzeciw dwustuosobowej publiczno ci zło onej z dziennikarzy, klientów i ekspertów - siedzieli w równych rz dach przedzielonych pi cioma wysokimi wietlnymi rze bami. Dzieła te, wykonane na zlecenie Opriksu przez znan artystk Jenny Knowles, jarzyły si w słabym wietle, jakby t tniło w nich ycie. Przedstawiaj ce rozmaite abstrakcyjne formy, w tym podwójn helis , ol niewaj - co pi kny obraz Drogi Mlecznej i sze ciometrowej wielko ci cz - steczk wody, wygl dały, jakby mo na było ich dotkn , cho miały struktur nie bardziej zwart ni wiatło. Soames znał prawd , któr wyra ały: wiatło było jednocze nie zbiorem subatomowych cz stek, fotonów i abstrakcyjn fal .

Dualizm ten znalazł odbicie w szóstym eksponacie, ogromnej instalacji, która zajmowała niemal reszt hali. Składały si na ni dwie równoległe płaskie cianki jakby wisz ce w powietrzu. Ka da z nich miała co najmniej trzy metry wysoko ci i sze metrów szeroko ci. Pierwsza była biała, przeci ta dwiema pionowymi szczelinami, druga za , wykonana z czarnego szkła, wygl dała jak ekran telewizora. Naprzeciwko białej cianki umieszczone zostało działko laserowe wypuszczaj ce wi zk , która przechodziła przez szczeliny i trafiała w czarny ekran. Na nim jednak, zamiast dwóch pionowych wietlnych linii, pojawiał si obraz zło ony z umieszczonych w równych odst - pach pr ków, podobny do kodu kreskowego.

Co kilka minut, wydawałoby si bez przyczyny, pr kowany obraz na czarnym ekranie zanikał, a wi zka laserowa rozdzielała si na pojedyncze impulsy, wietlne pociski. Ka dy z nich zdawał si przechodzi przez obie szczeliny naraz i pozostawiał jasny lad na szklanym detektorze. Zamiast jednak tworzy kr gi wiatła na wprost otworów, kolejne lady stopniowo układały si w taki sam pr kowany wzór, jak poprzednio, jakby ka dy wietlny impuls został doskonale zakodowany.

Eksponat ten bawił Soamesa. Nigdy nie znudziło mu si badanie anomalii wiata kwantowego, gdzie cz stki mniejsze od atomu nie

podporządkowały się prawom ustanowionym przez Newtona dla tak zwanego wiata rzeczywistego.

Kiedy przysłały wiata i rze by znikł ty, przez widownię przebiegł szmer przyciszonych głosów. Pozostał tylko szósty eksponat, pojedyncze impulsy wiata wci malowały magiczny wzór na czarnym ekranie. W przestronnej hali rozbrzmiała nastrojowa muzyka i rze by jedna po drugiej pojawiły się na nowo.

- Witajcie w erze wiata - rozległ się głos doktor Amber Grant stojący na mównicy na końcu hali i wiata znów rozblęły pełnym blaskiem. - Dziś my, przedstawiciele firmy Optrix, pragniemy wraz z państwem uczcić tajemnicę wiata i pokazać, jak je ujarzmił my. - Wskazała działko laserowe. - Najpierw tajemnica. Proszę wyobrazić sobie dwie ciany ustawione równolegle, jedna przed drugą. W pierwszej robimy pionową szczelinę i kierujemy na nią nieprzerwany strumień wiata. Co wówczas widzimy na drugiej? - Uśmiechnęła się. - To proste. Jedną pionową linię, powstał w wyniku przejścia wiata przez szczelinę. Teraz wycinamy w pierwszej cianie dwie szczeliny i jaskrawo wietlamy. Co się dzieje? - Amber wskazała na instalację. - Na drugiej cianie nie powstają dwie pionowe linie, jak może na to się spodziewać, tylko powstaje wzór, w którym wiata przeplata się z cieniem. Efekt ten spowodowany jest interferencją fal wietlnych, które rozchodzą się z obu szczelin jak zmarszczki na powierzchni stawu. Ten słynny eksperyment, przeprowadzony po raz pierwszy przeszło dwieście lat temu, dowodzi ponad wszelką wątpliwość, że wiata pokonuje przestrzeń w postaci fali. - Amber znacząco zawiesiła głos. - Później jednak, w roku 1906, Einstein odkrył, że wiata jest nie tylko falą, ale i zbiorem subatomowych cząstek kwantowych, dziś znamy je jako fotony. Podany przez niego opis stał się punktem odniesienia dla późniejszych sposobów przedstawiania dziwnego subatomowego wiata, w którym wszystko od atomu w dół istnieje zarówno jako abstrakcyjna fala, jak i konkretna cząstka. Nawet jednak ten dualizm nie stanowi wcale więcej tajemnicy wiata kwantowego. - Wskazała na działko laserowe, które znów zaczął wysyłać impulsy wiata. - Instalacja znajduje się za państwa plecami to współczesna wersja eksperymentu z dwiema szczelinami. W tym przypadku źródło emituje serię pojedynczych fotonów. Zamiast jednak przejść przez jedną z dwóch szczelin i utworzyć krąg wiata, każdy z fotonów jakimś cudem przenika przez oba otwory naraz, a następnie ulega interferencji z samym sobą. Na ekranie detektora stopniowo tworzy się obraz interferencyjny, jakby foton wiedział, co ma robić, i był nauczony zachowywać

si jak fala. Kiedy jednak bezpo rednio za szczelinami umie cimy detektory cz stek, przekonamy si , e ka dy z fotonów zachowuje si jak pojedyncza cz steczka. Niczym rzucony kamyk pod a okre lonym torem przez jedn szczelin i trafia tylko w jeden detektor cz -stek. Te eksperymenty wskazuj , e fotony posiadaj wiadomo . Zachowuj si ró nie w zale no ci od techniki obserwacji. Co jednak jest jeszcze dziwniejsze, zdaj si te by telepatami i jasnowidzami. Przed przej ciem przez szczeliny wiedz , czy zachowa si jak cz stka, czy jak fala. Ka dy z nich jakby zna zało enia eksperymentu i potrafi na tej podstawie przewidzie , jaki stan jest od niego oczekiwany. - Zawiesiła głos. - Tyle o tajemnicy. Co z panowaniem nad wiatłem? My w Optriksie nie kryjemy dumy z faktu, e praktycznie nikt nie zna si na fizyce kwantowej lepiej od nas. Wykorzystuj c opisany przez ni dualizm, udało nam si okiełzna moc wiatła, które, jak wszyscy wiemy, idealnie nadaje si do prowadzenia oblicze czy utrzymywania ł czno ci. Jego przepustowo jest kolosalna: pojedyncza wi zka wiatła laserowego mo e w jedn sekund przesła zawarto wszystkich bibliotek na wiecie. wiatło mo na tak e rozdzieli na fale o tylu ró nych długo ciach, ile jest kolorów t czy, dzi ki czemu doskonale nadaje si ono do zastosowania w przetwarzaniu równoległym. No i, rzecz oczywista, jest szybkie; pod tym wzgl dem nic mu nie dorównuje. Min ło osiem lat od chwili, kiedy Optrix wprowadził na rynek pierwszy komputer optyczny, zmieniaj c wiat. Prosz wróci pami ci do pocz tków lat tego tysi clecia. Krzem stawał si prze ytkiem, dochodzili my do fizycznych granic mocy obliczeniowej. Nawet Intel musiał przyzna , e słynne prawo Moore'a, według którego szybko pracy procesorów miała podwaja si co półtora roku, było niemo liwe do utrzymania. Dlatego z chwil powstania pierwszego komputera optycznego, Lucyfera Jeden, złamane zostały wszelkie reguły. Procesory bazuj ce na krzemie stały si zb dne, podobnie jak pami RAM i twarde dyski, poniewa Lucyfer, wykorzystuj c subatomowe fotony wiatła, mógł wykonywa wszystkie niezb dne funkcje: przetwarza , zapami tywa i przechowywa dane. Kwarцова płyta główna zbudowana z obwodów optycznych, poł czona z kul zawieraj c ogniwa procesora powstałe z przechwyconych fotonów wiatła, utworzyła komputer, który szybko ci pracy dorównuje temu, co we wszechwicie najszybsze. wiatłu. Za spraw Optrixu prawo Moore'a z dnia na dzie stało si anachronizmem.

Amber przerwała i przeszła na drug stron mównicy. Ze swojego punktu obserwacyjnego Soames nie widział jej wyra nie, ale słyszał w gło nikach

jej głos; kiedy w hali zapadła cisza, uznał, że zdołała skupić na sobie uwagę wszystkich. To właśnie charyzma i umysł Amber sprawiły, że się nią zainteresował. Jej niezwykła uroda nie miała dla niego znaczenia. Jednak jej zdolność do zupełnie przestania się liczyć, jeżeli jego podejrzenia co do niej potwierdził się tego wieczoru.

Spojrzał na Waltera Trippa, który właśnie czytał komputer optyczny i wprowadził kod zabezpieczonej bazy danych Data Security Provider, uzyskując dostęp do transmisji eksperymentu prowadzonego siedem tysięcy kilometrów od Londynu. Na ekranie fotonowym, pozwalającym oglądać obraz w trzech wymiarach, ukazała się kobieta z głową w szklanej kuli. Soames przeniósł wzrok na Amber Grant. Wkrótce wszystko stanie się jasne.

- Jako dyrektor generalny Optrix Industries - usłyszał jej głos - pragnę przypomnieć, jak wielki krok naprzód zrobili my w ciągu tych ośmiu lat i z jak dużym impetem weszliśmy w epokę światła. Czyż nie mamy racji, że chociaż nasze hasło brzmi: „Niech stanie się światło”, naszym winnym mottem: „Da odpór ciemności”, bo tym się właśnie nie zajmujemy. Gdyby ktoś nie pamiętał, jak ogromnego technologicznego skoku dokonali my, przypominałbym, że Lucyfer potrafi pracować dziesięć do pięćdziesiąt razy szybciej niż stare komputery z procesorem Pentium IV. Innymi słowami, w niecałej sekundzie może wykonać obliczenia, które staremu IBM ThinkPadowi zajęłyby czas równy wiekowi wszechświata. Model Lucyfera to już klasyka. Przezroczysty szkielet, który zawiera szklaną kulę z fotonami światła reagującymi z komórkami pamięci i procesora i spoczywa na płycie głównej z włókna światłowodowego, zobaczysz go na w domach i biurach na całym świecie. Przeszło dziesięć procent komputerów, domowych i służbowych, stanowi komputery optyczne produkowane przez Optrix będących naszymi koncesjonariuszami. Internet także jest całkowicie optyczny, sygnały radiowe i światłowody jednocześnie przesyłają światło. Co więcej, wiele osób nazywa Internet Optinetem. - W tej chwili ton głosu Amber zmienił się z triumfalnego w pełen pokory. - Choć dla wielu jestem twarzą Optrixu i przypisuje mi się współudział w wynalezieniu komputera optycznego, a nazbyt dobrze zdaję sobie sprawę, że wiążę prawdziwie przełomowe odkrycia, które pozwoliły zgłębić tajemnicę anomalii kwantowych Lucyfera, była dziełem mojego mentora i prezesa Optrix Optoelectronics. To Bradley Soames jest geniuszem, któremu zawdzięczamy Lucyfera, i pragnę stawać z radością ci powiadomić, że chociaż rzadko zgadza się na wystąpienia publiczne, dziś postanowił zrobić dla was wyjątek.

Nie zważając na szmer podekscytowanych głosów, Soames zerknął na komputer obok Trippa. Elektroda była już na skroni kobiety. Zostało niewiele czasu i zakładając, że jego podejrzenia miały solidne podstawy, Amber znajdzie się na oczach dziennikarzy i gości, kiedy to się stanie. Dziś o tym łatwiej ją będzie przekonać, by zrobiła to, co konieczne.

- A teraz porozmawiajmy o przyszłości - powiedziała Amber i halasy pełnił cichy, rytmiczny motyw, wiatła znów przygasły. Wielkie wietlaczki by pulsowały w takt muzyki. - Od czasu powstania Lucyfera Optrix rozwinął wykorzystanie w nim technologii. Dzisiejsza premiera nie jest wyjątkiem. Soft-screen Lucyfer umożliwia liwiu zdecydowanie nowy sposób prezentacji danych. Państwo pozwolę, że zademonstruję.

Tempo słyszalnej w tle muzyki wzrosło i Soames zobaczył, jak Amber podchodzi do stolika w głębi podium i stuka palcem w konsolę dotykową przy półprzezroczystym, więc czymś szkieletowym. Za jej plecami pojawił się niebieski, prostokątny ekran z logo Lucyfera. Poczłkowo zaledwie kilkucentymetrowej wielkości ci powiększył się do dwóch metrów, a osi gnął przeszło trzy metry wysoko i cztery szeroko. Podobnie jak rzeźby by wyglądał, jakby był jednolity i matowy, gdy tak naprawdę tworzyły go cztery wiatła.

Obraz na ekranie zmienił się i miejsce logo Lucyfera zajęła postać Amber filmowana w czasie rzeczywistym. Wyglądało to tak, jakby wyrosła za nią jej potężna, dwupółmetrowa bliźniacza siostra na ładunek jakiegoś jej ruchu. Rozdzielczość była wprost niewiarygodna. Oliwkowa cera i gęste czarne włosy Amber lśniły na ekranie, blask bił z jej zielonych oczu. W ułamku sekundy odsłoniła równie białe zęby, i jej wielki sobowtór przeszedł po scenie w skrzywym się kostiumie od Chanel.

- Technologia soft-screen dosłownie daje odpór ciemności i może być stosowana w dowolnej skali, w granicach rozsądku - powiedziała. - Zapewniam cię równie dobrze widoczno w wietle bezpośrednim jak konwencjonalne monitory ciekłokrystaliczne i elektroluminescencyjne jest kompatybilna ze wszystkimi starszymi modelami Lucyfera. Ekran może być powiększany tak, jak robiłam to ja, do celów prezentacji, bądź minimalizowany, do użycia w laptopach czy komputerach osobistych. - Obraz zmniejszył się do rozmiarów znaczka pocztowego, po czym znów zaprezentował się w całej okazałości. - No i, rzecz jasna, jest przenośny - dookoła czyła Amber i jej ogromna wietlista postać uśmiechnęła się do publiczności. Roześmiała się. - Można by powiedzieć, że to nasz najbardziej wiatły wynalazek.

Publiczno miała si razem z ni i biła brawo, niektórzy nawet na stoj co. Soames dał si ponie fali entuzjazmu, ale zaraz usłyszał, jak Tripp odchrz kn ł i powiedział:

- Ju prawie czas.

Nie trac c Amber z oczu, Soames zerkn ł na mały monitor obok Trippa. Pod zamkni t osłon na oczy wpłyn ły zielony cez i flawion. Kobieta w białym kombinezonie i okularach ochronnych trzymała panel sterowania. Na ekranie pojawiło si zbli enie twarzy schowanej wewn trz szklanej kuli.

I wtedy to si stało.

Z elektrody na skroni strzeliła iskra. Zaraz po niej druga, jeszcze ja - niejsza - która, jak si zdawało, wyszła z oczu - roz wietliła wypełnio - n gazem kul jak mocna arówka i trafiła w ciemny szklany prostok t, tworzc obraz interferencyjny podobny do tego z instalacji w hali turbin. Iskra znikn ła w pustce, widoczna jeszcze przez moment w zewn trznej warstwie włókna optycznego, gdzie rozbliła jak aureola.

Sam w sobie eksperyment nie był ciekawy: Soames widział setki identycznych w ci gu ostatnich dziewi ciu miesi cy i niezbyt interesował go wynik dzisiejszego. Badana, matka Giovanna Bellini, umarła i wygl dało na to, e test zako czył si fiaskiem. Istotniejszy był jego mo liwy zwi zek z tym, co działo si na dole, w hali turbin, gdzie widoczna na wielkim ekranie Amber Grant trzymała si za głow i słała na nogach.

Dokładnie w tej chwili, kiedy w kuli na głowie matki Giovanny błysn ła iskra, Amber zachwiała si z bólu i podniosła dło do lewej skroni. Teraz osun ła si ju na kolana i niektórzy widzowie zerwali si z miejsc, by jej pomóc.

Nie odrywaj c od niej oczu, Soames si gn ł po komórki i wybrał numer w Cambridge. Kto odebrał po trzecim sygnale. Soames nie tracił ani chwili.

- Prosz poł czy mnie z kierowniczk .

- Doktor Knight ma zebranie...

- Prosz jej powiedzie , e dzwoni Bradley Soames. Ju .

Podeszła do telefonu po kilku sekundach.

- Virginio - powiedział - to pilne. Ten naukowiec z twojej kliniki, któremu przydzieliłem fundusze...

- Miles Fleming?

- Tak, musi zbada Amber Grant, natychmiast.

- Ale to mo e by nie...

- Nie czas na dyskusje. Ona pilnie potrzebuje pomocy. Podwoj fundusze na Flemingowego NeuroTranslatora, o których rozmawiali my. Amber będzie u was za dwie godziny.

Trzy minuty później, wraz z Trippem i pracownikami Optriksu, Soames był już w hali i stał nad Amber skulony w pozycji embrionalnej.

- Proszę, by wszyscy przeszli do holu - powiedział przez mikrofon do publiczności. - Po powrocie będzie osobie kontynuował prezentację.

Kiedy upewnił się, że pracownicy Optriksu i galerii wyprowadzają widzów, nachylił się nad zeszytniała Amber. Uniósł jej głowę, wcisnął dwa rodki przeciwbólowe do ust i podał wodę.

- Amber, to ja. Umówiłem cię z kimś, kto znajdzie przyczynę tych migren. Nie możesz ich dłużej bagatelizować.

Czekała, a co odpowie, ona jednak milczała.

Nie mógł wytrzymać. Musiał spytać. Musiał wiedzieć.

- Boli cię w tym samym miejscu co poprzednio?

- Tak - szepnęła i jej pobladła twarz wykrzywił ból.

- Gdzie dokładnie? - spytał. - Pokaż.

Uniosła dłoń. Nie dotknęła jednak głowy - jej palec zawisł w powietrzu, wskazując punkt oddalony kilka centymetrów od jej lewej skroni.

### 3

#### **Klinika Badawcza Barley Hall, Cambridge, Anglia**

W chwilach takich jak ta Miles Fleming odzyskiwał wiarę, że wszystko jest możliwe, poddany ciękiej próbie w ciągu ostatnich jedenastu miesięcy. Odwrócił się do siedzącego obok młodego człowieka.

- Ręka w porządku, Paul?

Paul poprawił niebieski Czapkę Miodu ci na głowie i wbił wzrok w anatomicznie wiernie odwzorowaną ludzką postać na górnej połowie podzielonego ekranu komputera.

- Tak, doktorze. Nic nie boli.



- Nawet nie kłuje?

Paul wyszczerzył z by w u miechu.

- Nic a nic.

- No dobra, porusz ni raz jeszcze. Spróbuj podnie j nad głow .

Kiedy posta na monitorze uniosła praw r k , Fleming zerkn ł na poziome linie wypi trzaj ce si gwałtownie w dolnej cz ci ekranu.

- Doskonale, Paul. Mocne fale mózgowie. Alfy masz ju pod kontrol . Opu r k . wietnie. - Odwrócił si do pacjenta, który ze zmarszczonym w skupieniu czołem usiłował za pomoc my li sterowa r k widoczn na ekranie. Dwudziestose ciolatek miał na sobie bluz Nike i wytarte d insy. Prawy r kaw bluzy zwiisał bezwładnie.

Przed czterema laty Paul stracił r k w wypadku w fabryce i zanim trafił do Barley Hall, skar ył si na silny ból w amputowanej ko czynie. Fleming wiedział z do wiadczenia, e ból fantomowy jest cz stym zjawiskiem po amputacji. Jego ródłem był mózg, który w swojej sieci neuronowej przechowywał wirtualny, trójwymiarowy plan organizmu i cz sto zdarzało si , e przesyłał sygnały do ko czyny długo jeszcze po tym, jak została odj ta. W przypadku Paula NeuroTranslator namierzył fale mózgowie przenosz ce sygnały o bólu amputowanej r ki, co pozwoliło Flemingowi je stłumi . Kuracja przebiegała tak pomy lnie, e przed miesi cem postanowił poszerzy j o wzmocnienie sygnałów kontroluj cych.

- No dobrze, na ekranie wygl da to nie le. - Fleming odwrócił si do lateksowego manekina w k cie. - A z Brianem sobie poradzisz?

Paul znów wyszczerzył z by w u miechu. -

Jasne.

- Taki pewny, co? No to zobaczymy, jak ci pójdzie z jajkiem.

- Z czym?

Fleming wstał i podszedł do zast pczego ciała. Brian nie miał płci, ale poza tym wszystkie sztuczne mi nie i stawy pod jego lateksow skór były wiernymi replikami tych w ludzkim organizmie. Fleming wyj ł z kieszeni zmi tego kitla pudełko, otworzył je i wyj ł jajko zawini te w wat . Przysun ł si do stolika obok manekina, na jednym ko cu wypolerowanego drewnianego blatu poło ył jajko, a na drugim - pudełko, tak by Brian miał jedno i drugie w zasi gu prawej r ki.

Przeszedł na drugi koniec wysokiego pokoju w stylu wiktoria skim i stan ł przy oknie oddzielaj cym Laboratorium My li od sali obserwacyjnej. Nachylił si nad terminalem i wprowadził kilka poprawek z klawiatury obok półprzezroczystego sze cianu.

- No dobra, jeste poł czony z Brianem. Nie zwa aj na reszt jego ciała. Skup si na prawej r ce. Podnie jajko i włó je z powrotem do pudełka.

- St d? - zapytał Paul oddalony o trzy metry od jajka.

- My l tylko o ruchach brakuj cej r ki. Tak, jak to robił z postaci na ekranie.

Na twarzy Paula pojawił si grymas, kiedy si koncentrował.

- Nie wysilaj si a tak. Wyobra sobie, e r ka Briana jest twój r k .

Prawa r ka manekina zgi ła si w łokciu i dło wystrzeliła do przodu, omal nie str cają c jajka.

- Ostro nie. Nie spiesz si .

Dło powoli rozwarła si , przysun ła do jajka i chwyciła je. Paul u miechn ł si do Fleminga.

- Nie le, całkiem nie le - pochwalił lekarz. - Ale to akurat było najłatwiejsze. Teraz musisz podnie jajko i włó y je do pudełka. Zwracaj uwag na czujniki dotyku w czubkach palców.

Dło manekina uniosła si i przesun ła w stron pudełka. Nagle zacisn ła si i zmia d yła skorupk . Białko i ółtko wyciekły na wypolerowane drewno.

Fleming roze miał si i klepn ł Paula w rami .

- Trudniej ni na monitorze, co? Ale i tak nie le jak na pierwszy raz.

Kto zapukał i do pokoju zajrzała siostra Frankie Pinner, atrakcyjna, ciemnowłosa trzydziestolatka o szerokim u miechu, przeło ona piel gniarek z zespołu Fleminga zło onego z lekarzy, naukowców i piel gniarek uczestnicz cych w pracach prowadzonych na oddziale badawczym we wschodnim skrzydle Barley Hall.

- Doktorze Fleming, ju czwarta. Chciał pan zrobi obchód oddziału.

Fleming zerkn ł na zegarek.

- Dzi ki, Frankie. Mogłaby tu zosta i pomóc Paulowi w reszcie wicze ? - Odwrócił si do pacjenta. - wicz dalej - powiedział. - Jak poradzisz sobie z Brianem, b dziesz mógł zacz próby z własn r k .

Wyszedł z Laboratorium My li, skr cił w prawo na korytarz biegn cy wschodnim skrzydłem i otworzył pierwsze wahadłowe drzwi po lewej stronie.

Oddział badawczy Barley Hall zajmował wielk wyło on d bowymi panelami sal z wysokimi oknami lancetowymi wychodz cymi na malowniczy staw i starannie przystrzy ony trawnik na tyłach kliniki. Była to zaadaptowana sala gimnastyczna z czasów, kiedy w tej wiktoria skiej posiadał ci mie ciła si szkoła z internatem dla chłopców. Oddział składał

si z sze ciu przestronnych boksów otaczaj cych otwart rodkow cz , w której stały krzesła i telewizor. Boksy przeznaczone były dla pacjentów uczestnicz cych w próbach klinicznych. Wi kszo zostawała na kilka dni, by nast pnie wróci do domu b d jednego z wi kszych, specjalistycznych szpitali, jak ten dla chorych z urazami kr gosłupa w Stoke Mandeville w Buckinghamshire.

Przez uchylone drzwi pierwszego zaj tego boksu wida było pi c dziewczyn . Przy ó ku stała piel gniarka.

- Jak si czuje? - spytał Fleming.

Rok wcz niej, dwa miesi ce po jej szesnastych urodzinach, chłopak za brał j na przeja d k motocyklem. On wyszedł z wypadku posiniaczony, a ona ze złamanym u podstawy kr gosłupem, sparali owana od pasa w dół. Poprzedniego dnia zespół Fleminga wprowadził elektryczne implanty do jej nóg i dolnej cz ci kr gosłupa. Liczyli na to, e z pomoc Neurotranslatora jej mózg b dzie mógł obej uszkodzony rdze kr gowy i prze j bezpo redni kontrol nad nogami.

Piel gniarka podniosła głow .

- Dobrze, doktorze Fleming. Za kilka dni powinna by gotowa do pierw szej wizyty w Laboratorium My li.

S siedni boks zajmował Paul, drzwi dwu nast pnych były zamkni te. Fleming uchylił je, by rzuci okiem na podopiecznych. Obaj spali. Sprawdził wskazania monitorów, wyszedł, nie budz c chorych, i skierował si do pi tego boksu. Tu opu ciła go zawodowa bezstronno .

Miał zaledwie trzydzie ci sze lat, ale uodpornił si na widok cierpie nia, bo tak cz sto si z nim stykał. Wiedział lepiej ni inni, e wygodne ycie mo e zosta zniszczone w mgnieniu oka. Praca nauczyła go jednego: cierpienie jest dziełem przypadku i wiara, e jacy bogowie mog człowieka przed nim uchroni , nie ma sensu.

A jednak, przy całym jego fatalizmie, ci ko mu było pogodzi si z tym, co przed jedenastoma miesi cami spotkało pacjenta z pi tego boksu. Utwierdziło go to tylko w przekonaniu, e nic nie trwa wiecznie. Jego rodzina i znajomi, zwłaszcza były dziewczyny, cz sto zarzucali mu, e ci gle co zmienia po to tylko, eby zmienia , ale nie była to prawda.

Raz si zakochał, na studiach w Cambridge, i gotów był po wi ci tej jednej jedynej całej ycie. Có , kiedy wyszła za starszego o dwadzie cia lat wykładowc . Serce Fleminga p kło, ale prze ył. Od tamtej pory spotykał si z wieloma kobietami, lecz adna nie rozpałiła w nim na nowo prawdziwej nami tno ci. Kilka odeszło, bo nie chciał si eni . Kiedy zwi -

zek stawał się zbyt poważny, wycofywał się. Zmiana to przygoda. Zmiana - nawet na gorsze - dawała nowe możliwości, a dzięki doświadczeniu tego, co możliwe, bez względu na prawdopodobieństwo sukcesu, było jego symbolicznym antidotum na cierpienie.

Większość pacjentów na tym oddziale, a także inni, których widział przez ostatnich kilka lat, usłyszeli od lekarzy, że ich stan jest beznadziejny, że nie ma nawet cienia szansy na wyleczenie czy choćby poprawę. A to Fleminga wkurzało. Zwłaszcza w przypadku chorego z przedniego boku.

- Miles!

W drzwiach oddziału stała Virginia Knight. Amerykańska kierowniczka Barley Hall była po przedziale, ale wyglądała młodziej. Wysoka i szczupła, prezentowała się elegancko w klasycznym granatowym kostiumie i krótko obciętych, nastroszonych jasnych włosach, które łagodziły ostre rysy policzków, inteligentnej twarzy. Zdziała okulary i sięgnęła do kieszeni.

- Mogę cię prosić na chwilę? To dość pilne.

Fleming zerknął na przedniego boku. Nie było po piechu. Ten pacjent nigdzie się nie wybierał.

## 4

### **Gabinet kierownika**

Gabinet w rodzimym czarnym lakierze posiadał tak naprawdę wielki sal z misternymi karniszami, szerokimi listwami przypodłogowymi i okazałym oknem wykuszowym z widokiem na podjazd i starannie przycięte trawniki.

Miles Fleming skrzyżował ręce na piersi i odchylił się na oparcie dużej kanapy, na której cierpiąca na bezsenność kierowniczka często odpoczywała w nocy.

- Virginio, ty chyba artujesz! Od kiedy to migrena jest poważną sprawą?

Virginia Knight wstała od biurka i podeszła do włoskiego ekspresu do kawy. Zrobiła dwie espresso i jedną podała Flemingowi.

- To wa ne, Miles - powiedziała. - Uwierz mi.

Fleming pokr cił głow .

- Ale Laboratorium My li i NeuroTranslator s mi potrzebne dzi wieczorem. Jest tam teraz Paul, trzeba te przygotowa Roba do jutrzejszej próby komunikacji. I bez tego mam przeładowany grafik. Po udanych próbach z Jakiem o NeuroTranslatorze zrobiło si gło no. Mamy ju kilometrów kolejk pacjentów, nie mog przyj kogo spoza niej, to zahamowałyby prace nad programem. Tym bardziej e chodzi o ból głowy, na lito bosk .

Virginia Knight westchn ła.

- Miles, zapominasz, e Jake'a i Roba przyj ła poza kolejno ci .

- To co innego. Nie mo na porównywa tych przypadków.

- To było co innego wyl cznie z twojego punktu widzenia i dlatego nie zmieniałam decyzji mojego poprzednika, który przymkn ł oko na dokonane przez ciebie przetasowania... ale według regulaminu przyj tego przez zarz d Barley Hall nagi ła przepisy. Chc tylko powiedzie , e jako kierownik Barley Hall mam obowi zek dba o dobro kliniki i dlatego musisz znale czas dla tej pacjentki. Jeszcze dzi .

Miles Fleming napił si kawy. Nie miał nic przeciwko Virginii Knight, lecz to nie przez wzgl d na ni przyjechał do Barley Hall przed o mioma laty, po uko czeniu studiów medycznych na Cambridge i obronie doktoratu z neurologii na Harvardzie. W odró nieniu od niej - byłej lekarki, która wybrała prac za biurkiem - jej poprzednik był rasowym badaczem, prawdziwym naukowcem. Wspaniały i niestety nie yj cy ju profesor Henry Trier był jednym z wykładowców Fleminga na Cambridge. Kiedy obj ł kierownictwo Fundacji Neurologicznej - rady naukowej ustanowionej przez przedstawicieli prywatnego biznesu, uniwersytet w Cambridge i szpital dla chorych z urazami kr gośłupa w Stoke Mandeville - Fleming skwapliwie skorzystał z okazji, by do niego doł czy .

Przed o mioma miesi cami Trier dostał zawału serca i zmarł; Knight, która wcze niej zajmowała ju wiele innych kierowniczych i doradczych stanowisk, została jego nast pczyni . Fleming rozumiał, dlaczego wybrano wła nie j : wietnie znała si na zarz dzaniu, promocji i zbiórce funduszy, czasem jednak obawiał si , e finanse były dla niej wa niejsze od pacjentów i bada .

- Zostawmy kwesti , kto wchodzi bez kolejki, a kto nie. - Si gn ła po czasopismo le ce na biurku. - Pozwól, e w zamian za to przedstawi ci korzy ci płyn ce z tego, e zbadasz dzi doktor Amber Grant. - Podała mu pismo. - Po pierwsze, wiesz, kim ona jest?

- Jasne, słyszałem o niej.

I to wła nie go niepokoiło. Amber Grant była bogata i sławna, co w oczach Knight czyniło j szczególnie po dan pacjentk . Czasopismem był „Time” i na okładce widniało wyretuszowane zdj cie Bradleya Soamesa - to samo, co we wszystkich publikacjach - a obok niego uderzaj co pi kna twarz jego współniczki Amber Grant. Podpis głosił: *Czarodzieje wiatła w blasku reflektorów.*

Fleming przewertował pismo. Na szóstej stronie znalazł wywiad z Amber Grant, którego publikacja bez w tpienia miała zbiega si z dat szeroko rozreklamowanej premiery nowego soft-screenu Lucyfer. Skonstruowany przez niego NeuroTranslator w swej pracy wykorzystywał komputer optyczny Lucyfer i opierał si na technologii autorstwa Grant i Soamesa. Mimo irytacji Fleming był zaintrygowany, zwłaszcza kiedy natrafił na artykuł przedstawiaj cy sylwetk tego enigmatycznego odludka, Bradleya Soamesa, przez wielu uwa anego za geniusza kontroluj cego Optrix.

- Prosz bardzo - powiedziała Knight. Przeczytaj to.

Fleming przejrzał artykuł. Przytoczono w nim głównie odgrzewane fakty składaj ce si na legend Soamesa, ale niektóre fragmenty były fascynuj ce - zwłaszcza ten, który opowiadał o jego młodo ci.

Bradley Soames cierpi na xeroderma pigmentosum, przypadło potocznie znan jako XP; syndrom wywołany przez zmutowany gen, który sprawia, e nawet najkrótsza ekspozycja na cho by najslabsze wiatło słoneczne powoduje raka skóry. Potomek rodu Soamesów, potentatów naftowych, rzekomo przyszedł na wiat w dniu pełnego za mienia Sło ca. Wielu psychologów zastanawia si , jak potoczyłyby si jego losy, gdyby nie ci ca na nim kl - twa.

Z pewno ci nie byłby a takim ekscentrykiem, ale jednocze nie mo na w tpi , czy osi gn łby tak fenomenalne sukcesy. Na nadzwyczajn ironi losu zakrawa fakt, e to wła nie ten genialny młody człowiek, przez całe ycie zdany na łask i niełask wiatła, ujarzmił jego moc i spo ytkował jego szybko .

Od wczesnego dzieci stwa zamkni ty w czterech cianach, chroni cych go przed promieniowaniem ultrafioletowym, Soames fascynował si fotonami wiatła, subatomowymi kwantowymi cz stkami promieniowania elektromagnetycznego, tego samego promieniowania, z którego powodu był wi niem we własnym domu. Koncentruj c swój wybitny intelekt na rozwa aniach o naturze wiatła, w wieku trzynastu lat nabrał przekonania, e fotony mo na wykorzysta do przetwarzania, przechowywania i transmisji danych.

Gdy skończył szesnaście lat, przerósł nawet najbardziej uzdolnionych korepetytorów, których zatrudniali jego rodzice, i zaczął uczęszczać na Cal Tech w Pasadena, jedną z czołowych uczelni technicznych na świecie. Ukończył z wyróżnieniem dwa dni przed osiemnastymi urodzinami - był wówczas młodszym niż większość kandydatów na studia. Nie studiował jednak dla tytułów naukowych; szukał współnika obdarzonego wystarczająco rzutkim intelektem, by zrozumieć jego pomysły, i który miałby niezbyt dny zapach, ogład i charakter, by dokonać tego, co dla niego pozostawało nieosiągalne - wyjść na światło dnia i pomóc urzeczywistnić jego marzenia. Osobą okazała się doktorantka na wydziale fizyki cząstek elementarnych Amber Grant.

Wiele osób, w tym także Amber Grant, już wcześniej wpadło na pomysł skonstruowania komputera optycznego, projektowane przez nich urządzenia opierały się jednak wyłącznie na światłowodach, dlatego te, nawet gdyby działały, wymagałyby użycia ogromnej liczby kabli. Soames miał inne podejście: zaproponował wykorzystanie diody do wytworzenia silnego pola elektrycznego, w którym pary elektron-dziura pozostawałyby rozdzielone do odległości, by pochwycić w nich światło i zawarte w nim dane, a następnie wysłać je dalej.

Wizjonerstwo Soamesa i oddanie Amber Grant, wraz z niezliczonymi drobnymi modyfikacjami, z których każda z osobną wartością byłaby stopnia doktorskiego, doprowadziły przed oczyma do wynalezienia pierwszego praktycznego komputera optycznego. Dzięki temu Opatrix Industries, firma z siedzibą w San Francisco, stała się jednym z najszybciej rozwijających się przedsiębiorstw w dziedzinie.

Oprócz tego, pełnił również funkcję w Opatriksie, Bradley Soames spędza coraz więcej czasu w swoim prywatnym ośrodku badawczym na Alasce - Fundacji VenTec...

- Chodzi o to - powiedziała Knight, kiedy Fleming podniósł głowę - że Soames chce przekazać wielomilionową dotację na twoje badania.  
- Uważam, że to jest świetne. - Zwróciłeś uwagę, że czuję się powołany na efekt Christophera Reeve'a? Nie zaprzeczysz, że wykorzystanie komórek macierzystych do regeneracji uszkodzonego rdzenia kręgowego to w tym momencie Graal neurologii, dzięki czemu Bobby Chan i jego zespół od inżynierii genetycznej z zachodniego skrzydła nie mają kłopotów finansowych.

Fleming pozwolił sobie na kwadrans uśmiechu.

- Podczas gdy moje prace we wschodnim skrzydle cięgle uchodzą za mechaniczną prowizorkę i rozwijanie tymczasowe, choć realistycznie

rzecz biorąc, min dziesięć lat, zanim zespół Bobby'ego odkryje coś godnego uwagi. Knight parsknęła miechem.

- Cóż, ten pogląd szybko się zmienia. Głównie jest o tym, co zrobiła dla Jake'a. Musimy to wykorzystać. Bradley Soames jest zainteresowany NeuroTranslatorem i chce włożyć w pracę nad nim duże pieniądze.

Fleming wiedział o tym: pół roku wcześniej Soames przez prawnika zaproponował mu przejście do VenTec.

- A w zamian za te duże pieniądze mam zbadać NeuroTranslatorem jego bezcennego współpracownika? Co jej jest oprócz tego, że dostała ataku migreny?

Knight postukała palcem w teczkę na biurku.

- To kolejny powód, dla którego powinieneś się z nią zobaczyć. Jest marzeniem każdego badacza. Jej dokumentacja medyczna jest fascynująca i jako neurolog mógłbyś wiele się od niej dowiedzieć. Nie kręnosem, Miles, trafił ci się prawdziwy skarb. Twoje prace opóźniły się o dwa, to drobiazg w porównaniu z wszystkimi korzyściami, jakich możemy się spodziewać.

Mimo swoich zastrzeżeń Fleming był zaciekawiony.

- Korzyściami?

- Ta kobieta jest wyjątkowa - odparła Knight. - Przełóż ci jej pełną dokumentację medyczną w mailu, ale te notatki z grubszą pozwól ci się zorientować, o czym mówi.

Fleming z ociąganiem wziął teczkę. Virginia Knight była wytrawną manipulatką, nie ufał jej. Jeszcze raz zerknął na plakietki kobiet na okładce „Time'a”.

- Nadal nie rozumiem, dlaczego mam dać jej pierwsze stwo przed innymi pacjentami. Chyba niczego jej nie amputowano?

Virginia Knight odchyliła się na oparcie krzesła i szeroko uśmiechnęła przeciw jej twarzy.

- Nie całkiem - powiedziała, kiedy Fleming otworzył teczkę i wstrzymał oddech na widok lewego na wierzchu rentgena. - Nie całkiem.



## 5

### Barley Hall, 17.00

Kiedy karetka przywiozła Amber Grant do Barley Hall, było już ciemno. Paraliżująca migrena nieco złała, ale Amber, jak zwykle, czuła się osłabiona. Bóle pojawiały się bez ostrzeżenia, z tym już się pogodziła. Ten ostatni atak jednak ją rozszalał. Zasnęła w czasie swojej prezentacji i nie mogła tego sobie darować. Praca odgrywała praktycznie najważniejszą rolę w jej życiu, a ona zawiodła siebie i wszystkich - i to na oczach cholernych dziennikarzy. W dodatku będzie musiała opuścić dzisiejszą nocną kolację i spotkania zaplanowane na jutrzejszy rano, przed wylotem do San Francisco. Mimo bólu chciała wrócić do hali turbin i kontynuować prezentację, ale Bradley Soames uparł się, by przyjechała tutaj. Bez względu na to, co powiedzą specjaliści, była zdecydowana złapać jutro samolot, by zobaczyć się z chorą matką, Gillian.

Kiedy przejechali przez imponujące bramy Barley Hall, Amber spojrzała na zielone siłowniki. Nawet mimo zapadającego zmroku i nadciągającej zimy wszystko wokół wyglądało pięknie. W Kalifornii i trudno było nie dostrzec różnic między wiktoriańskimi posiadłościami a bezpłciowymi amerykańskimi szpitalami i klinikami, w których przebywała w dzieciństwie.

Jeszcze dziewięć miesięcy temu tamte czasy były tylko złym wspomnieniem. Ostatnio jednak, nękana coraz częściej migrenami, odnowiła znajomość z wiatrem medycyny. W ciągu pół roku przeszła wszystkie możliwe badania, w tym tomografię pozytonową emisyjną i komputerową, a także obrazowanie metodą rezonansu magnetycznego, i nic. Kiedy Soames osobiście odprowadził ją z hali turbin do karetki, powtórzyła w sens wizyty u jeszcze jednego „specjalisty”. On jednak nalegał, by spotkała się z doktorem Milesem Flemingiem.

- Amber, bez przerwy piekasz się, moja skóra została tak zniszczona, zanim wykryto u mnie XP. Co dwa miesiące powstrzymujesz mnie przed zwolnieniem dermatologów i suszysz mi głowę, ebym poszedł za jej radą i dał sobie wyciąstanie cholernego czerniaka czy dwa, zanim który mnie zabije. I wiesz co? Jesteś prawdopodobnie jedyną osobą na świecie, której słucham. Dlatego teraz chcę, ebyś ty posłuchała mnie. Zbadaj się, jak należy. Ten Miles Fleming ma łeb. Jego NeuroTranslator to najlepsze

urz dzenie stworzone na bazie komputera optycznego, lepsze nawet ni sekwencery genów nowej generacji. - Soames uwa ał wi kszo ludzi za idiotów, a reszt za miernoty, wi c tak pozytywna ocena tego trzydziestoszego cioletniego Anglika w jego ustach była nie lada komplementem.

Sanitariusze podsun li jej wózek, ale weszła do stylowej recepcji o własnych siłach. Nie znosiła, eby traktowano j jak inwalidk . Cho wi ksz cz ycia sp działa w laboratoriach, szczyciła si dobr form , któr zawdzi czała temu, e co rano pływała w basenie Optriaksu. W budynku przywitała j piel gnarka z podkładk do pisania.

- Dobry wieczór, doktor Grant. Nazywam si Frankie Pinner. Mo e pani chodzi ? Poda pani jaki rodek przeciwbólowy?

- Na razie nie trzeba, dzi ki.

- Skoro tak, to mo e usi dzie pani w poczekalni, a ja pójd po doktora Fleminga? Gdyby pani czegokolwiek potrzebowała, prosz da zna w recepcji.

W k cie du ej sali stał szereg sof odwróconych oparciami do siebie. Amber usiadła i z kieszeni akietu wyj ła przeno ny komunikator. Urz dzenie to, nie wi ksze od telefonu komórkowego, rozkładało si na dwie cz ci - dotykowy panel sterowania i zestaw klawiszy numerycznych. Amber wcisn ła guzik na panelu i ze rodkowego zawiasu wyrósł ekran. Kiedy ju miała sprawdzi mail i poczt głosow , usłyszała, jak kto za jej plecami wci ga powietrze ustami i mówi cicho:

- O rany.

Odróciła si i zobaczyła chłopca; zagl dał jej przez rami przechylony przez oparcie sofy. Miał nastroszone jasne włosy, szczer , wyrazist twarz i wielkie szare oczy, które wpatrywały si w nowoczesny soft-screen komunikatora. Obok niego, z nosem w jakim czasopi mie, siedziała kobieta, za stara, by by jego matk .

- To twoje? - spytał.

Poło ył mał dło na ramieniu Amber i wgramolił si na oparcie, by lepiej przyjrze si komunikatorowi. U miechn ła si do niego.

- Uhm.

- Takiego to jeszcze nie widziałem.

- Bo jest nowy.

- Gdzie go kupiła ?

- Sama go zrobiłam. - Po namy le sprostowała: - To znaczy, moja firma.

Chłopiec przyjrzał jej się uważnie i spytał z powagą: - Jesteś geniuszką?  
Znow się uśmiechnęła.  
- Nie.  
- A mój wujek jest - stwierdził rzeczowo.  
- O kurczę, to jestem pod wrażeniem. Jak ci na imię?  
- Jake.  
- Cześć, Jake, jestem Amber.  
Uśmiechnęła się do niej szeroko.  
- Co robisz na tym?  
- Dużo rzeczy. Dzwonię, wysyłam maile, liczę, sprawdzam prognozy pogody, wyniki sportowe...  
- A gra w gry komputerowe?  
- No pewnie.  
- A sprawdzasz wyniki meczów?  
- Jasne - odpowiedziała, myślała gorzko. Sport był dla niej czarną dziurą. W kraju kibicowała Forty Ninersom, ale tylko dlatego, że sponsorował ich Optrix. - A ty czym jesteś fanem?  
- Man United, oczywiście - odparł, jakby tylko idiota mógł kibicować innej drużynie. - Uwielbiam futbol.  
- Załóżmy, że sam nie graś.  
- Teraz już nie, ale jest coraz lepiej.  
Jego słowa zabrzmiały jako dziwne.  
- Doktor Grant. - Amber podniosła głowę i zobaczyła pielęgniarkę; wróciła z podkładką do pisania. - Proszę za mną zabrać pani prosto do Laboratorium Myśli. Jeśli będzie pani chciała skorzystać z łazienki czy napić się wody, proszę dać znać. Formularze wypełnimy później.  
- Muszę iść, Jake. - Podniosła się, by pójść za pielęgniarkę.  
Zanim odeszła, odwróciła się i spojrzała na chłopca. Wtedy zrozumiała, dlaczego nie gra już w piłkę. Poczuliście w sercu - wiedziała, jak to jest być dzieckiem, które wygląda inaczej od innych. Nie okazując współczucia, pochyliła się i ucałowała mu dłoń.  
- Miło mi było cię poznać, Jake. Oby Man United się powiodło.  
- Pa, pa, Amber - powiedział z uśmiechem.  
Pielęgniarka zaprowadziła ją do wschodniego skrzydła, gdzie na końcu długiego korytarza znajdowało się Laboratorium Myśli, i wprowadziła ją do sali z nim salki, w której stały biurko, komputer optyczny Lucyfer, dwa krzesła i rzęd monitorów. Siedząc po tym, przez szybki widział

było Laboratorium Myli, musiał to być pokój obserwacyjny. Pielgniarka nalała jej wody i wyszła.

Amber usiadła na miękkim krześle odwróconym od biurka i rozjechała się po pomieszczeniu. Na jednej ze ścian wisiała tablica z korka. Poprzypinano do niej kartki z podziałkami, zdjęcia pacjentów i personelu. Jedno zwróciło jej uwagę: przedstawiało dwóch opalonych mężczyzn w pełnym ekwipunku do wspinaczki, którzy stali na nieośnieżonym górskim szczycie na tle krystalicznie czystego błękitnego nieba. Podobni do siebie jak bracia, trzymali wzniesione ręce w geście triumfu.

Nagle zauważyła swoje odbicie w szybie. Była blada i wymierzona. Bezwiednie odgarnęła włosy do tyłu, odsłaniając lewą stronę twarzy i cienką srebrną bliznę od skroni po linię włosów. Teraz widziała, że nie ma lewego ucha, co rzucało się w oczy, tym bardziej że w prawym nosiła piękny kolczyk z jadeitu i złota. Uparcie nie zgadzała się na operację plastyczną: usunięcie ładu po przebytej w dzieciństwie operacji byłoby według niej zdradą.

- Doktor Grant? Jestem Miles Fleming.

Kiedy wszedł, przyłapała się na tym, że wygląda spódnice i poprawia włosy. Od razu rozpoznała w nim jednego z mężczyzn z fotografii. Nie wyglądał tak, jak go sobie wyobrażała. Nie licząc rozpiętego kitla, w niczym nie przypominał naukowca, przynajmniej jednego z tych, których znała. Nie spodziewała się kogoś o takiej posturze. Był wysoki, miał co najmniej metr osiemdziesiąt wzrostu, i poruszał się ze swobodnym wdziękiem - dowodem doskonałej koordynacji ruchowej. Jego ciemne włosy były tak niesforne jak jego wymięte ubranie, a cera zarumieniła się od długiego przebywania na powietrzu. Kiedy wyciągnął rękę i uśmiechnął się, wokół jego szarych oczu pojawiły się małe kurze łapki. Jego dłoń była ciepła i mocna.

- Przepraszam, że kazałem pani czekać, ale mamy tu lekkie urwanie głowy.

- Aden kłopot. Dziękuję, że zgodził się pan tak szybko mnie zobaczyć.

- Jak migrena? Ból minął?

- Jest do zniesienia.

- To dobrze. Może wyjdzie mi w paru słowach, czym się tu zajmujemy, a potem omówimy pani problem?

- Proszę bardzo.

- Ogólnie rzecz biorąc, w Barley Hall prowadzone są prace w dwóch dziedzinach. W zachodnim skrzydle trwają czysto naukowe badania, głównie nad stosowaniem komórek macierzystych do celów regeneracyjnych, rekonstrukcji rdzenia kręgowego i tak dalej. Tu, w skrzydle

wschodnim, zają tym przez mój zespół, prowadzimy prace bardziej praktyczne. Próbujemy wykorzystać sygnały wysyłane przez mózg, by pomóc osobom po amputacji i paraplegikom odzyskać kontrolę nad sparaliżowanymi kończynami lub sterować protezami. - Fleming uśmiechnął się do niej. - Staramy się te łączyć bóle.

Amber podobał się jego uśmiech, ale nie była jeszcze gotowa mu zaufać.

- Ach tak? Nawet bóle kończyn, które nie istnieją?
- Tak się składa, że to jedna z naszych specjalności.

## 6

po przeczytaniu akt Amber Grant Miles Fleming stwierdził, że słyszał o co najmniej dwu podobnych przypadkach, jednym w Stanach Zjednoczonych, drugim we Francji, ale w żadnym z nich nie doszło do operacji. Przez lata badania nie spotkał jeszcze nikogo, kto przeszedłby taki zabieg i przeżył. A biorąc pod uwagę jej wspólne z Bradleyem Soamesem dokonanie w Optriksie, Amber Grant nie tylko przeżyła, ale i wyszła z tej ciężkiej próby bez najmniejszego uszczerbku dla jej genialnego umysłu.

Fleming podszedł do stojącego na biurku komputera optycznego Lucyfer. Był to półprzezroczysty ekran, w którym znajdowała się pulsująca świetlna kula na cewce z włókna optycznego. Z tyłu stał plazmowy fotonowy monitor KREE8 przystosowany do pokazywania trójwymiarowych obrazów. Fleming odwrócił go do siebie, sięgnął po bezprzewodowe konsole sterownicze i wyświetlił dokumentację medyczną Amber Grant z Data Security Providera, zabezpieczonej bazy danych Barley Hall. Informacje pojawiły się natychmiast po ich przywołaniu - spływały z przodem ekranu światła.

Spojrzał na zdjęcia rentgenowskie na ekranie, a potem na nią. Rany po operacji były niewidoczne, jego uwagę jednak przykuły jej włosy i oczy. Włosy, które nosiła zaczesane na lewą stronę twarzy, były gładkie jak zwierzęce futro, kruczoczarne i lśniące, a duże oczy, o kształcie kocich łepi, miały niezwykły kolor: ciemnozielone tęczówki usiane były złocistymi

plamkami. Uwagę przyciągały te małe zgrabny nos i oliwkowa cera. Z odsłoniętego prawego ucha zwisał piękny kolczyk z jadeitu i złota, pełne usta miały barwę jasnego koralu. Była jedną z najbardziej egzotycznych kobiet, jakie Fleming poznał.

- Mogę zobaczyć ład po operacji?

- Proszę. - Amber odgarnęła włosy z lewego policzka.

Fleming wstał i podszedł do niej. Kiedy nachylił się nad nią, poczuł zapach jej perfum: delikatny, ale upajający, przywołał na myśl rządkę tropikalny kwiat. Obejrzał równie srebrzystą bliznę, która zaczynała się na linii włosów, przecinała skórę i ginęła we włosach opadających na kark. Ład po brakuji cym uchu był tak słabo widoczny, że wydawał się raczej przeoczeniem niż skazą.

Wrócił do monitora i jeszcze raz spojrzął na obraz.

- Pomówmy o pani migrenach - powiedział. - Z dokumentacji wynika, że zaczęły się osiem, dziewięć miesięcy temu i że nigdy wcześniej ich pani nie miała. Nawet w dzieciństwie.

- Zgadza się.

- Występuje mniej więcej dziesięć razy w miesiącu.

- Rednio.

- Jak długo trwa atak?

To zależy. Jeśli nie wezmę od razu rodka przeciwbólowego, bywa że mija dopiero po godzinie. Potem zaczyna się najgorsze. Jestem tak wyczerpana, że przez wiele godzin nie mogę normalnie funkcjonować.

- Co pani bierze?

- Tylenol Blue. Nie uśmierza bólu, ale go łagodzi.

Skinę głowę.

- Może pani opisać ten ból?

Wzruszyła ramionami.

- To tak, jakby ktoś wbijał mi w mózg rozżarzoną do czerwoności igłę i wstrzykiwał małe ładunki wybuchowe. Zaczynam widzieć gwiazdy, błyski i robi mi się niedobrze. Czasem, jak dziś, tracę przytomność.

Fleming się skrzywił.

- No to nie leż - mruknął i spojrzął na zdjęcie na monitorze. - Zakażony razem czuje pani ból w tym samym miejscu?

- Uhm.

- Gdzie dokładnie? Mogłaby pani pokazać?

- Do tej pory jeszcze mnie trochę łupie - wskazała lewą ręką obolałe miejsce. - O, dokładnie tu.

Fleming skin ł głów i jeszcze raz spojrział na monitor. Wskazywała punkt oddalony o kilka centymetrów od lewej skroni.

- Dziwne, co? - powiedziała ze speszon min . Wzi ła szklank wo-  
dy. Wzruszył ramionami.

- Niezwykłe, owszem, ale nie niewytłumaczalne.

Zdj cie na monitorze pochodz ce z akt Amber Grant było rentge-  
nem dwojga dzieci odwróconych twarzami w przeciwne strony. Ich  
czaszki były zro ni te lewymi skroniami. Najbardziej niesamowite  
było jednak to, e oprócz czaszek poł czone były tak e ich mózgi.  
Płaty skroniowe w du ym stopniu nakładały si na siebie. Mimo to z  
akt wynikało, e dziewcz ta ró niły si osobowo ci , miały odmienne  
cechy charakteru.

Amber Grant odstawiła szklank na biurko i Fleming zauwa ył, jak  
ostro ne, przemy lane s jej ruchy. Siedz c, lekko przechylała głow  
w lewo, jakby słuchała, co kto mówi jej za uchem.

Akta zawierały jej szczegółowy yciorys: Amber i jej bli niacza  
siostra, Ariel, przyszły na wiat przed trzydziestoma siedmioma laty.  
Ich matki, ubogiej brazylijskiej dziewczyny, nie sta było na utrzyma-  
nie normalnych bli ni t, a co dopiero syjamskich. Podrzucone do ob-  
skurnego szpitala w Sao Paulo, dzi ki interwencji pewnego jezuita,  
zostały adoptowane przez bezdzielne katolickie mał e stwo ze Sta-  
nów.

Przez osiem lat yły szcz liwie z przybranymi rodzicami w Kali-  
fornii. Nazywano je ta cz cymi siostrami, bo poruszały si i chodziły  
razem jak w rytmie walca. Ariel zawsze była t siln , grała pierwsze  
skrzypce, Amber była spokojniejsza. Nagle zacz ła mie kłopoty z  
nerkami. Krwiobiegi sióstr były poł czone i dzi ki temu przez jaki  
czas nerki Ariel słu yły obu organizmom. Wkrótce okazało si , e  
tak e jej serce wspomaga serce Amber i mo e nie wytrzyma dodat-  
kowego obci enia. Gdyby ich nie rozdzielono, a Amber nie została  
poddana kuracji, nie tylko umarłaby sama, ale i zabiłaby siostr . Po-  
jawił si jeszcze jeden problem: cho były dwiema ró nymi osobami,  
miały wspóln istotn cz tkanki mózgowej. Istniał cie szansy, e  
obie wyjd z operacji bez uszkodze mózgu, ale nadzieje na to były  
niewielkie. Mimo to rodzice nie mieli innego wyj cia, jak tylko zgo-  
dzi si na zabieg. Dwa miesi ce po nim serce i nerki Amber funkcjo-  
nowały ju normalnie i uznana została za wyleczon ; Ariel jednak  
umarła na stole operacyjnym.

Fleming nie musiał zagl da do dokumentów, by wiedzie , e Amber  
zawsze b dzie obwinia si o mier siostry - nie zostałyby rozdzielo-  
ne, gdyby nie była dla niej tak wielkim obci eniem. Pewnie dlatego  
nigdy

nie poddała się operacji plastycznej w celu rekonstrukcji ucha i dalszej redukcji blizn. Z dokumentacji wynikało, że kiedy spytał ją o to psycholog. Amber Grant odparła wówczas: „Po co mi operacja plastyczna? Siostra była tym, co we mnie najlepsze”. Fleming spojrzął na nią i napotkał jej hardy przenikliwy wzrok.

- No i co pan na to? - spytała.

Odwrócił monitor do niej, by mogła zobaczyć znajome zdjęcie rentgenowskie jej czaszki z tej samej czaszki siostry. Wskazał okolice płata skroniowego Ariel.

- Czuje pani ból w tym miejscu, dokładnie tam, gdzie mózg pani siostry był zniszczony przez uraz. Na pierwszy rzut oka sprawa jest prosta i jestem pewien, że inni specjaliści, którzy pani badali, powiedzieli, w czym rzecz. Cierpi pani na klasyczny ból fantomowy. Nie ma w tym nic nadzwyczajnego. Na naszym oddziale leży młody człowiek, Paul, który przez ostatnie cztery lata uskarżał się na ból odciętej ręki. Z pomocą NeuroTranslatora zdołaliśmy mu ulżyć, co nie zmienia faktu, że dla niego ból ten był jak najbardziej rzeczywisty. Zjawisko to występuje u wielu ludzi, którzy tracą w wypadku część ciała. Co ciekawe, ból ten często jest spowodowany z urazem, w którego wyniku doszło do uszkodzenia kości, jakby mózg pamiętał ostatni wysłany przez niego sygnał alarmowy.

Amber skinęła głową.

- Ale ja nie straciłam kości.

- Nie, i dlatego pani przypadek jest tak niezwykły. Straciła pani człowieka. - Zawiesił głos, jakby szukał właściwych słów, by oddać swoje myśli - Amber, tym, co czyni cię kimś wyjątkowym, jest fakt, że nosisz w sobie fragment swojego mózgu nie swojej osoby.

Zmarszczyła brwi, nie mogąc oderwać oczu od wyświetlonego na monitorze zdjęcia bliźniaczek siostry.

- To wiem. Ale co to znaczy? - Zbladła. - Czy niby czuje ból, który czuje Ariel? Czy to możliwe, aby jako nadal...

Miała tak przerażenie, że Fleming uspokajając ją położył dłoń na jej ramieniu.

- Nie. Zapewniam ci, że ból jest twój własny. Tak, jak to jest w przypadku ręki Paula, twój mózg po prostu wysyła sygnał do tkanki, której już nie ma, a której braku z takiego czy innego powodu nie zauważyła. Ariel już nie cierpi. Odeszła. - Próbował obrócić to w żart. - No, Amber, przecie jesteś naukowcem...



- Zajmuj się fizyką czy stek elementarnych, Miles, i badaj c wiat kwantów, nauczyłam się, e niczego nie można być pewnym. - Jej oczy zwiły się w szparki i Fleming domyślił się, e miała ją do traktujcych protekcyjnie „ekspertów”. - Całe życie próbuj jako doj do ładu z tym, co spotkało moją siostrę. Studiowałam filozofię, fizykę, a nawet teologię, i jak dotąd wiem tylko, e niewiele wiemy. - Umiechnęła się zaciętych tymi ustami i odchyliła na oparcie krzesła. - Chcę przez to powiedzieć, Miles, e nie zamierzam pozwolić, by ktokolwiek zapewniał mnie o czymkolwiek.

Fleming uniósł dłonie w geście kapitulacji. On też nie znał mechanizmów rzędzących ludzkim życiem. Jednego był pewien: trwało tyle, ile trwało, i ani chwili dłużej. Nie było sensu zaprzętać sobie umysłu rozważaniami o życiu pozagrobowym, bo takowe nie istniało. I dobrze.

- Amber, nie jestem na tyle głupi, by wdawać się z tobą w dyskusję o osobliwościach fizyki kwantowej, ale na ludzkim mózgu akurat się znam. Wiem, e potrafi robić wiele dziwnych rzeczy i sprawi, e uwierzysz we wszystko, czy chodzi o ból w brakującej części ciała, czy o istnienie boskiej istoty. Po wielu cięm badaniom nad tym całą karier naukową i jestem przekonany, e wszystko, czego do wiadczy na tym wiecie, można wyjaśnić elektrycznymi i chemicznymi procesami zachodzącymi w tym organie w kształcie orzecha, który nosimy w czaszce. Miłość, wiara, poczucie własnego ja, wszystko to wywodzi się z naszego realnie, podkreślam, realnie istniejącego mózgu. wiadomo, umysł to nie jakaś tam abstrakcja, tylko efekt skoordynowanej pracy mózgu. Gdy ginie on, razem z nim ginie także umysł. Ty wciąż tu jesteś, Amber, ale Ariel odeszła w nico. Ty czujesz ból, bo twój mózg wciąż wysyła sygnały do twojego organizmu, ale twoja siostra już nie cierpi. Nie może, bo nie istnieje. To nie fizyka kwantowa. To fakt.

Amber uśmiechnęła się i odparła łagodniejszym tonem, bardziej przekonującym niż napastliwym:

- Skoro już wspomniałaś o po mirtnej nico ci, musisz ci uprzedzić, e jestem katoliczką.

Fleming parsknął śmiechem.

- Niewiele już zostało. Myślałem, e wiesz, że zdezercerowała do Kościoła Prawdy Duchowej.

Uśmiechnęła się szerzej.

- Nie jestem szczególnie pobożna, ale wiesz, jak to jest. Kiedy twój ojciec chrzestny jest jezuita, który uratował ci życie, a twoi przybrani rodzice katolikami, rodzi to w tobie pewne poczucie lojalności.

- Nie da się ukryć - przytaknął Fleming. - W końcu wiesz, że jestem ateistą, trzymaj się więc przebrzmiałych newtonowskich dogmatów, a ja wiem, że ty jesteś katolikiem z zamiłowaniem do kwantów. Nie wiemy jeszcze, co powoduje te twoje ataki migreny i jak im zaradzić. Musi nam to powiedzieć twój mózg. - Wstał, podszedł do drzwi i zaprosił je gestem do Laboratorium Myśli. - To dobry moment, by zapoznać cię z Neuro-Translatorem.

## 7

To pokój badań - powiedział Fleming - ale wszyscy tu nazywają go Laboratorium Myśli. Wysoki sufit i listwy na obrazy kontrastowały z nowoczesnym sprzętem, zestawem butli tlenowych, monitorami i inną aparaturą medyczną. Na stole po drugiej stronie pokoju na grubej czarnej podstawie stał kolejny półprzezroczysty szkiełko; pulsowała w nim świetlna kula wielkości futbolówki. Obok leżał niebieski czepek z elektrodami i bezprzewodowa klawiatura, a w górze na ścianie wisiał wielki monitor plazmowy.

- Tu będzie spać.

- Bez łóżka? Luksusów nie zapewniacie, co?

- Łóżko przewieziemy z jednego z boksów oddziałowych. Wielu naszych pacjentów jest sparaliżowanych, więc tak łatwiej nam ich przenosić. Zamontowana przy łóżku aparatura do reanimacji przydaje się w nagłych wypadkach. Niektórzy z naszych pacjentów są poważnie chorzy, więc wolimy nie ryzykować. W końcu wiesz Brian, gdzie miał na ciebie oko.

- Brian?

Fleming wzruszył ramionami.

- To głupie imię, które się przyjęło. Stare dzieje. Jeden z asystentów napisał kiedyś notatkę, w której nazwał NeuroTranslatora mechanicznym mózgiem. Tyle że machnął się i zamiast „brain”, czyli „mózg”, wyszło mu „Brian”. I tak już zostało. To głupie, ale pomaga rozładować atmosferę.

- Podszedł do manekina i poklepał go. - Jego też nazywamy Brianem. Osoby po amputacji i paraplegicy uczą się na nim kontrolować ruchy za pomocą myśli. - Przerwał. - Co wiesz o NeuroTranslatorze? Powstał na

bazie Lucyfera, więc pewnie zastosowana w nim technologia jest ci dobrze znana.

Podeszła do półprzezroczystego szklanego ekranu i dotknęła go wpatrzona w pulsujące w rodku wieki kulki.

- Domyślam się, że procesor optyczny zapewnia moc i szybko niebiednie do translacji sygnałów nerwowych.

- Otóż to. W podstawie jest ten wzmacniacz sygnałów nerwowych i konwerter optyczno-analogowy, co umożliwia falom mózgowym bezpośredni kontakt z komputerem. - Podniósł niebieski czepiec. - Nazywamy to Czapek Miodowca. W każdym węzle sieci jest elektroda monitorująca przez czaszkę elektryczną czynność mózgu. Wszelka komunikacja między czepkiem a komputerem odbywa się bezprzewodowo. NeuroTranslator to w gruncie rzeczy udoskonalone urządzenie wywołujące biologiczne sprzężenie zwrotne podobne do wcześniejszych systemów Biomuse opracowanych na początku lat dziewięćdziesiątych przez Lusteda i Knappa dla paraplegików i osób po amputacji.

Amber skinęła głową. Czytała o urządzeniach Biomuse. Miały one wychwytywać i wzmacniać impulsy elektryczne wysyłane ze szkieletowej tkanki mięśniowej, a także te powstające w wyniku ruchu gałek ocznych.

- Ale NeuroTranslator jest pewnie dużo bardziej nowoczesny. Choćby dlatego, że nie wykorzystuje sygnałów elektromiograficznych i elektrookulograficznych.

- To prawda. Tylko elektroencefalograficzne. Jakiegoś czasu temu doszedłem do wniosku, że można by o wiele skuteczniej kontrolować komputery za pomocą dużo bardziej złożonych sygnałów elektrycznych w ludzkim mózgu. Cel był prosty: ujarzmić myślenie.

Amber uśmiechnęła się na słowo „prosty”. Czynność ludzkiego mózgu - myślenie - na elementarnym poziomie powstaje w wyniku przepływu elektrycznych impulsów splotami nerwowymi w mózgu. Już w 1929 roku niemiecki psychiatra Hans Berger ukończył termin elektroencefalogram, czyli EEG, na określenie nagrywania napięcia w mózgu wykrywanych za pomocą przyklejonych do głowy elektrod.

Przez następne dziesięciolecie zidentyfikowano wiele rodzajów sygnałów EEG: fale alfa powstawały w wyniku czynności tak prostych jak zamknięcie oczu, fale beta kojarzone były ze stanem czuwania, theta towarzyszyły stresowi emocjonalnemu, delta wytwarzały się w czasie głębokiego snu, a fale mu powolne były z odczynami ruchowymi - ruch bezwładny zamiar jego wykonania powodował ich zanikanie.

Fleming poklepał kul .

- Dzi ki waszemu Lucyferowi udało nam si zidentyfikowa i podda analizie wszystkie typowe fale mózgow e, i odkry kilka nowych, co pozwoliło sporz dzi szczegółów map pracuj cego mózgu. Wzmacniaj c i odcyfrowuj c fale o okre lonej długo ci, a zwłaszcza schematy ich współdziałania, nauczyli my si interpretowa impulsy elektryczne.

Amber zaczynała rozumie , dlaczego Bradley Soames był pod wra eniem wynalazku Fleminga.

- Zgaduj , e to urz dzenie potrafi si uczy .

- Oczywi cie. Na tej samej zasadzie, co przy dostrajaniu odbiornika do odpowiedniej długo ci fal radiowych, sie neuronowa NeuroTranslatora wyszukuje zło one schematy czynno ci mózgu i dopasowuje je do okre lonych polece i zamiarów. Jeszcze nikt nie był tak bliski zrozumienia i wyra enia ludzkich my li, i sporz dzenia mapy ludzkiego umysłu jak Brian.

- Czy on ma wiadomo ?

Fleming parskn ł miechem.

-Nie. Brian stosuje logik zbiorów rozmytych i wietnie sobie radzi z badaniem mózgu i analiz naszego sposobu my lenia, ale nie ma wolnej woli i nie potrafi my le samodzielnie, w wiadomy sposób. Je li wyobrazi sobie samodzielne my lenie jako mecz piłkarski, to Brian jest genialnym kibicem, analitykiem, komentatorem i statystykiem, gra w piłk jednak nie potrafi. NeuroTranslator przede wszystkim analizuje i interpretuje fale mózgow e, co pozwala nam wzmocni te, które s u yteczne, na przykład sygnały ruchowe niezbdne dla sterowania implantem w sparali owanej czy sztucznej ko czynie, i stłumi te, które tylko przeszkadzaj , jak sygnały o bólu amputowanej cz ci ciała.

Fleming nał o ył na głow Czapk M dro ci i wcisn ł klawisz na klawiaturze przy sze cianie. Monitor plazmowy wł czył si z trzaskiem i kula wewn trz sze cianu rozbłysła oszałamiaj c feeri barw wytworzon przez fotony wiatła o ró nej cz stotliwoci wykonuj ce niezliczone równoległe obliczenia.

- Patrz na linie na monitorze - powiedział. - Pokazuj moje fale mózgow e. A teraz spójrz na ciało zast pce.

Poziome linie gwałtownie si spi trzyły i manekin wystawił lew nog do przodu. Amber a podskoczyła.

- Zrobiło to my l ?

- ci le, poprzez kontrol my li. To wymaga treningu, ale jak ju człowiek załapie, o co chodzi, jest to do proste. Brian to narz dzie szkoleniowe.

Pacjenci, którzy nauczyli się nim sterować, dostają bardziej nowoczesne protezy, a w przypadku paraplegików implanty. To dopiero początek badań, ale wyniki na razie mamy nadzwyczajne.

Mimo swojego wcześniejszego sceptycyzmu Amber Grant poczuła się radośnie.

- Czyli liczysz na to, że poprzez analizę moich fal mózgowych zidentyfikujesz sygnały odpowiedzialne za te bóle głowy i je stłumisz?

- Jak dobrze pójdzie, nie tylko je stłumimy, ale i zrozumiemy.

- I zrobisz to wszystko dzisiaj? Jutro muszę wracać do domu.

Fleming zmarszczył brwi.

- W jedną noc b. dziwnie mogli tylko zacząć dostrajać maszyn do twojej bazowej sygnatury długo ci fali. Trzeba będzie jeszcze co najmniej paru sesji, nim zakończymy analizę i ustalimy, jaki jest „normalny” stan twojego mózgu w stanie spoczynku. Dopiero wtedy będzie można zbadać go w czasie fantomowej migreny i zastanowi się nad możliwymi kuracjami. Twój przypadek jest niezwykle i powinna przeznaczyć nawet miesiąc na diagnozę i leczenie. A i to może nie wystarczyć.

- Rób wszystko, jak należy, albo nie rób nic, co?

- No właśnie. Moment jest dogodny, bo akurat w ciągu najbliższych kilku dni mamy trochę wolnych terminów, ale potem mogą być kłopoty ze znalezieniem miejsca.

Po chwili namysłu podjęła decyzję.

- No dobra, muszę załatwić parę spraw, ale za kilka dni wrócę. Co teraz?

- Frankie, siostra oddziałowa, przygotowuje cię do pierwszej sesji w Laboratorium Myśli.

- Czy NeuroTranslator potrafi wyjaśnić, dlaczego te fantomowe migreny zaczęły się akurat przed kilkoma miesiącami? - spytała Amber.

- Szczerze mówiąc, nie wiem. Ból fantomowy zwykle występuje wkrótce po odniesieniu urazu, jeżeli w ogóle, ale twój mózg jest wyjątkowy. Poczekajmy, zobaczymy, co powie Brian.

- Kiedy może ona zacząć?

Fleming spojrzał na zegarek.

- Cóż, jak mawiał mój profesor z Cambridge, najlepsza chwila na to, by wziąć się do ważnej roboty, jest chwila obecna.

## 8

### Kapsztad, Afryka Południowa

Przez pięćdziesiąt pięć lat życia siostra Konstancja rzadko doświadczała autentycznego strachu. Takiego, jaki czuła teraz, kiedy stała w środku nocy na pokładzie dziesięciometrowego słupa rybackiego, podczas gdy załoga wrzucała do morza krwiste mieszaniny siar i krwi. W świetle księżyca powierzchnia oceanu roiała się od płetw przecinających ciemne wody. Siostra do tej pory myślała, że połów rekinów jest zakazany, ale nie miała odwagi, by spytać o to kogoś z załogi. Ciągnęła ramiona szkarłatnym habitem, zadrżała, choć powietrze było ciepłe, i poczuła na wargach sól z falami rozbijającymi się o zakotwiczone łodygi.

Pulchne księżycowe światło rozsiadło się nad majaczącym w oddali kształtem Góry Stołowej i siostra Konstancja zaczęła się zastanawiać, kiedy przyjdzie monsignore. Ile razy pytała o to nieogolonego kapitana, odpowiadał: „Niedługo”.

Potrafiła zrozumieć, dlaczego monsignore Diageo nalegał, by spotkali się poza Czerwoną Arką. Ale czemu akurat tutaj? Cisnęła w dłoni emaliowany czerwony krucyfik, który nosiła na szyi, spojrzała w ciemne bezchmurne niebo i się przejęła.

Monsignore musi mieć swoje powody - usłyszała własny dźwięk głosu.

Siostra Konstancja była w Kościele jak pod kloszem, wolna od pytań i wątpliwości. Podjęła już najtrudniejszą decyzję: ładem swojej upartej przyjaciółki, matki Giovanni Bellini, przeszła z Kościoła katolickiego do nowo powstałego Kościoła Prawdy Duchowej. Nawet to jednak odbyło się niemal bezboleśnie: ot, zastąpiła jeden zbiór przepisów innym. Człowiek się artował, ale jedyną widoczną różnicą był kolor habitu.

Kiedy jednak matka Giovanna przed dwoma dniami zadzwoniła do niej i opowiedziała o eksperymentach, siostra Konstancja zaczęła podejrzewać, że różnica ta jest większa, niż jej się wydawało. Gdy poprzedniego dnia nie udało jej się skontaktować z przyjaciółką, zaniepokoiła się. Po długich bojach z własnym sumieniem złamała daną matce Giovannie obietnicę, że zachowa wszystko, co od niej usłyszała, w tajemnicy, poszła do monsignore Diageo na górny pokład Czerwonej Arki i spytała go, czy Czerwony Papież wie o odkryciu dokonanym przez Giovannę. Wyraził wstrząs, ale ty monsignore podziękował jej, a zwróciła się z tym do niego, ale nie chciał

rozmawia o tym „zagro eniu dla wszystkiego, co Ojciec wi ty uwa a za wi te" na pokładzie Czerwonej Arki.

Jego instrukcje były jasne: miała wej w porcie na pokład „Marie Louise" i zaczeka na niego. Małomówni rybacy pomogli jej wsi do łodzi, a potem, nie zwracaj c na ni uwagi, popłyn li wzdłu wybrze a zaj ci własnymi sprawami.

Dwaj członkowie załogi przeszli obok niej, wlok c za sob co , co wygl dało jak tylna noga krowy. St kaj c, przerwili j przez burt i nie min ło kilka sekund, a morze zakotłowało si i rozszalałe rekiny rzuciły si na łup. Inny marynarz, z bosakiem w r kach, zaczą ł d ga nim kołysz cy si na wodzie ochłap i gło no si miej c, patrzył, jak rekiny rozrywaj go na strz py. Ten obraz zbulwersował i przeraził Konstancj ; odetchn ła gł boko, kiedy usłyszała warkot silnika. Czym pr dzej przeszła na ruf i ulga przerodziła si w rado , kiedy okrwawiony bosak przyci gn ł łód , na której pokładzie stał człowiek o dobrze jej znanej, charakterystycznej twarzy.

- Monsignore Diageo, chwala Bogu - powiedziała. - Czemu musieli my spotka si tutaj?

- To delikatna sprawa, siostrzo Konstancjo. Czy rozmawiała siostra z kim jeszcze o tym, co usłyszała od matki Giovanni?

- Nie, oczywi cie, e nie.

Przyjrzał jej si uwa nie.

- Jest siostra pewna?

- Tak.

Zadowolony skin ł głow . Nachyliła si ku niemu, by pomógł jej przej na pokład jego łodzi.

- Czy Ojciec wi ty wie, co robi naukowcy? - spytała. - Czy matka Giovanna powiedziała mu, e zabijaj pacjentów?

Diageo wygl dał na znu onego.

- Wie - powiedział zm czonym głosem. Odwrócił głow , ale siostra Konstancja zd yła zobaczyć w jego oczach co , co na nowo rozbudziło w niej strach. - Wiedział od pocztku - dodał. Po chwili szepn ł: - Przykro mi.

Oszołomiona, niezdolna poj znaczenia jego słów, patrzyła, jak monsignore kieruje wzrok ku rybakom, którzy wci karmili miotaj - ce si w morzu rekiny.

- Jak ustalili my, nie mo e by adnych ładów - powiedział, jakby jej tu nie było. - Niczego, co mo na by powi za z Ko ciołem.

- Nie rozumiem - wyjął kawałek, ale Diageo już się odwrócił i warkot silnika jego łodzi rozbrzmiał na nowo.

Rybacy, o zakrwawionych dłoniach czerwieniących od jej szat, otoczyli ją i zepchnęli na rufę słupa. Zanim zdążyła zaprotestować, mężczyzna z bosakiem dągnął mocno w pierś i runął do morza.

Kiedy od zimnej wody zaparło jej dech i pierwszy oszalały rekin wgrzył się w jej lewą stopę, nadal nie rozumiała, czemu spotkał ją taki los. Nawet wtedy, gdy ostre jak brzytwa zbyły arłacza wbiły się w jej miednicę i rozszarpały ją na strzępy, wzywała monsignore Diageo, przekonana, że nastąpi jakieś straszne nieporozumienie.

## 9

### Barley Hall

Fleming zostawił Amber Grant z pielęgnowaniem w Laboratorium Myśli, gdzie miała spędzić noc, i zajął się dwoma innymi pacjentami. Szczycił się tym, że wszystkim podopiecznym okazywał tyle samo serca i każdemu zapewniał równie fachową opiekę, ale Rob i Jake byli wyjątkowi.

Poszedł do warsztatu zadowolony, że nie protestował zbyt gwałtownie, kiedy kierowniczka podeszła do niego. Był niezaintrygowany i szczerze wierzył, że może jej pomóc. Poza tym dzięki temu, że przełożył próbę z Robem na następnym dniu, mógł sprawić mu niespodziankę, która podniesie go na duchu.

Warsztat Barley Hall był jedynym czystym zakładem badawczym Fleminga, która nie mieściła się we wschodnim skrzydle. Z powodów, jakich nikt nie mógł sobie przypomnieć, znajdował się na samym końcu skrzydła zachodniego zajmowanego przez zespół Bobby'ego Chana. W tej rozbudowanej szopie nauka była czytelną sztuką; przy wykorzystaniu elektroniki, metalu, lateksu i nowoczesnych materiałów powstawały tu protezy, które pełniły funkcję ludzkich kończyn i wyglądały jak one.

Kiedy Fleming wszedł do rodzaka, jeden z techników włączył nieodrywając niepokoju co realistycznie wyglądający rękodziełko od szkieletu z metalu i drutów. Podciągając, od najmniejszej do największej, leżały formy stóp i dłoni.



Pod stołem warsztatowym pi trzył si stos baryłek z pigmentami skóry, a w przeciwnym kierunku pomieszczenia Bill, naczelny technik, szlifował zgrabną lewą nogę. Na prawo od Fleminga, oparte o ścianę, stały gotowe kopytka. Wszystkie były zawinięte w plastik i opatrzone etykietami, jak ubrania do odbioru w pralni. Głównie były to rękawice i nogi, różnych kształtów i rozmiarów. W pewnym oddaleniu od nich stała para małych nóg. Wyglądały tak naturalnie, że Fleming patrzył na nie z ciętym sercem. Bill uniósł osłonę twarzy, wyjął czyjąś wskazówkę i je wskazał.

- Nałożę ostatnią warstwę lateksu. Stopy uformowałem na wzór stóp mojego syna.

Fleming podniósł protezy. Jak zwykle zaskoczył go ich ciężar, choć wagi nie były nieporównywalnie prawdziwe kopytka. Był pod wrażeniem tego, jak wiernie oddane zostały wszystkie szczegóły, zwłaszcza stóp i palców.

- Wyglądają fantastycznie, Bill, wielkie dziękuję.

Bill uniósł prawy kciuk.

- Powodzenia.

Z uwagi na specyficzny charakter kliniki nikt się nie zainteresował, po co Flemingowi dwie małe protezy. Kiedy przemierzył cały budynek, zatrzymał się pod podwójnymi drzwiami bloku fizjoterapii i zajrzał przez okno do dużej sali ze sprzętem do ćwiczeń, podpórkami do chodzenia i basenem do terapii. W środku były tylko dwie osoby.

Jego bratanek, Jake, siedział na wypolerowanej drewnianej posadzce, odwrócony plecami do drzwi, i bawił się plastikowymi klockami pod okiem babci Pam Fleming. Chłopiec od czasu wypadku mieszkał u dziadków ze strony ojca i Fleming poprosił swoją matkę, by przywiozła go tu o szóstej. Choć była drobna jak ptaszyna, a jej krótkie jasne włosy przyprószyła jej siwizna, troskliwie pilnowała wnuka, który po tragedii znalazł w niej i ojcu Fleminga wielkie oparcie.

Fleming przyglądał się, jak Jake układa klocki jeden na drugim dotychczas, a powstała wieża niemal tak wysoka jak on sam. Potem zbudował jeszcze dwie identyczne. Podziwiał je przez chwilę, po czym wszystkie radośnie zburzył.

Fleming schował protezy za plecami, pchnął drzwi i wszedł do sali. Jake odwrócił się do niego, ukazując skutki wypadku samochodowego sprzed jedenastu miesięcy; obie nogi urywały się nad kolanami, prawa była nieco dłuższa od lewej. Choć Fleming z podobnymi, a nawet gorszymi okaleczeniami miał do czynienia na co dzień, widok obrażenia bratanka wciąż go szokował.

Jedyne pocieszenie było takie, że przynajmniej mógł mu pomóc. Wujek z niego był kiepski - nic, tylko pracował, z przerwami na wypadki w góry, i nie mógł służyć za wzór do naładowania w kwestii stabilnych związków: Jake chyba jeszcze nigdy nie spotkał w jego domu nad rzeką dwa razy tej samej dziewczyny. Ale pod jednym względem mógł pomóc bratankowi tak jak nikt inny; dzięki niemu Jake będzie znów chodził.

- Cześć, mamo - przywitał się, uśmiechnął się i pocałował w policzek.
- Wszystko w porządku, Milo?

Wydawała się niespokojna, podekscytowana. Tak bardzo wierzyła w syna, że aż go to przerażało. Na pogrzebie matki Jake'a podsłuchiwał, jak mówiła znajomej: „Rob i Miles zawsze byli sobie bliscy, nawet w dzieciństwie. Jakie to szkoda, że teraz Miles może pomóc bratu”. Fleming miał wrażenie, że jego rodzicom udało się pogodzić z tym, co się stało, tylko dzięki temu, że ulokowali w nim całą swoją nadzieję. I bał się, że ich zawiedzie.

Wcisnął jej dłoń.

- Tak, mamo. Zobaczysz. - Schylił się nad bratankiem. - Cześć, Jake. Chłopiec uśmiechnął się chytrze.

- Cześć, wujku Milo.

Fleming pokazał mu protezy i oczy Jake'a rozbliły się.

- O rany.

- To te same, na których widziałaś, Jake, ale nałożyli mi na nie powłokę, żeby wyglądały jak prawdziwe nogi... twoje nogi.

Jake wziął je od niego tak, jakby był to najwspanialszy prezent gwiazdkowy na wiecie.

- Dzięki, wujku Milo. - Wsunął klapki protez na kikuty nóg, z wywieszonymi wprawy przyczepił implanty i wstał, jakby już z nimi zrósł.

Sztucznymi mięśniami sterowały myśli chłopca wzmacniane i tłumaczone przez komputer. Pół roku wcześniej, pięć miesięcy po wypadku, Fleming wszedł z NeuroTranslatora osobistych sygnałów myśli Jake'a. Pod skórę jego głowy wprowadził elektrody i teraz, z pomocą implantów i komputera optycznego wielkości zegarka, Jake mógł samodzielnie chodzić i wie niemal normalnie żyć. On był pierwszy, a teraz tej samej technologii mieli skorzystał też inni.

- Dobrze, Jake - powiedział Fleming. - Zaczekaj tu, pójdę po twojego tatę. Chcę, żeby to zobaczył.

## 10

### Laboratorium My li Pó niej tego samego wieczora

Pokazywali ci w CNN. Widziałem przed chwil , kiedy si obudziłem. Martwi si o ciebie, Amber. Jak si czujesz?

- Nie najgorzej, papo Pete. Dopiero si obudziłem ? Sk d dzwonisz?

- Z San Francisco.

- My lałam, e jeste w Watykanie.

- Bo jestem, ale mam tu kryzysowe spotkanie. - Nowojorski akcent jej ojca chrzestnego nagłe nabrał surowego brzmienia. - Kiedy jezuitci, oddziały szturmowe katolicyzmu, dezerceruj na stron Czerwonego Papie a, wiesz, e masz problem.

- Dzi kuj , e zadzwoniła , papo Pete - powiedziała. Nie chciała da si wci gn w dyskusj o Czerwonym Papie u. - Dawno nie rozmawiali my.

I znała tego powód. Odk d jej przybrana matka zachorowała przed dwoma laty i Amber umie ciła j w najlepszym hospicjum nad Zatok Kalifornijsk , ojciec Peter Riga, człowiek, któremu zawdzi czała ycie, czuł si zdradzony: hospicjum prowadzone było nie przez katolików, lecz, o zgrozo, przez „wroga”, czyli Ko ciół Prawdy Duchowej Czerwonego Papie a. Amber wyja niła mu, e pragnie da matce wszystko, czego sobie za yczy, a je li znajdzie to w hospicjum prowadzonym przez konkurencyjny Ko - ciół, mówi si trudno.

- Widziałem si wczoraj z twoj matk - powiedział Riga.

- W hospicjum?

- Jasne. Wygl dała dobrze.

- To miłe z twojej strony, papo Pete. Było jej przykro, e nie pochwałała te ...

- Nie przejmuj si . Udzieliłem jej błogosławie stwa. Ładne to hospicjum. Było mi tylko wstyd, e Ko ciół katolicki nie potrafi zatroszczy si o swoje owieczki.

- Wszystko si zmienia.

- To prawda. B d tu jeszcze par dni, wi c je li wrócisz zgodnie z planem, b dziemy mogli si spotka .

- Ch tnie - odparła. - Zadzwo ni jutro.

- Dobrze, dziecko, uwa aj na siebie.

Amber wyl czyła komunikator i poło yła go na stoliku obok łó ka w Laboratorium My li. Wcze niej, kiedy go wł czyła, pami zachana była wiadomo ciami od zaniepokojonych znajomych. Wie ci poszły w wiat. Zadzwońa jedna z towarzyszek porannego pływania, a zarazem jej najlepsza przyjaciółka Karen. Nawet Soames zostawił krótk wiadomo , w której poinformował j , e prezentacja była udana, i poprosił, by zadzwońa w razie, gdyby co si działo.

Ona sama zadzwońa tylko do hospicjum, by potwierdzi , e przyjedzie zgodnie z planem. Jej matka była nieuleczalnie chora na raka, który wszedł ju w ko cove stadium, i Amber nie chciała zostawia jej samej. Na my l o zalecanym przez Fleminga powrocie do Barley Hall zaniepokoiła si jeszcze bardziej. Starala si nie zwa a na obserwow c j z góry kamer video. Miała na głowie Czapk M dro ci i skóra mrowiła j w miejscach posmarowanych elem przewodzcym, na którym trzymały si elektrody.

NeuroTranslator buczał cicho pod łó kiem i odczytywał elektryczne impulsy generowane przez jej mózg; doln cz podzielonego na pół monitora plazmowego zajmowała siatka przeci ta pulsuj cymi liniami w ró nych kolorach przedstawiaj cymi fale mózgowie. Niektóre linie pi trzyły si gwałtownie, inne pozostawały wła ciwie płaskie. W regularnych odst pach czasu obraz na monitorze przewijał si w dół, ukazuj c pozostałe długo ci fal; wszystkie razem rejestrowały schemat my lenia Amber. Na górnej cz ci ekranu ukazywały si bod ce maj ce pobudza jej procesy my lowe. W tej chwili widniała tam przestrzenna łamigłówka. Na zbiór koncentrycznych kwadratów, które zdawały si gin w oddali, nało one były trzy linie, ona za miała stwierdzi , która z nich jest najkrótsza. Cho podejrzewała, e to tylko złudzenie optyczne i dwie wyra nie krótsze linie s tak naprawd jednakowej długo ci, wybrała t po prawej stronie.

Rozwi zywała łamigłówki i zadania ju przeszło godzin . Były inteligentne i pomysłowe, pobudzały wi kszo funkcji poznawczych jej mózgu, poczynaj c od rozumowania werbalnego, sprawno ci logicznej i zdolno ci arytmetycznych, po intuicj . Wcze niej dostała zastrzyk maj cy wzmacni jej nie wiadom czynno nerwow w czasie snu i tym samym umo liwi NeuroTranslatorowi wyra niejszy odczyt w czasie, jak to okre liła siostra Pinner, „łatwych wicze umysłowych”.

Polega to na tym, e zamyka pani oczy i zasypia, a Brian robi swoje.

Zm czenie wywołane zmian stref czasowych nie dawało jej si zbyttnio we znaki, łamigłówki j wci gn ły, mimo to miała kłopoty z koncentracj . Jej my li co chwil biegły do matki i siostry. Zwłaszcza siostry.

Rozmowa o niej z Milesem Flemingiem i widok zdjęć rentgenowskich z czasów, kiedy były ze sobą zrośnięte, na nowo rozbudziły powracając od lat wyrzuty sumienia, ale i poczucie straty. Amber wzięła ze stolika sfatygowane fotografie, z których nigdy się nie rozstała: ona i Ariel obejmowały się przed dużym lustrem. Zdjęcie zostało zrobione pod takim kątem, że widać było ich uśmiechnięte twarze, i wydawało się, że nie było między nimi nic oprócz miłości.

Odkąd została sama, nie mogła poradzić sobie z poczuciem winy i gniewem wywołanym śmiercią siostry. Najpierw szukała odpowiedzi w katolicyzmie, ale choć ojciec chrzestny cierpliwie wprowadził ją w tajniki katolickiego wiatoopieśnika, stwierdziła, że surowe dogmaty Kościoła to nie dla niej. Potem zwróciła się ku filozofii i fizyce w nadziei, że dzięki nim zrozumie, dlaczego świat jest taki, jaki jest. W końcu skoncentrowała się na tajemnicach fizyki kwantowej i badaniu niemal telepatycznych związków między cząsteczkami niezliczonego elementarnego pyłu gwiazdnego, z których zbudowany jest wszechświat. Jak dotąd nie uzyskała jednoznacznych odpowiedzi, lecz ta dziedzina otwierała przed nią nieograniczone możliwości. I pozwalała zajmować się tym, co ją interesowało. Może nie znalazła sensu w kapryśkach wiata kwantowego, jednak jego poszukiwanie przyniosło jej ukojenie.

Czysto intelektualna dyscyplina i ciężka praca wymagana przy badaniu sprzecznosci i dualizmów fizyki cząstek elementarnych nie pozwalały jej myśleć o poczuciu winy i stracie, które zawsze męczyły jej spokój, kiedy za długo pozostawała bezczynna. Tego wieczoru jednak, bez względu na to, jak bardzo starała się zdusić uczucia do Ariela, z którymi nigdy sobie nie radziła, one cięgle powracały.

Kiedy łamiętek na monitorze zastąpiła krzyk bólu, zza drzwi wychyliła się Frankie.

- Idź do domu - powiedziała. - Mamy jutro ważną próbę kliniczną, ale w pokoju obserwacyjnym przez całą noc będzie pielgniarka. Wszystko w porządku?

Amber się uśmiechnęła.

- Nie mogę się skupić i jestem zmęczona. To co znaczy?

Pielgniarka pokręciła głową.

- Skąd? Będziecie mieć tylko umiarkowany ogólny odczyt aktywności umysłowej i przy okazji dostarczyć rozrywkę. Brian jest elastyczny. Jeśli pani chce, może w każdej chwili położyć się spać. Szczerze mówiąc, do badań podstawowych i tak najbardziej przydają się dane uzyskane, kiedy mózg śpi. Dobranoc i miłych snów, doktor Grant.

- Dobranoc. Dzi ki.

Odwróciła si z powrotem do ekranu i doko czyła krzy ówk . Powieki zacz ły jej ci y i nast pnej łamigłówk ju nie zauwa yła. Zapadła w stan hiperjasno ci umysłu mi dzy czuwaniem a snem i wróciła my łami do siostry.

Przez ostatnie trzydzie ci lat co jaki czas, ku jej zaniepokojeniu, ogarniało j wra enie, e nie ma pełnej kontroli nad swoim yciem. Ilekro próbowała bli ej si z kim zwi za , słyszała zarzuty, e duchem jest „daleko st d" albo „z kim innym". Wydawało si , e tak we nie, jak i na jawie, Ariel zawsze tkwi gł boko w jej my łach, jakby Amber nie mogła pozwoli siostrze odej , jakby nie umiała y własnym yciem, bo musiała dzieli je z kim innym. Tylko wtedy, gdy rzucała si w wir pracy i bada , znajdowała spokój, wytchnienie od tej drugiej osoby w jej głowie.

O mioletniej dziewczynki, któr w dzieci stwie kochała bardziej ni siebie.

O mioletniej dziewczynki, która kiedy była jej cz ci .

O mioletniej dziewczynki, która za ni umarła.

## 11

### Oddział, Barley Hall

Kiedy Fleming wszedł do pi tego boks u na oddziale badawczym, jego spojrzenie pow drowało najpierw do monitora EKG.

- Jak on si ma, Emmo? - spytał piel gniark siedz c przy urz dzeniu.  
- Serce bije równo?

Piel gniarka si u miechn ła.

- Stan jest stabilny. Powinien by gotowy na jutro.

- Dzi ki. Zrób sobie przerw . Teraz ja si nim zajm .

Fleming odwrócił si w stron łó ka i zauwa ył, e piel gniarka ubrała brata w jego ulubion wypłowiał czarn koszulk polo od Ralpa Laurena i d insy. Włosy miał obci te krótko, tak jak wtedy, kiedy słu ył w wojsku. Siedział prosto na wyposa onym w silnik łó ku. Wygl dał dobrze, cho koszulka i d insy wisały lu no na jego niegdy muskularnej sylwetce.

Fleming okręcił łokcie, by znaleźć się dokładnie na wprost jego zdrowego oka.

- Cześć, Rob, wiczenia procesów poznawczych poszły wietnie, a twoje serce zachowuje się, jak należy, więc wyglądasz na to, że jesteś gotów do jutrzejszej próby. Już teraz jednak mam dla ciebie wielkie niespodzianki. Chcesz zobaczyć? - Spojrzał w dół, na monitor komputerowy umieszczony bezpośrednio pod twarzą Roba. W tabelce o rozmiarach cztery na cztery widniała szesnaście słów. Do nich ograniczało się słownictwo Roba od czasu, kiedy doznał udaru pnia mózgu, którego wynikiem był paraliż całego ciała, z wyjątkiem lewego oka. Ruchami gałki ocznej sterował widocznym na monitorze kursorem. Po wybraniu słowa mrugał okiem, a wygenerowany komputerowo głos wypowiadał je za niego.

- Nie - powiedział głos.

Fleming parsknął śmiechem.

- No to ci jej nie pokażę, niewdzięczny bydlaku.

Widział, że jego starszy brat próbuje się uciec - i dlatego to miech tak wymuszony jak jego własne artykuły. Rob zawsze był jego bohaterem, człowiekiem czynu, sprawniejszym, silniejszym i szybszym od niego. Teraz jednak, kiedy na niego patrzył, Fleming czuł przygniatający smutek i myślał o Billym Frenchu.

Przyjał się z nim, kiedy nie skończyli jeszcze dwudziestu lat. Połączyło ich zamiłowanie do wspinaczki; kilka dekad później połączyli się po Europie i próbowali szczytów na wysokich alpejskich szczytach. Rob już wtedy był znakomitym alpinistą, a Billy i Miles tylko pełnymi zapału amatorami. Mimo to pod kierunkiem Roba poradzili sobie z większością tras wspinaczkowych o różnym stopniu trudności, od najłatwiejszych po ED, *extremement difficile* [wyjątkowo trudne], i zaliczyli nawet kilka kategorii ABO, *abominable* [ekstremalne]. I wtedy, na osławionej Nordwand góry Eiger, to się stało.

Było to pod koniec lata. Dziewiętnastoletni wówczas Fleming miał wkrótce rozpocząć studia medyczne w Cambridge. Rob zastanawiał się nad wstąpieniem do piechoty morskiej. Billy nie zdecydował jeszcze, co będzie robił w przyszłości, która stała przed nimi otworem opromieniona niezliczonymi możliwościami.

Tamten sierpień był jednym z najbardziej deszczowych i chmurnych miesięcy. Przejechali jednak szmat drogi i nic nie mogło ich odwieść od zamiaru zdobycia Eigera. W dolnej partii góry, nieopodal występu znanego jako Pierwszy Filar, Billy popełnił błąd. Czekały

i raki oderwały się od brudnego lodu i runął w przepaść. Liny aseku-  
racyjne powinny go były utrzymać, ale mocując je rąbpu cięły.

Rob i Miles mocno przywarli do skały, dzięki czemu Billy nie po-  
ciągnął ich za sobą, on sam jednak spadał dalej, a lina naprężyła się,  
rozbujała jak wahadło i rzuciła nim o występek skalny, łamiąc mu kark.  
W ciągu kilku sekund zdrowy, młody człowiek myślał o przyszłości i  
zmienił się w paraplegika, który jej nie miał.

W czasie niekończącego się, mędnego zejścia Rob i Miles troskli-  
wie doglądali obwieszanego linami Billa i starali się nie dopuścić, by  
stracił przytomność w nadziei, że spotkają kogoś, kto sprowadzi po-  
moc. Tak się jednak nie stało aż do chwili, kiedy dotarli niemal do  
samej bazy. Gdy spuszczała Billy'ego z ostatniego urwiska, Rob od-  
wrócił się do Milesa.

- Jeśli spotka mnie coś takiego, Milo - szepnął i ogorzała twarz zro-  
biła mu się biała jak niegłęboki przetrzyn lin i zostaw mnie. W obliczu  
mierci człowiek jest pełen życia, jak nigdy. Ale kiedy zmusza się do  
czegoś, by wbrew sobie, to gorsze niż śmierć. Dlatego w razie czego po-  
zwól mi odejść. Tego właśnie nie chciałem. Chwila bólu to nic takiego,  
trochę strachu, a potem pustka. Dwa dni później Billy zmarł w szpitalu.  
Bracia Fleming nadal wspinali się razem, nawet po tym, jak przed  
siedmioma laty Rob oenił się z Susan. Podróżowali po całym wie-  
cie, szukali nowych szczytów do zdobycia i często czuli przy sobie  
obecność Billy'ego, zwłaszcza w ciężkich chwilach. Fleming nigdy  
nie zapomniał słów brata, ale zawsze myślał, że jeśli Robowi miałyby  
stać się coś złego, to nastąpiłoby to w górach albo na polu walki. Do  
głowy by mu nie przyszło, że dozna udaru, jadąc fordem mondeo au-  
tostradą M1 do Leeds.

Kiedy wypchnął kółko brata z oddziału na korytarz, powiedział so-  
bie raz jeszcze, że jutro mu pomoże. Przypomniał sobie, ile razy Rob  
wyciągał go ze szczelin lodowych czy pomagał wchodzić na trudne  
szczyty. Teraz to on miał pomóc bratu w najtrudniejszej wspinaczce.  
Jakie dzięki niemu znów będzie chodził. Rob dzięki niemu przemówił.

Miał nadzieję, że Rob tego chce. Na pewno chcieli tego ich rodzice,  
zwłaszcza matka. Była anglikanką; po wypadku stała się jeszcze bar-  
dziej pobożną i wierzyła w lepszą niemal arliwość, że z czasem,  
dzięki Boemu miłosierdziu i umiejętnościom Milesa jej starszy syn  
wróci do zdrowia.

Tyle że w czasie sesji z psychologami Fleming przekonał się, że  
Rob pragnie mierci. Udar doprowadził do wypadku samochodowego,  
który



sko czył si jego parali em, mierci ony i zmia d eniem nóg syna. A rodzice nie przyjmowali do wiadomo ci sugestii, e Rob mo e by w depresji.

-To minie - mówili. - Poczuj si lepiej, kiedy zacznie dochodzi do siebie.

A kiedy Fleming próbował tłumaczy, e nie ma gwarancji, i Rob kiedykolwiek dojdzie do siebie, matka odparła pogodnie, e ani Bóg, ani ona jeszcze nie poło yli na nim kreski.

- Bóg go poprowadzi.

Jak wtedy, kiedy miał wypadek, pomy lał Miles, ale nie powiedział tego gło no.

Matce nawet przez my l nie przeszło, e Rob mo e wini Boga za to, co go spotkało.

Przez chwil zazdro cił Amber, cho wiedział, e to nieestosowne. Ona przynajmniej mogła znale ukojenie w wiadomo ci, e jej siostra nie zazna ju cierpienia. Los brata umocnił tylko Milesa w przekonaniu, e nie istnieje ani Bóg, ani ycie pozagrobowe. Stało si dla niego jasne jak nigdy dot d, e jedyne, co człowiekowi pozostaje, to jak najlepiej prze y to pełne cierpienia ycie, nim zast pi je wieczna nico - a wieczno to mnóstwo czasu. Fleming miał wobec brata jeden prosty cel: pomóc mu tu i teraz. Musiał pokaza mu, co zrobił dla Jake'a, i przekona go, e on te pewnego dnia mo e by zdrowy i szcz liwy.

- Jeste my prawie na miejscu, Rob - powiedział i pchn ł łó ko w gł b korytarza, ku sali fizjoterapii.

Kiedy byli przy wahadłowych drzwiach, wyskoczyła z nich niespodzianka. Jake hasał tak zwinnie i rado nie, jakby nigdy nie uległ adnemu wypadkowi.

- Tato! Tato! Spójrz na moje nogi! - Podbiegł do łó ka i pocałował ojca w policzek.

Pam Fleming wyszła za wnukiem na korytarz.

- Był zbyt prze y ty - powiedziała z radosnym u miechem. - Nie mógł si doczeka, by je pokaza.

Fleming odwrócił si do brata i zobaczył, e nawet zdrowe oko odmówiło mu posłusze stwa. Ciekły z niego łzy i nie mógł wybra nim słów na ekranie.

- Zachowaj słowa na jutro, Rob - poradził. - Wtedy b dziesz mógł po wiedzie, co chcesz,

## 12

### Laboratorium My li

Kiedy Amber Grant zamknęła oczy, czuwały nad nią kamera wideo i Brian. NeuroTranslator nie spał nigdy. Odczytywał fale mózgowe Amber i zestawiał je z zarejestrowanymi podczas wicze, porównywał jej schematy mylowe z zapisanymi w bazie danych, szukał nowych prawidłowości, które mogłyby wskazywać na występowanie istotnych zaburzeń. Przez cały czas uczył się jej mózgu, rozrysowywał elektryczną instalację jej umysłu. Dzięki procesorowi optycznemu Lucyfer, zasilającemu jego własny mózg, NeuroTranslator wykonywał wszystkie analizy z precyzją światła. W czasie, kiedy Amber Grant była przytomna, NeuroTranslator nie wykrył niczego niezwykłego. Nie odnotował też nic ciekawego, kiedy szybko przechodziła przez dwie pierwsze fazy snu. Gdy osiągnęła fazę trzecią i jej ciałem zaczęły wstrząsać lekkie drgawki, Brian nadal nie zarejestrował właściwie niczego, co wykraczałoby poza normę. Nawet kiedy weszła w czwartą fazę snu i pot zrosił jej czoło, buczący mechaniczny jasnowidz pozostał nieporuszony.

Dopiero gdy osiągnęła stan charakteryzujący się szybkim ruchem gałek ocznych, REM, Brian wychwycił coś niezwykłego we wci niebadanej pod wiadomością rzekzonej przez sny.

Pociła się. Pot oblewał jej czoło i przesiąkał przez koszulę nocną. Jej wargi drgnęły i zaczęła bełkotać, słowa stopniowo stawały się coraz wyraźniejsze, a wreszcie płaczącym głosem dziecka zawołała:

- Amber, Amber, gdzie jesteś, Amber?!

Kiedy zaczynała się, gałki oczne poruszały się bezładnie pod jej powiekami. Drżała na całym ciele, jakby cierpiała wewnątrz trzaskającej katusze. Nagle znieruchomiała i jej oczy się otworzyły.

Wspomnienia przemykały jej przez głowę jak w kalejdoskopie z pomieszanych odłamków rozbitego lustra: ojciec Peter Riga w jezuickiej sutannie porywa w ramiona ją i Ariel; dumny uśmiech ojca, kiedy skończyła z wyróżnieniem studia na Uniwersytecie Stanforda; Bradley Soames na kampusie Cal Tech, w przyziemnej masce i stroju ochronnym; matka gładzi jej włosy i całuje ją przed snem w policzek; siostra ciska jej dłoń i egna się z nią szeptem przed tym, jak chirurg upije obie.

Poczuła, jak ostrze wrzyna się w jej głowę. Przez przeszywanie bólu usłyszała swój krzyk, jej głos zlewał się z głosem Ariel, gdy trzymały się kurczowo, by ich nie rozdzielono. Nawet teraz, kiedy umysł opuścił jej ciało, Amber czuła, że pozostaje związana z siostrą, że wciąż jest od niej odrywana. Był to ból psychiczny, nie fizyczny, i czuła w nim strach, poczucie straty, ale i wyciekło. Chciała krzyknąć raz jeszcze, ale straciła głos. Próbowwała się szamotać, ale nie miała ciała. Była bezkształtną istotą, która okryta ciemnością pędziła ku niepoznawalnej próżni.

Przed nią pojawił się świetlny tunel - migotał w ciemności i wciąż gał jej w swoje pole magnetyczne. Mknęła tak szybko, że wkrótce się w nim znalazła, stała się jego częścią. Światło wydawało się nieruchome, promienie rozpadały się na cząstki, gdy zlewała się z nim w jedno. Stała się niczym więcej jak tylko zbiorem świetlistych impulsów. Ten blask przywołał wspomnienie; już nie mogła się doczekać, kiedy Ariel znów do niej dołączy i poprowadzi ją do ródła.

I wtedy, gdy już myślała, że Ariel jest przy niej, ból stał się nie do zniesienia i ostatnia niezerwana nić szarpnęła ją do tyłu. Tak bardzo chciałaby jej przeciwić i spokojnie odpłynąć w dal.

Ale nie mogła uwolnić się z elastycznej smyczy, która wyciągnęła ją ze światła z powrotem do ciemności, do ciała...

Jej wytrzeszczone oczy zamknęły się, by po chwili znów się otworzyły, i Amber zerwała się ze snu. Przez cały ten czas pozostawała pod obserwacją NeuroTranslatora. A teraz pielgniarka dyurna uspokajała ją, ocierała jej czoło.

Była tak skupiona na pacjentce, że nie zwróciła uwagi na pulsujące długo i falniejące w górnej części ekranu NeuroTranslatora - to neurologowa sie Briana zaznajamiała się z niezwykle wrażliwymi ciwociami mózgu Amber. Pielgniarka poprawiła rozrzucony pościel z ulgą, a podopieczna się uspokoiła, i nie zauważyła trwającej dwadzieścia sekund zmiany dźwięku urządzenia.

Kiedy Amber Grant ponownie zasnęła, a zadowolona pielgniarka poszła po kawę, NeuroTranslator znów buczał jednostajnie, spokojnie.

## Czerwona Arka, Kapsztad, 33° 55'S, 18° 22'E

Dziesiąty kilometrów od Barley Hall, Xavier Accosta, Czerwony Papierek, siedział samotnie w swoim gabinecie na górnym pokładzie Czerwonej Arki. Oprawna w skórki księżka, którą trzymał w dłoniach, pochodziła sprzed stu lat, ale wyglądała na starszą; jej grzbiet popękany był od zbyt częstego otwierania na wciśniętej samej stronie. Pozwolił, by otworzyła się na tym samym fragmencie co zwykle. Odetchnął głębiej, poprawił szkarłatną szatę i wyprostował chore nogi, czekając, aż ból przejdzie. Zaczął czytać. Powoli przesunął oczami po stronie i delektował się każdym słowem znajomego tekstu:

Wyjitek z *Archives d'Anthropologie Criminelle*,  
Montpellier, Francja, 1905

Zapiski z eksperymentu przeprowadzonego przez dr Baurieux na przestępcy Languille - próba nawiązania kontaktu z odciętymi głowami skazańcami po egzekucji.

Natychmiast po wykonaniu wyroku powieki i usta skazańcy skurczyły się na pięć sekund... Oczekałem chwilę i skurcze ustały, twarz rozluźniła się, powieki opadły do połowy gałek ocznych tak, że widać było tylko białka, jak u umierających, chociaż nie zmarłych osób.

W tym momencie krzyknąłem „Languille!” na cały głos i zobaczyłem, że jego oczy otwierają się powoli, bez skurczów; ich ruchy były wyraźnie widoczne, pewne, spojrzenie ani tępe, ani puste - oczy, które na mnie patrzyły, były bezwzględnie żywe. Po kilku sekundach powieki opadły, powoli i jednostajnie.

Zawołałem go ponownie. Tak i tym razem powieki uniosły się bez skurczów i dwoje bezsprzecznie żywych oczu spojrzało na mnie z uwagą, jeszcze bardziej przenikliwie niż poprzednio. Potem zamknęły się znowu. Trzecia próba nawiązania kontaktu nie dała efektu. Całe zdarzenie trwało dwadzieścia pięć sekund.

Dr Baurieux, Montpellier, Francja, 1905

Wkrótce Accosta czytał te słowa, był jednocześnie nieustraszony i podekscytowany, wyobraził sobie, co widziały oczy Languille'a, gdy opuszczała go dusza.

Podniósł wzrok na cztery holograficzne monitory plazmowe o wysokiej rozdzielczości wiszące na wyłożonej drewnianym parkietem ścianie. Dwa były ciemne. Trzeci pokazywał nagranie ostatniej mszy, ze śpiewającym deaconem, a czwarty - transmisję BBC z wypłynięcia osiemdziesięcioletniej Czerwonej Arki z portu w Kapsztadzie na kolejny etap pielgrzymki dookoła świata. Krwistoczerwony kadłub i biała nadbudówka lądowa w afrykańskim stylu. Omiatając je kamery uchwyciły tłumy pragnące choć przez chwilę zobaczyć ucieleśnienie ich Kościoła, Kościoła Prawdy Duchowej, płynące do miasta, w którym mieściła się wirtualna katedra Czerwonego Papieża i biura pracowników administracyjnych i technicznych, dzięki którym powstał mój pierwszy e-Kościół na świecie.

Kiedy Czerwona Arka wychodziła w morze, kardynał Xavier Accosta nie patrzył jednak w ekrany telewizorów ani na spektakularny widok Kapsztadu za panoramicznym oknem po lewej stronie. Czekał niecierpliwie na raport doktora w sprawie projektu „Dusza”. Czas uciekał i jeśli naukowcy nie znajdą osi górnego celu, wszystko, czego Accosta dokonał od zerwania z Rzymem przed dziesięć laty, pójdzie na marne. A mimo to, choć był spragniony wieści od doktora, niepokoił się z powodu matki Giovanny Bellini. Spojrzał w dół, na starożytny korytarz, by zobaczyć, czym myśli; im usilniej jednak starał się zapomnieć o tej kobiecie, tym bardziej zaprzątała jego uwagę.

Pukanie do drzwi wyrwało go z zamyślenia.

Accosta zeszywniał.

- Wejść.

Monsignore Paulo Diageo otworzył drzwi i jego zwalista sylwetka wypełniła framugę. Diageo także chodził w szkarłacie, ale jego szaty zdobił tylko jeden złoty galon, podczas gdy komandor Accosta - dwa. W odróżnieniu od Czerwonego Papieża, którego rysy były delikatne, fotogeniczne, Diageo miał grubo ciosaną, zwierzęcą twarz, z niskim czołem przeciwko tym ciemnym brwiami, przymrużonymi, głęboko osadzonymi oczami i szerokim, wystającym szczęką. Jego pełne, kobiece wargi usta nie pasowały do reszty twarzy i nadawały beznamiatnym rysom okrutny, nadszany wyraz.

Accosta zebrał się w sobie.

- Co z matką Giovanną? Jakże wieści?

Monsignore wzruszył ramionami.

- Sprawa załatwiona, Ojczyźnie wiary.

Jak monsignore Diageo, matka Giovanna Bellini pozostawała mu wierna od samego początku. Kiedy przed dwudziestoma laty Accosta został przeniesiony do Watykanu, była skromną zakonnicą. Słuchała mu z takim

oddaniem, a gdy dziesięć lat później został obłożony ekskomunikacją i powołał własny Kościół, poszła za nim. W nagrodę uczynił ją jedną ze swoich pierwszych kapłanek.

Dziewięć miesięcy wcześniej, po wieloletnich badaniach w ramach projektu „Dusza”, podjęto decyzję, by opracować technologię wypróbowaną na umierających. Z prowadzonych przez Kościół hospicjów na całym świecie wybierano młotliwie chorych pacjentów bez rodzin, orzekano ich zgon, a następnie wysyłano do fundacji, gdzie mieli umrzeć naprawdę. Ponieważ ktoś musiał udzielić im ostatniego namaszczenia, a matka Giovanna była bez reszty oddana Accoci, zadanie to przypadło jej, z zastrzeżeniem, że o nic nie będzie pytała.

Ona jednak, rzecz jasna, nie mogła powściągnąć ciekawości. A kiedy zadzwoniła do Accosty, by powiedzie mu, że doktor i inni członkowie Rady Prawdy mordują pacjentów, on wiedział już, że nieuleczalnie chorzy są powoli u młotliwca dla celów eksperymentu. Nie chciał mieszać w to Diageo, lecz przez jej pytania wszystko się skomplikowało, a stawka była zbyt wysoka. Diageo w końcu zrozumiał, na czym polega problem, i Accosta miał nadzieję, że matka Giovanna tego zrozumie, kiedy tylko pozna pełne znaczenie ich misji.

- Czyli wszystko w porządku?

- Tak sądzę.

- Nie mam powodu do niepokoju?

Lekki, przeczący ruch głowy.

- adnego, Wasza wi tobiwo.

Accosta starał się nie pokazać po sobie, że mu ulżyło.

- Dobrze zatem.

- Frank Carvelli czeka na rozmowę.

- Połóż go.

Jeden z ekranów holograficznych na wprost włączył się z trzaskiem i Accosta zobaczył Franka Carvellego strzepującego pyłek z czarnej kaszmirowej marynarki. Carvelli był drugim członkiem trzyosobowej Rady Prawdy kierującej projektem „Dusza”. Ten mężczyzna o łagodnych rysach, gładkiej oliwkowej skórze i podejrzanie kruczoczarnych włosach zwiąanych w kucyk miał skłonność do ubierania się na czarno. Choć Accosta uważał go za próżnego i płytkiego, był genialnym specjalistą od komunikacji niezbadanym dla Kościoła i projektu „Dusza”.

Carvelli szefował KREE8 Industries, firmie celującej we wszystkim od łączności i oprogramowania do prezentacji, produkcji filmów i public relations.

To za spraw KREE8 powstały holograficzne ekrany plazmowe takie jak ten, na którym w tej chwili widniał obraz Carvellego. Firma odpowiadała te za przeszło sze dziesi t procent wygenerowanych komputerowo efektów specjalnych w filmach hollywoodzkich i specjalizowała si w tworzeniu wirtualnych i wskrzeszaniu martwych gwiazd.

Jednak to w Internecie Optycznym, czyli Optinecie, KREE8 grał rol najwa niejsz : dawał wiatu rzeczywiście wirtualn w czasie rzeczywistym. KREE8, i w szczególno ci Carvelli, wykorzystał niezwykle mo liwo ci komputerów optycznych OptriKSu do stworzenia unikalnego elektronicznego Ko cioła Accosty. Produkowane przez firm kaski wirtualnej rzeczywiście ci WebCrawler pozwalały milionom ludzi uczestniczy we mszach Accosty na ywo tak, jakby byli na miejscu osobi cie.

Poza tym Carvelli rozumiał media. To dzi ki jego znajomo ciom i naciskom Czerwony Papie stał si tak wielkim fenomenem. Accosta zdawał sobie z tego spraw , cho miał wra enie, e Carvelli wspiera go głównie przez wzgl d na wpływy i rozgłos, jakie zyskiwał dzi ki zwi zkom z najwi kszym Ko ciołem wiata, a nie z uwagi na gł boko zakorzenion wiar .

- Wasza wi tobliwo - powiedział Carvelli - nowy sprz t jest praktycznie gotowy. Trzeba tylko, eby Wasza wi tobliwo znalazł dla nas jeden dzie , by my mogli zeskanowa obraz i ruchy mi ni, zarejestrowa charakterystyk głosu i wykona odlew ciała. Prosz poda miejsce i czas, ja si wszystkim zajm .

- O moich planach powiniene porozmawia z monsignore Diageo, ale czy to nie troch przedwczesne, skoro pierwszy etap projektu nie zako czył si jeszcze sukcesem?

Carvelli pokiwał głow .

- Wydarzyło si co , co według Doktora doprowadzi do przełomu. Kazał wszystko przygotowa , eby my we wła ciwym czasie mogli szybko przyst pi do działania.

Accosta pohamował irytacj . Projekt „Dusza” był dla niego wi ty: to było jego dzieło, a mimo to przewodnicz cy Rady Prawdy, człowiek, który kazał zwraca si do siebie anonimowym przydomkiem Doktor, w coraz wi kszym stopniu sprawował nad nim kontrol .

- Co takiego si wydarzyło?

- Jak Waszej wi tobliwo ci wiadomo, Doktor jest ostro ny. Nie powie mi nic, dopóki nie nabierze wi kszej pewno ci, ale jest przekonany, e si nie myli. A kiedy jest co do czego przekonany, zwykle przynosi to dobre skutki.

Nie mam wątpliwości, że w następnym raporcie poda więcej szczegółów. Ustal z monsignorem Diageo najdogodniejszy termin wprowadzenia danych.

- Dziękuję, Frank.

Kiedy Carvelli się rozłączył, znów zapukał Diageo.

- Wasza wiadomość prosił, bym go uprzedził piętnaście minut przed transmisją.

Accosta wstał. Wyprostował obolałe, mierzwię przeszło metr osiemdziesiąt ciała, przeciągnął się i odchylił szerokie ramiona do tyłu. Mimo swoich sześćdziesięciu ośmiu lat wciąż był szczupły i w szkarłatnej komiwozowej wyglądał imponująco. Poczł przyptłw adrenaliny i przygotował się, by przemówi do wiernych z całego świata: milionów wyznawców, którzy już teraz logowali się, by wziąć udział w jego wirtualnej mszy.

## 14

### Barley Hall Następnego ranka

Mówi ci, Miles, tej nocy znów umarłam - powiedziała Amber z bladą, ciemną twarzą.

Fleming zmarszczył brwi.

- Pielgniarka mówiła, że przyśnił ci się koszmar.

- To nie był koszmar. Ja nie śniłam. Ariel miała sny, ja nigdy. Między innymi tym się różniłyśmy. To, co stało się w nocy, było tak rzeczywiste. To była powtórka tego, co przeżyłam, o krok od śmierci na stole operacyjnym. Wtedy, kiedy umarła Ariel.

- Ale ty nie umarłaś, Amber. Jestem lekarzem. Znam się na tym. Siedział za biurkiem w gabinecie i starał się nie zerkać na zegarek. Próba z Robem miała rozpocząć się za niecałe dwie godziny, przed kliniką czekała taksówka, by zawieźć Amber na lotnisko. Tego ranka obudził się wcześnie i, po przebiegnięciu nad rzeką i lekkim niadaniu, koło siódmej wyszedł z domu. Jego matka i Jake zatrzymali się u niego i umówił się z nimi, że pójdzie przyjechać do kliniki, by, jeżeli próba wypadnie pomyślnie, Rob mógł z nimi porozmawiać. Był wyjątkowo słoneczny dzień jak na październik,



wi c Fleming nie opu cił dachu starego jaguara, nim pomkn ł przeci- naj cymi mokradła płaskimi drogami do Barley Hall. Pogoda była dobr wró b przed testem Roba, dlatego dotarł na miejsce pełen nadziei. Zamierzał po wi ci kilka pierwszych godzin pracy na przygo- towania, Amber jednak pokrzy owała jego plany.

- Amber, daj spokój, wiem, e ten sen wytr cił ci z równowagi, ale posłuchaj tylko, co mówisz.

- To nie był sen - upierała si , pocieraj c płatek ucha.

- No dobrze, opowiedz o tym nie czy prze yciu, cokolwiek to było.

- Ju ci mówiłam. Opuszczam własne ciało i lec przez ciemno w stron jasnego wiatła. P dz tak szybko, e je doganiam. Potem staj si jego cz ci . I nagle, jakbym była na elastycznej gumce, zostaj ci gni ta z powrotem, do ciała i ycia. To tak, jakby moja dusza ska- kała na bungee. Inaczej nie potrafi tego opisa .

- I Ariel w tym uczestniczyła?

- To wła nie jest dziwne. Nie widziałam jej, ale czułam wi ... trud- no to wyja ni . Jak magnesy o identycznej polaryzacji, im bardziej usiłowaly my si do siebie zbli y , tym wi ksza była siła, która nam w tym przeszkadzała. To tak jak z atomami, które przyci gaj si , kiedy s blisko siebie, ale odpychaj , kiedy próbuje si je poł czy . Były my jak dwoje ludzi, którzy utkn li w obrotowych drzwiach... ja pchałam w jedn , ona w drug stron , a i tak nie było szans, by my si spotkały.

Fleming u miechn ł si ze zrozumieniem: dzi ki temu, e dostrze- gła zwi zek mi dzy migrenami a nie yj c siostr , Amber uruchomiła lawin tłumionych dot d wspomnie i uczu .

- Wygl da mi to na sen, Amber, albo rozbudzone wspomnienie. Od czasu do czasu nachodz ci my li o Ariel, zgadza si ?

- Tak.

- A wczoraj, kiedy rozmawiali my o twoich bólach głowy, skupiła si przede wszystkim na niej. Dlatego zrozumiałe jest, e twoja pod- wiadomo ...

- To było co wi cej - przerwała z naciskiem. - Jaka jej cz stka szukała mnie, próbowała skontaktowa si ze mn , przestrzec przed czym ... - Zawiesiła głos i zmarszczyła brwi, jakby dotarło do niej, jak dziwnie zabrzmiały jej słowa. - Nie miałam wra enia, e to sen.

- Tak to jest ze snami, Amber. Wczoraj wieczorem Frankie podała ci rodek pobudzaj cy, miał pomóc NeuroTranslatorowi w odczycie impulsów nerwowych, a to cz sto rozlu nia pod wiadomo na tyle, by wywoła sny, nawet te tłumione. Dobrze si stało. Dzi ki temu Brian dostanie wi cej

materiału do analizy i b dzie mógł lepiej zrozumie , co dzieje si w twojej głowie. Amber, sny maj wielk moc i cz sto wydaj si bardziej rzeczywiste ni jawa. Zgodnie z tym, o czym wcze niej mówili- my, sugeruj , eby wróciła tu za trzy, cztery dni, wtedy doko czy- my analiz . Mo esz oderwa si na miesi c od innych obowi zków? Po chwili wahania Amber skin ła głow .

- Tak. Chc rozwi za ten problem. Musz .

- Rozwi emy go - obiecał. - Zaczekamy, a wrócisz z Kalifornii, i wtedy NeuroTranslator doko czy wst pn analiz . Zrobimy te nie- zb dne badania pomocnicze, a potem obejrzymy twój mózg podczas fantomowego bólu głowy. Sprawdź wyniki pierwszego badania, jak tylko b d mógł. Je li wykryj co niezwykłego, od razu ci o tym poinformuj . Zgoda?

- Przemy lisz cho to, co ci powiedziałam?

- Oczywi cie. Wnikliwie rozwa wszystkie mo liwo ci. Przyszła do mnie, ebym wyleczył twoje fantomowe migreny. Sprawdź wszystko, co si z tym wi e. Ju teraz jednak mog ci zapewni , e istnieje racjonalne medyczne wytłumaczenie. Tak jest zawsze.

Amber zmarszczyła czoło wyra nie nie przekonana.

- Na pewno?

- Tak - powiedział bez wahania. - Zawsze.

## 15

### Laboratorium My li

O jedenastej Fleming był ju przy łó ku Roba w Laboratorium My- li. Zebrał si cały zespół. Obok NeuroTranslatora stał Greg Brown, bład Australijczyk w okularach, który studiował elektronik komputerow w Sydney i Kalifornii, zanim przyjechał do Cambridge, by obj stanowisko technicznego asystenta Fleminga i specjalisty od komputerów. Frankie Pinner sprawdzała objawy czynno ci yciowych Roba na monitorach.

Fleming nachylił si do brata. Sterowany wzrokiem monitor ze sło- wami został usuni ty i Rob mógł tylko mruga : raz na nie, dwa razy na tak.

- Rob, czy rozumiesz, co zaraz si stanie?

Mrugn 1 dwa razy.

Fleming z Brownem od wielu miesi cy kalibrowali Briana tak, by nie tylko wzmacniał i „tłumaczył” fale mózgowe, ale i przetwarzał je na słowa. Przez ostatni miesi c Rob w ciszy studiował wybrane fragmenty tekstu, a Brian w tym czasie analizował jego procesy my lowe, dopasowywał określone schematy do odczytywanych słów i wychwytywał proste zale no ci. Fleming liczył na to, e je li podł czy urz dzenie do syntezy mowy, zdoła przeło y my li Roba na yw mow . I miało to si sta dzi .

Postanowił nie owija w bawełn .

- Jest pewne ryzyko, Rob. Chc , by zrozumiał, e cho ta próba nie stanowi dla ciebie bezpo redniego zagro enia, masz osłabiony organizm, zwłaszcza serce, i wszelki wysiłek mo e by dla niego zbyt du ym obci - eniem. Mo emy przeło y to na pó niej. Chc i musz to jasno powiedzie . Nadal chcesz to zrobi ?

Oko Roba mrugn ło dwukrotnie.

- Rob, wiesz ju , jak to si odbywa - ci gn 1 Fleming. - Przez ekran stymulacyjny przewin si słowa, wszystkie te, które komputer nauczył si rozpoznawa przez miesi c wicze . Powoli, spokojnie pomy l o ka dym słowie, które chciałby wypowiedzie . Skup si tylko i wył cznie na nim. Wszystko upraszczaj i nie przejmuj si gramatyk . Rozumiesz?

Dwa mrugni cia.

- Doskonałe. - Fleming zerkn 1 na pozostałych. Frankie sprawdzała monitory czynno ci yciowych; regularny elektrokardiogram pokazywał równe bicie serca, zapas tlenu był gotowy, przy drzwiach czekała piel gniarka pomocnicza. Greg stał przy NeuroTranslatorze i obserwował podzielony na dwie cz ci ekran plazmowy.

Górn połow , ukazuj c czynno fal mózgowych Roba, zajmowała siatka pokryta cienkimi poziomymi liniami, drgaj cymi i wypi trzaj cymi si niezależnie od siebie. Przez cz doln , jak napisy ko cowe filmu, przewijały si słowa zaczerpni te z tekstu, który Rob wprowadził do sieci neuronowej Briana w ci gu ostatnich czterech tygodni. Były proste: pomóc, kocha , i , chce , gra , piłka, składały si na słownictwo dziecka troch młodszego od Jake'a. Ka de z nich jednak słu yło odbudowaniu zerwanej wi zi mi dzy Robem a wiatem.

Kiedy słowa pojawiały si u dołu ekranu, Fleming widział, jak linie przecinaj ce cz górn wypi trzaj si , ukazuj c kombinacj fal mózgowych stanowi c unikaln sygnatur my low danego wyrazu. Nie oderwał wzroku od monitora, dopóki lista nie dobiegła ko ca.

U dołu pojawił si komunikat: Programowanie zako czone.

Fleming zerkn ł na Grega i Frankie.

- Wszyscy gotowi?

Skin li głowami.

Odwrócił si do Roba.

- Gotowy? - Utkwił wzrok w lewym oku brata i czekał na dwa mru-  
gni cia.

Nie doczekał si .

Zamiast tego usłyszał trzask w dwu gło nikach nad łó kiem i za-  
uwa ył k tem oka, e co mign ło na górnej cz ci ekranu plazmowe-  
go. Odwrócił si i w tym samym momencie u dołu monitora wysko-  
czyło: Tak. Jednak tym, co sprawiło, e włosy zje yły mu si na kar-  
ku, był dobywaj cy si z gło ników głos, który wypowiedział to samo  
słowo: Tak.

Fleming nie wa ył si spojrze na pozostałych. Nie odrywał wzroku  
od Roba. Postanowił zada jeszcze jedno pytanie zamkni te.

- Rob, zgodzisz si , e z nas dwóch to ja jestem przystojniejszy?

Znów nast piła przerwa, tym razem dłu sza, i Fleming przez chwil  
my lał, e poprzednie „Tak” było tylko dziełem przypadku. Wtedy  
monitor Briana rozbłysł. Linie na górnej cz ci zadrgały i u dołu po-  
jawiło si słowo. A za nim trzy nast pne.

- Nie - powiedział głos z gło ników. - Nie. Nie. Brzydki.

W pokoju gruchn ła salwa miechu, w którym pobrzmiwała ulga.

Czas na otwarte pytanie.

- Mo esz mi powiedzie , jak si czujesz, Rob?

Kolejna przerwa i na dole ekranu pojawiły si trzy słowa. Niemal  
natychmiast z gło ników znów dobył si bezcielesny głos.

- Dobrze. Jest. Rozmawia . - Łzy pociekły po twarzy Roba i Frankie  
podeszła bli ej, by je otrze . - Jak. W. Górach. Wolno .

Fleming wyposa ył urz dzenie w „naturalny” głos, dlatego staran-  
nie, słowo po słowie formułowane odpowiedzi Roba nie brzmiały tak  
mechanicznie jak w syntezatorach mowy starego typu.

- Udało si - sykn ł Greg stoj cy obok Fleminga. - Udało si , do  
cholery.

I znów rozległ si trzask, a po nim nast piła chwila ciszy.

- Tak. Dobrze. Mówi . Dzi kuj . Wam. Dzi kuj . Ci. Milo.

- To wspaniałe, e mog ci słysze , Rob - powiedział Fleming. -  
Mama i Jake czekaj za drzwiami. Czy jest co , co chciałby im po-  
wiedzie , kiedy ci odwiedz ?

Trzask.

- Kocham. Jake'a. Kocham. Mam . Kocham. Tat . .Kocham. Ci .  
Milo.

- My ciebie te kochamy. Rob.

- Mówi . Tyle chc powiedzie . Ale nie mog .

- Spokojnie, Rob, bez po piechu. Na razie jeste my tu tylko we dwóch i mo-  
esz mówi , co chcesz. Wiesz o tym. Mo esz mówi wszystko. W porz dku?

- Przykro z powodu Susan. I Jake'a. Czuj , e zabiłem Susan. Czuj ,  
e skrzywdziłem Jake'a. Miles spojrzął w oko brata.

- Rob, to, co si stało, było straszne, ale nie było w tym twojej winy.  
Doznałe udaru pnia mózgu. Nie mogte nic zrobi .

- Nie. Nie. Nie.

- Rob, w aden sposób nie mogte ...

Kiedy regularne pikanie elektrokardiogramu zgubiło rytm i przeszło  
w przeci gły sygnał alarmu, Miles uprzytomnił sobie, e Rob nie zaprze-  
cza, tylko krzyczy z bólu.

- Co si dzieje, Rob? - spytał z sercem łomocz cym w piersi. - Mów do  
mnie, Rob!

W gło nikach rozległy si trzaski i sparali owanym ciałem Roba zaczą ły  
wstrzą sa drgawki.

- Co si stało, Rob? - nie ust pował Fleming. - Powiedz nam!

Cisza, nie licząc niemiłknych sygnałów alarmowych.

Frankie nachyliła si nad Robem i przytrzymała jego rzucając się ciałem.  
W jej spokojnym głosie brzmiała nagła nuta.

- Ci nienie siedemdziesiąt na trzydzie ci. Ci ki oddech. Dostał cz sto  
skurczu i potrzeba mu tlenu. - Si gnęła po maskę i nałożyła mu ją na twarz.

Linia elektrokardiogramu się spłaszczyła.

- Naładowa elektrody defibrylatora - poleciała Frankie. Druga piel g-  
niarka pobiegła po defibrylator. Aparatura podtrzymująca życie migiała  
i pikała jak szalona.

Frankie wzięła elektrody do ręki.

- Cofnijcie się .

Fleming wbił wzrok w elektrokardiogram, kiedy ładunek prądu przepłynął  
przez sparali owane ciało brata, Inic.

Frankie spróbowała znowu.

Linia pozostała płaska.

I jeszcze raz.

Linia spi trzymała się gwałtownie, by zaraz znów się spłaszczyła.

Pielgniarka podjęła czwartą próbę.

Wtedy Fleming usłyszał trzask z głosu ników, a potem trzy wyraźne wypowiedziane słowa, na których dźwięk serce zamarło mu w piersi.

- Tnij, Lin. Milo.

W tej chwili znów był z bratem na Eiger i patrzyli na Billy'ego Frencha. „W obliczu miernicy człowiek jest pełen życia, jak nigdy. Ale kiedy zmusza się do tego, by żył wbrew sobie, to gorsze niż śmierć. Dlatego w razie czego pozwól mi odejść. Tego wcale nie chciałem. Chwila bólu to nic takiego, trochę strachu, a potem pustka”.

Fleming wpatrywał się w elektrokardiogram, który po czterech próbach przywrócenia bicia serca uporczywie pozostawał płaski.

- Rob, powiedz coś.

- Tnij, Lin. Milo - powtórzył brat.

- Adrenalina! - warknęła Frankie na młodą pielgniarkę nieporadnie zdejmując fiolkę z hermetycznie zamkniętego opakowania. Wyszarpnęła ją z jej ręki i sama zerwała fiolkę. Wzniosła strzykawkę ze rodkiem pobudzającym, jak sztylet i przygotowała się, by wbić igłę przez klatkę piersiową prosto w serce Roba.

Zanim zdążyła opuścić rękę, Fleming złapał ją za nadgarstek.

- Co ty robisz?!

- Daj mu odejść - powiedział łagodnym tonem. Oczy piekły go od łez. - Daj mu odejść.

- Ale, Miles - zaprotestowała Frankie - on...

- Daj mu odejść - powtórzył wpatrzony w elektrokardiogram i wsłuchany w monotony dźwięku alarmu.

Nawet nie wiedział, jak długo tak stali, zanim wreszcie puścił rękę Frankie; powiedziała cicho:

- Odszedł.

Pielgniarka i Greg patrzyli na Fleminga, a on czuł, jak coś w nim gaśnie. Kilka minut temu był świadkiem niezwykłego przełomu, a teraz wszystko diabli wzięli. Nie tak miało być. Miał pomóc Robowi przemówić, a potem, z czasem, przywrócić go do pełnej sprawności. Miał ochronić i uratować brata, tak jak brat po wielokroć ratował go w górach. Nie powinien stanąć z boku i pomóc mu umrzeć.

Wbił wzrok w Roba leżącego na łóżku. Wyglądał, jakby spał, ale kiedy Fleming przyjrzał mu się uważnie, stwierdził, że brat stał mu się zupełnie

obcy. Zwłoki wyglądały jak Rob, ale jednocześnie nie inaczej, tak jakby istota Roba je opuciła. Spojrzał na zegarek i przełknął linę.

- Czas zgonu jedenasta pięćdziesiąt osiem. - Przez następnych kilka minut zespolił w milczeniu porządkował sprzęt, a Fleming zbierał siły, by przekazać matce i Jake'owi złe wiadomości, wiadomości, z którymi sam się jeszcze nie pogodził. Przez cały czas powtarzał sobie w duchu, że Rob przynajmniej uwolnił się od bólu. Tam, dokąd odszedł, cierpienie nie będzie miało do niego przystępu.

Odwracał się już do wyjścia, gdy nagle znieruchomiał. Z głosu ników NeuroTranslatora dobiegły trzaski. Szum był głębszy niż wcześniej, a głos brzmiał inaczej, niewyraźnie, jakby występowały zakłócenia.

- Milo. Pomóż braciszku. Długo nie wytrzymam. Spadam. Wyci gnij mnie.

Flemingowi zaschło w ustach, ale się woli zachował spokój. Jak to się mogło stać? Co on zrobił?

- Rob, co się dzieje? - Spojrzał na Frankie, szukając w niej oparcia, ale ona sprawdzała wskazania monitorów.

Trzask stał się jeszcze głębszy.

- Spadam. Nie utrzymam się. Obiecuję, że zaopiekujesz się Jakiem - powiedział głos.

- Obiecuję - wydyszał Fleming. - Ale trzymaj się, jeszcze ci nie stracili my.

Głos był coraz gorzej słyszalny, za to mówił bardziej płynnie. Fleming zerknął na górny połowę ekranu NeuroTranslatora i zauważył, że wszystkie fale mózgowe zniknęły bezładnie. Zastąpił Grega przy pulpicy sterowniczym i gwałtownie przesunął obraz w dół, ale wszędzie widział tylko płaskie linie wskazujące na brak aktywności mózgu. Dopiero gdy przewinął obraz do góry, zobaczył sygnał fali mózgowej na najwyższym krańcu widma czystość ci.

- Bo i braciszku. Pomóż mi. Nie jest dobrze. Jest tu coś złego. Musz powiedzcie ...

- Co chcesz mi powiedzcie, Rob? - spytał Fleming z rozpaczą. - Jak mogę ci pomóc?

Przerywany trzaskami, coraz bardziej przejęty głos zaczął zanikać. - Nie... Pomóż... Musisz... Ważne... Niebezpieczne... Opiekuj się Jakiem... Mroć krew w żyłach słowa przeszły w szum, a potem zapadła cisza.

- No, Rob - wychrypiął Fleming ustami zaschniętymi na wiór. - Mów do mnie.

Odwrócił się do Frankie i zobaczył, że wpatruje się w zegarek. Kiedy podniosła głowę, jej zwykle rumiane policzki były trupio białe, a

oczy okręgle jak talerze.

- On już dawno nie żyje, Miles - szepnęła. - Stracili my go po pierwszym ataku, nie odzyskał przytomności ci nawet na chwilę.

- To niemiłosiernie! Skąd wzięły się jego ostatnie wołania o pomoc?

- Jeden Bóg wie - powiedziała Frankie. — Ale twój brat od sześciu minut jest w stanie śmierci klinicznej.

## 16

### Okręg Marin, Kalifornia Następnego dnia

Samolot wylądował późną nocą i Amber wróciła do swojego domu w Pacific Heights. Kiedy obudziła się następnego ranka, był typowy dla Kalifornii pogodny dzień. Jasno świeciło słońce i ciepła bryza z nadbrzeża przegnała chłód, jaki przenikał ją na wspomnienie snu o własnej śmierci. Wsiadła do mercedesa i pojechała przez most Golden Gate do okręgu Marin, gdzie znajdowało się hospicjum Kościoła Prawdy Duchowej.

Dyrektorka w załazie przy recepcji zakonnica w szkarłatnym habitcie była energiczna i rzeczowa.

- Pani mama bierze teraz opiekę, doktor Grant - powiedziała. - Proszę poczekać w pokoju dla gości, zawołam panią, kiedy będzie gotowa.

Amber zauważyła z zadowoleniem, że podłoga hospicjum była ona jest nowym linoleum, a ściany zostały niedawno pomalowane; zadowolona czuła Gillian Grant wobec swojej matki i ilekroć miała wyrzuty sumienia, że płaci za opiekę nad nią innemu Kościołowi, przypominała sobie, że to hospicjum przejęte przez Kościół Prawdy Duchowej od Kościoła katolickiego jest najlepsze w okolicy.

Jak wiele innych instytucji katolickich na całym świecie tak i ona zaczęła podupadać, kiedy rozłamowy Kościół Prawdy Duchowej błyskawicznie



zyskał na popularności. Dawniej tymi korytarzami chodziły zakonnice w czarnych habitach, teraz wszystkie siostry nosiły szkarłaty. Hospicjum zapewniało najlepszą opiekę, na jaką można było liczyć, i znajdowało się w pięknym otoczeniu. Każde z mieszkańców miało własny pokój i dostęp do wspólnego basenu, restauracji i wspaniałego ogrodu, który zachwycił jej matkę.

Przed pięć laty, po śmierci ojca Amber chciała, by Gillian zamieszkała z nią, matka jednak nie chciała by dla niej ciarą i wyrzucić się niezależnie od niej. Kiedy zachorowała, poprosiła, by umieścił ją tutaj, w miejscu, gdzie mogła mieć wszystko, co jej potrzebne: całonocną, profesjonalną opiekę i własny klimat.

Zdjęcie Czerwonego Papieża patrzyło na Amber ze ścian. Nawet na fotografii był pełen charyzmy. Miał kształtny, orli nos, subtelnie rzeźbione policzki i gładki, oliwkowy cer, dzięki której nie wyglądał na swoje sześćdziesiąt osiem lat. Na głowie nosił szkarłatny piasek pasujący do pięknych szat i wiszącego na piersi krucyfiksu na złotym łańcuchu. W pokoju wisiało też zdjęcie wspaniałego czerwonego statku z lśniąco białymi nadbudówkami zaprojektowanymi na wzór gotyckiej katedry; była to słynna Czerwona Arka, tak zwany Pływający Watykan, który bez bandery okrążył świat w niekończącej się pielgrzymce. To z pokładu Czerwonej Arki Czerwony Papież głosił Słowo Boże w pierwszym w dziejach elektronicznym kościele. Stojący w kącie pokoju telewizor z ciszonym dźwiękiem pokazywał Czerwonego Papieża odpowiadającego internetowym mszom. U dołu ekranu przewijał się migający komunikat: Weź udział w mszy online: [www.RedArk/Church\\_Soul\\_Truth.com](http://www.RedArk/Church_Soul_Truth.com).

Za krzesłem po lewej stronie znajdowała się półka z trzema niewywanymi WebCruiserami KREE8. Były to standardowe bezprzewodowe kaski z trójwymiarowym ekranem, słuchawkami, mikrofonem i płytka zapachów. Napis na półce zachęcał Amber: Weź udział w mszy z Czerwonym Papieżem. Nałożyła kask, wsunęła do uszu otulone pianką słuchawki i przechyliła ku sobie płytkę zapachów.

Najpierw zobaczyła stronę tytułową i zmontowany w stylu MTV film o Czerwonym Papieżu.

- Uznajcie cudowne ocalenie za znak, by skupić całą swoją energię i pasję na sprawach duchowych - mówił głos lektora - kardynał Xavier Accosta został księdzem katolickim i szybko piął się w hierarchii, a wezwano go do Rzymu, do Stolicy Apostolskiej. W wieku pięćdziesięciu czterech lat Jego wiążąco należało do najbardziej wpływowych

postaci Kościoła katolickiego, jako jeden z tak zwanych Trzech Papieży Rzymu. Urzędujący papież zwany jest Białym Papieżem, generał zakonu jezuitów Czarnym Papieżem, a Wielki Inkwizytor, który to funkcję w owym czasie pełnił kardynał Accosta, to Czerwony Papież. Kościół katolicki pogromiony był w głębi krzyżysie, zmuszony walczyć o przetrwanie w obliczu korupcji, mizoginizmu i skandali trawionych kurii i liczne diecezje na całym świecie.

Jego wi tobiwo był ordownikiem wielu szeroko zakrojonych reform; opowiedział się między innymi za przyznaniem kobietom wi kszego prawa głosu w Kościele, zniesieniem celibatu i zmianą celu działalności Instytutu Cudów, który jego zdaniem zamiast uwiarygodniać rzekome cuda, winien skupić się na szukaniu dowodów Bożej interwencji przy wykorzystaniu dostępnej technologii. Jednak reakcyjna prawica i jej marionetkowy papież uporczywie blokowali wszystkie propozycje.

Po śmierci schorowanego papieża kardynał Accosta nie mógł dłużej milczeć. Jako jeden z nielicznych członków Kolegium Kardynalskiego, którzy nie skończyli siedemdziesięciu lat, był papabile i cieszył się dużym poparciem. Gdyby został papieżem, mógłby uczynić Kościół wielką duchową siłą. Wiedział, że tego wcale nie chce Bóg.

Los jednak chciał inaczej. Inni kardynałowie bali się jego ambicji i dążeń do radykalnych reform. Wybrali swojego poplecznika, by zachować status quo. Jego wi tobiwo nie mógł dłużej milczeć i został zmuszony do tego, by zaatakować własny Kościół i domagać się drastycznych zmian niezbędnych dla jego przetrwania. Był zbudowany poparciem, jakie uzyskał w Kościele i poza nim, między innymi od wpływowej wieckiej organizacji Opus Dei. Ostatecznie nowy papież wezwał go do siebie i obłożył ekskomuniką.

Amber wysłuchała opowieści o tym, jak w ciągu następnych sześciu miesięcy zebrano przy nim szerokie grono wpływowych, mających zwolenników, którzy pomogli mu powołać do życia pierwszy w dziejach elektroniczny Kościół - Kościół Prawdy Duchowej - i jak Accosta zachował wiele elementów tradycyjnego ceremoniału, kiedy obwołał się Czerwonym Papieżem.

Materiał kościółczył się triumfalnymi scenami ze wiatowej pielgrzymki Czerwonej Arki zilustrowanymi wyjątkami nieniemieckiego lektora, jak doszło do tego, a w ciągu ostatnich dziesięciu lat elektroniczny Kościół Accosty stał się tym, czym był dawniej, integralną częścią wiata współczesnego korzystając z nowoczesnej technologii i otwartą na nowe idee.

U dołu wirtualnej strony tytułowej widniała instrukcja: Wcisnij guzik w kasku, aby wziąć udział w mszy.

Zrobiła to i została natychmiast przeniesiona do alternatywnej rzeczywistości. Nie była już w pokoju dla gości hospicjum ani nie oglądała filmu, tylko siedziała w pierwszym rzędzie surrealistycznego amfiteatru. Kiedy odwracała głowę, mogła zobaczyć innych wiernych tak wyraźnie, jakby była wśród nich. Wreszcie czuła dotyk materiału płaszcza kobiety obok. Z przodu dobiegał głos boki głosu Czerwonego Papieża, tak dobrze słyszalny, jakby była pół metra od niego.

- Technologia nie musi być sprzeczna z wiarą - mówił jakby w odpowiedzi na czyjeś pytanie. - To Einstein powiedział, że religia bez nauki jest ślepa, a nauka bez religii ślepa. Nauka powinna wspierać wiarę i zmieniać ją w coś o wiele potężniejszego. Nie tylko wiedza, ale coś o wiele ambitniejszego. Prawda.

Czerwony Papież siedział na prostym krześle ustawionym na podwyższeniu. Nieformalna oprawa kojarzyła się Amber bardziej z telewizyjnym talk-show niż ze sztywną mszą kościelną, ale to mi do innych dlatego Kościół Czerwonego Papieża cieszył się tak dużą popularnością i wśród młodych, i wśród starszych ludzi. Ta mieszanka charyzmatycznego przywództwa, klarownych religijnych wartości i nowoczesnej technologii robiła wrażenie na wszystkich. We mszach uczestniczyły gwiazdy filmowe, słynni muzycy rockowi i członkowie politycy z całego wiata. Wszyscy rwali się do tego, aby ogrzać się w ciepłe słońce Kościoła.

Amber usłyszała, jak ludzie wokół niej pociągają nosami i szurają nogami, i poczuła zapach kadzidła. Objęła wzrokiem filary i łuki sięgające bezchmurnego nieba. Miała wrażenie, że jest nie na ziemi, lecz w jakiejś niebiańskiej wiśni. Jak okiem się ogląda, widać było bezkresne morze wiernych, tych wszystkich, którzy jak ona uczestniczyli we mszy wirtualnie - w sieci.

Po jej lewej stronie w powietrzu unosił się numer, który przewijał się jak taksometr. Przedstawiał liczbę osób uczestniczących we mszy przez Optinet i oglądających ją w stacjach telewizyjnych, które nabyły prawa do transmisji. Jeśli był zgodny z prawdą, Czerwony Papież przemawiał w tej chwili do przeszło pięćset milionów ludzi na całym świecie: w czasach swojej świetności Kościół

rzymskokatolicki miał ledwie dwa razy więcej wiernych. Kościół Prawdy Duchowej zdobył już zgromadził ponad półtora miliarda zwolenników.

Amber zauważyła jak ten oka czerwone wiatelko, powiadamiając o wezwaniu ze świata rzeczywistego, i poczuła, że ktoś położył jej dłoń na ramieniu. Zdjęła kask i odwróciła się do stojącej za nią zakonniczki.

- Doktor Grant, mama może już pani zobaczy.

## 17

Kiedy Amber weszła do pokoju 21 na pierwszym piętrze, jej matka siedziała w wózku inwalidzkim. Miała delikatne siwe włosy, włosy umyte i uczesane. Drzwi balkonowe wychodzące na otoczony murem taras były otwarte i lekki podmuch poruszał przezroczystymi zasłonami. Po kąpieli, w rozproszonym świetle słonecznym, nie wyglądała na chorą. Choć strasznie chuda, miała zarówno owione policzki i błyszczące oczy. Właściwie nie widać było żadnych rak toczących jej organizm.

Na stoliku przy łóżku stały trzy fotografie w ramkach. Pierwsza przedstawiała uśmiechniętych rodziców Amber na plaży. Na drugiej były Amber i Ariel jako małe dziewczynki ubrane w identyczne niebieskie sukienki. Trzecia pokazywała całą rodzinę przed Bazyliką św. Piotra w Rzymie, w towarzystwie ojca chrzestnego Amber, papieża Petera Rigi, stojącego nieco z boku, z rękami założonymi za plecy.

Twarz matki rozjaśniła się, kiedy Amber weszła do pokoju i wzięła ją w objęcia.

- Amber, jak się czujesz? Słyszałam o twoich migrenach w telewizji. Czemu nic wcześniej nie mówiła?

Amber wzruszyła się, że chora matka tak martwi się jej zdrowiem.

- Nie chciałam cię niepokoić, mamo, a poza tym czuję się dobrze. To nic takiego. - Usiadła obok matki. - Umówiłam się dziś z papieżem Pete'em na kolację. Mówił, że niedawno był u ciebie.

Gillian Grant skinęła głową.

- Powspominaliśmy stare czasy i zdjęł mi z piersi ogromny ciężar, kiedy pochwalił moją decyzję, by tu zamieszkać. - Przerwała. - Ale co cię gnębi, ja to wiem. O co chodzi?

Amber westchn ła i powiedziała Gillian wszystko - o bólach głowy, Milesie Flemingu, NeuroTranslatorze, swoim nie,

- Najdziwniejsze jest to, że mam wrażenie, że Ariel próbuje mi coś powiedzieć. Tak, jakby od mierci była w mojej głowie.

Jej matka się uśmiechnęła.

- To wcale nie takie dziwne, Amber. Ariel jest też stale obecna w moich myślach. Twoja siostra i twój ojciec żyją we mnie. A kiedy odejdą, będą żyli w tobie. Jesteś sumą naszych relacji z innymi. W miarę jak zbliża się koniec, nabieram coraz większego przekonania, że to wszystko, czym jesteście my.

Amber chciała wyjaśnić, że to nie takie proste, ale odpuściła sobie, bo doszukała się w słowach matki głębszego sensu. Wiat kwantów opierał się na relacjach i powi zaniach między cząstkami elementarnymi: czemu wiat ludzi miałby być inny?

- Musisz wrócić do Anglii, by wyleczy te migreny? - spytała matka.

- Tak, na jakiś miesiąc. - Amber zmarszczyła brwi. - Ale martwi się o...

Gillian zbyła ją machnięciem ręki.

- A czym ty się martwisz? Musisz tam pojechać. Nie przejmuj się mną. Bądź tu, kiedy wrócisz. Lekarze dają mi jeszcze rok, więc lepiej, by to załatwiła jak najszybciej. - Wzięła Amber za rękę i cisnęła mocno. - Jestem strasznie dumna z ciebie i z twoich osiągnięć, ale moje te bóle głowy to szczyt w nieszczęściu. Szansa, by przestała obwiniać się o to, co spotkało Ariel, i zaczęła żyć swoim życiem. Ariel chciałaby, żeby była szczęśliwa. Zawsze się tobą opiekowała i czułaby się źle z myślą, że sprawia ci ból. Zostaw sprawę własnemu biegowi. Amber odchyliła się na oparcie krzesła, czerpiąc siłę z miłości i międrości matki. Ciągnęła ją bez niej. Choć trudno było myśleć o mierci, gdy Gillian tak tryskała energią.

Później wyszła z nią na dwór i pchała jej wózek po ogrodzie, gdzie snuły wspomnienia, robiły plany.

W porze lunchu zawiozła Gillian z powrotem do pokoju i pomogła jej przejść do łóżka. Na pożegnanie pocałowała ją w czoło, tak jak mama całowała ją i Ariel, kiedy były małe. Zanim odwróciła się do wyjścia, znieruchomiała, by zatrzymać w myślach swój obraz matki. Piękną w słońcu wpadającą przez cienkie zasłony, zza których wyłaniał się porośnięty zielenią taras.

Zachowując w pamięci te pogodne sceny, nie mogła przewidzieć nadciągającej burzy. Ani wiedzieć, że już nigdy nie zobaczy matki w tym cichym, słonecznym pokoju.

## Pacific Heights Pi godzin później

- Chodzi o to, papo Pete, że nie sądzę, by to, co przeżyłam, było snem.

- A to czemu? Skoro pod wpływem rozmowy z doktorem Flemingiem myślała tylko o Ariel, no to nie ma cudów, to musiał być sen. - Lata spędzone w Towarzystwie Jezusowym złagodziły nowojorski akcent ojca Petera Rigi, ale nie zatarły go w zupełnie ci.

Amber siedziała z ojcem chrzestnym w swojej przestronnej kuchni. Ubrany na czarno, o mocno kruczonych siwych włosach i przenikliwych niebieskich oczach, wyglądał na zmęczonego, ale wiecznie młodego człowieka. Amber odesłała gospośki do domu i sama upiecła jego ulubione ciasteczka i spaghetti. Teraz siedzieli nad pustymi talerzami i pili barolo przywiezione przez niego z Włoch. Amber opowiadała mu swój sen.

- Papo Pete, ja nigdy nie pamiętam. Pamiętasz? Ariel miała sny, a ja nie, to była jedna z różnic między nami. To, co stało się tamtej nocy, bardziej przypominało mi tamto dziwne przedśmiertne doświadczenie, które miałam podczas operacji. Czułam, że to nie sen.

- A więc co?

- Tego właśnie nie chcę się dowiedzieć. Pamiętasz, jak mi mówiła, jak była twoją pierwszą miłością, kiedy zobaczyła mnie i Ariel w szpitalu w Sao Paulo, po tym, jak porzucili nas rodzice?

Upił łyk wina i skinął głową.

- Jasne. Choć lekarze nazwali was jednym biologicznym organizmem, ja widziałem dwie oddzielne dusze. - Jego oczy zwróciły się w stronę szparki. - Do czego zmierzasz, Amber?

Nie wiedziała, jak sformułować swoje na pozór nedorzeczne pytanie.

- Miles Fleming powiedział, że noszę w sobie cząstkę jego mózgu martwej osoby. Czy to możliwe, bym miała tę jej duszę?

Riga spochnął i zakręcił kieliszkiem.

- A jeśli dusza Ariel nie mogła umrzeć, bo cząstka jej mózgu wciąż żyje we mnie? A jeśli po tych wszystkich latach wywołuje sny i bóle głowy, by nawiązać ze mną kontakt, skłonił mnie, abym ją uwolniła?

Bruzdy na jego czole się pogłębiły.

- Papo Pete? Powiedz coś. Zdam sobie sprawę, że to brzmi absurdalnie, ale muszę wiedzieć, co myślisz.

- Dziecko moje, nie wiem, co powiesz. To nie jest pytanie, na które potrafi szybko znaleźć odpowiedź. Przez lata swojej służby widziałem

zbyt wiele rzeczy, by to zrobi ... zwłaszcza biorąc pod uwagę to, jak wyjątkowa była dla ciebie i Ariel. Dawni filozofowie, a do Kartezjusza, byli przekonani, że ludzka wiadomość, że dusza, mieści się w mózgu. - Riga postukał się w głowę. - Nawet podali, gdzie dokładnie. W szyszynce. Ale to, co powiedziała, jest tak... niezwykle, że nie mogą na gorzko udzielić żadnej religijnej, filozoficznej czy racjonalnej odpowiedzi. Musz to przemyśleć. — Odchylił się na oparcie krzesła. - Naprawdę dzisiaj, że Ariel jakim cudem żyje? Co mówi ten doktor Fleming? Amber wzruszyła ramionami.

- Jest bystry i polubiłam go, lecz to naukowiec i teoria niezbyt go interesuje. Szuka praktycznych rozwiązań, unika rzeczy, których nie potrafi wyjaśnić, a już na pewno nie wierzy w życie pozagrobowe. Obiecał, że wszystko dokładnie sprawdzi, kiedy wróci, wiem jednak, że uważa, iż po prostu coś mi się przyśniło.

- Czasem dobrze by było być praktycznym - stwierdził Riga. - Słuchaj, Amber, jutro wracam do Rzymu. Jeszcze to wszystko przemyśl. Na razie zobacz, co powie Fleming, i zadzwoni, jak będziesz coś wiedziała. Jestem pewien, że istnieje racjonalne medyczne wytłumaczenie.

- Mam nadzieję - powiedziała Amber i podsunęła mu butelkę wina. Naskrył kieliszek dłoni.

- Ja już dziękuję. Głowa mnie nagle rozbolała.

## 18

### **Optrix Industries** **Następnie dnia**

Ranek Amber już z większym optymizmem jechała przez most Bay do siedziby głównej Optrixu w Berkeley. Rozmowy z matką i papieżem Pete'em utwierdziły ją w przekonaniu, że Fleming ze swoim NeuroTranslatorem znajdzie racjonalne wyjaśnienie jej problemu.

Jednak kiedy siedziała w odizolowanym od świata wnętrzu mercedesa, wcale nie wydawało jej się takie nieprawdopodobne, że jakiś plan Ariel, postać z jej metafizycznej wiadomości, może w końcu pozostać

we wspólnej części ich mózgu. Choć nie do końca potrafiła to wyrazić słowami, Amber wciąż się dziła, że jej migreny mogą być objawem głębszej niemocy i że aby ją wyleczyć, Fleming będzie musiał zrobić coś więcej, niż tylko odczynić fantomowy ból przy użyciu Neuro-Translatora. Będzie musiał zrozumieć naturę wiśni, która ją czyła z Ariel.

Kiedy dodała gaz i most Bay zaczął oddalać się w lusterku wstecznym, wyrosła przed nią ciemna szklana wieża Optrix Industries, lśniąca jak kolumna z wypolerowanego hebanu. Podjeżdżając do ogromnej bramy, Amber odwróciła się do czarnej granitowej płyty przy wrota. Wytrawione w niej srebrne litery układały się w napis:

OPTRIX INDUSTRIES

CENTRUM BADAŃ OPTOELEKTRONICZNYCH

NIECH STANIE SIĘ WIATŁO

Strażnik wpuścił ją i zatrzymała wóz przy jednej z dwóch kolumnad osłoniętych przed promieniowaniem ultrafioletowym, które pozwalały wejść do budynku bez wystawiania się na wiatło słoneczne. Rozejrzała się po parkingu i wypatrzyła znajomego przerobionego czarnego Lexusa z przyciemnianymi szybami.

Weszła do holu głównego, stukając obcasami w wypolerowany marmur, i przywitała się ze strażniczką przy urzędzie w recepcji.

- Miło znów pani u nas widzieć, doktor Grant. Mam nadzieję, że czuje się pani lepiej.

- Zdecydowanie tak, dziękuję, Iren.

Weszła do pierwszej windy i wcisnęła guzik ostatniego piętra. Kiedy drzwi się rozsunęły, ruszyła łukowatym korytarzem do swojego biura, gdzie czekała już sekretarka, wysoka, energiczna kobieta z krótkimi jasnymi włosami.

- Doktor Grant, jak się pani czuje?

- Dobrze, dziękuję, Diane. Jakie pilne wiadomości?

- Dzwonił profesor Mortenson z głównego laboratorium, by powiedzieć, że mają kłopoty z pikselami optycznej pamięci Lucyfera. - Diane zajrzała do trzymanego w dłoni elektronicznego notesu. - Mówi, że pary elektron-dziura okazały się niestabilne. Nie pozostaj rozdzielone tak długo, jak powinny w temperaturze pokojowej.

Amber zmarszczyła brwi. Mortenson był jednym z najstarszych fizyków, ale jak wielu członków jej zespołu, wykazywał zbyt małą inicjatywę. Owszem, jako pracoholiczka, która wtrącała się do prac na każdym ich etapie, po części sama się do tego przyczyniła. Mimo to uznała, że pora nauczyć ludzi więcej samodzielności.



- Powiedz mi, żeby jeszcze raz zmierzył proporcje arsenku galu i arsenku glinu w półprzewodniku i przy okazji sprawdził poziomy energetyczne fotonów. Je li to nic nie da, popro , by zaproponował inny sposób rozwi - zania problemu. - Podala Dian cienk jak broszura aktówk . - Mogłaby poło y to na moim biurku? Musz i do Bradleya.

Z uwagi na swój przypa dło Bradley Soames sp dzał wi kszo czasu z dala od pra cego sło ca Kalifornii, w siedzibie swojej fundacji VenTec na Alasce. Była to firma typu private venture, która opracowywała nowatorskie rozwi zania dla wyspecjalizowanych klientów. Codzienne zarz dzenie Optryksem wła ciwie pozostawił w r kach Amber.

Dokładne poło enie siedziby VenTecu, znajduj cej si na północ od koła polarnego, było pilnie strze on tajemnic . Kiedy Amber przebywała tam przed dziesi cioma laty - kierowała wówczas zespołem specjalnym pracuj cym nad komputerem optycznym - nigdy nie poznała dokładnych współrz dnych tego miejsca. Cho cz sto tam bywała, nawet teraz miałyby kłopoty ze wskazaniem go na mapie. Poniewa niewielu wybitnych naukowców gotowych było przez dłu szy czas pracowa na Alasce, nawet dla Soamesa, Oprix zorganizował główne laboratorium badawcze tu, nad Zatok San Francisco. VenTec był tylko dodatkiem.

Po wyj ciu z biura Amber obeszła wokół ostatnie pi tro i min ła gabinety dyrektora finansowego, kierownika działu personalnego i dyrektora handlowego, którzy wraz z ni tworzyli zarz d nadzoruj cy interesy handlowe Optryksu na całym wiecie. Z jej i ich gabinetów roztaczał si malowniczy widok na okolice zatoki, biuro Soamesa za mie ciło si po rodku zaprojektowanego na planie okr gu pi tra i nie miało okien. Od wiata zewn trznego dzieliło je dwoje drzwi.

Amber znała procedur i zamkn ła pierwsze drzwi, nim zapukała do drugich. Otworzyły si i recepcjonistka Bradleya z u miechem wpu ciła j do poczekalni.

- Dzie dobry, doktor Grant - powiedziała. - On ju czeka na pani . Prosz , niech pani wejdzie.

Amber otworzyła drzwi z ciemnego matowego szkła i wyszła na korytarz opadaj cy spiralnie ku gabinetowi Soamesa. W miar jak schodziła coraz ni ej, wiatła stopniowo przygasały, by jej oczy mogły oswoi si z mrokiem panuj cym w jego kryjówce. Gabinet był okr gły. Na obitych mi kkim materiałem cianach nie wisały adne obrazy, nie było te okien. W filtrowanym powietrzu wisał lekki zapach lekarstw. W gł bi pomieszczenia stały kanapa i przeszklona szafa chłodnicza z coca-col .

Soames siedział odchylony na krześle, z nogami w tenisówkach na półkolistym biurku zajmującym cymś rodek gabinetu, otoczony monitorami pozwalającymi mu stale mieć oko na jego wiatrowe imperium. Ubrany był w jasnoszary jednoczęściowy kombinezon z kapturem i rękawicami. Kiedy jak teraz przebywał w pomieszczeniu, bezpieczny od wiatła słonecznego, zdejmował kaptur i rękawice, ukazując zryte bliznami, piegowate dłonie.

Za jego plecami Amber widziała w mroku dwa duże kształty leżące na podłodze; patrzyły na nią łótyimi łepiami. Soames przywiózł z Alaski dwa wilki. Przygarnął je, kiedy były jeszcze szczeniakami, by dotrzymywały mu towarzystwa; ich nocny tryb życia sprawił, że dostrzegł w nich bratnie dusze. W Optriksie wszyscy nazywali je „cieniami”, bo były ciche, szare i nie odstępowały Soamesa na krok. On sam mówił do nich jakim dziwnym gardłowym językiem, którego Amber nie rozumiała. Traktował je jak zwierzęta domowe i przekonywał je, by odnosiła się do nich tak samo, ona jednak kiedy czytała, że nie należy tulić wilka ani zapominać, że jest dzikim stworzeniem. Wystarczyło spojrzeć w ich wiecie, szeroko otwarte łepia, by stwierdzić, że była to dobra rada-

Większy wilk zerknął na nią i się odwrócił. Amber przeniosła wzrok na Soamesa.

Wyglądało na to, że jeszcze jej nie zauważył. Właśnie mówił do mikrofonu, obserwując monitory i czytając „Wall Street Journal”. Bez przerwy mrugał oczami.

- Marty, nic mnie to nie obchodzi, Matrix musi współpracować z nami na współpracę, jeśli chce przetrwać. Widziałeś, co stało się z procesorami Intela i Windowsami po wejściu Lucyfera na rynek. Teraz to samo dzieje się z siecią. Cały Internet przechodzi na postać optyczną, kurde, już nazywają go Optinetem. I właśnie oparty jest na technologii Optriksu, Marty. Wszystko w naszym wiatle. Przesyłanie danych z prędkością wiatła, o to w tym wszystkim chodzi. Matrix musi współpracować z nami na naszych warunkach albo dalej będzie tkwił w redniowieczu i padnie.

Przez chwilę stała i patrzyła na jego bladą twarz, niepokojące niebieskie oczy i złote włosy. Wielu czuło się nieswojo w obecności Soamesa. Ona nie. Nigdy nie darzyła go wielkiej sympatii i nie uważała za przyjaciela - ludzkie uczucia były mu zbyt obce, by mógł wiedzieć, czym jest przyjaźń - ale jej własne do wiadczenia z lat dzieciennych sprawiły, że widziała w nim pokrewną duszę. Poza tym możliwość obcowania z jego intelektem była przywilejem i inspiracją. Współpraca z nim nadała treść jej życiu, pozwoliła znacząco wpływać na losy wiatła.

- Nie, Marty, bez dyskusji - rzucił Soames do słuchawki. - Przemyśl to. Na razie. - Wcisnął guzik w jednym z monitorów, przerywając po czenie, i odwrócił się do Amber z szerokim uśmiechem. - Jak poszło? - Zanim zdała odpowiedź, dodał: - Słyszała? Komitet Noblowski wreszcie postanowił przyznać mi nagrodę z fizyki, ale powiedziałem, że jej nie chcę. Nie potrzebuję pieniędzy, a tym bardziej aprobaty tej bandy starych miernot.

Nie czekajcie na jej reakcję, zmienił temat. Wyciągnął spod biurka coś, co wyglądało jak karta kredytowa.

- Spójrz na ten optyczny prototyp, który skonstruowali w VenTecu. Faks, EV-mail, wideofon, bezprzewodowe połączenie z Optinetem, moc obliczeniowa standardowego komputera, a wszystko to mieści się w dłoni. Super, co?

Nie spuszczała wzroku z niego, wzięła od niego urządzenie i usiadła.

- wietna rzecz... nie wiedziałam, że pracowałam nad czym takim.

Soames już na nią nie patrzył. Znowu zajął się przeglądaniem gazety.

- Musimy pogadać o chińskiej inicjatywie. Wiem, że VenTec może skonstruować prosty komputer optyczny, na tyle tani, by było na niego stać wszystkie tamtejsze rodziny...

Amber westchnęła ciężko. Czuli się, jakby miała do czynienia z dzieckiem - genialnym, wpływowym, nieobliczalnym, ale mimo to tylko dzieckiem.

- Bradley - uśmiechnęła się podniesionym głosem - zejść na chwilę na ziemię i skup się. - Zaczekała, a spojrzała na niego. - Dopiero wróciłam z kliniki.

- Wiem - powiedział. Uśmiechnął się lekko i pod pokrytymi bliznami wargami ukazały się idealnie białe zęby kontrastujące z resztą twarzy. - Dowiedziała się czego?

- Nie, skąd. Na razie mam za sobą tylko wstępne badanie. W każdym razie, nie mylił się co do Milesa Fleminga. Rzeczywiście jest bystry. Jak poszedł dalszy ciąg prezentacji soft-screenu Lucyfer?

- wietnie, to znaczy, jak już wszyscy przestali się o ciebie martwić. Tego samego wieczoru musiałem wrócić do VenTecu, ale publicznie była pod wrażeniem. Mniejsza z tym. Ciekaw jestem, jakie są pierwsze wnioski Fleminga.

- Na razie nie wiem. Muszę pojechać tam na dłuższą chwilę. Na miesiąc.

Soames wzruszył ramionami.

- to jest problem. Muszę dowiedzieć się, co wywołuje te twoje migreny.

Parskn ła miechem.

- Ty musisz? **A** wydawało mi si , e to przede wszystkim moje zmartwienie, Bradley.

- Tak, jasne - powiedział z zakłopotaniem. - Daj zna , co powie Fleming.

Amber zastanawiała si , czy opowiedzie Soamesowi swój sen, ale zniech ciło j jego chłodne naukowe podej cie.

- Powinni my zachowa dyskrecj w sprawie mojej kuracji. Lepiej, eby inwestorzy nie niepokoili si moim stanem zdrowia. Mo na przypisa moje zasłabni cie na prezentacji stresowi i obawom o matk i powiedzie członkom zarz du, e id na urlop z powodów osobistych. Znam co najmniej dwie osoby wystarczaj co kompetentne, by przej kierowanie najwa niejszymi projektami. Inne sprawy mog zaczeka do mojego powrotu.

Soames skin ł głow .

- Wygl da na to, e panujesz nad sytuacj . Proponuj , eby zała twiła, co konieczne, i wróciła do swojego lekarza.

U miechn ła si .

- Dzi ki za wsparcie, Bradley.

- Nie ma za co - powiedział i jego oszpecona bliznami twarz zmarszczyła si w nienaturalnym u miechu. - Zdaj sobie spraw , jak wa ne jest, by dba o zdrowie.

Kiedy odwróciła si do wyj cia, usłyszała, jak odchrz kn ł. Zwykle znaczyło to, e zaraz powie co , co niby wła nie wpadło mu do głowy.

- Tak tylko gło no my l - zacz ł - ale mo e dobrze by było, eby przekonała Fleminga, by stawiaj c diagnoz , miał otwarty umysł. Na twoim miejscu zach ciłbym go, by nie podchodził do sprawy zbyt schematycznie. No wiesz, niech we mie pod uwag wszystkie ewentualno ci, jakkolwiek dziwaczne mogłyby si wydawa . - Wzruszył ramionami. - Tak tylko my l .

Amber zmarszczyła brwi. To była trafna sugestia; tak bardzo odzwierciedlała jej własne obawy zwi zane z Ariel, e a poczuła si nieswojo.

- Dzi ki, Bradley. B d o tym pami ta ...

Ale on ju si wył czył, siedział ze wzrokiem utkwionym w monitorach.

Cały Bradley: kiedy zaczynało si wydawa , e jednak potrafi by ludzki i troskliwy, zaraz pokazywał, e nie my li w takich kategoriach jak wszyscy.

## 19

### Czerwona Arka, 33° 26' S, 16° 12' E Następnie dnia

Na pokładzie Czerwonej Arki Czerwony Papie niecierpliwie bębnił palcami w biurko, czekając, a włączył holograficzny monitor plazmowy KREE8. Kiedy pojawił się na nim Doktor, z wpiętych w fartuch krwistoczerwonych broszek w kształcie krzyża, widać było kiedy szczególnie jego ukazanej w trzech wymiarach twarzy. Kardynał Xavier Accosta wpatrywał się w niego przez chwilę, starając się ukryć niesmak. Potrzebował pomocy tego błyskotliwego człowieka; niech tnie, bo niech tnie, ale był mu wdzięczny za jego gorliwe i bezinteresowne wsparcie. Doktor nie tylko pomógł sfinansować rozruch elektronicznego Kościoła Accosty, lecz dzięki swojej wiedzy sprawił, że się rozrósł, a on z szybkością, która zadziwiła świat. Jego geniusz w wielkim stopniu przyczynił się również do urzeczywistnienia marzeń Accosty o wprowadzeniu w życie projektu „Dusza”. Mimo to kardynał nie mógł przekonać się do tego młodego człowieka.

Doktor trzymał fakt swojej przynależności do Kościoła Prawdy Duchowej w głębi bokiej tajemnicy i chociaż zawsze był lojalny wobec Accosty, w jego oczach i tonie głosu wyczuwało się niechęć kardynałowi bezczelności. Ten człowiek jako jedyny potrafił nazwać go „Wasz wi tobiwo ci” w taki sposób, by zabrzmiało to pogardliwie.

Accosta spojrzał na niego i się uśmiechnął.

- Ma pan coś dla mnie, Doktorze?

Bradley Soames skłonił się z czcią.

- Tak, Wasza wi tobiwo ci. Rozmawiałem z Frankiem Carvellim i trzecim członkiem Rady Prawdy o wszystkich stu o miu eksperymentach. - Przerwał. - Ten ostatni najlepiej ukazuje poczynione przez nas postępy.

Monitor plazmowy ustawiony obok Soamesa się włączył. Ukazała się na nim wyciągnięta na stole laboratoryjnym kobieta z gładko ogoloną głową w szklanej kuli przypominającej kask astronauty. Osadzony w niej był mały kwadrat z przydymionego szkła, podobny do ekranu małego telewizora.

Pod uniesionymi powiekami widać było szeroko otwarte oczy schowane za przyciemnianymi soczewkami kontaktowymi.

Początkowo Accosta nie poznał tej łysej kobiety, ale kiedy kamera zrobiła zbliżenie, zorientował się, że to matka Giovanna Bellini. Wzburzony, musiał wytrzymać całą siłę woli, by powstrzymać się od krzyku. Przeszył Soamesa w ciekłym wzrokiem, próbując wyczytać cokolwiek z jego twarzy, lecz obojętna mina naukowca nie zdradzała żadnych uczuć.

- Jak miało zrobić coś takiego? - rzucił. - Kto ci upoważnił?

Soames wzruszył ramionami w przepraszy, czym go cie.

- Ale, Wasza wi tobiwo, po tym, jak monsignore Diageo powiadomił mnie, że ta kobieta stwarza zagrożenie dla projektu, nie miałem wyboru...

Accosta zacisnął szczękę. Nie myślał, że Soames się do tego posunie. Monsignore Diageo zawsze zachowywał dyskrecję, kiedy trzeba było podjąć niezbyt dobre kroki, Soames tymczasem lubował się w poddawaniu kardynała różnym próbom.

- Była lojalna. Nie oczekiwałem, że... że zrobicie coś takiego.

- A czego Wasza wi tobiwo oczekiwał?

Odpowiedziało mu milczenie.

Soames się uśmiechnął.

- Matka Giovanna nie umarła na próbnictwo. Wasza wi tobiwo. Obserwujcie jej miernik, zobaczcie Wasza wi tobiwo, jak wiele już osiągnęliśmy.

W tej chwili Accosta znenawidził Soamesa. Nie mógł znaleźć jego młodzieńczej chęci i entuzjazmu, z jakim podejmował bezwzględne decyzje, które jego własną duszę wystawiały na tak ciężkie próbnictwo. A najgorsze było to, że przez niego nie mógł udawać przed sobą, iż zdradza matkę Giovannę Bellini, jedną ze swoich najbardziej lojalnych słuszek, nie skaże jej na miernik. W marynarce nauczył się, że wojna nie obywateli się bez ofiar, i już dawno pogodził się z tym, że chronić Boga dzieło, trzeba być gotowym do najwyższych poświęceń, mimo to miał wyrzuty sumienia.

- Doktorze Soames - powiedział szorstko - na przyszłość proszę bez mojego upoważnienia nie podejmować żadnych działań związanych z projektem „Dusza”. A teraz niech pan pokaże ten eksperyment.

Soames skinął głową.

- Jak Wasza wi tobiwo sobie życzy. - Odchrząknął. - Na początek garść podstawowych informacji: dzięki fizyce kwantowej wiemy, że ludzka wiadomość występuje jako cząstka, czyli mózg, i jako fala, czyli myślenie. Fizyka uczy nas tego, że energia nie może zniknąć bezładnie, musi w coś przejść. To samo dotyczy energii życiowej. Na podstawie ostatnich eksperymentów stwierdziliśmy, że w momencie mierzenia siła vitalna, czyli

wiadomo , opuszcza ciało w postaci jednolitego zbioru subatomo-  
wych fotonów. Aby je wykryć, posługujemy się zmodyfikowanym  
detektorem fotonów. Co ciekawe, w przypadku ka dego człowieka  
uzyskuje się inny obraz interferencyjny. Głowa badanego zostaje ogo-  
lona, by uniknąć naelektryzowania, a w celu uczynienia energii y-  
ciowej widoczną dla ludzkiego oka stosujemy soczewki kontaktowe z  
filtrem polimerowym, flawion i widma z zakresu światła zielonego, co  
pozwala sztucznie zmodyfikować cz stotliwość promieniowania elek-  
tromagnetycznego.

Accosta patrzył ponuro w ekran z oczami utkwionymi w oczach ko-  
biety. Zmusił się , by nie odwracać wzroku.

Zielony gaz wpłynął do szklanej kuli, okalając twarz mdłą , akty-  
wniczną aurę . Po prawej stronie ekranu widać było elektrodę przyzyczepioną do lewej skroni kobiety. W tle brzmiało odliczanie.

Cztery... trzy... dwa... jeden.

Z elektrody strzeliła iskra, po czym nastąpił błysk tak silny, że Ac-  
costa zmrużył powieki. Schowane za soczewkami oczy matki Giovan-  
ny zgasły jak przepalone arówki.

Accosta, złany potem, patrzył w te szeroko otwarte oczy z mocno  
bijącym sercem. Mimo drżących wyrzutów sumienia poczuł  
seksualne wręcz podniecenie. Co zobaczyła w chwili śmierci? Co  
widziała teraz?

- Je li Wasza wi toblisko pozwoli, wyjaśni , co się stało. Inne  
eksperymenty miały podobny przebieg.

Na ekranie pojawiło się nagranie tego samego eksperymentu z ka-  
mery ustawionej pod szerszym kątem. Accosta widział całe ciało  
Giovanny Bellini wyciągnięte na stole laboratoryjnym. Przed nią stały  
dwa monitory. - Odtwórz nagranie ponownie, ale tym razem ponad  
dwieście tysięcy razy wolniej. Światło rozchodzi się z prędkością  
trzysta tysięcy kilometrów na sekundę . Tylko oglądajcie film na zwo-  
nionych obrotach, możemy sprawdzić , czy udało nam się namierzyć  
energii yciowej . Zaczynam od momentu zaaplikowania ładunku elek-  
trycznego, ta metoda, niestety, jako jedyna umożliwia precyzyjne  
określanie chwili zgonu.

Tym razem, kiedy pojawił się błysk, Accosta zauważył , że jest to  
iskra, która wystrzeliła z oczu kobiety. Jakim cudem przeszła jedno-  
cześnie nie przez obie przyciemniane soczewki, po czym trafiła w ekran  
w osłonie twarzy i pozostawiła na ciemnym dotychczas monitorze  
przekazywany wzór z białych linii.

- Proszę zwrócić uwagę na zademonstrowany tu kwantowy dualizm  
korpuscularno-falowy. Z powodów nie do końca nam znanych siła  
witalna

opuszcza ciało przez oczy, co umożliwia odzwierciedlenie klasycznego doświadczenia na dwu szczelinach. Energia przechodzi przez oboje oczu matki Bellini i trafia w detektor fotonów w osłonie twarzy. Proszę zobaczyć, na ekranie pojawia się klasyczny obraz interferencyjny; cząstki światła, czyli fotony, opuszczają ciało, interferują same ze sobą. Ten przekształcony wzór jest niepowtarzalny i charakterystyczny dla matki Giovanny Bellini niczym kod kreskowy, sygnatura duszy.

Accosta skinął głową. Chłonec fachowy komentarz, ledził w drówek iskry przez ekran do zewnętrznej warstwy szklanej kuli. Tu, choć nagranie odtwarzane było w zwolnionym tempie, iskra w mgnieniu oka przemknęła po kilka milimetrów ciasno skręconego włókna, które rozświetliło się na chwilę jak aureola. A potem zgasło.

- I na tym właśnie polega problem - powiedział Soames. - Potrafimy rozpoznać i ukierunkować kondensat Bosego i Einsteina, ale...

- Ma pan na myśli duszę - przerwał mu Accosta.

- Tak, Wasza wi tobiwo. Kondensat Bosego i Einsteina to po prostu poprawne z punktu widzenia teorii kwantów określenie tworzącego duszę układu bozonów.

Accosta zmarszczył brwi.

- Czyli mówicie po ludzku, potraficie odpowiednio ukierunkować opuszczające ciało duszę, lecz nie jesteście w stanie uwiżyć jej do dłużej, czy ją namierzyć?

- Mówi tylko, że to potrafi, Wasza wi tobiwo. Tak, jak elektrycznie zawsze szuka ziemi, energia, o której mówimy, dąży do nieba. Zatrzymanie jej choćby na milisekundę, czy ją namierzyć, to trudne zadanie. Wasza wi tobiwo musi zrozumieć, że samo udowodnienie kwantowego dualizmu mózgu i umysłu, ciała i duszy jest znaczącym osiągnięciem. Już tylko to, że stwierdzili my, że kwantowa dusza istnieje w postaci bozonowego układu fotonów, to przełom. Jednak próbując namierzyć duszę, wychodzimy poza fizykę kwantową i wkraczamy w domenę metafizyki kwantowej. Niemniej jednak tak błyskawicznie, że wiedza nabyta w jednym eksperymencie praktycznie nie przydaje się w następnym. Kiedy umiera inaczej, więc pozostaje nam tylko zdać się na metodę prób i błędów w nadziei, że w końcu przypadkiem zdołamy dostroić się do właściwej częstotliwości. Gdyby ludzie umierali więcej niż raz, moglibyśmy skoncentrować się na jednej osobie i przy każdej jej śmierci powtarzać te same eksperymenty, aż do skutku. Wówczas raz-dwa namierzylibyśmy częstotliwość kondensatu Bosego i Einsteina, to znaczący sukces.



- Ale ludzie umierają tylko raz. Jak du o brakuje wam do tego, by poznać czy stotliwo duszy?

- Jesteśmy o krok. Próbowaliśmy wykorzystać do naszych celów zasady stosowane w optoelektronice. Tak, jak komputer optyczny wychwytuje spójny zbiór przenoszących dane fotonów światła, tak nam powinno udać się wychwycić dusz w postaci spójnego bozonowego systemu fotonów światła i utrzymać je do czasu, by namierzyć je czy stotliwo. Potrzebujemy tylko czasu.

- A czasu nie mamy. Czy są jakieś plany awaryjne?

- Rada Prawdy dokładnie przeanalizowała pokrewne technologie, by sprawdzić, które mogą okazać się użyteczne. Prace nad najbardziej obiecującymi są monitorowane i wspierane pewnymi grantami, byśmy w razie udanego ich zakończenia mogli mieć pełne informacje na ich temat. Na razie jednak najlepiej byłoby kontynuować eksperymenty oparte na technologii, którą przedstawiłem.

Accosta zmarszczył brwi.

- Frank Carvelli mówił, że jest pan przekonany, że wkrótce nastąpi przełom.

- Pojawiła się nowa, nieoczekiwana możliwość. Trzymam rękę na pulsie, chcę jednak jeszcze upewnić się co do kilku szczegółów, zanim powiem o wszystkim Waszej wiadomości. - Przerwał. - Jednak może Wasza wiadomość chce na jakiś czas wstrzymać prace, dokona bilansu...

- Nie. Nie. Wykluczone - powiedział pośpiesznie Accosta. - Wprost przeciwnie, musicie je przyspieszyć. Znaczenie misji, której się podjęliśmy, jest zbyt wielkie, by ją opóźnić, i jeśli pańska ufność wobec tej technologii ma solidne podstawy, to sukces jest na wyciągnięcie ręki. Gra toczy się o zbyt wysokie stawki.

- Ale sądzę z reakcji Waszej wiadomości na miernik matki Giovanni, wydaje się, że powinniśmy...? - Soames zawiesił głos.

Accosta wbił wzrok w Doktora zły na siebie, że nie może się bez niego obyć. Nie pierwszy raz zaczął się zastanawiać, jakie są prawdziwe przyczyny, dla których ten naukowiec mu pomaga. Zachowuj się zimny, beznamytny ton, powiedział:

- Teraz, kiedy zabił pan matkę Giovanni, doktorze Soames, jest tym bardziej konieczne, by projekt „Dusza” zakończył się powodzeniem. Nie pozwól, by jej miernik poszła na marne.

**Surrey, Anglia**  
**Nast pnego dnia**

**M**iles Fleming siedział w pierwszej ławie w starym kościele. Patrzył prosto przed siebie i po raz kolejny powiedział sobie w duchu, że po powrocie do Barley Hall znajdzie racjonalne wytłumaczenie tego, że jego brat przemówił sześć minut po śmierci. Drzyło go to tak, że nie mógł tego oddać słowami.

W starym kościele nieopodal domu jego rodziców w Surrey pachniało kadzidłem, woskiem pszczelim i kurzem stuleci. Ciemne, drewniane ławy były wytarte, kamienne tablice na ścianach upamiętniały parafian poległych na wojnach toczonych przed wiekami.

Kto kiedy powiedział, że pogrzeby słyszalnym, nie martwym, i takie Fleming miał tego dnia wrażenie. Choć był ateistą, bez wahania zamówił mszę pogrzebową przez wzgląd na rodziców i Jake'a. Jego matka i ojciec musieli uwierzyć, że ich syn przeniósł się do lepszego świata, Jake'owi zaś ceremonia miała pomóc zrozumieć i zaakceptować to, co się stało.

Kościół był pełny, nie dla wszystkich starczyło miejsc. Oprócz członków rodziny przybyło wielu znajomych Roba: sztywni żołnierze w pełnym umundurowaniu, mężczyźni pod krawatami, a nawet kilku zapalonych alpinistów o ogorzałych twarzach, w wymiarach tych polarach. Wszyscy zjechali się do małej wioski na południe od Londynu, by pognać Roba i oddać jego pamięci.

Kiedy Fleming z przyjaciółmi kolegami Roba z wojska wniósł trumnę do kościoła, poczuł nieodpartą potrzebę wykrzyknienia wszystkim, że pozwolił bratu umrzeć i słyszał jego głos z za wiatów. Opanował się jednak, pomógł złożyć trumnę przed ołtarzem i usiadł na końcu pierwszej ławy obok Jake'a i swoich rodziców. Czuł na nodze ciepły dotyk uda bratanka i słyszał, jak mały oddech, wpatrując się w trumnę. Jak z oddali dobiegał go uroczysty głos anglikańskiego pastora, ale nie rozumiał ani jednego słowa. Całą uwagę skupił na urywającym oddechu bratanka, nasłuchiwał pierwszych oznak załamania.

Przez cztery dni, które minęły od śmierci Roba, Fleming rzucał się w wir spraw praktycznych, by zajęty czymś innym. Powiadomił Virgini Knight, co się stało, wypełnił akt zgonu, a potem dostał urlop z Barley Hall i pojechał

do rodziców i Jake'a, by poczyni przygotowania do pogrzebu. Profesjonalista wzi ł w nim gór , lecz w gł bi duszy czuł si odr twiały; szok i al, tłumione resztkami siły woli, lada chwila mogły znale uj cie.

Był o krok od załamania, kiedy w Cambridge przekazał złe wie ci matce i Jake'owi. Mama a si zachwiała, szybko jednak wzi ła si w gar i przygarn ła zdezorientowanego Jake'a do piersi. Potem przytuliła Fleminga i jego te próbowała pocieszy słowami: „Miles, zrobiła , co w twojej mocy. Nikt nie mógłby zrobi nic wi cej. Rob teraz jest ju bezpieczny u Boga”, a on wtedy musiał przygry warg i zamruga oczami, by powstrzyma łzy. Wiedział przecie , e wcale nie zrobił wszystkiego, by ocali brata. Cho rodek pobudza cy pewnie by nie pomógł, Fleming musiał y ze wiadomo ci , e powstrzymał piel gnark i pozwolił Robowi umrze . Nie powiedział jeszcze rodzicom, co zrobił, i pewnie nigdy si na to nie zdob dzie, bo nie potrafiliby tego zrozumie - dla nich ycie było wa niejsze ni cierpienie.

- O wszechmog cy, wszechwiedz cy, miłosierny Bo e...

Słowa kapłana wdarły si w my li Fleminga i wezbrała w nim ponura zło . To, co wła nie usłyszał, było dla niego najwi ksz zagadk wiary. Albo Bóg wiedział o istnieniu cierpienia i mógł poło y mu kres, ale nie chciał tego zrobi , co znaczyłoby, e nie jest miłosierny, albo wiedział o cierpieniu i chciał poło y mu kres, lecz za choler nie potrafił tego zrobi , z czego wynikałoby, e nie jest wszechmog cy, albo mógł i chciał poło y kres cierpieniu, nic o nim jednak nie wiedział, co wskazywałoby, e nie jest wszechwiedz cy. Bóg po prostu nie mógł by wszechmog cy, wszechwiedz cy i miłosierny jednocześnie.

Spojrzał w bok, na rodziców. Matka wydawała si drobna i krucha, a ojciec, emerytowany architekt, po raz pierwszy, odk d Miles pamię tał, wygl dał staro. Wpatrywali si w kapłana z wiar , podtrzymuj c ich na duchu i nadaj c sens cierpieniu, które Fleming od dawna uważał za okrutne zrz dzenie lepego losu. ałował, e sam nie mo e szuka pocieszenia w religii. Có , to nie takie proste.

Cho jego brat ju wła ciwie nie ył, kiedy prosił, by „przeci lin ”, a Fleming był przekonany, e post pił słusznie, uwalniaj c go od cierpienia, jedno nie dawało mu spokoju: Rob nie tylko przemówił sze minut po mierci, ale sprawiał te wra enie, jakby nie zaznał ukojenia. Fleming walczył z wyrzutami sumienia i usiłował uciszy sprzeczne my li kł bi ce si w jego głowie. Rob teraz mógł by tylko w nico ci, nigdzie indziej. W NeuroTranslatorze musiał wyst pi jaki po lizg, usterka, która

wywołała wrazenie, a zmarły przemówił z za wiatów, a tym, co Miles słyszał, był nie głos udręczonej duszy, lecz ostatni jęk konającego mózgu wiadomego nadciężnicy.

Fleming musiał w to uwierzyć, bo jego przekonania nie dopuszczały innej możliwości. Nie mógł zniechęcić się wiadomości o kochanego brata wciętym i cierpi. Tym bardziej że on sam nie próbował go ocalić.

Głos zabrał oficer z pułku Roba. Jego lekki irlandzki akcent i powściągliwie przywoływane wspomnienia zdawały się przywracać zmarłego do życia. Na słowa „był najlepszym z ojców, najlepszym z synów i najlepszym z braci, ale nade wszystko najlepszym z ludzi” oczy Milesa wypełniły się łzami.

Jednak dopiero, gdy usłyszał szloch Jake'a i wyobraził sobie, jak wielką pustkę musi odczuwać ten mały chłopiec, co w nim pokłóło. Kiedy po jego twarzy popłynęły łzy, nie czuł bólu, tylko ulgę towarzyszącą uwolnieniu tłumionych doświadczeń. Wziął Jake'a w ramiona i płakali razem w niepomaganą rozpacz.

### Trzy godziny później

Kiedy ostatni z kłobników wyszedł ze stopy urządzonych w tym domu rodziców, Fleming powędrował do ogrodu. Miło było zobaczyć znajomych Roba, ale czuł się zgnębiony i obolały. W ród zapadającego zmierzchu usiadł na ławce pod jaworem, na który wdrapywali się z bratem, kiedy rodzice przenieśli się tutaj z Peak District.

To miejsce i związane z nim wspomnienia działały na niego korycy, lecz w głębi ducha nie mógł się doczekać powrotu do Barley Hall. Jeszcze przed wyjazdem z kliniki chciał dla pewności sprawdzić NeuroTranslatora, wówczas jednak najważniejsze było to, by jak najszybciej dołączyć do rodziny. Teraz, im dłużej sprawa opóźnionej reakcji Briana pozostawała niewyjaśniona, tym bardziej się niestrudził. Nie wystarczyło uwierzyć, że to był nic nieznaczący przypadek; musiał to udowodnić.

Z kuchni wyłoniła się mała postać.

- Milo?

Choć nosił protezy od niedawna, Jake chodził tak naturalnie, że Fleming nie wyobraził sobie, by ktokolwiek mógł zauważyć u niego choćby ślad ułomności.

- Cześć, Jake. Chodź do mnie.

Chłopiec usiadł na ławce przy nim i oparł się o niego.

- Milo, dlaczego oni musieli odejść ?

Fleming objął Jake'a ramieniem. Przez ostatnie cztery dni chłopiec wypytywał babci o to, co stało się z mamą i tatą, a ona opowiadała mu o niebie i Bogu. Fleming w tym czasie zatroszczył się o przyszłość Jake'a: po długich dyskusjach ustalono, że na razie zajmą się nim dziadkowie, lecz Miles go adoptuje.

- Cóż, czasem dzieją się rzeczy, których nie potrafimy zrozumieć, Jake - powiedział. - Tak to już jest. Ale wiem, że mama i tata bardzo ci kochali i że ja ci kocham, i że babcia i dziadek też ci kochają. Nadal mamy siebie.

- No tak, ale gdzie mama i tata są teraz? Mają maila?

Miles się uśmiechnął.

- Jeśli tak, nie podali mi adresu.

- A jak ty myślisz, gdzie jest tata? On musi gdzieś być, Milo.

- Cóż, na pewno żyje w naszych wspomnieniach i naszych sercach. -

- Ale co teraz myślisz? Widzi mnie?

- Nie wiem. Myślę, że twój tata poszedł spać i tyle. Był chory, teraz odpoczywa.

- O czym myślisz?

Przypomniał sobie sen Amber i jej przypuszczenie, że zmarła siostra żyje w jej mózgu. - Jestem pewien, że jeśli w ogóle żyje, to ma same przyjemne sny, o tobie i o wszystkich, których kocha.

- Co się dzieje, kiedy się budzi?

- Może się nie budzi. Może śpi długim, spokojnym snem, który nigdy się nie kończy.

- Babcia mówi, że mama i tata są w niebie.

- Może i tak.

- Mówi, że niebo jest bardzo wysoko i że jest tam ładnie.

- No, skoro tak, to twój tata na pewno tam dotarł. Jest dobrym alpinistą.

Jake spojrzął w gwiazdy i westchnął.

- Milo - zmarszczył w zamyśleniu czoło - jeśli Bóg stworzył niebo, gdzie jest dobrze, to dlaczego robi rzeczy, które są złe? Po co zabrał mamę, i tatę? Nie potrzebuje ich obojga.

Fleming był ciekaw, co powiedziałyby na to jego matka. Jake nawet nie wspomniał o tym, że ten rzekomo wszechmogący, wszechwiedzący i miłosierny Bóg zabrał też jego nogi.

- Nie wiem, Jake. Je li Bóg istnieje, mo e jest chciwy i pomy lał sobie, e twoi rodzice s tak wyj tkowi, e chce ich tylko dla siebie.

- W niebie jest dobrze, prawda? - Powa na twarz Jake'a wyra ała niepokój.

- Jasne. - Fleming zmierzwił włosy bratanka.

- Czyli mama z tat s szcz liwi, bo w niebie wszyscy s szcz liwi?

Fleming napotkał przenikliwe spojrzenie Jake'a.

- Tak, Jake, na pewno.

Jednak, rzecz jasna, wcale nie mógł by tego pewien.

Bo i kto to mo e wiedzie ?

## 21

### Laboratorium My li Dziewi godzin pó niej

Była za dwadzie cia trzecia w nocy i Amber spała twardo w Laboratorium My li w Barley Hall. Poprzedniego popołudnia przyleciała z San Francisco i dowiedziała si od Virginii Knight o mierci Roba Fleminga. Piel gniarki pomogły jej zanie rzezy do boksu, w którym ku swojej rado ci znalazła kartk od ojca Petera Rigi i pudełko jej ulubionych belgijskich czekoladek. *Jestem pewien, e badania wyka tylko tyle, e masz wybitny umysł. Zadzwo , gdyby chciała porozmawia . Papa Pete.*

Potem przenie li j do Laboratorium My li na dalsze wiczenia i analizy. Przed osiemnastoma minutami zasn ała i w a nie wchodzila w faz snu REM, której towarzysz marzenia senne.

Kiedy nieprzytomny umysł Amber opuszczał jej ciało, drgn ała i zacz ała rzuca si po łó ku. Po chwili zeszywniała, poruszały si tylko jej gałki oczne. Uniosła powieki i spojrzała pustym wzrokiem w sufit. Odrywała si od ciała jeszcze szybciej ni poprzednio - tak szybko, e nie mogła złapa tchu - i p dzila z obł dn pr dko ci w stron wiatła. Wszystko wydawało si ci ni te, ciemno ciemniejsza, wiatło ja niejsze. Była pewna, e tym razem ujawni jej ono jak przera aj - c prawd i wchłonie j na zawsze.

Mkn c ku niemu, mogła tylko krzyce bezgło nie w pró ni ...

Miles Fleming przejechał przez bramę Barley Hall i ruszył wiozonym podjazdem w stronę budynku. Zatrzymał wóz przed głównym wejściem. Otoczony kolumnami doryckimi portyków wyglądał imponująco w blasku reflektorów, ale Fleming nawet nie podniósł głowy, tylko wszedł do rodka i skierował się prosto do swojego gabinetu.

Po rozmowie z Jakiem położył się wczoraj nie spał i po dziesięciu tej zapadł w niespokojny sen. Po dwóch godzinach obudził się zły zimnym potem; nie pamiętał, co mu się przytrafiło, ale poczuł, że musi wyjść z domu rodziców i przyjechać tutaj. Chciał już teraz dowiedzieć się, dlaczego NeuroTranslator pozwolił Robowi przemówić po mierci. Musiał znaleźć racjonalne wytłumaczenie tego, co się stało.

Przeszedł słabo oświetlonym korytarzem przez wschodnie skrzydło Barley Hall, obojętnie minął pielęgniarkę drzemącą przy biurku, lecz zwolnił kroku, kiedy usłyszał dochodzący z Laboratorium Myli płaczliwy krzyk dziecka. W Barley Hall nie było w tej chwili żadnych dzieci. Kiedy zrozumiał poszczególne słowa, włosy zjeły mu się na karku.

Uchylił drzwi Laboratorium Myli i zobaczył Amber Grant; leżała w łóżku nieruchomo jak głaz z niebieskim czepkiem na głowie. Jej skóra błyszczała od potu, oczy były otwarte. Wyglądała niepokojąco, ale to dziecięcy głos wydobywający się z jej ust sprawił, że Fleming wstrzymał oddech.

- Amber, Amber, gdzie jesteś?! - krzyczała z przerażeniem i bólem.

Podszedł na palcach do NeuroTranslatora - pulsował wszystkimi kolorami, które emitowanymi przez procesory optyczne dokonuje niezliczonych równoległych obliczeń. Miles wyregulował dwa pokrętki w pulpicie pod kulisami i pstryknął przełącznikiem. Kiedy z głośników dobiegł szum, zaczął nasłuchiwać, choć właściwie sam nie wiedział czego. Zaczekał chwilę i już zamierzał wyjść, gdy nagle przez trzaski przebił się dźwięk.

Był to przeraźliwy skowyt, jakiego jeszcze w życiu nie słyszał. Kiedy pospiesznie rzucił się do wyjścia, jedyne, o czym potrafił myśleć, to o cytacie z Biblii, z którego mieli się nerwowo z bratem na lekcji religii. „Lecz dzieci królestwa zostaną wyrzucone na zewnątrz, w ciemno; tam będzie płacz i zgrzytanie zębów”.

Mimo jego dojrzałego sceptycyzmu ten rozpaczliwy lament zmroził mu krew w żyłach. To był dźwięk nie z tego świata, skarga umęczonej duszy.

Wziął się w garść i odwrócił w stronę łóżka. Amber już się uspokoiła, oddychała regularnie, miała zamknięte oczy. Wyszedł z Laboratorium Myli

i skierował się do gabinetu. Nie obawiał się już, że nie zdoła wyjechać z tego, jak Rob przemówił po śmierci. Przerażała go myśl, że tego dokona.

## 22

### **Czerwona Arka, 33° 15'S, 16° 06'E Tej samej nocy**

Xavier Accosta nie cierpiał nocy. Pozostawało tylko do zrobienia, a więc niczego nie mógł zdziałać. Kiedy praktycznie obywateli było bez śniegu, te czasy jednak bezpowrotnie minęły. Poza tym noc była porą refleksji; kiedy zostawał sam na sam ze swoimi myślami, opadały go w sposób nieprzyjemny. Jego wiara wystawiana była na próbę.

- Powiedz szczerze, monsieur - zapytał, kiedy asystent pomagał mu przygotować się do snu w prywatnej kajucie na pokładzie Czerwonej Arki - czy wierzysz, że Doktor i naukowcy osiągną cel?

Paulo Diageo był jedynym człowiekiem na wiecie, któremu wyjawiał szczegóły. Ten barczysty mężczyzna pracował dla niego od czasu, kiedy Accosta przed ponad dwudziestoma laty dostał się do kurii rzymskiej. Po jego odejściu z Watykanu Diageo jako pierwszy przysięgnął mu wierność. Wychowany w slumsach Neapolu, kiedy powiedział kardynałowi, że przeżył dwa nawrócenia: pierwsze, ziemskie, kiedy wstąpił do zakonu dominikanów, by wyrwać się ze swojego otoczenia, i drugie, duchowe, gdy pierwszy raz usłyszał kazanie Accosty i postanowił pójść za nim. Był twardym człowiekiem obdarzonym rozumem, błyskotliwym inteligencją, nadal miał liczne kontakty w wiekowym półświatku - niektórzy twierdzili, że nawet w mafii - i Accosta wiedział, że zrobiłby dla niego wszystko.

Diageo wziął od Accosty szkarłatne szaty, złożył je i schował do kosza na brudną bieliznę. Z zadziwiającą delikatnością sięgnął po wielebny przy drzwiach, rozpakował je z plastiku i powiesił w wysokiej mahoniowej szafie, by były gotowe na rano. Sięgnął na łóżko po biały szlafrok frotte i pomógł Accostę się włożyć.

- To naukowcy spowodują, że wypełni się przeznaczenie Waszej wiary - odparł powoli, głosem bokim, podczas gdy Accosta



wsun 1 r ce w r kawy. - Uczyni to Bóg. Nie pozwoli, by zabrakło czasu. Wasza wi tobliwo jest zbyt wa ny dla Jego planów.

Jego spokojna pewno podniosła Accost na duchu.

Diageo wszedł do łazienki obok kajuty.

- K piel gotowa, Wasza wi tobliwo - powiedział. - rodki przeciwbólwe i leki le obok łó ka. Czy czego jeszcze potrzeba?

- Nie. Niech Bóg ci błogosławi, monsignore.

- I Wasz wi tobliwo . Gdyby co ...

- Dzi kuj , monsignore. Zadzwoni , gdybym czego potrzebował.

Po wyj ciu Diageo Accosta poku tykał po dywanie w stron łazienki. Jego osobista kwatery wygl dała skromnie. Najcenniejszym elementem wystroju była ceremonialna szabla w pochwie, zawieszona nad łó kiem, jedyna pami tka z lat słu by w argenty skiej marynarce wojennej, symbol toczonej przez kardynała wiekuiestej wojny o zbawienie ludzko ci.

Wszedł do łazienki, zrzucił szlafrok z ramion, zdj ł bielizn i stan ł nago przed lustrem. Wci wygl dał zadziwiaj co dobrze, bior c pod uwag jego wiek i liczne urazy, jakie odniósł przez te wszystkie lata. Najbardziej widocznymi skazami były blizny na niesprawnej lewej nodze i zdeformowane biodro, lady po ranie, która zmieniła jego ycie.

Był wówczas innym człowiekiem, młodym, zapalczwym wojownikiem, który uwa ał za rzecz oczywist , e Bóg jest po jego stronie. Nie liczyło si dla niego nic prócz podbojów, tak na polu bitwy, jak i w łó ku. I wtedy brytyjski harrier zatopił jego kr ownik u wybrze y Falklandów. Accosta nie przypominał sobie eksplozji ani lotu migłowcem, który zabrał go z ton cego okr tu. Cho jednak od tamtego czasu min ło ponad trzydzie ci lat, wci pami tał ka dy szczegół trwaj cej jedna cie godzin operacji w szpitalu w Buenos Aires. Był wtedy pod narkoz , ale jednocze - nie unosił si nad stołem operacyjnym i patrzył, jak chirurdzy składaj jego połamane biodro. Zastanawiał si , czy prze yje.

Kiedy si ockn ł, wiedział, e musi zmieni swoje ycie. Został wybrany; Bóg oszcz dził jego dusz , ale okaleczył ciało, daj c do zrozumienia, e powinien przywi zywa mniejsz wag do spraw cielesnych, a wi ksz do duchowych, i wypełni Jego wol . Zesłał Acco cie dar cierpienia, by nieustaj cy ból przypominał mu, e jest posta cem Boga.

Poku tykał do wanny i sprawdził temperatur wody, zanim do niej wszedł. Gdy zanurzył si i poczuł, jak ciepło przenika do jego obolałych ko ci, pocieszył si my l o wszystkim, czego dokonał od zerwania z Rzy-

mem. W ledwie dziesięć lat uczynił z Kościoła Prawdy Duchowej najważniejszą duszpasterstwo wiata.

Mimo to kiedy wyszedł z wanny i wytarł się, uzmysłowił sobie, że nawet ten fenomenalny sukces jest bez znaczenia. Wciąż był koszul nocną, signął po szklankę wody i tabletki leżące na stoliku, po czym połknął je w takiej kolejności, w jakiej zostały ułożone przez Diageo, zmawiając przy tym krótką modlitwę. Miał nadzieję, że Diageo się nie mylił i że Bóg da Bradleyowi Soamesowi do czasu, by projekt „Dusza” zakończył się powodzeniem.

Położył głowę na poduszce i wyłczył światło. W ciemności zobaczył szeroko otwarte oczy matki Giovanni, patrzące na niego z wyrzutem, i odwrócił się twarzą do poduszki. Projekt „Dusza” musiał zakończyć się powodzeniem, by jej miernicy i pozostających - mogła znaleźć usprawiedliwienie. Jego przeznaczenie nie mogło ograniczać się tylko do głoszenia Słowa Bożego na ziemi. Aby nadać sens swojemu życiu - i miernicy matki Giovanni - musiał głosić Słowo Boże na ziemi i w niebie.

## 23

Fleming wyszedł z Laboratorium Myśli i pobiegł ciemnymi, opustoszałymi korytarzami Barley Hall do swojego gabinetu, gdzie włączył komputer i dostał się do Data Security Providera. Wpisał hasło i otworzył zastrzeżone pliki Briana. Przejrzał bazy danych NeuroTranslatora, a wypatrzył katalog o nazwie Rob Fleming. Odetchnął głęboko, dotknął na ekranie ikony katalogu i otworzył go - ukazała się lista podkatalogów.

W kilka sekund podzielił ekran na dwie części; ta po lewej stronie pokazywała pulsujące wykresy fal mózgowych Roba, po prawej zaś widać było odtwarzane w Quicktime nagranie z kamer rozmieszczonych w Laboratorium Myśli pokazujące moment jego miernicy. Zegar u dołu ekranu pozwalał zsynchronizować poszczególne fragmenty nagrania z odpowiadającymi im wycinkami wykresów.

Starał się zachować dystans do tego, co widział. Odtworzył eksperyment od samego początku i patrzył, jak sygnały fal mózgowych oscylują przy

pierwszym słowie „wypowiedzianym” przez Roba. Każdemu słowu przypisana była unikalna sygnatura złożona z licznych fal mózgowych i przewijając ekran do góry, Fleming nie zauważył niczego niezwykłego.

Aż do chwili, kiedy Rob dostał ataku.

Po prawej stronie ekranu Frankie przyciskała elektrody defibrylatora do piersi Roba. W tym samym czasie fale mózgowie Roba zaczęły gwałtownie oscylować, jak pod wpływem silnego bólu. Potem, jedna po drugiej, wszystkie linie spłaszczyły się, sygnalizując śmierć mózgu.

Przez następnych sześć minut fale mózgowie pozostawały martwe. Wszystkie oprócz jednej, której długość ledwie mieściła się w widmie czysto słyszalnej. Ulegała nieregularnym wahaniom, kiedy Rob wypowiadał swoje ostatnie słowa. Wyglądało na to, że ona jedna odpowiedzialna jest za to, że przemówił po śmierci. Fleming pierwszy raz spotkał się z czymś takim. Dotknął palcem ekranu i pojawiło się okienko dialogowe. Spojrzał na nagłówek, ale nie było tam nazwy, tylko jedno słowo: Nieznane.

Fleming stuknął w podwójną strzałkę u dołu ekranu i przewinął nagranie do początku eksperymentu. Tym razem, kiedy przesunął obraz fali do góry, zauważył, że niezidentyfikowany sygnał milczał do chwili śmierci Roba. Usiłował zrozumieć to, co się stało. Obejrzał eksperyment jeszcze dwa razy z głębszym dźwiękiem, by słyszeć wspomagany komputerowo głos Roba. Przez cały czas analizował długości fali, zwłaszcza tej nieznaną, widoczną u góry ekranu.

W końcu dokonał dwóch spostrzeżeń. Po pierwsze, ta nowo odkryta fala zdawała się sprawiać, że Rob po śmierci mówił bardziej płynnie niż wcześniej, tak jakby szybciej uczyła się obsługi NeuroTranslatora wszystkie pozostałe fale razem wzięte. Po drugie, chociaż uaktywniła się w chwili śmierci Roba, nie znaczy to, że pojawiła się dopiero wtedy. U pionowej linii niedostrzeżona u szczytu skali była w sieci neuronowej Briana od początku eksperymentu.

Fleming nie potrafił wyjaśnić tego pierwszego faktu, ale przyczyna drugiego była oczywista: NeuroTranslator nie odkrył tajemniczej nowej fali w chwili śmierci Roba. Jego sieć neuronowa nauczyła się jej od innego pacjenta, i to niedawno.

Fleming pochylił się do przodu, stuknął palcem w ekran i otworzył list plików NeuroTranslatora. Patrzył, jak na monitorze ukazują się informacje o Amber Grant. Po prawej stronie ekranu pojawiło się nagranie jej pierwszej nocy w Laboratorium Myśli. Rzuciła się we śnie na łóżko, nagle uspokoiła się, ot-

worzyła oczy i zaczęła krzycze głosem małej dziewczynki. Co chwila wzywała swojego imienia, jakby się zgubiła.

Fleming zerknął na lewą stronę ekranu i co cisnął go w gardło. Najpierw wszystkie długości fal się trzyły i wpadły w gwałtowne drgania jak u umierającego Roba. Potem obraz zniekształcił się, wszystkie wykresy uległy spłaszczeniu jak w stanie mierni mózgowej i u szczytu widma cz. stotliwo się pojawił jeden jedyny pulsujący sygnał.

Fleming nie musiał tego sprawdzać, by wiedzieć, że była to ta sama długość fali, która pozwoliła Robowi przemówić po mierni. Wbił wzrok w ekran. Powoli, jak w letargu, wyciągnął dłoń do ikon na monitorze, otworzył pliki z minionej nocy i włączył nagranie zdarzenia w Laboratorium Myli, którego był wiadkiem.

Patrzył na u pion Amber, zwracając uwagę na jej zachowanie w chwili wejścia w fazę REM. Szamotała się, jakby ktoś ją gnął gdzieś wbrew jej woli. Kiedy osiągnęła stan marzeń sennych, jej miernie się rozluźniły. Przy wejściu w fazę REM większość ludzi ulega paraliżowi, ponieważ mostki i rdzenie przedłone wysyłają rdzeniem kręgowym sygnały, które unieruchamiają miernie i tym samym zapobiegają odtwarzaniu czynności ze snu. Sygnały wysyłane przez Amber były słabe. Nagle otworzyła oczy, jakby czego wypatrywała. Zaczęła mówić tym samym głosem, który słyszał przed chwilą głosem małej dziewczynki.

Kiedy patrzył na fale mózgowe gasnące po lewej stronie ekranu i Amber mówiła przez sen po prawej, nagle zobaczył, jak on-sam podchodzi do NeuroTranslatora i włącza głośniki. Gdy usłyszał nie-ludzki skowyt, spojrzął w lewo, na jedyną niezidentyfikowaną falę mózgową. Drgała w sposób zsynchronizowany z krzykiem, jakby odzwierciedlała wyrażony nim ból. I przez cały ten czas słychać było, jak Amber woła swoje imię. Fleming wiedział o ludzkim mózgu tyle, co prawie nikt, i gorąco pragnął zobaczyć wszystko, co zobaczył, na karb anomalii chorej psychiki albo tłumionych wspomnień. Nie mógł jednak tego zrobić.

Przypomniał sobie, co Amber powiedziała mu o mierni, w którym umierała, i zaczął go nurtować pytanie: A je li miała słuszność? Skoro nosiła w sobie cz. ywego mózgu martwej osoby, może jej wiadomo rzeczywiście była w jakiś sposób połączona ze wiadomościami jej siostry. Może jej sen był wspomnieniem przedmiernego do wiadczenia, które przeżyła na stole operacyjnym, a krzyk, który Fleming słyszał - skarg umierającego umysłu wyemitowany na nieznaną długość fali. A głos dziecka mógł pochodzić ze wiadomości Ariel, nie Amber.

Czy Amber nie mówiła czegoś o tym, że ona i siostra próbują skontaktować się ze sobą, ale nie mogą tego zrobić, jak dwa identycznie spolaryzowane magnesy? Fleming odchylił się na oparcie krzesła i potarł skronie. Czoło miał rozpalone jak w gorącej, drżącej mu ręce. Pragnął położyć się do łóżka i zapomnieć o wszystkim, ale ten krzyk nie dawał mu spokoju. Jakkolwiek interpretował dane, które miał przed oczami, uporczywie przychodziło mu do głowy tylko jedno prawdopodobne - czy raczej nieprawdopodobne - wyjaśnienie.

Jakim cudem, kiedy Ariel umarła, cząstka jej wiadomości ocalała w dzielonej z Amber części mózgu. W odróżnieniu od innych komórek ludzkiego organizmu komórki mózgu nie odnawiają się, dlatego te między innymi zachowała się szóstkowa wiązka. Ocalały fragment wiadomości Ariel zdawał się próbować nawiązać kontakt z jej siostrą, a jaka część ją ni Amber co najmniej dwa razy wyprawiła się w zaścianki. To było tak, jakby siostry bezwiednie dotęły do spotkania na ziemi niczyjej między życiem a śmiercią.

Jeśli wspólna część mózgu bliźniaczek była także czymś je hardwarem, to unikalna, nieznaną falą mózgową pełniła funkcję oprogramowania. Wystąpiła ona jednak nie tylko u nich; także Rob dziękując przemówił zza grobu. Ten sygnał nerwowy, ta cząstka duszy mogła okazać się uniwersalnym połączeniem między abstrakcyjnym umysłem a fizycznie istniejącym mózgiem - między życiem a śmiercią.

Kiedy Fleming odsłuchiwał nagrania Amber mówiącej przez sen i krzyku z głosem NeuroTranslatora, przypominały mu się jego sen i pytanie Jake'a o niebo. Zimny dreszcz przeszedł mu po plecach.

Musi istnieć racjonalne wytłumaczenie tego wszystkiego.

Był tak zatopiony w myślach, że aż podskoczył na widok stojącej półtora metra od niego postaci wpatrzonych w monitor jego komputera. Kierowniczka Barley Hall trzymała w rękach dwie filiżanki espresso.

- Virginio, co ty tu robisz?

- Ja mam wymówkę, cierpię na bezsenność, Miles. A ty? Jak długo tu stoisz?

Knight jeszcze raz spojrzała na ekran. Jej twarz była biała.

- Wystarczająco długo. Co się dzieje, do licha?

Fleming poczuł ulgę, że może zrzucić ten ciężar z piersi.

- Usiódź, Virginio. Sam do końca nie wiem, o co w tym chodzi, ale jest parę spraw, o których powinnaś wiedzieć.

**Czerwona Arka, 18° 10' S, 16° 01' E**  
**Dziewi dziesi t dwie minuty pó niej**

Xavier Accosta mocno spał, kiedy ktoś gło no zapukał do drzwi jego kajuty. Kardynał otworzył oczy zdeorientowany.

- O co chodzi? warknął.

Drzwi uchyliły się i na wytarty kolorowy chiński dywan padł trójkąt światła. W szparze ukazała się głowa monsignora Diageo.

- Wasza wi tobiwo, proszę wybaczyć, przeszkadzam, ale jest pilny telefon.

- To nie może poczekać?

Diageo otworzył drzwi szerzej, powitał trójkąt światła, i wszedł do kajuty.

- Nie, Wasza wi tobiwo. - Miał w ręku bezprzewodowy telefon cyfrowy.

- Która godzina?

- Wpół do czwartej czasu kapsztadzkiego.

Accosta jakby i wziął telefon. Poczłkowo nie poznał głosu rozmówcy, ale kiedy zorientował się, kto dzwoni, irytacja zniknęła bezładnie, ustąpiła c skupieniu.

Słuchając, czuł, jak wzbiera w nim euforia. Powstało pragnienie, by zarzucić rozmówcę pytaniami, choć chciał wiedzieć wszystko. Zaczekał, a osoba na drugim końcu linii skończyła mówić, po czym zadał trzy pytania. Wysłuchał uważnie odpowiedzi i wydał cztery polecenia. Wreszcie podziękował, rozłączył się i oddał telefon czekającemu Diageo.

Odrzucił pociechę, zerwał się i pognął do łazienki, niemal nie kulejąc.

- Monsignore Diageo - zawołał przez ramię - musimy przygotować się na nowy dzień! Jest wiele do zrobienia. Pan nam dopomóż i nie możemy Go zawieść.

## 24

### Barley Hall Nast pnego ranka

Amber obudziła si wyczerpana. Sen z ostatniej nocy przej ł j Al kiem i wydawał si bardziej znacz cy od poprzedniego. Miała frustruj ce wra enie, e było w nim co , co powinna zapami ta , co zwi zanego z Ariel. To było tak, jakby widziała siostr wołaj c j zza grubej, zniekształcaj cej obraz szyby, ale nie słyszała jej głosu. Szykuj c si na nowy dzie , my łała z nadziej o spotkaniu z Milesem Flemingiem. Mo e wyniki wst pnych analiz NeuroTranslatora rzuc troch wiatła na jej problem. Postanowiła po południu zadzwoni do papy Pete'a.

Nastawiła si ju optymistycznie, gdy nagle usłyszała pukanie do drzwi i do Laboratorium My li weszła profesor Virginia Knight. Jej włosy były oklapni te, a kostium zmi ty, jakby nie zdejmowała go przez cał noc.

- Przepraszam, e przeszkadzam, doktor Grant, ale mam zł wiadomo . Stan pani matki uległ pogorszeniu. Hospicjum radzi, by wróciła pani najszybciej, jak to mo liwe.

Zupełnie si tego nie spodziewała. Wstrz s był tak silny, e poczuła si jak ra ona gromem. Wiedziała, e mama umiera, ale wci jeszcze si z tym nie pogodziła. Fantomowe migreny i sny straciły znaczenie. Musiała pojecha do domu.

- Ma pani samolot za dwie godziny. Je li wyjedzie pani w ci gu kwadransa, powinna pani zd y . Limuzyna ju czeka, by zabra pani na Heathrow - Knight u miechn ła si ze współzuciem. - Tak mi przykro. Je li mog co dla pani zrobi , prosz powiedzie .

Amber spojrzała na zegarek.

- Czy mogłabym przed wyjazdem porozmawia z doktorem Flemingiem?

- Nie, je li chce pani zd y na samolot. Doktor przyjdzie dzi pó - no, je li w ogóle.

Amber poczuła zawód, e b dzie musiała czeka na wyniki z NeuroTranslatora. - Mogłaby pani przekaza mu wyrazy współzucia z powodu mierci brata i podzi kowa w moim imieniu jemu i jego zespołowi? Musz te umówi si na doko czenie terapii.

- Proszę na razie się tym nie przejmować. Klinika skontaktuje się z panią w sprawie kontynuacji badań. Nie będzie z tym kłopotu.

O dziewiętej piątnej, już w limuzynie, wyjeżdżała z Barley Hall. W lusterku wstecznym widziała, jak majestatyczny gmach maleje w oddali. Kiedy wóz minął skręt na Cambridge, Amber nie zauważyła jaguara jadącego w przeciwnym kierunku.

Po kwadransie szofer w uniformie podał jej buteleczkę wody Evian. Spragniona zaczęła ją szyć, patrząc na drogowskie wskaźniki zjazdu na autostradę M1 do Londynu.

Na M1 ogarnęła ją nagła senność. Kiedy wóz zjechał na M25, była już nieprzytomna. Przy zjeździe na M4 limuzyna minęła drogowskie wskaźniki do Heathrow i pojechała prosto, do Maidenhead. Tam szofer skręcił na podjazd przed dużym wiktoriańskim domem z cegły. Obok bramy wisiała biała tabliczka: HOSPICIUM KO CIOLA PRAWDY DUCHOWEJ. Pod napisem widniał symbol Kościoła, stylizowany rysunek Czerwonej Arki z masztem w kształcie krzyża.

Samochód wjechał do podziemnego garażu. Nieprzytomna Amber trafiła do kostnicy hospicjum, gdzie czekała już na nią trumna wyposażona w zbiorniki z tlenem i kroplówki.

Na przygotowanych dokumentach dla służb celnych i akcie zgonu widniało nazwisko Jane Smith i pieczęć hospicjum. U dołu czystych formularzy widniały podpisy dwóch lekarzy. Pracownicy, którzy zajmowali się Amber i wypełniali papiery, wykonywali wszystkie czynności ze spokojem i precyzją wskaźniczą, robi to nie pierwszy raz. Wreszcie biała trumna została zamknięta i umieszczona w karawanie, który zawiózł ją do strefy załadunkowej terminalu numer 4.

Dwie godziny później nieprzytomna Amber Grant była już w powietrzu bezpiecznie ukryta w klimatyzowanym ładunkowym Boeingu 747. Leciła w bardziej komfortowych warunkach niż najbardziej rozpieszczani pasażerowie pierwszej klasy.

### **Czerwona Arka, 18° 06'S, 16° 03'W**

Czerwony Papier tryskał energią i nie zważał na ból. Ubrany w długie, wykrochmalone szkarłatne szaty chodził po swoim gabinecie na dziedzińcu Czerwonej Arki. Czując, że jest u kresu swojej wdrówki.

- U pana wszystko gotowe, Doktorze? - zwrócił się do schowanej w cieniu twarzy na ekranie telewizora wiszącego nad biurkiem.



- Laboratorium jest przygotowywane, Wasza wi tobliwo - powiedział Soames z u miechem. - Zd ymy na czas.

- Rada Prawdy jest w pogotowiu?

- Jak tylko Wasza wi tobliwo przyjedzie, doł cz do nas osobi cie b d przez sie .

- Doskonale. - Accosta odwrócił si do Diageo, który stał w milczeniu przy drzwiach. - Monsignore, poczynił pan stosowne przygotowania? Wszystkie problemy zostały rozwi zane?

- Nasi ludzie w Londynie i...

Accosta u miechn ł si do niego.

- adnych szczegółów, monsignore. - Podejrzane kontakty Diageo by wały po yteczne, ale Accosta nie musiał wiedzie o nich wszystkiego. I bez tego d wigał dostatecznie ci kie brzemi . - Rób, co musisz. Po prostu powiedz, e wszystko gotowe.

Diageo beznami tnie skin ł głow .

- Wszystko gotowe.

- Doskonale. - Accosta odwrócił si i wyjrzał przez du e okno panoramiczne na rozci gaj cy si przed nim bezkres oceanu. Wyj ł z kieszeni chusteczk i zakaszał w ni gwałtownie. Diageo podszedł do niego, ale Accosta odsun ł go gestem r ki. - Powiedz kapitanowi, eby obrał kurs na północ, cał naprzód. I ka przygotowa oba helikoptery. Chc by w Fundacji nie pó niej ni za dwadzie cia cztery godziny. Przepró wszystkich, z którymi miałem rozmawia na pokładzie, a zamiast dzisiejszej mszy pu moje kazania.

Spojrzał na biał chusteczk : pokrywały j czerwone plamy. Nie czuł strachu: wiedział na pewno, e gdy przyjdzie czas, b dzie gotowy.

## 25

Barley Hall, 9.30

**M**imo wyczerpania Miles Fleming miał głow pełn pomysłów. Zaparkował jaguara i poszedł prosto do Amber. Po ostatniej, emocjonującej nocy - a raczej poranku - Knight wysłała go do domu, by zdrzem-

nie mógł spać przez kilka godzin. Zasnął tak mocno, że przespał zamówione na szóste budzenie.

Nie mógł opowiedzieć o nowo odkrytej fali. Musiałoby istnieć racjonalne wytłumaczenie jej istnienia; był tego pewien. Potrzebował tylko czasu, by ją dokładnie zbadać. Jako naukowiec był zdecydowany poznać właściwości szczegółów; zdawał sobie sprawę, że to może przynieść dokonane przed kilkudziesięciu laty odkrycie mikrofal. Z drugiej strony jednak oddałby wiele, by tej fali nie było, jej istnienie bowiem zagrażałoby wszystkiemu, w co wierzył. A je li nasza egzystencja nie ogranicza się do życia doczesnego? A je li istnieje życie po śmierci? Jakie miałyby to konsekwencje dla jego filozofii życia chwil obecnego? I co to znaczyłoby dla duszy Roba? Czy, jak dociekał Jake, w niebie jest dobrze? Czy on naprawdę chce poznać odpowiedzi na te pytania?

- Miles, musimy porozmawiać! - zawołała Knight, kiedy przechodziła obok jej gabinetu. Z poprzedniego dnia zaprosiła go do rodziców i kazała mu usiąść. Po śmierci Roba była pełna współczucia, ale przy tym chłodna, dociekliwa, chciała wiedzieć dokładnie, co się stało. Ostatniej nocy, kiedy opowiedział jej o Amber Grant, zareagowała powściągliwie. - Miles, rozmawiałam właśnie z innymi członkami zarządu i wyrażone zostały pewne obawy, o których musisz mi powiedzieć.

Fleming zmarszczył brwi.

- Jakie obawy?

- Chciałam z tym zaczekać, ale skoro już jesteś, możemy to załatwić od razu. Teraz, po śmierci Roba podczas eksperymentu, musimy dopilnować, by reputacja Barley Hall pozostała nieskalana.

- Virginio, on był moim bratem. Czuję się podle, ale to nie eksperyment spowodował jego śmierć.

- Miles, tu chodzi o to, jak ta sprawa jest postrzegana. Wiem, że nie było w tym twojej winy i niezależne dochodzenie wykazało to...

- Dochodzenie? O czym ty, do cholery, mówisz?

- To tylko formalność. W tych czasach trzeba być ostrożnym. Musimy myśleć o sponsorach, w których zależy nam na wysokich dotacjach. Krótka historia, że nie zrobiłoby wszystkiego, co mogłoby, by uratować pacjenta, i chcemy je zdusić w zarodku, zanim prasa rozdmucha je ponad wszelki miarę. Musisz wziąć kilka tygodni urlopu, a potem, jak tylko dochodzenie wykazało twoją niewinność, w co nikt nie wątpi, będziesz mógł wrócić. Urlop, rzecz jasna, będzie płatny i...

- Fleming osłupiał.

- Zawieszasz mnie? Virginio, daj spokój, chyba artujesz. Mówiłem ci ju , e po czterech, tak, czterech nieudanych próbach reanimacji brata nie pozwoliłem piel gniarce poda mu adrenaliny. Czuj si paskudnie z tego powodu, ale teraz post pilbym tak samo. On był ju wła ciwie martwy i nie chciałem przedłu a jego cierpienia. Nie zrobiłem nic złego. Niczego nie próbuj zatuszowa . Całe zdarzenie jest nagrane na wideo, na lito bosk . Pozwól mi porozmawia z zarz - dem. Wszystko im wyja ni .

Knight pokr ciła głow .

- Przykro mi, Miles, ale w tej sprawie zgadzam si z członkami zarz du. Dzi musimy przede wszystkim dba o reputacj Barley Hall, a przy okazji twoj , z my l o przyszło ci. W ten sposób oczy cimy atmosfer i unikniemy podejrze o prób tuszowania faktów. Prasa...

- Co prasa ma z tym wspólnego? Nie trzeba jej w to miesza . Czemu miałyby podejrzewa , e mamy co do ukrycia? Rob był przecie moim bratem.

Przykro mi, Miles, ale nie ma o czym dyskutowa .

Fleming z trudem trzymał nerwy na wodzy.

- To absurd, Virginio. Co z Amber Grant i now dłu go ci fali? Jeste my o krok od niesamowitego odkrycia, a ty chcesz sprawdza , czy jestem winien mierci brata.

- O tym te musz z tob porozmawia . Nie wspomnisz nikomu ani słowem o tym, co zaszło podczas eksperymentu. Samo to, e Rob umarł, jest dla nas wystarczaj co kłopotliwe, nie chcemy dolewa oliwy do ognia, opowiadaj c o głosach z za wiatów. Rozmawiałam z innymi wiadkami eksperymentu i wyja niłam, e to, co si stało, było skutkiem opó nienia w przesyłaniu sygnałów. Oficjalna wersja, dla nich i reszty wiata, jest taka, e impulsy nerwowe Roba były aktywne przed jego mierci , zostały jednak odtworzone z po lizgiem z powodu drobnej usterki NeuroTranslatora.

Fleming uderzył pi ci w biurko.

- Co z Amber Grant?

- Z dniem dzisiejszym przestajesz si ni zajmowa . Musiała wróci do Kalifornii. Jej matka umiera.

- Wyjechała dzi rano? Powiedziała jej o...

- W tej chwili ma do swoich zmartwie , Miles. Uwa am, e na razie powinni my zostawi j w spokoju. Kiedy sytuacja jej matki si wyja ni, a ty wrócisz z urlopu...

- Zawieszenia.

Posłuchaj, Miles. Jest mi naprawdę przykro z powodu Roba i wiem równie dobrze jak ty, jak doniosłym odkryciem mo e okaza si ta nowa

fala. Musimy jednak zachować ostrożność. W tej chwili bez sensu jest działać po omacku, trzeba unikać ryzyka. Wyjedź na par tygodni... podkreślę, nie zostajesz zawieszony... i przemyśl wszystko. Kiedy sprawa przycichnie, wrócisz, całkowicie zrehabilitowany, i będziesz mógł kontynuować swoje prace, tak jak i teraz. Zapiękuje się wszystkimi twoimi pacjentami, włącznie z Jakiem, gdyby przed twoim powrotem potrzebował jakichś dodatkowych zabiegów. Wszystkie eksperymenty zostaną przeprowadzone zgodnie z twoimi instrukcjami. Jedź do domu, odpocznij. Zrób sobie wakacje, spędź trochę czasu z Jakiem, pozbieraj się. Fleming zaczął chodzić po gabinecie.

- Jak mam odpocząć, Virginio? Tak nie można. To kompletna bzdura. A jeżeli się nie zgodzi?

- Miles, musisz mi zaufać. Nie pogarszaj swojej sytuacji. Nie zmuszaj mnie, abym wezwała ochronę i kazała wyprowadzić cię z budynku.

- Co takiego? Chcesz, abym wyszedł już, teraz?

- Tak będzie najcieplej. Zabierz rzeczy i wracaj do domu. Nie musisz nikomu nic mówić ani niczego wyjaśniać, ja się tym zajmę.

Fleming wziął głęboki oddech i przycisnął ręce do boków, bo obawiał się, że nie wytrzyma nerwowo.

- Nie wiem, co tu się dzieje, Virginio, ale, powtarzam, to jest stek bzdur. Ja tak tego nie zostawię. To jeszcze nie koniec.

Knight wstała.

- Miles, będą lepsze dni. Potrzeba ci odpoczynku. Mier Roba była dla ciebie w większym wstrząsem, niż ci się wydaje. Jeżeli postpisz wbrew życzeniom członków zarządu, nie ochroni cię przed sprawą o odszkodowanie.

- Ty miałabyś mnie chronić? - Fleming obszedł biurko, stanął twarzą w twarz z szefową i patrzył jej w oczy dotąd, aż się odwróciła. - Zawsze wiedziałem, że jesteś biurokratka, Virginio, ale nigdy nie podejrzewałem cię o tak małostkowość. Zrobi to, co konieczne. Niżej, niż wiecie. Jeżeli to ci się nie podoba, rób, co musisz. Wierz mi, jest wiele innych instytucji, które przyjmą mnie z otwartymi ramionami.

Dziesięć minut później pojawił się w skromnych drogach w stronę domu. Dach jaguara był opuszczony, złociste liście mijanych drzew falowały na wietrze. Wysłuchany w ich szeleście Fleming przypomniał sobie krzyk, który dobiegł z głośników NeuroTranslatora i opadły go myśli o bracie. I w tej właśnie chwili, kiedy skręcał na Cambridge, kipiący w nim gniew ostygł, zmieniając się w kamienny spokój. Miles wiedział, że nie może czekać.

z zało onymi r kami na wyniki dochodzenia. Czuł, e ma obowi zek wobec Amber, Roba i Jake'a - a tak e siebie — zbada t spraw do- kładniej i znale odpowiedzi.

Odpowiedzi na pytania dotycz ce ycia i mierci, których nie poznał przed nim aden miertelnik.

## 26

### Fundacja VenTec, Alaska Osiemna cie godzin pó niej

Chinook leciał nisko nad Górami Brooks'a w północnej Alasce, za kołem podbiegunowym. Accosta przetał szyb i spojrział w dół, wypatruj c Fundacji. Wiedział, e zaadaptowana platforma wiertnicza musi by ju niedaleko, ale nie wida jej było ani na rozci gaj cym si w dole białym skalistym pustkowiu, ani w ród otaczaj cych je maje- statycznych gór. Podniósł wzrok wy ej, ponad młóc ce powietrze łopatki wirnika, i wtedy zobaczył słaby błysk wiatła słonecznego na najwy szym szczycie.

Przez brudn szyb z trudem dostrzegł budowl na płaskim wierz- chołku. Oparta na o miu przechylonych wspornikach czarna szklana kopuła przypominała olbrzymiego paj ka, który przysiadł na szczycie góry. Obok niej stały antena satelitarna i słup wysokiego napi cia, a ze szklanej powłoki wyrastał komin. Pod kopuł rysował si pot ny, wbity gł boko w ziemi filar, w którym mie ciły si stare maszyny i otwór wiertniczy. Wystaj ca z boku kopuły stalowa płyta tworzyła półokr gł platform . Kiedy migłowiec opadł ku niej, oł dek podje- chał kardynałowi do gardła.

Było wczesne pa dziennikowe popołudnie i zapadał ju zmrok. O tej porze roku dni trwały tutaj ledwie par godzin, a za kilka tygodni sło ce na niemal pi miesi cy przestanie tu dociera w ogóle. Acco- sta nie przepadał za t pos pn okolic , ale potrafił zrozumie , dlacze- go Soames wybrał j na swoj baz , a poza tym sam te cenił ycie w odosobnieniu. Nade wszystko jednak potrzebni mu byli fachowcy i zasoby skrywaj ce si w tej budowli wzniesionej i zarz dzanej przez Soamesa.

Kiedy migłowiec osiadł na platformie, członkowie wity kardynała wyprowadzili go na przenikliwe zimno i w ich eskorcie wszedł potnymi, rozsuwanymi drzwiami z przyciemnianego szkła do cieplej recepcji. Na drzwiach widniało wygrawerowane w szkłe du e V i napis: VENTEC - JUTRO DZI .

Kto wziął od Accosty płaszcz i drzwi do ogólnodost pnego białego sektora rozsun ły si z sykiem. Na dyskretnie o wietlnym korytarzu bez okien czekał Doktor, Bradley Soames, ubrany w biały kombinezon.

Accosta odczuł ulg , kiedy zobaczył, e nie zabrał ze sob wilków; miały w sobie co diabolicznego, co mu si nie podobało - i napawało go l kiem. Naukowiec powitał Czerwonego Papie a z czci nale n honorowemu go ciowi: ukl kł i ucałował krucyfiks na jego szyi.

- Witam Wasz wi tobliwo .
- Dzi kuj , Doktorze.
- Pozostali członkowie Rady Prawdy s ...

Accosta uniósł dło i si u miechn ł.

- Mo emy porozmawia o tym pó niej? Nie mog si doczeka , kiedy j zobacz . Jest tutaj?

- Prosz za mn , Wasza wi tobliwo . Trzymamy j w czarnym sektorze.

Accosta ruszył za Soamesem w gł b korytarza przecinaj cego biały sektor. Z góry VenTec przypominał okr gły placek podzielony na cztery kawałki, oznakowane ró nymi kolorami, uło one wokół rodkowego filara, na którym wspierała si kopuła. Biały sektor, poło ony od frontu, otwarty był dla wszystkich; znajdowały si w nim ogólnie dost pne pomieszczenia i laboratoria. Do sektorów niebieskiego, zielonego i czarnego wst p miały tylko osoby posiadaj ce niezb dne przepustki. Pod kopuł , gł boko wewn trz góry, skrywał si pi ty sektor, do którego zje d ało si wind ukryt w rodkowym filarze. Był to sektor czerwony, tak e dost pny był cznie dla wybra ców.

Kiedy szli przez biały sektor, ich obcasy stukwały w lakierowan posadz k z drewna bukowego. Klimatyzowane powietrze było bezwonne, ale lekko naelektryzowane. Po lewej stronie Accosta widział wiele otwartych laboratoriów. Niektóre były puste, nie licz c nieznanym mu urz dze ; w innych krz tali si technicy i naukowcy w białych kombinezonach, takich jak ten, który miał na sobie Doktor. W jednym z pomieszcze stały w wielu rz dach komputery, ich monitory jarzyły si intensywnym białym wiatłem.

W cz ci mieszkalnej Accosta ledwie zerkn ł na białe strzałki na gładkich cianach wskazuj ce drog do ró nych pomieszcze : pokojów go cinnych, restauracji, kina, ambulatorium, basenu, sali gimnastycznej i kaplicy. Nieliczne okna wychodz ce na zewn trz były za-barwione na niebiesko, co nadawało widocznemu za nimi arktycznemu pejza owi jeszcze bardziej surowy wygl d.

Ukryta w rodkowym filarze winda zje d aj ca do czerwonego sektora oznakowana była czerwonymi strzałkami i ostrze eniami: NIE-UPOWA NONYM WST P WZBRONIONY. OKULARY OCHRONNE OBO-WI ZKOWE. Soames i Accosta poszli w lewo i min li kolejne zamkni te drzwi; te prowadziły do zielonego sektora.

Wreszcie korytarz skr cił po łuku ku najbardziej wysuni tej na pół-noc cz ci VenTecu, czarnemu sektorowi, w którym prowadzono prace nad projektem „Dusza”.

Aby otworzy szklane drzwi, Soames poło ył dło na czytniku przy zamku, po czym poprowadził Accost przez cały kompleks, obok sali konferencyjnej i pokoju ł czno ci. Przed drzwiami głównego laboratorium przedstawił kardynałowi uderzaj co pi kn blondynk i wysokiego ciemnoskórego m czyzn w okularach. Oboje nosili na białych kombinezonach emaliowany krzy Ko cioła Prawdy Duchowej. Kobieta pachniała pi mowymi perfumami, od ich zapachu Acco cie zakr ciło si w głowie.

- Doktor Felicia Bukowski i doktor Walter Tripp pomagaj mi przy projekcie „Dusza”. To im zawdzi czamy wi kszo naszych dotychczasowych dokona .

Accosta u cisp ł ich dłonie.

- Bierzecie udział w wi tym, chwalebnym przedsi wzi ciu i dzi - kuj wam za wasz wysiłek i wasz inwencj .

- To dla nas zaszczyt - powiedział Tripp.

- Poczytujemy to sobie za honor, Wasza wi tobliwo - dodała blondynka.

Accosta si im przyjrzał. Oboje odnosili si do niego z szacunkiem, ale w ich zachowaniu i u miechach wyczuwał brak szczeroci. Szczy-cił si tym, e potrafi wnkn w serce ka dego człowieka, i cho tym razem nie potrafił stwierdzi , co wła ciwie mu si nie podoba, miał wra enie, e naukowcy traktuj go protekcyjnie - jak dwoje rozwi-ni tych nad wiek dzieci, które nie chc urazi nudnego wujaszka. Odp-dził te my li i pozwolił, by Soames wprowadził go do cz ci mieszkalnej czarnego sektora.

Soames zatrzymał się przy pierwszych drzwiach i dał Acco cie znak, by zajął do rodka przez okr głe okienko w cianie.

- pi. rodki wkrótce przestaną działać ,

Accosta przysunął się do szyby i zobaczył kobietę leżącą w łóżku. Była podłączona do kroplówki i monitora czynności życiowych, który pikał z regularną częstotliwością .

- Jak się czuje?

- Dobrze. Po przebudzeniu bardzo miała lekkie zawroty głowy, ale we właściwym czasie sił jej nie zabraknie.

- Doskonale - powiedział Accosta.

Ciemne włosy kobiety były rozrzucone na poduszce, oliwkowa skórka miała na twarzy biały pościel, długie rzęsy drgały na policzkach. Accosta patrzył na uśmiech Amber Grant i cieszył się jej subtelną urodą . Była jednak kimś więcej niż tylko piękną kobietą ; była darem od Boga.

rodki usypiająca zatarły mglistą i bez nich granic między jawą a snem. Amber otworzyła oczy i stwierdziła, że leży w nieznanym pokoju przypięta za nadgarstki do obcego łóżka. Serce zabiło jej mocniej na widok kroplówki i monitora. Czy to rzeczywiście , czy kolejny koszmar?

Dostrzegła kątem oka jakiś ruch i odwróciła głowę w lewo, w stronę małego okrągłego okna. Za szybą zobaczyła wpatrzoną w nią ciemną kobietę. Pragnienie bijące z tego przenikliwego spojrzenia nadwładniało jej odwagę znacznie bardziej niż widok widoczny czy kroplówki. - Może powinna wyglądać dziwnie znajomo, ale półprzytomna Amber nie zwróciła uwagi na jego charakterystyczny orli nos i rzeźbione rysy. Nagle cofnął się i w okienku ukazała się cała jego głowa wlicznie ze szkarłatnym piaskiem . Zdziwiona, zapierała się ciałem w piersiach strachem Amber uprzytomniła sobie, kim jest ten człowiek.

To musi być sen, powiedziała sobie. Koszmar.

To diabeł przyszedł po jej duszę .



### Sala konferencyjna w czarnym sektorze, VenTec

Oświetlenie było stonowane, Accosta siedział u szczytu długiego, prostokątnego stołu. Miejsca przy nim zajmowali monsignore Diageo i Bradley Soames. Za plecami Soamesa czuwały wilki, nieruchomości i milczenie jak szare posęgi.

Bukowski z Trippem siedzieli w pewnym oddaleniu od pozostałych, z rękami na stole.

Na jednym z trzech holograficznych monitorów plazmowych na wprost Accosty widać było Franka Carvellego, który w zamkniętym leniu bawił się swoim nienaturalnie czarnym kucykiem. Szef KREE8 Industries, a zarazem członek Rady Prawdy odpowiadający za kontakty z mediami i public relations, był jak zwykle ubrany na czarno w kaszmirowy marynark i golf.

Jednak, mimo rozległych kontaktów Carvellego w świecie mediów, za dzisiejszy przełom odpowiadał nie on, lecz trzeci członek Rady Prawdy, który, ku irytacji Accosty, jeszcze się nie pojawił.

- Mówił pan, że wszyscy? - powiedział do Soamesa.

Doktor wzruszył ramionami.

- Bo mieli być, Wasza wiato.

Accosta zmarszczył brwi i spojrzał nad ramieniem Soamesa na lustro weneckie pełniące funkcję jednej ze ścian. Za nim widać było lustrzane odbicie główne laboratorium. Szklana kula leżała z uniesioną osłoną na oczach w przeszklonej szafce obok stołu laboratoryjnego, przy którym przetrzymywano monitorów i urządzenia pomocniczych.

- Zaczniemy - rzucił Accosta. - Proszę powiedzieć mi jeszcze raz, dlaczego Amber Grant jest tak ważna.

Carvelli wychylił się do przodu i Soames ukazał w uśmiechu zdrowe białe zęby.

- Znałem Amber Grant przez wiele lat jako współpracownika w interesach i zawsze byłem pełen uznania dla jej wiedzy - wyjął - lecz nie miałem pojęcia o jej rzeczywistych zdolnościach, dopóki dziewięć miesięcy temu nie przeprowadzili my pierwszych eksperymentów z wychwytem duszy. Oczywiście nic o nich nie wiedziała, ale wcześniej wtedy zaczęły jej doskwierać niezwykle migreny. Z biegiem czasu stało się oczywiste, że ataki nastąpiły równocześnie z eksperymentami. - Opowiedział o nie-

zwykłej przeszło ci Amber. - Czy Wasza wi tobliwo słyisał o spl taniu kwantowym?

- Nie.

- To widmowa, wr cz telepatyczna wi ł cz ca cz stki kwantowe, które w przeszło ci cho raz zetkn ły si ze sob . Powstaje ona błyskawicznie, nawet w sytuacji, kiedy cz stki znajduj si na przeciwnych kra cach wszech wiata. Z uwagi na jej niezwykły przeszło my ł , e tego rodzaju wi ł czy Amber z jej martw bli niacz siostr . Tłumaczyłem ju Waszej wi tobliwo ci, jak w do wiadczeniu z dwiema szczelinami cz stki zmieniaj swój stan na oczach obserwatora, jakby znały zało enia eksperymentu. Jestem przekonany, e prowadz c eksperymenty z wychwytem duszy, zaburzymy korpuskularno-falowy dualizm duszy, co wywołuje zakłócenia rozchodz ce si po całym uniwersalnym układzie bozonów ł cz cym wszystkie dusze.

Carvelli skin ł głow .

- A przez wzgl d na wi ł cz c j z Ariel Amber odczuwa te zakłócenia w postaci fantomowej migreny.

- O wła nie - odparł Soames i opowiedział Acco cie o Flemingu i NeuroTranslatorze. - Miles Fleming niehc cy odkrył, e Amber jest idealnym szcurem do wiadczałnym dla projektu „Dusza”.

- Dlaczego? - spytał Accosta wci niepewny znaczenia zło onych poj z teorii kwantów.

- Jak ju Waszej wi tobliwo ci mówiłem, potrzeba nam czego niemo liwego, osoby, która mogłaby umrze wi cej ni raz. Amber Grant nosi w sobie cz ywego mózgu martwego człowieka i przy odpowiednim pobudzeniu jej sygnałów nerwowych w momencie przej cia w faz snu REM jej pod wiadomo usiłuje nawi za kontakt z nie yj c siostr i opuszcza przy tym ciało. Wprowadzaj c Amber w stan marze sennych, mo emy ledzi w drówk jej umysłu, czy duszy, za ka dym razem, kiedy opuszcza ciało i do niego powraca. A poniewa proces ten mo e by powtarzany bez ko ca, mo emy ponawia próby namierzenia cz stotliwo ci a do skutku.

- Sk d ta pewno ? - spytał Carvelli z monitora.

W tej chwili rozbłysł drugi monitor i pojawił si na nim trzeci członek Rady Prawdy. Była to kobieta w granatowym akiecie z wpi t w klap szkarłatn broszk w kształcie krzy a. Ta wykwalifikowana lekarka miała w tej chwili pod opiek tylko jednego pacjenta: Accost . Oprócz tego, e kierowała renomowan klinik brytyjsk , zajmowała te wiele innych

stanowisk i sprawowała strategiczny nadzór nad wszystkimi hospicjami Prawdy Duchowej na wiecie. To ona przekazywała Soamesowi miertelnie chorych pacjentów niezbędnymi do prowadzonych przez niego doświadczeń, których celem było pochwycenie duszy.

- Przepraszam za spóźnienie, Wasza wi tobiwo, ale musiałam załatwić pewne sprawy w związku z dzisiejszym spotkaniem.

Zanim Accosta zdał odpowiedź, Soames wskazał na niego gestem.

- Właśnie zastanawialiśmy się, skąd wiadomo, że Amber Grant ma unikalne zdolności, Virginio. Może ty nam to wyjaśnisz.

Virginia Knight spojrzała na Accosta.

- Słyszałam, jak jej dusza krzyczy, Wasza wi tobiwo. I widziałam dane zebrane przez Fleminga. Dowody są przekonujące.

Accosta starał się nie okazywać radości - projekt przyniósł mu już wiele rozczarowań.

- Dziękuję, doktor Knight. - Odwrócił się do Soamesa. - Ale jak może my zatrzymać tu doktor Grant, nie wywołując podejrzeń?

Soames znów się uśmiechnął.

- Jeden kłopot. Została oficjalnie wypisana z Barley Hall, a Optrix spodziewa się jej powrotu za miesiąc. Jedynym zagrożeniem może być jej matka.

- Już się tym zajmuję - powiedziała Virginia Knight rzeczowym tonem.

- Gillian Grant jest w jednym z naszych hospicjów, więc problem byłby względnie łatwy do rozwiązania.

- W takim razie mamy około miesiąca, zanim zniknie Amber zacznie nam przeszkadzać - stwierdził Soames.

Knight odkaśliła.

- Co z Milesem Flemingiem?

- Jak to co? - spytał Accosta. - Wydawało mi się, że jest odcięty od informacji, że Barley Hall go zawiesiło.

- To prawda, Wasza wi tobiwo, ale doktor Fleming jest zdeterminowany. Nie lubi spraw, których nie potrafi wyjaśnić, chce wszystko zrozumieć... zwłaszcza że to śmierć jego brata zwróciła naszą uwagę na zdolności doktor Grant. Dlatego właśnie nie jest tak dobry w tym, co robi, i musimy mieć go na oku.

- Oczywiście, że będziemy go obserwować - wtrącił Soames. - Jest nam potrzebny. Pozwólcie, że przypomnę wszystkie dotychczasowe etapy projektu. - Zaczęłam wyliczać je na palcach. - Odkryli my istnienie ludzkiej duszy, uczynili ją widoczną dla ludzkiego oka i za pomocą detekto-

ra fotonów zidentyfikowali my jej sygnatur . Teraz, kiedy Amber Grant jest w naszych rękach, namierzemy czy stotliwio umoliwiaj c ledzenie duszy. Jednak eby projekt „Dusza” zako czył si pełnym sukcesem - Soames spojrział na Accost - i eby wypełniło si przeznaczenie Waszej wi tobliwo ci, musimy doprowadzi do ko ca ostatni etap. - Odwrócił si do Carvellego. - Frank, cho twoje umiej tno ci bez w tpienia s bardzo wa ne, Miles Fleming b dzie miał w nim do odegrania decyduj c rol , tym bardziej e nasze dotychczasowe próby skopiowania opracowanej przez niego technologii nie były w pełni udane, a jej udoskonalenie zaj łoby zbyt du o czasu.

- Czyli mamy go obserwowa i czeka ? - spytała Knight.

Soames wyszczerzył rado nie z by, jakby uczestniczył w grze, która sprawiała mu ogromn frajd .

- Wykorzystamy jego determinacj w poszukiwaniu odpowiedzi, by skłoni go do udzielenia nam pomocy.

- To b dzie niebezpieczne - stwierdził Carvelli.

Soames u miechn ł si jeszcze szerzej i Accosta musiał stłumi w sobie odraz do tego człowieka.

- Oczywi cie. Zwłaszcza dla niego.

## **II**

# **PRAWDA DUCHOWA**

## 28

### Cztery dni pó niej

W Wiecznym Mie cie było niezwykle ciepło i wilgotno jak na październik i koszula kleiła się Flemingowi do pleców, kiedy przebijał się przez tłum turystów na placu w tym Piotra. W mglistym wietrze słońce spojrzał przymrużonymi oczami na zegarek - zostało mu jeszcze dwadzieścia minut do spotkania.

Przez ostatnich kilka dni nie próbował skontaktować się z Amber Grant. Nie miał numeru jej komórki, a pod numerem telefonu domowego w Pacific Heights w San Francisco zgłaszała się automatyczna sekretarka. W Optriksie poinformowano go, że Amber jest na miesięcznym urlopie. Kiedy wyjął, że jest jej lekarzem, w odpowiedzi usłyszał, że nie może udostępnić mu jej numeru kontaktowego jako osobie, według zarządu Barley Hall, podejrzanego o błąd w sztuce lekarskiej.

Recepcjonistka hospicjum w okręgu Marin, do którego zadzwonił, by spytać o Gillian Grant i zostawiła wiadomość dla jej córki, była również małomówna.

Zrozumiał wówczas, że Virginia Knight dyskretnie podkopuje jego reputację. W prasie pojawiały się już niepotwierdzone relacje, w których przedstawiany był jako człowiek „genialny, ale chorobliwie ambitny”, skłonny „po wzięciu brata w pogoni za sławą”. A kiedy poprzedniego dnia zadzwonił do swojego biura, nawet Frankie Pinner była wyraźnie

podenerwowana i szybko si rozł czyła: nie wolno jej z nim rozmawia , powiedziała przepaszaj cym tonem, dopóki „sytuacja si nie wyklaruje”.

Kiedy wyczerpał wszystkie inne mo liwo ci, przyjechał do Rzymu.

Mimo upału, spalin i hałas u wypełniaj cego duszne powietrze majestatyczna kopuła Bazyliki wi tego Piotra I niła na tle nieba. Otwarte ramiona otaczaj - cych j z dwu stron kolumnad Berniniego zdawały si przygarnia Fleminga na łono Ko cioła. Kiedy katolicyzm zacz ł chyli si ku upadkowi, ta forteca wiary stała si niczym wi cej jak tylko zachwycaj cym tematycznym parkiem rozrywki, muzeum upami tniaj cym wielkie niegdy imperium. W kł bi cym si tłumie było niewielu pielgrzymów; to przewa nie tury ci zwiedzali kulturalny odpowiednik Disneylandu. A najbardziej upokarzaj ce było to, e wielu z nich nosiło czerwony krucyfiks Ko cioła Prawdy Duchowej.

Fleming wszedł do cichego, chłodnego wn trza wielkiej katedry i spojrział w gór na ogromn kopuł zaprojektowan przez Michała Anioła. Nie poczuł zło liwej satysfakcji. Ponadczasowe pi kno Bazyliki wi tego Piotra budziło pokor ; miejsce to było tak przesi kni te histori , e wystarczyło przyło y ucho do filarów, by usłysze jego sekrety. Rzym istniał jako miasto wi cej ni dwadzie cia pi wieków, z czego przez pi tna cie pozostawał głównym o rodkiem wiary chrze cija skiej.

Fleming zapalił bratu wiec i patrzył, jak płomyk posyła w gór kł by zwiewnego dymu. Cokolwiek my lał o religii, uczeni przez stulecia prowadzili tu badania nad ludzk dusz . On sam był tylko ateist , który wyruszał w nieznanne, maj c za busol kilka naukowych prawd. Nie dlatego jednak skontaktował si z ojcem Peterem Rigi . Zadzwoił do niego, bo Amber wpi sała go jako najbli szego krewnego w formularzu, który wypełniła po przyj - j ciu do Barley Hall. Był ostatnim ogniwem ł cz cym Fleminga z ni . Cho Riga przez telefon zachowywał wielk rezerw , zgodził si na spotkanie.

Fleming wyszedł z bazyliki i skierował si dusznymi ulicami do najbli - szego postoju taksówek. Po kilku minutach był ju na drugim brzegu Tybru, pod siedzib główn Towarzystwa Jezusowego: usmolonym, okazałym barokowym gmachem Collegio di Propaganda Fide projektu Borrominiego.

Wszedł do rodka i znalazł si w innym wiecie, z dała od zam tu, blasku i zgiełku rzymskich ulic. W ród marmurów panowała cisza. Przedstawił si w recepcji i młody człowiek w czarnej sutannie zaprowadził go wielkimi schodami na gór .

Gabinet ojca Petera Rigi znajdował si na ostatnim pi trze, na ko cu długiego ciemnego korytarza. Po szacunku, z jakim młody jezuita zapukał do drzwi, wida było, e Riga zajmuje wysok pozycj w Towarzystwie.

- Prosz - zagrział amerykański głos.

Pokój był skromny, ale wygodny: biurko z mosiennymi lampkami i laptopem, zastawione książkami regały, dwa wysokie okna, wytarty dywan na marmurowej podłodze i dwa proste krzesła przy małym stole. Każdy element wystroju był piękny sam w sobie - w regałach wyrzeźbiono arabeski, oprawy i tłoczenia książek wykonano ze skóry - ale podziw budziło zwłaszcza zabytkowe biurko z orzecha, prawdziwe arcydzieło.

Za nim, okolony złocistym wiatrem z jednego z wysokich okien, siedział barczysty mężczyzna o krótko ostrzyżonych siwych włosach, hardej, ogorzałej twarzy i przenikliwych niebieskich oczach. Wstał na powitanie Fleminga; był niski, miał nie więcej niż metr sześćdziesiąt pięć wzrostu i szeroki pierścionek. Wyglądał na jakieś siedemdziesiąt lat, ale sprawiał wrażenie, że jest w dobrej formie. Na biurku stała prosta srebrna ramka z dwoma zdjęciami. Na jednym młodzieńcy Riga stał obok uśmiechniętej pary z dwiema dziewczynkami, które wyglądały, jakby się obejmowały. Drugie, nowsze, przedstawiało Rigę z Amber Grant i jej matką. Na obu ubrany był od stóp do głów w czerni, tak jak w tej chwili.

- Witam, doktorze Fleming - wychrypiął.

Riga nie był typowym, dobrotliwym księdzem, zresztą jak większość jezuitów, tych komandosów Kościoła katolickiego, Mówił z podobnym akcentem, jak znajomy Fleminga ze studiów, stypendysta z Nowego Jorku. Wymienili mocny uścisk dłoni.

Inteligentne oczy Rigiego badawczo przyjrzały się Flemingowi.

- Jak się miewa moja chrześniaczka? - spytał z nut troski w głosie.

- Miałem nadzieję, że ojciec mi to powie.

Riga powoli skinął głową, ale zachował kamienną twarz.

- Widziałem się z nią kilka dni temu w San Francisco. Mówiła, że przechodzi u pana badania w związku z fantomowymi migrenami i że miała sen, w którym umierała, sen, który jej zdaniem snem nie był. Uważała, że dusza Ariel jest w jakiś sposób powiązana z jej własną. Na koniec powiedziała mi, że zamierza zobaczyć, co pan i pańska technologia na to. Odkrył pan coś?

Fleming wpatrywał się w twarz Rigiego, lecz nie sposób było z niej wyczytać, jak duży o ten wieści wie. Wiadomo o jego zawieszeniu musiała już tu dotrzeć, uznał więc, że najlepiej zrobić, jak zaczął od początku. Wyjaśnił, jak działa NeuroTranslator i na czym polegał eksperyment, w którym uczestniczył jego brat. Opowiedział Ridze o tej nocy, kiedy usłyszał krzyk Amber w Laboratorium Myśli, i wyjaśnił, że został zawieszony do czasu zakończenia dochodzenia w sprawie śmierci brata.



Pokerowa twarz Rigi zdradzała niewiele, jednak kiedy Fleming zaczął mówić o czystości ci duszy, miał wrażenie, że po kamiennej twarzy jezuitę przebiegł cie jakiś rodzaj uczucia... jakby strachu.

- I wyjechała, zanim zdążył jej pan to wszystko wyjawić ?

- Tak, musiała wrócić do matki.

- Riga skinęła głową.

- Uhm, Gillian jest poważnie chora. Czyli od wyjazdu z kliniki nie rozmawiał pan z Amber?

- Ani razu.

Riga zmrużyła oczy.

- No dobrze, czemu więc ta czystość duszy Amber tak pana poruszyła?

- Czy to nie oczywiste?

- Ale co to znaczy dla pana osobiście, doktorze Fleming? Amber mówiła, że nie jest pan religijny.

- Nie jestem. Jestem człowiekiem nauki. Nie wierzę w Boga ani w życie pozagrobowe i nie chcę wierzyć. Z drugiej strony lubię wszystko rozumieć, a tej sprawy nie mogę rozgryźć. Muszę upewnić się, że mam rację. Dla własnego spokoju muszę udowodnić, że ta fala to aberracja, ostatnie tchnienie umysłu czy słaby sygnał wysłany z umierającego mózgu. A nie mogę tego zrobić bez Amber.

- A je li pan się myli? A je li stwierdzi pan, że życie pozagrobowe istnieje? A je li dowód tego pańskie naukowe dociekania? Co wtedy, panie ateisto?

- Bądź się tym martwić, kiedy tak się stanie. Na razie chodzi o to, że z pomocą Amber mogę postarać się znaleźć odpowiedź na najważniejsze pytanie nurtujące ludzkość, a to co, od czego nie wolno mi uciec. Myślałem, że ojciec to zrozumie. Wy, jezuito, słyniecie z dyscypliny intelektualnej i ciekawość, z dążenia do wiedzy.

- Raczej zrozumienia - u ci li Riga. - Nie chcemy wiedzy dla niej samej. - Umieć się kłamać. - Dlatego człowiek został wygnany z raju. Motto Towarzystwa brzmi: *ad maiorem Dei gloriam*: na większą chwałę Boga. Celem wszystkiego, co robimy, jest ukazanie Jego chwały, nie naszej.

- Co ojciec przez to rozumie? że Bóg nie chce, by my o niektórych rzeczach wiedzieli?

- Rozumiem przez to, doktorze Fleming, że wiedza bywa niebezpieczna i nadużywana. Zwłaszcza w tych czasach. - Po raz pierwszy kamienny spokój opuścił jezuitę, jego słowa skrywały powściągnięty gniew. - Mój

Ko ciół jest u progu katastrofy. A zagrożeniem nie są ateści, żydzi czy muzułmanie, lecz bracia chrześcijanie, w tym także katolicy. Obecny papież jest słaby, a prawicowe frakcje w Stolicy Apostolskiej kurczowo trzymają się władzy i kiesy, zaniedbując konieczne reformy i popadają w coraz większy autokratyzm i dogmatyzm, podczas gdy Kościół umiera na ich oczach. Jednocześnie Kościół Czerwonego Papieża wzrasta w siłę. Znałem Xaviera Accostę, kiedy był kardynałem w Watykanie, i było w nim coś podziwiałego. Inteligentny, pełen zapału, nadawałby się na jezuitę. Pod wieloma względami przypominał naszego założyciela, wielkiego Ignacego Loyolę; obaj mówili po hiszpańsku, mieli prawdziwy charyzmat i byli wojownikami, którzy pod wpływem ran odniesionych na polu bitwy postanowili poświęcić życie Bogu. Gdy jednak Loyola wzmocnił Kościół katolicki od wewnątrz, Accosta bez skrupułów opuścił go i wykorzystał jego słabość. Ustanowił swój konkurencyjny Kościół, kiedy Watykan rozdzierały wewnętrzne spory. Schorowany papież Jan Paweł II stał się marionetką wpływowej reakcyjnej prawicy. W Europie i Stanach Zjednoczonych młodzież katolicka masowo odwracała się od Kościoła. W Ameryce Łacińskiej ogromna liczba katolików przeszła na protestantyzm. Straszne czasy. Accosta powinien zostać zreformowany Kościół od wewnątrz, ale na pierwszym miejscu postawił siebie. Jego obsesja na punkcie technologii i swojej rozumianej prawdy jest nie mniej dogmatyczna niż załepienie i arogancja tych idiotów z kurii.

Riga przerwał, by złapać oddech i jego głos złagodniał, lecz wciąż był pełen pasji. - My w Towarzystwie mamy jeden jasny cel. Przetrawienie. Musimy ocalić Kościół przed nim samym i tymi, którzy jak Czerwony Papież chcieliby nas zniszczyć. Doktorze Fleming, przypadkiem znalazł się pan na pierwszej linii frontu i musi pan uważać na to, co robi pan z odkrytymi przez siebie technologiami i wiedzą, do której zdobycia pan dąży. W Watykanie i otoczeniu Czerwonego Papieża są osoby, które zrobiłyby wszystko, by je posiadać i wykorzystać.

- Przecież o to właśnie nie chodzi - powiedział Fleming. - Kiedy doświemy się, co czeka nas po śmierci, przestaniemy być niewolnikami religii.

Riga parsknął ironicznym, gorzkim śmiechem.

- I myśli pan, że Watykan czy Czerwony Papież ucieszą się z tego? Proszę tylko pomyśleć o duchowych i naukowych konsekwencjach pańskich działań. Wchodzi pan w drogę potężnym siłom i obojętnością wam z Amber grozi wielkie niebezpieczeństwo.

- Czy Amber nie powinna sama podjąć decyzji, czy się w to angażować? Zwróciła się do mnie o pomoc, a dzięki tej nowo odkrytej fali może uda się wyleczyć jej migreny.

- Może. Nie rozmawiałem z nią, odkąd tydzień temu spotkali się w San Francisco.

Fleming zmarszczył brwi.

- Nie dzwoniła od tamtej pory?

- Uznałem, że ma wiele spraw na głowie w związku z matką. Ale licząc na to, że niedługo się odezwie.

- Gdyby zadzwoniła, mógłby ojciec ją poprosić, żeby skontaktowała się ze mną?

- Oczywiście.

Fleming wstał zawiedziony, że przyjechał tu na marne.

- Dzięki, że znalazł ojciec dla mnie czas. - Wyciągnął kłódkę.

Riga ucisnęła jego dłoń.

- I vice versa, doktorze Fleming. Nadal zamierza pan jej szukać?

- Nie mam wyboru. Nic innego mi nie pozostaje.

- A zatem powodzenia i proszę uważać na siebie.

Zaraz po wyjściu Fleminga ojciec Peter Riga zamknął drzwi, wrócił za biurko i wykręcił numer Amber po raz ósmy od czasu, kiedy naukowiec się z nim skontaktował. Kiedy włączyła się poczta głosowa, nie zostawił wiadomości, tylko wybrał trzycyfrowy numer wewnętrzny w obrębie tego samego budynku.

Po trzecim sygnale usłyszał głos w słuchawce.

- Tu ojciec Peter. Daj ojca generała.

Nie musiał długo czekać, zanim w słuchawce rozległ się głos boki głosu przelożonego Towarzystwa Jezusowego.

- Ojciec generała - powiedział Riga. - Musimy porozmawiać. To pilne.

## Lotnisko imienia Leonarda da Vinci, Rzym Trzy godziny później

Fleming przebił się przez tłum do stanowiska British Airways. Opuścił pewno siebie, który zawsze traktował jako coś oczywistego. Praca, jego źródło utrzymania, wymykała mu się z rąk, jego życie prywatne było w stanie zaniku i nie miał się do kogo zwrócić. Dawniej, kiedy drżące go kłopoty osobiste, dzwonił do brata, a sprawy zawodowe omawiał z kierowniczką Barley Hall. Teraz to z powodu tych dwojga znalazł się w opałach.

Tylko jedna osoba mogła pomóc mu to wszystko zrozumieć, a akurat z nią nie miał kontaktu. Pozostawało mu tylko wrócić do domu i czekać na telefon od niej - od Amber Grant.

Rozejrzał się i na wspomnienie przestrogi Rigi przeszył go dreszcz. Jego uwagę zwrócił niepozorny, popielatowłosy mężczyzna w lekkiej marynarce, który nagle odwrócił wzrok. Przemknęło mu przez myśl, że jest śledzony. Wyjął z kieszeni marynarki bilet powrotny na Heathrow, spojrzął na tablicę odlotów i nagle poczuł, że musi porozmawiać z kimś, komu na nim zależy. Wsunął rękę do teczek, wyjął komórkę i wybrał numer rodziców. Odebrała matka.

Kiedy zapewnili się nawzajem, że wszystko w porządku, poprosił, by zawołała Jake'a.

Sześciolatek był zdyszany i podekscytowany.

- Cześć, Milo, grałem dziś w nogi.

Flemingowi od razu poprawił się nastrój.

- To fantastycznie, Jake. Brawo.

- Jak wrócisz, będziemy się cigać.

- No nie wiem. Masz bioniczne nogi.

- Nie bój się, dam ci fory.

- Zobaczymy. Dbasz o nogi tak, jak o tym rozmawialiśmy?

- Tak.

- A poza tym jak leci?

- Dobrze. - Głos Jake'a zmienił się, zabrzmiała w nim nuta melancholii.

- Milo?

-Tak?

- Gdzie jeste ?
- W Rzymie. - Usłyszał informację o odlocie samolotu do Londynu i zerknął na tablicę odlotów. W oczu rzuciła mu się informacja o innym rejsie. Sprawdził numer wyjścia i czas odlotu i zerknął na zegarek. To było tak oczywiste, że wyrzucił sobie, i wcale nie wpadł. Przez kilka ostatnich dni łamał sobie głowę nad tym, jak skontaktować się z Amber, gdy od razu powinien wybrać najprostsze rozwiązanie. Nawet jeśli okaże się to stratą czasu, i tak nie ma nic lepszego do roboty.
- Wracasz już, Milo?
- Jeszcze nie, Jake - odparł znów zdeterminowany. Skierował się do stanowiska Alitalii. - Niedługo będzie, ale muszę jeszcze coś załatwić. Pozdrów babcię i opiekuj się nią, dobrze?
- Dobrze, Milo.
- Trzymaj się, Jake. Trzymaj się za siebie.
- Na razie, Milo. Ja za siebie też.

Siedem minut później Miles Fleming odszedł od stanowiska Alitalii i pośpiesznie skierował się do wyjścia. Nie zwrócił uwagi na niepozornego, popielatowłosego mężczyznę, który wpisał do telefonu WAP krótką wiadomość:

Fleming nie leci BA 671 na Heathrow.  
Leci Alitalia AL 102. Spodziewany czas przybycia: 09.15 czasu lokalnego.  
Cel: San Francisco.

## 30

### VenTec, Alaska

Amber zorientowała się najpierw, że jej nie boli, a potem poczuła, że swędzi jej skóra głowy. Chciała otworzyć oczy. Bez skutku. Wytężyła całą siłę woli, usiłując zmusić powieki, by się podniosły, one jednak uparcie pozostawały zamknięte. Próbowwała podrapać się po głowie, ale ręce leżały bezwładnie u jej boków. Rozpaczliwie starała się poruszyć jakkolwiek części ciała. Daremnie.

Co się dzieje? Czy była sparaliżowana?

To wszystko nie miało sensu. Nawet czas stracił znaczenie, kiedy usiłowała zmusić otępiały umysł do wysiłku. Przez kilka ostatnich dni - czy godzin? - jak przez mgłę czuła przy sobie obecność jakichś ludzi, ale nic poza tym. Czy miało to coś wspólnego z tym, co zdarzyło się w Barley Hall? Z czym, co Fleming wykrył u niej za pomocą Neuro-Translatora? Je-li tak, co to było? Myliła, do cholery, myliła, ponaglała sam siebie.

Co musiało się zdarzyć w limuzynie wiozącej ją z Barley Hall. Było tylko jedno logiczne wytłumaczenie, które jednak wydawało się niedorzeczne. Została upiorna i uprowadzona. Ale po co?

Nagle usłyszała głosy, męski i kobiecy. Głos kobiety i jej słowa zapach w powietrzu wydały jej się znajome. Pamiętała je z przeszłości.

Łódź poruszyła się i nawet przez zamknięte powieki zauważyła, że zrobiło się jaśniej, jakby została wywieziona z pokoju na korytarz.

Po lewej stronie rozległ się syk rozsuwanych drzwi i znalazła się w jeszcze jaśniejszym pomieszczeniu. Poczowała dotyk rąk, które przeniosły ją na inne łóżko. Wokół słyszała buczenie.

Nagle ktoś podniósł jej powieki i Amber usiłowała zmrużyć oczy, pora one jasnym światłem lamp. W jej polu widzenia pojawiła się twarz w wyłupiastych okularach ochronnych. Poczowała w oczach palący płyn, pod powiekami miała rozwieracze. Ból był nie do wytrzymania, ale nie mogła się skulić ani odwrócić twarzy. Przyciemniane soczewki przesłoniły jej oczy.

Kto unióś jej głowę i zauważyła, że wkłada na nią szklane kulki przypominające kaski astronauty. W zakrzywionym szkle zobaczyła swoje odbicie zniekształcone jak na dnie łyżki. Największym szokiem dla niej było to, że została ostrzyżona na zero.

Omal nie spanikowała.

Po prawej stronie dostrzegła kciukiem oka zniekształconą w szkle postać w białym kombinezonie i okularach ochronnych ze strzykawką w dłoni.

- Ma szczęście, umrze tylko we śnie - powiedział kobiecy głos.

Kiedy niewyraźnie dotknęła głowę jej odsłoniętego prawego ramienia, Amber znów poczuła ten irytujący, co znajomy zapach. Zanim zdążyła wyciągnąć z tego wnioski, usłyszała syk i do kasku napłynął bezwonny, niebieski gaz, który skłapał wszystko wokół w zieloną, aktywną po wiacie.

A wtedy wiatr rozpuścił się przed jej oczami i wchłonął ją w ciemność.

Ledwie wpadła w przytulne objęcia nico ci, a już pędziła w stronę wiatła, gdzie czekało ukojenie. Mknęła ku niemu, dusząc w sobie strach, miała jednak wrazenie, że przytrzymuje ją jakaś siła, która lada chwila rozerwie ją na pół. Napięcie rosło i rosło, a znalazła się wewnątrz wiatła, blisko jego ródła. Kiedy jednak czuła, że Ariel już jest tu-tu, na wycięgnięciu ręki, siła porwała ją z powrotem w ciemność. Z powrotem do jej ciała.

Tym razem jednak nie miała chwili wytchnienia od miernoty, nie wróciła do wiatła wydech. Zamiast obudzić się budzący w normalny sen, natychmiast została ponownie wyrzucona w próżnię, ku tunelowi wiatła. Do wiadczyła na nowo strachu przed miernotą i znów położyła się ze wiatłem; tym razem dotarła głębiej, prawie do samego ródła. Ariel była bliżej, czuła to, ale wciąż nie mogła jej dosięgnąć...

Wówczas została oderwana od wiatła, by zaraz znów pomknąć ku niemu. I tak bez końca.

Podczas każdego kolejnego wejścia do wiatła była bliżej ródła, bliżej miernoty i spotkania z siostrą.

Zawsze jednak coś jej w tym przeszkadzało. Im bardziej zbliżała się do siostry, tym większa siła ciągnęła ją w tył.

Była jak wahadło kołyszące się między wyciemieniem a miernotą, nieobecna na każdym ze wiatłów, skazana na to, by na zawsze pozostać w dzielnicy jej otchłani swoistym piekłem.

## 31

### Sala konferencyjna w czarnym sektorze, VenTec

Bradley, wszystko z nią w porządku? - Accosta w napięciu obserwował bladą twarz Amber Grant w szklanej kuli. Siedział w sali konferencyjnej z Carvellim, Diageo, Knight i Soamesem i widział wewnątrz laboratorium przez lustro weneckie. Teraz, kiedy projekt „Dusza” wchodził w najważniejszą fazę, wszyscy członkowie Rady Prawdy odrywali się od innych obowiązków i przybyli do VenTec. Chcieli zobaczyć eksperyment na własne oczy.

Bradley Soames spokojnie przyglądał się wskazaniom monitora nad ich głowami.

- Czynno ci życiowe w normie, Wasza wi tobiwo . Serce bije trochę za mocno, ale w dopuszczalnych granicach. - Je li miał jakiegokolwiek wyrzuty sumienia spowodowane tym, e zrobił ze swojej byłej współpracownicy szczura laboratoryjnego, nie dawał tego po sobie poznać .

Accosta raz jeszcze powiedział sobie w duchu, e powinien by wiedzieć czyny Soamesowi za oddanie dla jego sprawy. -A ten zastrzyk? Nie b dzie miał wpływu na jej sny?

- Wrzecz przeciwnie, Wasza wi tobiwo - odparł Soames wpatrzony w monitor. - Relax to cudowny lek neurologiczny zalecany przez obecną tu Virgini Knight.

Knight skin ła głow ; jej twarz była ci gni ta, na wysokim czole perlili się pot.

- Dziś ki niemu doktor Grant łatwiej b dzie zasnąć - wyjąknęła, nie odrywając oczu od Amber - a jej mózg wejdzie w fazę REM szybciej i na dłużej. To pomoże nam lepiej wykorzystać jej sny, bo czystość ich występowania i długo trwania zwiększy się dziesięciokrotnie. - Innymi słowy - dodał Soames - b dzie umierała czaciej i na dłużej, dziś ki czemu ilekroć jej kondensat Bosego i Einsteina opuści jej ciało podczas snu, b dziemy mogli monitorować jego w drówek . Przy użyciu zmodyfikowanej technologii stosowanej w komputerach optycznych powinniśmy być wówczas w stanie namierzyć czystość jej duszy.

W nogach łózka Amber stały komputer optyczny, kilka monitorów i czarna skrzynka wielkości telewizora, na której widniały cztery pionowe kolumny światła. Każda składała się z czterech mrugających światła w różnych kolorach, przebiegających z góry na dół, i odpowiadała jednej z kolumn widocznych w szklanej kuli na głowie Amber. Światła we wszystkich czterech kolumnach miały się zsynchronizować - tworząc cztery rzędy kolorów - kiedy włączy się czystość zostanie namierzona. Teraz, kiedy zbliżała się chwila prawdy, Accosta był wyczerpany. Mężczyzna, który trzymał go na nogach przez ostatnich kilka dni, pochłonął resztki jego sił. Pojawiły się pogłoski podszywane przez watykańskie biuro prasowe, e jest bliski śmierci, czego dowodzi miały jego pogarszający się wygląd i długa nieobecność na pokładzie Czerwonej Arki. Szeptano, e bez wyznaczenia następcy Kościół rozpadnie się , a wyznawcy pozostaną bez sternika na wzburzonym morzu. Rzym zasugerował, e gotów jest wybaczyć wszystkim zbłąkanym owieczkom i przygarnąć je z powrotem.



Najgorsze w tych plotkach było to, że nie miały się z prawdą. Zdiagnozowany niemal sześć lat wcześniej rak prostaty zaatakował go i w końcu, a płuca były wyniszczone od przerzutów. Choroba zbliżyła się do stadium końcowego. Zostało mu kilka miesięcy, jeśli nie tygodni, życia. Tak więc sam był kandydatem na miejsce w jednym z hospicjów jego własnego Kościoła.

Amber Grant była jego jedyną nadzieją.

- Znowu wchodzi w fazę REM - usłyszał zdyszany głos Carvellego.

Tylko Soames wydawał się spokojny, patrzył na monitory w oczach obójtnie.

- Doskonale - powiedział. - To był najdłuższy jak dotąd okres utrzymywania kondensatu w postaci zintegrowanego układu bozonów.

- Co w tym doskonałego? - spytał Accosta wpatrzony w chaotycznie mrugające światła. - Nie namierzyłeś czy stotliwo ci duszy.

- Jeszcze nie, Wasza wi tobliwo, ale dzięki temu, że mogli myśledzi pierwsze przypadki śmierci Amber, w drówek jej wiadomo ci poza ciałem, jesteście myśli sukcesu nie po wszystkich dotychczasowych eksperymentach razem wziętych.

- Wiacie ile dni minie, zanim osiągniemy cel?

- Soames parsknął miechem i blizny okalające jego usta się wykrzywiły.

- Dni, Wasza wi tobliwo? Nie dni, ale godzin, jeśli nie minut. Dzięki temu lekowski może na bezkarcie wprowadzać Amber w stan marzeń sennych. Innymi słowami, będzie umierał raz po raz, dopóki nie namierzemy dokładniej czy stotliwo ci... to tak, jakby namierzał numer telefonu, zmuszając rozmówcę, by dzwonił na określony głos. Szczerze mówiąc, umrze tyle razy, ile pośle, i tyle. - Rozejmiał się znowu. - Proszę się nie obawiać, Wasza wi tobliwo, teraz już namierzemy dusz bez trudu. Pozostaje pytanie, jak nawiązać z nim kontakt.

Soames odwrócił się do Carvellego. - Frank, pomóż Jego wi tobliwo ci przygotować się do ostatniego aktu. No i trzeba zastanowić się, co z Milesem Flemingiem.

- On nam nie pomoże - powiedziała Knight.

- Tobie nie, ale do mnie nic nie ma - burknął Soames. - Poza tym nie zamierzam go prosić, by nam pomógł. To ja zaproponuję mu pomoc.

Wtedy rozległy się przeciągłe piknięcia i zamiast chaotycznie błyskających kolumn światła ukazały się cztery rzędy kolorów. Soames po raz pierwszy stracił zimną krew.

- Biercie odczyty! - krzyknął do asystentów w laboratorium. Odwrócił się do Accosty z szerokim uśmiechem zadowolenia. -

Dokonało się .  
Accosta jednak nie zwracał już uwagi na Soamesa ani na wiatła. Patrzył na Amber Grant ciekaw, dlaczego zdawała się u miecha .

## 32

### **Hospicjum Kościoła Prawdy Duchowej, ok. g. Marin Następnego dnia**

Szkarłatny habit siostry zaszelecił, kiedy spojrzała na monitor w recepcji. Zerknęła z uśmiechem na wysokiego mężczyznę i powiedziała:

- Panie Kent, przez telefon mówił pan, że pański ojciec jest chory i by moim zdaniem trzeba go tutaj umieścić w hospicjum.

- Zgadza się. Chciałbym jednak najpierw je obejrzeć .

Oczywiście. Poproszę kogoś, by oprowadził pana po naszym ośrodku, i przyniosł pakiet dla gościa zawierający niezbędne informacje i formularze, które tutaj pan musiał wypełnić w imieniu ojca. Jestem pewna, że zdaje pan sobie sprawę, że dysponujemy ograniczoną liczbą miejsc, więc przyjmujemy tylko najbardziej potrzebujących.

- Tak, rozumiem, ale w razie czego co się znajdzie?.

Siostra zerknęła na monitor i uśmiechnęła się pogodnie.

- To hospicjum, panie Kent, miejsca się zwalniają . Taka jest kolej rzeczy. Jeśli tutaj pan łaskawie zaczeka, przyniosę pakiet dla gościa i poproszę jedną z sióstr, by pana oprowadziła,

- Dziękuję .

- Proszę bardzo.

Ledwie siostra odwróciła się i wyszła z recepcji, mężczyzna wyciągnął rękę do monitora i odwrócił go do siebie. Znalazł interesujące go nazwisko i numer pokoju. Przy nazwisku widniała gwiazdka, ale nie miał czasu sprawdzić, co oznacza. Wyszedł do poczekalni. Na ścianie wisiały zdjęcie Xaviera Accosty, Czerwonego Papieża, i fotografia Czerwonej Arki.

Mężczyzna usiadł i po paru minutach zjawiła się druga zakonnica w szkarłatnym habitcie; przedstawiła się jako siostra Angela i zabrała go na zwiedzanie hospicjum. Słuchał uważnie, kiedy opowiadała o opiece, na

jak mogłoby liczyć pacjenci, i zapewnianych im udogodnieniach, ale prawie się nie odzywał, dopóki nie weszli szerokimi schodami na piętro, gdzie miał się pokój 21. Pokój Gillian Grant.

- Przepraszam, mógłbym skorzystać z ubikacji? - spytał uprzejmie u szczytu schodów i poczuł ulgę, kiedy siostra wskazała mu drugi koniec korytarza.

- Zaczekam tu - powiedziała.

Minął szereg pozamykanych pokoi i przystanął pod numerem 21. Upewnił się, że siostra Angela go nie widzi, a korytarz jest pusty, i przysunął się do drzwi.

Kiedy usłyszał głosy, cofnął się o krok. Drzwi pokoju 21 się otworzyły. Mężczyzna i kobieta, oboje w białych kombinezonach, wywieźli na wózek masywny biały trumn z symbolem Kościoła Prawdy Duchowej. Przeszli obok intruza i skierowali się ku drugiemu końcowi korytarza. Drzwi pokoju 21 pozostały uchylone. Mężczyzna zauważył, że na łóżku nie ma podścieliska, a pokój jest pusty.

Wrócił do siostry Angeli.

- Dziękuję, że znalazła siostra dla mnie czas. Myślałem, że widziałem ją dosyć.

Fleming wyszedł na słońce, skierował się do wynajętego taurusa, wsiadł i ruszył w stronę mostu Golden Gate. Nadal nie był pewien, po co właściwie tu przyjechał; jakkolwiek miał w tym cel, na pewno go nie osiągnął.

Spontanicznie postanowił wyskoczyć za Atlantyk, do San Francisco. Pojechał do luksusowego domu Amber w Pacific Heights i nie zastał tam nikogo. Zadzwoił wówczas do ojca Petera Rigi, by sprawdzić, czy są jakieś nowiny. Nie zdołał porozmawiać z nim osobiście, ale sekretarz jezuitów przekazał mu zagadkowe wiadomości:

- Ojciec Peter Riga chce, aby wiedział pan, że podzieliła się troski i że poczynił kroki, aby panu pomóc.

- Jakiego kroki? O czym pan mówi?

Sekretarz jednak nie mógł albo nie chciał powiedzieć nic więcej, dlatego Fleming, zamiast poczuć się pewniej, miał jeszcze większy ból w głowie. Hospicjum było jednym z jego ostatnich nadziei.

Ponieważ nie witał już go, że Virginia Knight chce zszargać jego reputację, uciekł się do podstępnie stosowanego przez najgorsze hieny dziennikarskie; tyle że próba skontaktowania się z Amber pod fałszywym nazwiskiem, za pośrednictwem jej przebywającej w hospicjum matki, się nie powiodła. Gillian Grant umarła.

Kiedy jechał przez most Golden Gate, nie zauważył brzozy zwanego sedanem dwa wozy za nim. Jego wzrok skupiony był na centrum San Francisco i na cieśninę Bay. Myślał tylko o swojej ostatniej nadziei na nawiązanie kontaktu z Amber Grant.

## 33

### Optriks Industries

Wywizyczny uśmiech recepcjonistki był serdeczny w odróżnieniu od jej słów. - Niestety, doktor Soames dopiero wrócił z Alaski i nikogo nie przyjmuje.

Fleming rozejrzał się po przestronnym, wyłożonym marmurem holu Optriks; zauważył kamery przemysłowe i dyskretnie rozlokowanych ochroniarzy. Starał się trzymać nerwy na wodzy.

- Proszę tylko, żeby powiedziała mi pani, gdzie tu jestem i gdzie chcę porozmawiać z nim o jego spółkach, doktor Amber Grant. Jestem jej lekarzem i mam pewne informacje, które muszę jej pilnie przekazać.

Uśmiech nie zniknął z twarzy drobnej blondynki.

- Przykro mi, ale jeśli nie jest pan umówiony, nie mogę ...

- A gdyby tak połączyła się pani z jego biurem przez ten swój słuchawkę z mikrofonem? Proszę chociaż zna jego sekretarce, gdzie tu jestem. - Jedna z kamer zafurkotała i skierowała się na niego, po czym jeden ze strażników powoli ruszył ku niemu z palcem na słuchawce, jakby wysłuchiwał czyichś polecenia. Uśmiechnął się do Fleminga zawodowym uśmiechem, takim jak na twarzy recepcjonistki.

- Pozwoli pan ze mną? - spytał uprzejmie. Był potłoczony i zbudowany. Wzrostu Fleminga, ale cięjszy.

Fleming odruchowo się sprężył.

- Nie chcę żadnych kłopotów, proszę tylko o rozmowę z Bradleyem Soamesem.

- Rozumiem, proszę pana - powiedział strażnik i przechylił głowę na bok, słuchając głosu w słuchawce. Wyciągnął rękę w stronę szeregu wind

i wskazał t z kabin z przyciemnianego szkła. - Prosz wjecha wind dla kierownictwa na ostatnie pi tro. Kiedy pan wysi dzie, skr ci pan w prawo, pierwsze drzwi na lewo to gabinet doktora Soamesa.

Fleming nie mógł ukry zaskoczenia. Spojrzał w kamer i odwrócił si do niezmiennie u miechni tej recepcjonistki. Zanim drzwi windy zamkn - ły si za nim, zd ył jeszcze usłysze jej szczebiot:

- Miłego dnia, doktorze Fleming.

Weisn ł pierwszy guzik od góry. Po kilku sekundach winda zatrzymała si na trzydziestym dziewi tym pi trze i Fleming wyszedł na mi kki dywan. Okr gły korytarz był pusty, pracownicy zaszyli si w hermetycznie zamkni tych biurach. Wszystkie znajdowały si po zewn trznej stronie wie owca.

Oprócz jednego.

Na drzwiach z jasnego d bu wisiała tabliczka z dwoma słowami. Bez tytułu naukowego, stanowiska czy kwalifikacji, samo imi i nazwisko. BRADLEY SOAMES.

Fleming otworzył drzwi i zobaczył wysok , u miechni t kobiet o bujnych włosach. Wskazała drzwi z przyciemnianego szkła na prawo od jej biurka.

- Doktorze Fleming, doktor Soames ju czeka. Prosz t dy.

- Uprzedził mnie pan - powiedział Soames i wstał zza półkolistego biurka w pozbawionym okien gabinecie. - Gdyby pan mnie nie znalazł, ja znalazłbym pana. Mog ci mówi Miles? Mów mi Bradley.

Fleming ukrył zaskoczenie i chwycił wyci gni t r k Soamesa. Ostro nie odwzajemnił jego słaby u cisk - zauwa ył blizny i nie chciał zada mu bólu.

- Wła ciwie to my lałem, e mnie wyrzucisz za drzwi - powiedział.

Soames si za miał.

- Och, nigdy nikogo nie wyrzucam. - Niedbałym gestem wskazał co za plecami. - One to robi . - W przy mionym wietle Fleming dostrzegł dwa ciemne kształty rysuj ce si na podłodze po drugiej stronie okr głęgo gabinetu. Mi dzy nimi le ało co , co wygl dało jak du a ko . Dopiero teraz poczuł wilgotny, zwierzc cy odór unosz cy si w chłodnym, lekko pachn cym lekami powietrzu. - Ale nie przejmuj si nimi. Jak ju mówiłem, ciesz si , e tu jeste . Siadaj, napij si .

Fleming usiadł na kanapie z puzsk coli i spojrzał na dziwnie zachowuj - cego si gospodarza. Soames wygl dał gorzej ni na zdj ciach. Był chudy jak szczapa, a jego skóra w odsłoni tych miejscach nosiła lady przebytych

operacji. Złote włosy i jasnoniebieskie oczy podkreślały osobliwy wygląd oszpeconej bliznami twarzy. Mimo to Fleming czuł, że ma do czynienia z piekielnie inteligentnym człowiekiem.

- Przykra sprawa z twoim bratem - powiedział nagle Soames. - Współczuj. Virginia Knight zawsze była politycznym tchórzem.

- To znaczy?

- Spójrzmy prawdzie w oczy, jest wietną administratorką, umie utrzymać porządek i podobno swego czasu była znakomitą lekarką... ale w odróżnieniu od ciebie i mnie nie jest pionierem. Nie podejmuje ryzyka. Jest politykiem, a ty padłeś ofiarą jej strachu przed wszystkim, co mogłoby postawić ją w złym świetle. - Soames wyjął spod biurka egzemplarz londyńskiego „Timesa” otwarty na stronie czwartej. Jeden z artykułów był zakreślony na czerwono. Nagłówek głosił: RENO-MOWANY NEUROLOG ZAWIESZONY DO CZASU WYJAZDU NIE- NIA OKOLICZNO CI MIERCI PACJENTA. Niejako zamieszczono zdjęcie Fleminga. - Jak się działo, słyszałeś o fundacji VenTec?

Każdy, kto choć trochę interesował się nauką, słyszał o VenTecu. Faktów dotyczących tego tajemniczego instytutu było niewiele, natomiast narodziło się wokół niego wiele mitów; mówiło się na przykład, że uchodzący za cud techniki komputery optyczne skonstruowane z pomocą Fundacji były niczym w porównaniu z tajnym superkomputerem o bajecznej mocy skrywanym przez Soamesa w jego górskiej kryjówce. Specjalizujący się w rewolucyjnych innowacjach w dziedzinie najnowocześniejszych technologii komputerowych VenTec znany był jako wylęgarnia nowych pomysłów, wcielanych w życie w oficjalnych laboratoriach Optrixu i innych współpracujących firm.

- Tak, słyszałem - odparł Fleming wciąż zszokowany niespodziewanie poufałym przyjazdem. Przyszedł tu, by wyciągnąć Soamesa, gdzie jest Amber Grant, a tymczasem inicjatywa wymknęła mu się z rąk.

- Przejdź do rzeczy, Miles. Jak wiesz, jestem zagorzałym fanem twoich prac nad NeuroTranslatorem. To chyba najlepsze zastosowanie procesora optycznego Lucyfer, jakie znam. Dlatego właśnie nie przekonałem moją współpracowniczkę Amber Grant, by zgłosiła się do ciebie na leczenie. I przeznaczyłem pokaźną kwotę na dalsze badania nad twoim wynalazkiem. Ponieważ jednak nie pracujesz już w Barley Hall, ta oferta przestała być aktualna. Domyślam się, że Virginia Knight nie jest z tego zadowolona. - Soames uśmiechnął się szeroko. - W każdym razie, mam nadzieję, że strata Barley Hall może okazać się zyskiem VenTecu. Chcę, żeby wykorzystał moją

dotacji i całkiem przyzwoity sprz t, jaki mamy w VenTecu, do dalszych prac nad NeuroTranslatorem.

Fleming nie wiedział, co na to odpowie . Pochlebiało mu, e człowiek tak genialny jak Soames miał o nim tak wysokie mniemanie, mimo oszczerstw, którymi obrzuciła go Knight. Poza tym wyposa e nie VenTecu uchodziło za najlepsze na wiecie. Byłoby to wymarzone miejsce na kontynuacj bada nad cz stotliwo ci duszy. Gdyby nie jedna drobnostka.

- To ciekawa propozycja, Bradley, i w innych okoliczno ciach sko rzystalbym z niej skwapliwie, tym bardziej w sytuacji, w jakiej si znalazłem, ale...

- Ale co?

- Nie przyszedłem do ciebie w poszukiwaniu pracy. Chc nawi za kontakt z Amber Grant...

- Po co? Przecie nie jeste ju za ni odpowiedzialny.

- Sprawa jest bardziej skomplikowana.

- Du o bardziej?

- Musz z ni porozmawia i pomy lałem sobie, e mo e ty mi powiesz, gdzie j znale . Jest co , co musz jej koniecznie przekaza , co , co ma zwi zek z jej migrenami.

- Co takiego?

Fleming opowiedział mu wszystko od pocz tku. Kiedy sko czył, Soames gwizdn ł cicho, wstał i zacz ł chodzi po gabinecie. Kaptur ochronny opuszczony na sweter osłaniaj cy przed promieniowaniem ultrafioletowym podkre lał chude, zgarbione ramiona.

- To niesamowite. Musisz, po prostu musisz zgodzi si , ebym pomógł ci kontynuowa badania. Je li dobrze rozumiem, chcesz potwierdzi , e ta fala to tylko chwilowa aberracja, smuga kondensacyjna pozostawiona przez znikaj cy w nico ci umysł. Bo oznaczałoby to, e twój brat nie cierpi i post piłe słusznie, e nie starał si utrzyma go przy yciu. Czy to si mniej wi cej zgadza?

Fleming był pod wra eniem jego przenikliwo ci.

- No, mniej wi cej.

Oczy Soamesa rozbłyły z o ywieniem.

- Fascynuj ce. Z powodu odkrycia tej fali zw tpiłe we wszystko, w co wierzysz, a teraz chcesz j dokładnie pozna ?

- Mo na tak powiedzie . - Fleming, zwykle zamkni ty w sobie, tym razem był dziwnie skłonny odpowiada na dociekliwe pytania tego obcego człowieka dotycz ce jego najgł biej skrywanych obaw.

- Ale z czysto naukowego punktu widzenia, czy próba wykazania, że fala o tej długości ci to nie dowód życia pozagrobowego, nie jest obciążona ryzykiem powaźnego błędu? - spytał Soames. - Nie zapominaj, że praktycznie nie da się udowodnić, że coś nie istnieje. Dużo łatwiej wykazać, że coś istnieje.

- Co chcesz przez to powiedzieć? Że zabieram się do tego nie tak, jak trzeba?

- Otóż to. Miles, nie masz wyboru, jeżeli zależy ci na spokoju sumienia. Zamiast usiłować udowodnić za pomocą czegoś stotliwego ci duszy, że życie pozagrobowe nie istnieje, spróbuj postąpić z nią do poszukiwania dowodów na jego istnienie. Jeżeli ich nie znajdziesz, przynajmniej będziesz mógł sobie powiedzieć, że skoro włożyłeś w to tyle wysiłku i nic, to widocznych dowodów na jego istnienie nie ma. Ja bym tak zrobił. - Soames przerwał. - Taki sposób postępowania niesie jednak ze sobą pewne ryzyko.

- Tak, wiem - powiedział Fleming, do którego dopiero teraz dotarło, dlaczego w swoim zapamiętaniu przeoczył to podejście. - Mogę znaleźć to, czego obawiam się najbardziej. Soames się uśmiechnął.

- To jednak zbyt wielka sprawa, żeby ją tak zarzucić. To oczywiste, że nie masz innego wyjścia, jak tylko kontynuować badania nad NeuroTranslatorem jako naukowiec, ale i jako brat.

- Tak, lecz muszę mieć dostęp do Amber Grant. Jej teści należąby o tym wszystkim powiedzieć. Na razie niczego się nie domyśla. Dlatego właśnie nie próbuj się z nią skontaktować.

- Oczywiście. Tyle że niedawno zmarła jej matka i Amber wyjechała, żeby mieć trochę czasu dla siebie. Nie wiem, gdzie jest, i szczerze mówiąc, to nie moja sprawa, tym bardziej że wzięła miesięczny urlop na czas kuracji u ciebie. Dzwoni do mnie od czasu do czasu. - Soames zatrzymał się i nachylił nad wilkami. Zamykając przemówił do nich w niezrozumiałym gardłowym języku, zdrapał z dłoni strup, wsunął go do pyska wiśszego ze swoich pupili i zmierzył jego sierść. Fleming się skrzywił. Choć wilki nie zwracały na niego uwagi, sama ich obecność przejmowała go niepokojem.

- Wiesz co? - odezwał się Soames. - Mimo zastrzeżeń przyjmij moją propozycję. Dostaniesz wszystko, co niezbędne do opracowania ulepszonej wersji NeuroTranslatora. Nie będę się chwalił, ale mamy w VenTecu najlepszych specjalistów od komputerów. Z ich pomocą skonstruujesz znacznie czulszy i potężniejszy model NeuroTranslatora niż ten z Barley Hall. - Wyprostował się. - Bądź z tobą szczerzy, Miles. Jeden z naszych klientów,



KREE8 Industries, jest szczególnie zainteresowany twoją technologią, a zwłaszcza zastosowaniem w nauce i rozrywce generowanych komputerowo obrazów i sterowanych myszy i protez. Poprosili ją VenTec o zaprojektowanie urządzenia, które traktujemy jako ulepszoną wersję twojego prototypowego NeuroTranslatora. Bez twojej wiedzy o długościach fal nerwowych możemy nam to zajęć całe lata. Z twoją pomocą uwiniemy się w kilka dni. W zamian mogłoby kontynuować badania nad czuciowością cię duszy, korzystając ze wszystkich zasobów VenTecu. Pomyśl, co mogłoby osiągnąć, dysponując komputerami o autentycznie dużej mocy.

- Musiałbym mieć dostęp do mojej dokumentacji z Barley Hall.

Soames machnął ręką w niedbałym geście ludzi prawdziwie bogatych i wpływowych.

- Z Virginii nie będzie kłopotu. Znam jej sposób myślenia, wiem, czego chce. Jeśli tylko dostanie pieniądze i będzie mogła przypisać sobie czasy zasługi za twoje odkrycie... i umyć od wszystkiego ręce, jeśli nie wypali... nie będzie się interesowała tym, co robisz. Zaufaj mi, Miles. Załatwi ci wszystko, czego potrzebujesz z Barley Hall.

- A co z Amber?

- Zaczynaj pracę od razu, a kiedy Amber się ze mną skontaktuje, umówi was ze sobą i będzie mógł z nią porozmawiać. Nie widzę powodu, by odmówiła współpracy. Musi zrobić coś z tymi swoimi bólami głowy i problemami z Ariel. Mogłoby to nawet pomóc jej dojść do siebie po śmierci matki. - Soames wyraża niechęć do wywiłu. - Co ty na to, Miles? Dokonałeś niesamowitego odkrycia. Musisz dalej nad nim pracować i pozwolić sobie pomóc. Po to właśnie powołano VenTec, by promował tego rodzaju przełomowe badania. - Sięgnął po telefon na biurku. - Lauro, ka przygotować samolot do podróży do Fairbanks i niech na miejscu czeka migłowiec, który zabierze nas do Fundacji. Nie, nie sprzedaj VenTecu, sam do nich zadzwoni. I tak muszę polecić przygotować kilka rzeczy. Tak, już go pytam. - Soames podniósł głowę. Jego umiarkowany był tak chłopcowski, a oczy tak błyszczące, że w słabym świetle wydawał się wręcz przystojny. - Miles, ile czasu potrzebujesz, żeby się spakować?

Zarazony jego entuzjazmem Fleming nie wahał się ani chwili. W najmielszych marzeniach nie liczył, że spotka go coś takiego.

- Cały mój bagaż jest w wynajętym samochodzie na parkingu po drugiej stronie ulicy.

Soames klepnął go w plecy.

- No to chodź, na co czekamy?

## 34

### Cz mieszkalna w czarnym sektorze, VenTec

Kiedy Amber Grant odzyskała przytomność, ogarnął ją taki spokój, że była pewna, że umarła.

Kto ciskał jej dłoń. I czuła przy sobie czyją obecność, znajomą, kojącą. Nawet wspomnienie tego, jak raz po raz umierała, nie było już takie straszne. Co zmieniło się w głębi jej duszy. Cokolwiek zrobili jej porywacze, w jakiś sposób odblokowało to jej psychikę. Niewolniczo ciało, oswobodzili umysł. Nie czuła się już samotna. Miała przy sobie siostrę, uwolnioną z potrząsku, bez trudu nawiązała z nią kontakt. Nawet obawa o matkę wydawała się łatwiejsza do zniesienia, tak jakby ją z kim dzieliła.

Przytomna i oswobodzona z widoków Amber wyciągnęła rękę w bok, by dotknąć Ariel, ale była tam tylko ściana, gładka po cielu. Choć czuła uścisk dłoni siostry, tak silny, jak dawniej, gdy były dziećmi, i jej obecność, pocieszającą, dodającą siły, leżała w łóżku sama.

Otworzyła oczy i stwierdziła, że jest w skromnym pokoju bez ozdób czy okien. W nogach łóżka był krząkacz dzienny, z kanapą, telewizorem, krzesłem i biurkiem.

Dalej znajdowały się drzwi, a za nimi łazienka. Spartańskie otoczenie, białe ściany i proste meble wyglądały dziwnie znajomo.

Usiadła prosto i zauważyła, że ma na sobie biały kombinezon. Była wyczerpana fizycznie, jak po chorobie, ale udało jej się, że znów panuje nad swoim ciałem.

Dziwne. Powinna czuć się zrozpaczona, przerażona i samotna. A tak się nie czuła.

- Gdzie jesteś? - spytał głos. Głos jej i nie jej jednocześnie.
- Nie wiem - usłyszała swój odpowiedź.

Wstała. Miała wrażenie, że powinna rozpoznać ten pokój. Przypominał jej miejsce, które odwiedziła przed laty. Podeszła do drzwi i nacisnęła klamkę, lecz były zamknięte.

Wtedy zobaczyła biały szlafrok na drzwiach łazienki. Na jego górnej kieszeni widniała litera V, a pod nią hasło: JUTRO DZIŚ.

I wtedy doznała olśnienia. Wszystko zaczęło się układać w logiczną całość. Ten znajomy piśmowity zapach i głos, który rozpoznała, kiedy była

sparali owana... to musiała by Felicia Bukowski, naukowiec, zaufana Bradleya, któr Amber poznała w czasie wizyty w jego Fundacji.

Była w VenTecu. Co mogło oznacza tylko jedno.

Bradley Soames był w to zamieszany.

Jej współnik stał za tym wszystkim.

## 35

### Alaska

Miles Fleming nigdy jeszcze nie był na tak dalekiej północy. Przed trzema laty pojechali z Robem na Alaskę, by zdobyć Denali, najwyższy szczyt Ameryki Północnej. W czasie lotu z San Francisco do oddalonego o cztery tysiące kilometrów Fairbanks samolot Soamesa przeleciał nad Alaską. W Fairbanks przesiedli się do miasteczka, które skierował się w stronę Gór Brooksa i pól naftowych Prudhoe Bay i Point McIntyre.

- Niedługo będzie widać Fundację - powiedział siedząc obok Soamesa i wskazał przez przyciemniane szyby za siebie one szczyty przebijające widoczne w dole chmury. - Kilka kilometrów na wschód od nas leży Polarny Rezerwat Przyrody, lecz mój dziadek wykupił wieżę gór, które widać po twojej lewej stronie. Miliardy lat temu były zatopione w morzu. Utworzone z podmorskich skał, skrywają ogromne pokłady ropy. Dziadek założył Alascon Oil, to jednak dzięki mojemu ojcu firma rozkręciła się po odkryciu wielkich złóż w latach sześćdziesiątych i siedemdziesiątych. To on udoskonalił proces przewiercania w trzech górach. Zarobił na tym krocie, a jego fortuna, rzecz jasna, stała się fundamentem mojej. Po jego śmierci sprzedałem Alascon BP, by zdobyć fundusze na rozkręcenie Optriksu, ale zatrzymałem mniej więcej pięćset hektarów. Podoba mi się tutaj, klimat jest w sam raz dla mnie. Od listopada do początku lutego słońce w ogóle tu nie wschodzi, co bardzo mi odpowiada. A latem, cóż, rzadko wychodzi na zewnątrz. Z zachowaniem prywatności ci nie ma tu kłopotu.

Fleming spojrzął w dół, na morze za siebie onych szczytów, i przeszedł go dreszcz podniecenia. To, że był w górach, uznał za dobry znak, potwier-

dzaj czy słuszno podj tej pod wpływem impulsu decyzji, by towarzyszy Soamesowi. Gdzie miał upewni si , e dusza Roba jest bezpieczna, jak nie w jego ukochanych górach?

Przez prze wit w obłokach dostrzegł dolin usian domkami.

- To tam? - spytał.

Soames za miał si gło no i Fleming zobaczył w szybie, jak dwa wilki podnosz łby.

- Nie - odparł Soames po chwili. - To posterunek stra y rezerwatu przyrody. - Wskazał siedz ce za nim wilki. - Wła nie stamt d je wzi - łem, kiedy były porzuconymi szczeniakami. Moja Fundacja jest kawałek dalej.

Przed nimi wyrósł wyj tkowo strzelisty szczyt i migłowiec wszedł na wy szy pułap. Patrz c na rosn c w oczach gór , Fleming przyłapał si na tym, e wypatruje najdogodniejszej drogi wspinaczki, szacuje k ty nachylenia i szuka najlepszych sposobów przebycia poszczególnych odcinków. Zdobycie tego szczytu byłoby całkiem sporym wyzwaniem dla alpinisty.

W jego my li wdarł si głoś.

- To VenTec. - Soames wskazał czarn kopuł na o miu przechylnych wspornikach, wznosz c si na płaskim wierzchołku góry. Maszyn konstrukcj pokrywały wielkie tafle czarnego szkła i kiedy migłowiec zawisł nad ni , Fleming zauwa ył du e wiec ce H w kole na stalowej platformie wystaj cej z północnej ciany.

- Pierwotnie była to platforma wiertnicza, miała ł czy si z rafinerii ulokowan we wn trzu s siedniej góry. Fleming zauwa ył na ni - szym szczycie skupisko niewyko czonych budynków, opuszczony zakład przetwórczy i metalowe szkielety. - Plan był taki, by poprowadzi przez góry system rur ł cz cych platform z rafinerii i głównym rurociągiem docieraj cym do wybrze a. Sprzedałem Alascon, zanim ten zamysł wcielono w ycie, i przerobiłem platform na instytut naukowy. Zdaniem geologów, wci siedzimy na niezliczonych baryłkach ropy, ale czarne złoto to ju prze ytek. Ropa to produkt przeszłości, który powstawał przez miliony lat. Ja koncentruj si na przyszłości. migłowiec opadł ku l dowisku i oł dek podjechał Flemingowi do gardła.

Koła osiadły na twardym gruncie, strumie za migłowy wzbiał nieg ze stalowej platformy. Fleming wyszedł na l dowisko i poczuł si tak, jakby przeszło go tysi ce zimnych no y: lodowaty wiatr nie był silny, ale przenikał do szpiku ko ci.

- Chod do rodka. Temperatura odczuwalna wynosi co najmniej minus dwadzie cia stopni - powiedział Soames i spu cił ze smyczy wilki, które

pomknęły ku o nie onym zboczom, zadowolone, i wydostały się z ciasnego migłowca. Fleming stracił je z oczu, ale słyszał ich skowyt.

- Dokąd pobiegły? - spytał, kiedy dwaj pracownicy obsługi wzięli bagaże i wprowadzili ich głównym wejściem do siedziby Fundacji.

- Nie wiem. Chodź swoimi drogami, jak to wilki. Tu jest ich dom.

Po prawej stronie holu głównego Fleming zauważył aroodporne szklane drzwi, oznakowane symbolami wskazującymi, że są tam leki i ubrania. I rzeczywiście, w środku zobaczył kurtki polarne najnowszego typu, buty, ekwipunek do wspinaczki i szafki - był to schowek, w którym trzymano ubrania, zapasy leków i racje żywnościowe niezbędne w razie ewakuacji. Na ścianie obok drzwi wisiał kolorowy plan Fundacji VenTec, podzielony na pięć oznakowanych różnymi barwami części: centralny czerwony rdzeń i cztery rozchodzące się promieniście sektory.

- Chodź, Miles - powiedział Soames. - Zaprowadzimy ci do twojego pokoju, a potem wszystko ci pokażę.

## 36

### VenTec Czterdzieś ci minut później

Fleming co chwila pocierał uszy, niepewny, czy buczenie dobiega z głębi Fundacji, czy to tylko złudzenie zrodzone w jego zmęczonym wielogodzinnym lotem mózgu.

- Pokój ci odpowiada? - spytał Soames, który prowadził go przez biały sektor za strzałkami wskazującymi drogę do sektora niebieskiego.

- Tak. - Znajdujesz się w białym sektorze pokój Fleminga był raczej funkcjonalny niż luksusowy, ale znalazł w nim wszystko, co trzeba. - Zauważyłem, że telefon nie obsługuje linii zewnętrznej.

- To głównie ze względu na bezpieczeństwo. Prowadzimy tu tajne badania i uznaliśmy, że kontakty ze światem zewnętrznym muszą być ograniczone do minimum. Poza tym, dzięki temu nic nas nie rozprasza. Ale nie jesteś zupełnie odcięty od świata. W każdym z sektorów jest pokój i cz-

no ci wyposa ony w telefon satelitarny, z którego mo na w razie potrzeby skorzysta . No i, rzecz jasna, mamy modemy do ci gania danych. To ci wystarczy, mam nadzieję ?

- Tak s dz .

- To dobrze. Jeste my w białym sektorze i wła ciwie nie ma tu czego obja nia . To cz ogólnodost pna, otwarta dla wszystkich pracowników Fundacji, podobnie jak wszystkie białe korytarze. Jest tu kilka laboratoriów, lecz wszelkie tajne prace prowadzone s w sektorach oznakowanych kolorami, ka dy z nich jest oddzielony murem chi skim od pozostałych. Bezpiecze stwo wewn trzne to priorytet.

Podeszli do drzwi z dymnego szkła prowadz cych do niebieskiego sektora i Soames wskazała na małą płytk obok czytnika dysków.

-Tylko ja mam dost p do wszystkich sektorów. Ta płytka to skaner DNA, który zdejmuje z opuszki palca mikroskopijn warstw naskórka i je li uzyskuje potwierdzenie, e zawiera ona moje i tylko moje DNA, zamek si otwiera. Podniósł dłonie i rozło ył palce jak wachlarz. - Oto moje klucze uniwersalne. Przywilej wła ciciela.

Wskazał na drug stron szklanych drzwi.

- Niebieski sektor specjalizuje si głównie w badaniach nad wirtualn rzeczywisto ci . Wielu naszych klientów przyje d a tu, by z pomoc naszych naukowców i komputerów szuka nowych dróg rozwoju. Słyszałe o KREE8?

Fleming skin ł głow .

- Jasne.

KREE8 styn ło z opracowania technologii komunikacji holograficznej i stworzenia pierwszych wirtualnych aktorów, co pozwoliło wskrzesi wiele nie yj cych ju gwiazd. Ledwie przed rokiem wygenerowana komputerowo Marilyn Monroe wyst piła u boku George'a Clooneya w filmie, który okazał si hitem dekady.

- Có - powiedział Soames - chyba nie zdradz wielkiej tajemnicy, je li powiem, e VenTec praktycznie pełni funkcj działu bada i rozwoju KREE8. Lekko licz c, osiemdziesi t procent ich nowych produktów powstało za tymi szklanymi drzwiami, w niebieskim sektorze.

Soames zatrzymał si i wskazał nadchodz c korytarzem drobn posta . Z wyj tkiem małego czerwonego krucyfiksu na piersi m czyzna ze sztucz n opalenizn i kruczoczarnym kucykiem był cały w czerni: od golfa przez spodnie po buty z lakierowanej skóry. Fleming poznał go ze zdj w gazetach.

- Ach, o wilku mowa! - zawołał Soames. - Miles, pozwól, e przedstawi ci Franka Carvellego, szefa KREE8.

Carvelli u miechn ła si , ale gładka oliwkowa skóra wokół jego br - zowych oczu ledwie si zmarszczyła. Fleming domy lił si , e to skutek operacji plastycznej, cho je li tak było rzeczywi cie, to jej lady były praktycznie niewidoczne.

- Doktorze Fleming, jestem wielkim fanem pa skiego NeuroTranslatora - powiedział Carvelli.

- Dzi ki.

- Miles zgodził si pomóc nam udoskonali model opracowany przez KREE8 - wyja nił Soames.

Carvelli i Soames wymienili spojrzenia i szef K.REE8 uniósł brew z min wyra aj c - jak si Flemingowi zdawało uznanie i zaskoczenie.

- Powa nie? To wspaniale. - Popatrzył na zegarek. - Przepraszam, ale musz lecie , mam zebranie.

- Bez obaw, Frank, powiem Milesowi, co i jak.

- Ciesz si na nasz współprac . Mam nadziej , e niedługo porozmawiamy - powiedział Carvelli uprzejmym tonem.

Kiedy szef KREE8 znikn ł w niebieskim sektorze, Soames odwrócił si do Fleminga z krzywym u miechem.

- To, e ci tu ci gn łem, jest dla mnie swego rodzaju sukcesem. Mówiłem Frankowi, e potrzebny nam b dzie człowiek o twojej wiedzy, a on nie wierzył, e zgodzisz si nam pomóc.

- B d pracowa w niebieskim sektorze?

- Nie, bo prowadzone tam s te inne projekty, na których punkcie Frank ma obsesj . Co wa niejsze, chc , eby miał własny k t, gdzie mógłby w spokoju pracowa nad cz stotliwo ci duszy. Chod , poka ci reszt VenTecu, a potem zaprowadz ci do twojej pracowni.

Soames wrócił t sam drog , któr przyszedli, i poprowadził Fleminga przez biały sektor do sektora zielonego.

- Tam wykonujemy zlecenia rz dowe. I nie tylko dla naszego rz du.

Okr yli cał cz rodkow i skierowali si ku wej ciom do czerwonego i czarnego sektora. Po drodze min li dwóch naukowców w biały kombinezonach, które najwyra niej były obowi zym tu strojem. Obaj tylko u miechn li si przelotnie i bez słowa poszli dalej. Obowi zki nie pozwalały na błahe pogaw dki. Mimo całej nowoczesnej scenerii Fleming czuł si tu troch jak w rzymskiej siedzibie jezuitów, gdzie panowała taka sama cisza dowód, e praca wre.

Soames zatrzymał się na kwadratowym korytarzu. Po jego lewej stronie czarne strzałki kierowały do czarnego sektora, a duży czerwony strzałka po prawej wskazywała windę osłoniętą szklanymi drzwiami z wytrawionym napisem: NIEUPOWAŻNIANIE WSTĘP WZBROJONY. OKULARY OCHRONNE OBOWIĄZKOWE. Przytłumione buczenie, które Fleming usłyszał zaraz po wejściu do VenTecu, było tu głośniejsze.

- Czerwony sektor - oznajmił Soames. Włożył rękę do kieszeni marynarki i wyjął przezroczysty plastikowy kopert. W środku był srebrny dysk z czerwonym strzałką. Podał go Flemingowi. - To twój smart-dysk. Dzięki niemu będziesz mógł dostać się do wszystkich białych pomieszczeń, włącznie z twoim pokojem, i czerwonego sektora, gdzie będziesz pracował. Dysk jest przypisany do ciebie i nagra się na nim wszystko, co zrobisz... które drzwi otworzysz, co zamówisz do jedzenia, z jakiego sprzętu skorzystasz, co wezmiesz z magazynu. Postaraj się go nie zgubić. - Odsunął się od drzwi i dał mu znak, by wprowadził dysk do zamka.

- Co jest w czarnym sektorze? - spytał Fleming od niechcienia, zaskoczony, że Soames, który tak otwarcie opowiadał o swoim królestwie, nie wspominał o nim ani słowem.

Soames spojrzał na niego dziwnie, jakby miał tajemnicę, którą go o coś pragnął wyjawiać, ale nie mógł tego zrobić.

- Może o tym później - odparł. - Chodź, pokazę ci, gdzie będziesz pracował. Czerwony sektor to wisi tylna ku czci czystej mocy komputerowej. Tam mieści się moja duma i radość.

Fleming jeszcze raz zerknął na strzałki do czarnego sektora, ale nic nie powiedział. Wsunął dysk do zamka drzwi czerwonego sektora i kiedy winda otworzyła się, wszedł do kabiny.

Podłoga z mocno przyciemnianego szkła pod światło od spodu jasne, niemal olepiające światło. Z dołu dobiegało już do niego głośniejsze buczenie. Winda ruszyła.

Soames odwinął rękawy swetra, zakochane w kawczkach. Na oczach Fleminga szczerze nacisnął je na dłonie, okrył twarz i głowę i nałożył przyciemniane okulary.

- Nie wymyśliłem jeszcze, jak zneutralizować występujące tam promieniowanie ultrafioletowe - wyjaśnił się po lustrzanych okularach ochronnych leżących na półce przy drzwiach windy i podał je Flemingowi. - światło nie zaszkodzi twojej skórze, ale oczy lepiej osłonić.

Drzwi windy rozsunały się i Fleming zmrużył schowane za okularami oczy, gdy uderzyła w niego fala jasnego światła. Mrugając, wyszedł za



Soamesem. Pocz tkowo nic nie widział, tak o lepił go ten blask, i przypominało mu si , jak Amber Grant opisywała mier , zlewanie si ze wiatłem, poł czenie z tworz cymi je fotonami. Wkrótce jednak, du o silniej, wł czyły si inne zmysły. Buczenie nie było ju tylko tłem, lecz wyra - nym, definiowalnym d wi kiem, a powietrze stało si gor ce i naelektryzowane jak przed burz .

Jego renice, małe jak punkciki, zacz ły oswaja si z zalewem wiatła i rozró nia elementy otoczenia. Kiedy jego mózg zinterpretował to, co widzi, Fleming usłyszał gło ne westchnienie. Dopiero po chwili zorientował si , e to on sam westchn ł.

## 37

### Czerwony sektor

Fleming zauwa ył, e stoi na szerokim, okr głym rusztowaniu wznie - sionym wzdłu kraw dzi cylindrycznej komory. Jej ogrom był przytła - czaj cy. Jednak to, co zobaczył w dole, zaparło mu dech w piersiach.

Podszedł ostro nie do barierki, wychylił si i spojrział w g ł b cylindrycznej otchłani. Jakie trzy metry ni ej w powietrzu unosiła si wietlista kula, jasna jak małe sło ce. Miała co najmniej sze metrów rednicy, pulsowała i buczała. Otaczały j ciany z przyciemnianego szkła, za którym znajdowały si laboratoria i sterownie.

- Gdzie jeste my? - spytał Fleming.

- We wn trzu góry. Kiedy był to główny odwiert, w którym mój ojciec szukał ropy. Pod nami, na g ł boko ci kilku kilometrów, znajduje si niewy - eksploatowane, zamkni te zło e. Powi kszyłem rednic otworu w górnej cz ci, by zmie ciły si w nim widoczne pod nami laboratoria. Do moich celów to miejsce nadaje si idealnie: mam tu chłód, spokój i bezpiecze - stwo, czego wi cej mógłbym sobie yczy ? - Soames wychylił si za ba - rierk i wskazał na wietln kul . - To moje dziecko, matka wszystkich komputerów optycznych. Ostatni komputer, szczytowe osi gni cie techno - logii. Mo e w mgnieniu oka przyswaja i przetwarza zawrotn liczb da - nych. Przeczesuje sie w poszukiwaniu nowych informacji i przechowuje

je w swojej niemal nieograniczonej świetlnej pamięci. Miles, gdyby jutro nastąpił koniec świata, praktycznie cała wiedza ludzka ci zachowałaby się w tym rozległym kwantowym systemie fotonów kodujących dane. Mózg, który tu widzisz, może uzyskać dostęp do wszystkich informacji i każda z osobna z przędzą światła. To Matka Lucyfer, niosąca światło... czy raczej należałoby powiedzieć, o wiecju - ca ludzkość.

Fleming patrzył w niemym zachwycie na jasną, pulsującą kulę. Soames się za nią.

- Niektórzy moi współpracownicy dokuczają mi z powodu mojego dzieła. Mówi, że przypomina im ono starą anegdotę, wiesz, o szalonym geniuszu, który pragnąc poznać odpowiedź na pewne nurtujące go pytanie, postanawia skonstruować komputer na tyle potężny, by wiedział wszystko o wszechwieczności. Wreszcie po długiej, mądrej pracy superkomputer jest gotowy i naukowiec od razu, pierwszego dnia, pyta: „Czy Bóg istnieje?”

Soames spojrzawszy w dół na swoje płomieniste dzieło.

Nie mogąc oderwać oczu od kuli, Fleming spytał:

- I co komputer na to?

- W pierwszej chwili nic, więc naukowiec ponawia pytanie: „Czy Bóg istnieje?” Wreszcie superkomputer odpowiada: „Teraz już tak”.

Fleming uśmiechnął się przez grzeczność.

- Wyobraź sobie, co by było, gdyby mógł wykorzystać tę moc w nowym NeuroTranslatorze - szepnął Soames. - Wyobraź sobie, jak by to było, gdyby dzięki niej mógł dokonać odkrycia nie tylko na tym, ale i na tamtym świecie, nawiązać kontakt z umysłami tych, którzy odeszli. I nie tylko przez kilka ulotnych minut, jak to było z twoim bratem, lecz bez żadnych ograniczeń czasowych, na każde życzenie. Mógłby spytać zmarłych, o co tylko chcesz. Na przykład, co jest po tamtej stronie. Czy istnieje niebo i piekło. Czy ci, których kochałeś, są wolni od cierpienia. Może poznałby nawet myśliwego Boga.

Fleming poczuł mrowienie w karku. Przyjechał tu, żeby wyjawić, czym jest czystość duszy, wykazał, że to nic więcej, jak tylko ostatnie techniczne umierające mózgu, i utwierdził się w przekonaniu, że życie pozagrobowe nie istnieje - co znaczyłoby, że ból nie ma do Roba przystępu. Teraz jednak trudno mu było nie zwątpić we wszystko, co przyjmował za pewnik. Wizja uzyskania nieograniczonych możliwości cię kusiła, przyprawiała o zawrót głowy. W tej chwili czuł, że nic nie jest nieosiągalne na tym świecie i poza nim.

Zauważył, że do Soamesa dołączyli dwaj ludzie: wysoki ciemnoskóry mężczyzna o przeczczonych włosach, w okularach ze stalowymi

oprawkami, schowanych pod goglami ochronnymi -jego czoło przecinały bruzdy, ale skóra wokół oczu była gładka, jakby przez całe życie nic, tylko marszczył brwi i nigdy się nie uśmiechał - i kobieta. Biały obcisły kombinizon dobrze leżał na jej zgrabnej sylwetce, a długie blond włosy nosiła związane w kok. Była piękna, miała wystające policzki i niesamowite bładoniebieskie oczy. Fleming mimo woli porównał jej lodowaty wzrok z egzotyczną, ciepłą urodą Amber Grant.

- Poznaj swoich asystentów. - Soames przedstawił mu doktora Waltera Trippa i doktor Felicia Bukowski; on był specjalistą od sprzętu, ona od oprogramowania. - Zapewniam cię - cięgniemy - e wiemy, że tak zwanych ekspertów w tych dziedzinach nie umywa się do tej pary wybitnych naukowców.

Kiedy Fleming ciskał ich dłonie, zauważył, że Bukowski nawet na chwilę nie oderwał wzroku od jego twarzy. Soames uśmiechnął się lekko.

- Jak już wspominałem, wraz z naszym klientem, KREE8, od pewnego czasu dążymy do udoskonalenia twojego wynalazku. Nasz najnowszy prototyp został przeniesiony z niebieskiego sektora do laboratorium pod nami. Wiem, że sprzęt jest gotowy. Konwerter analogo-cyfrowy powinien być lepszy od tego, do którego przywykłeś, podobnie jak wzmacniacz sygnałów nerwowych.

- Zdecydowanie - przytaknął Tripp. - Mówi cię najprościej, próbujemy wprowadzić do pańskiego NeuroTranslatora pewne ulepszenia i nie naruszamy przy tym praw patentowych.

- To mi pochwala - powiedział Fleming.

- Oczywiście potrzebna nam będzie pańska wiedza i dokumentacja ludzkich sygnałów nerwowych, którą zgromadził pan przez te wszystkie lata - dodała pośpiesznie Bukowski. Miała zaskakująco miły i łagodny głos. Mówiła z takim akcentem jak bostończycy, z którymi zetknął się na Harvardzie. - Z pańskiej pomocy będziemy mogli skalibrować nasze urządzenie, by poprawnie interpretowało każde instrukcje z układu nerwowego, tak w przypadku pojedynczych fal mózgowych, jak i ich kombinacji.

- Jeśli mógłbyś skorzystać z moich plików z Barley Hall, jak twierdzi Bradley, sprawa powinna być prosta.

- Och, wszystkie pańskie pliki są dostępne - oświadczyła i zaprowadziła wszystkich do windy. Wcisnęła guzik i kabina ruszyła w dół. - Może pan obejrzeć, kiedy tylko zechce. - Drzwi otworzyły się i weszli do imponującego laboratorium. Wietlistka kula pulsowała za szybą po lewej stronie.

Od razu rozpoznał dwa NeuroTranslatory, choć wyglądały inaczej niż jego prototyp z Barley Hall. Były zgrabniej zaprojektowane; kula skrywała się w półprzezroczystym niebieskim szkieletu o zaokrąglonych rogach, na którym spoczywał zintegrowany monitor plazmowy z przełącznikami dotykowymi. Urządzenia te były prawie dwadzieścia procent większe od prototypu Fleminga i miały wbudowane głośniki. Dysponowały też większą mocą.

- Po co a dwa? - spytał.

- Polityka VenTecu. Każdym prototyp przygotowujemy w dwóch egzemplarzach, żeby w razie czego mieć zapasowy - wyjaśnił Soames.

- Jest problem - stwierdził Fleming, oglądając urządzenie. Z tyłu były dwa bezprzewodowe złącza podczerwieni, które widział pierwszy raz. Lewe było podpisane odbiornik, a prawe nadajnik. - Nie poznaj tych portów. Co to, nowy typ czujnika? - zapytał.

Tripp niedbale wzruszył ramionami.

- Co w tym stylu. Zamontowali je tylko po to, by NeuroTranslator był kompatybilny z naszą najnowszą technologią sieciową i czynnikiem optycznym.

- Spójrz, Miles - wskazał Soames. - Skonstruowali my nawet własne ciało zastępcze.

Fleming odwrócił się i zobaczył przy drzwiach naturalnej wielkości manekina. Był zadziwiająco podobny do Briana.

- To robi wrażenie, Bradley, ale i trochę mnie przeraża. Jak długo już trzymacie z moich prac?

- Jakiś rok - odparł Soames bez cienia wstydu. - Nie wiem, czy pamiataś, lecz próbowaliśmy cię zwerbować, a kiedy nic z tego nie wyszło, musieliśmy opracować własny system sterowania myśli. -

Uśmiechnął się.

- A poza tym, twój wynalazek opierał się na Lucyferze, który bodźcem jest naszym dziełem. Ciesz się, że zaszliście tak daleko w pracach. Dzięki temu będzie ci łatwiej.

Gdzieś w tyle głowy Fleminga odezwał się cichy głos sprzeciwu, zaraz go jednak uciszył.

Soames spojrział na niego.

- No i?

Fleming uznał, że równie dobrze może zrobić krok do przodu, zamiast się cofać.

- To kiedy możemy zacząć?

- Wydawało mi się, że już zaczęliśmy - oświadczył Soames.

## Niebieski sektor Godzin pó niej

Kilkaset metrów dalej Xavier Accosta stał w pokoju rzeczywiście ci wirtualnej ubrany w ciasno opinając ciało kombinezon z elektrodami, które podkreślały i oznaczały każdy kontur i grupę mięśni jego głowy i reszty ciała. Po jego prawej stronie, na dużym ekranie, animowana postać z kropek odpowiadających poszczególnym elektrodom powtarzała wszystkie jego ruchy. W pomieszczeniu znajdował się matowy czarny sprzęt do nagrywania dźwięku i obrazu, a także liczne białe pulpity komputerów optycznych.

Carvelli siedział przy terminalu komputerowym i dzielił uwagę między duży ekran na ścianie i swój monitor.

- Mógłby Wasza wi tobiwo trochę pochodzi po ruchomej biegni?

- Czy trzeba zmuszać go do takiego wysiłku? - spytała Virginia Knight. Stała obok monsieur Diageo i sprawdzała przygotowany przez siebie aparat tlenowy. - Jego układ oddechowy jest osłabiony. Nie można go przemoczyć. Carvelli podniósł głowę i uśmiechnął się przeprasząc.

- Rozumiem, ale jeżeli efekt ma być realistyczny, musimy wprowadzić wszystkie ruchy do komputera.

Accosta skrzywił się z bólu, który wzmożił się po jego przyjęciu dzieciny na Alaskę. Sięgnął po maskę tlenową i wziął głęboki oddech, wciągając do chorych płuc słodkie, czyste powietrze.

- Spokojnie, Virginio. Frank robi tylko to, co konieczne.

Knight westchnęła.

- Niech Wasza wi tobiwo się nie przemoczyć. Proszę.

- I tak już kończymy - powiedział Carvelli i dokonał poprawek przy ujęciu lewej obok niego kulistej myszy. - Nagraliśmy wyraz twarzy. Mógłby Wasza wi tobiwo jeszcze raz, już ostatni, poruszając ramionami?

Accosta posłusznie powtórzył cały zakres ruchów; zgiął ręce w łokciach, wyciągnął je do przodu, naprężył wszystkie mięśnie, a na koniec przeszedł do wiczej palców.

- Doskonale. Chce Wasza wi tobiwo zobaczysz, jak to będzie wyglądać?

Accosta wciąż nie był pewien, na ile realistyczny będzie efekt końcowy, choć wiele słyszał o cudach dokonanych za sprawą tej technologii w Hollywood. Carvelli wyjaśnił mu, że trzy z największych hitów ostatniego lata powstały z udziałem „aktorów wirtualnych” i widzowie nie potrafili odróżnić ich od tych prawdziwych. Ze względu na coraz bardziej wykorzystywane gwiazdy filmowych i możliwości tworzenia doskonałych efektów specjalnych w komputerach optycznych, „aktorzy wirtualni” byli coraz chętniej „angażowani”.

Carvelli wcisnął trzy guziki w monitorze i animowana postać na ekranie zaczęła przyoblekać się w ciało, począwszy od stóp, i zmieniła się w mężczyznę w bokserkach. Accosta poznał własne ciało, ale dopiero kiedy zobaczył, jak wiernie odtworzona została jego twarz, wybałuszył oczy. Na ekranie widział samego siebie, miał wrażenie, że patrzy w lustro.

- Wasza wiatoliwo ma przed sobą kompozytów postaci utworzonych na podstawie profilu genetycznego, z poprawkami na wiek... po to były nagrania ruchów Waszej wiatoliwo ci i cyfrowe zdjęcia, które zrobili my wcześniej. To dzięki fotografii cyfrowej podobieństwo jest tak uderzające. Twarz na ekranie jest wygenerowanym komputerowo pojęciem struktury genetycznej Waszej wiatoliwo ci i zdjęcia cyfrowego o rozdzielczości wielu miliardów pikseli. Wzrost, który Wasza wiatoliwo wykonał, sprawi, że każdy ruch postaci będzie wyglądał naturalnie. Proszę zobaczyć.

Z oczami utkwionymi w ekranie Accosta patrzył, jak jego wcielenie się ubiera. Pojawiły się skarpety, potem buty, a następnie kolejne warstwy ubrania, a potem szkarłatne szaty, piasek i futra - symbol sprawowanej przez niego funkcji. Były nawet pierścienie na palcach.

- Nadzwyczajne - powiedział.

Carvelli się rozpromienił.

- Z całym szacunkiem, ale myślę, że to zrobi na Waszej wiatoliwo ci o wiele większe wrażenie. - Pstryknął przełącznikiem, zapalał czerwony diodowy laser poziomo czarnym emaliowanym dysku metrowej średnicy w głąb pomieszczenia. Rozległ się szum. - Musi się rozgrzać - wyjaśnił.

Wiatółko stało się zielone.

Na okrągłej płycie wyrosła postać - ukazywała się stopniowo od dołu do góry w wiązki lasera, jak pod prąd niewidzialnego malarza. Tym razem, kiedy Accosta rozpoznał w niej siebie, jego wizerunek został już przyobleczony we wschodzące szkarłatne szaty, jak obraz na ekranie

ciennym. Nie było to jednak zwyczajne dwuwymiarowe zdjęcie: to był prawdziwy człowiek. Wydawało się, że Accosta został zamroźony i ustawiony na czarnym dysku. Sam miał w twy ci, czy potrafiłby odróżnić kopię od oryginału, gdyby zobaczył siebie samego, stojącego obok tej postaci, w takim samym stroju.

Carvelli dotknął monitora.

I na oczach Accosta jego sobowtór obudził się do życia.

Najpierw kardynał zauważył ledwo dostrzegalne szczegóły: oddech, lekkie falowanie piersi, rozchylające się wargi. A potem ciarki po wieki zamrugały i na usta wypłynął uśmiech.

Ku własnemu zdumieniu Accosta przyłapał się na tym, że na ladzie swojego sobowtóra, jakby zamienił się z nim rolami. Czuł się, jakby patrzył na swoje lustrzane odbicie, ale nie kontrolował jego ruchów. Kiedy sobowtór ruszył ku niemu, Accosta cofnął się odruchowo.

- Obraz nie może wyjść poza holopad - zapewnił go Carvelli. - Zrobi, co operator komputera mu każe, lecz istnieje może tylko na holopadzie. I co Wasza wi to bliwo na to? Zadowolony ze swojej podobizny? W końcu wiecznie to mnóstwo czasu.

Accosta zrobił krok do przodu, wyciągnął rękę i niemal dotknął tej twarzy, zafascynowany podobieństwem. Właśnie ciwie - to był on. Tyle z tego nowego wcielenia, w którym odrodziło się jego słabniejące ciało, nigdy nie zmogło choroby ani śmierci.

- Tak - odparł z westchnieniem. - Jestem zadowolony.

Nagle hologram poruszył się i ukląkł przed Accosta z uśmiechem.

- Chce, żeby Wasza wi to bliwo udzielił mu błogosławieństwa - wyjaśnił Carvelli.

- Dobrze. - Accosta odruchowo wyciągnął rękę i położył ją na widmowej głowie. Przeżył szok, kiedy poczuł pod dłońmi pustkę. - Ale on musi umie mówić. Co z jego głosem?

- To znaczy, głosem Waszej wi to bliwo ci? - uśmiechnął Knight z za jego pleców.

Accosta skinął głową.

Carvelli wskazał na sprzęt audio i dwa mikrofony za holopadem.

- Tym właśnie zajmujemy się w następnym kolejno ci.

### Stółówka w białym sektorze Trzy dni pó niej, 23.18

Tak my lałem, e ci tu znajd , Miles. Miałe okazj wyspa si przez te kilka dni? Miles podniósł głów znad sałatki i u miechn ł si do Soamesa ze znu eniem.

- Nie, nie bardzo. Ale po kolacji padn na co najmniej osiem godzin. Był pó ny wieczór: Tripp i Bukowski poszli spa przed kilkoma godzinami. On sam ledwo miał sił je . Soames przysiadł si do niego. Na tacy miał półmisek owoców, puszk coli i bułk . Wyra nie palił si do rozmowy o pracy Fleminga. - Jak wam idzie?

- Dobrze.

- Walter i Felicia słuchaj ci ?

- Jasne. Bukowski czasem a do przesady.

- Walter mówił, e sko czyli cie modyfikacje.

- Przygotowałem na jutro miniprezentacj dla ciebie i Franka.

Oczy Soamesa rozbłyśły.

- Super. Dobra robota.

Fleming pozwolił sobie na u miech. Był zadowolony z tego, jak du post p zrobili w ci gu raptem trzech dni.

Zaj ło to przeszło sze dziesi t godzin, z przerwami na posiłki i krótkie drzemki. Zgodnie z jego przypuszczeniami, sprz t w nieskazitelnie czystym, chromowo-białym laboratorium był doskonały, a NeuroTranslator pod ka dym wzgl dem przewy szał prototyp jego konstrukcji. Soames dotrzymał słowa i umo liwił Flemingowi ci gni cie jego plików z bazy danych Barley Hall. On sam przez wiele godzin siedział z Czapk M dro ci na głowie przed ciałem zast pczym i kalibrował NeuroTranslatora tak, by wła ciwie odczytywał zło one kombinacje sygnałów nerwowych steruj ce nawet najprostszymi czynnościami. Samo wyregulowanie interpretacji ruchów gałek ocznych trwało sze godzin.

Kiedy uporał si z wst pnymi korektami, z innymi ruchami ciała poszło mu ju szybciej, bo sie neuronowa urz dzenia uczyła si ich samodzielnie. Po skalibrowaniu NeuroTranslator działał tak szybko, e nie było



opó nienia mi dzy my l a czynem. Ledwie Fleming pomy lał o uniesieniu brwi, manekin ju to robił. W teorii wszystko wygl dało bez zarzutu.

Sterowanie ruchami okazało si jednak wzgl dnie łatwe w porównaniu z trudniejszym zadaniem: werbalizacj my li. Fleming znów zacz ł od pocz tku - wprowadził podstawowe słownictwo i pozostawił usuwanie usterek Trippowi i Bukowski, którzy sumiennie wykonywali wszystkie jego polecenia. Stopniowo wzbogacał zasób słów, a sie neuronowa komputera przeją kontrol .

Tego wieczoru, kiedy Tripp i Bukowski poszli do swoich pokojów, Fleming nałoył Czapkę M dro ci i wł czył NeuroTranslatora, by jeszcze raz sprawdzi , czy wszystko w porz dku. Po monitorze przewijały si wykresy standardowych fal mózgowych: alfa, mu, theta, beta, i pozostałych. Wszystko zdawało si rzeczywi cie w porz dku. Nie brakowało adnej ze znanych fal.

Oprócz jednej.

Korzystaj c z tego, e nowy NeuroTranslator był ju wł czony, ci gn ł z Barley Hall skan Amber Grant, na którym wyst powała fala o unikalnej długo ci. Kiedy to zrobił i odwrócił si z powrotem do NeuroTranslatora, u góry ekranu pojawił si nowy wykres - biegł wysoko ponad najwy szym pasmem cz stotliwo ci innych fal. Po kilku-godzinnych badaniach stwierdził, e wniosek mo e by tylko jeden.

- Jak tam? - spytał Soames.
- Jestem wyko czony.
- Chodziło mi o NeuroTranslatora.
- Zobaczysz jutro.

Siedzieli w milczeniu. Fleming jadł sałatk , Soames pił col i dłubał w owocach.

- A co z t twoj cz stotliwo ci duszy? - spytał wreszcie. - Wspomniałem o niej pozostałym, s zaintrygowani. Miałe okazj si ni zaj ?

Fleming spochmurniał. Rozmawiał o cz stotliwo ci duszy tylko z Soamesem i zastanawiał si , czy to dobrze, e usłyszeli o niej inni. Soames czytał z jego twarzy.

- Oni chc pomóc, Miles. Jeste w ród przyjaciół. Carvelli ma głow na karku, a Walter i Felicia te nie s głupi. Konsultuj si z nami, a nu b dziemy mogli co ci podpowiedzie . Po to tu jeste my.

Fleming odczuł ulg : byłoby dobrze, gdyby mógł podzieli si z nimi swoimi obawami i skorzysta z ich intelektu i do wiadczenia.

- Dzi ki.

- No to jak, miałe okazj si ni za
- Tylko przelotnie. To dopiero pocz tek bada , lecz widz ju dwa du e problemy, które trzeba b dzie rozwi za .
- Chcesz o nich porozmawia ?
- Fleming był zbyt zm czony.
- Ch tnie wysłuchałbym twojego zdania na ten temat. Naprawd . Ale nie teraz. - Wstał od stolika. - Wybacz, ale padam z nóg. Ledwo widz na oczy, musz si poło y . Porozmawiajmy o tym jutro, po prezentacji.
- Jasne. - Soames te wstał i poło ył mu dło na ramieniu. - Prze pij si , Miles. Jutro zapowiada si wielki dzie .

## Pó niej tej samej nocy

Sen nadszedł, kiedy tylko Fleming rozebrał si do naga, wskoczył do łó ka i poło ył głow na poduszce.

Jednak po kilku godzinach w jego sny o Robie i Jake'u wdarła si Amber Grant. Szeptala mu na ucho, gładziła go po udzie tak czule i zmysłowo, e dostał g siej skórki i poczuł, jak włosy na nogach staj mu d ba. Jej chłodne palce pow drowały do jego krocza i pie ciły go delikatnie, a dostał erekcji.

Poczuł chłodny podmuch nocnego powietrza. Kto odgarn ł po ciel i poło ył si przy nim. Mi kkie ciało przywarło do niego, gor cy, słodki oddech ogrzał jego policzek, natarczywe palce poruszały si coraz szybciej.

J kn ł przez sen, czuj c, jak gor ce tchnienie zsuwa si w dół, omiata szyj , pier , brzuch. Przez krótk , rozkoszn chwil j zyk lizał go po brzuchu, a palce okalaj ce jego wypr ony członek rozlu niły u cisk, zwolniły ruchy. Poddał si doznaniom, zapragn ł ulgi i kiedy poczuł, e j zyk zsuwa si ni ej, bezwiednie zacisn ł po ladki i wyrzucił biodra w gór .

- Amber - j kn ł, kiedy gor ce usta przywarły do jego ust i wyrwały go ze snu. Wtedy u wiadomił sobie, e to nie był sen.

I e to nie była Amber.

- Co u licha?

Po wiata z pod wietlanego budzika padała na blond włosy Felicii Bukowski, okalaj c wietlist aureol jej głow , powoli poruszaj c si w gór i w dół. Kiedy podniosła wzrok, jej oczy zal niły jak metaliczne kr ki. dza podpowiadała mu, by pozwolił jej doko czy , mimo to co sprawiło, e podniósł r ce i odepchn ł j .

- Nie, nie. Przesta . Przepraszam ci , ale tak nie mo na .

Nie był pewien, czemu j powstrzymał, wiedział tylko, e musi to zrobi . Mo e dlatego, e w jej błyszcz cych oczach zobaczył nieskrywane poczucie triumfu, które wzbudziło w nim strach, e je li jej ulegnie, straci wi cej, ni przypuszczał.

Podejrzewał jednak, e bardziej chodziło tu o poczucie zdrady. Było to irracjonalne, zwłaszcza w przypadku człowieka, który do tej pory unikał zwi zków, ale Fleming nagle stwierdził, e czuje dziwn lojalno wobec Amber Grant. Tak siln , e dopóki wspólnie nie ustal , co z tym fantem robi , wszelkie intymne relacje z innymi kobietami b d równoznaczne ze zrad .

Oczy Felicii patrzyły teraz zimno, ale nie było w nich bólu, tylko zawód i gniew. Bez słowa trzymała go jeszcze przez chwil , mocno, tak jakby wystawiała na prób jego sił woli, po czym wstała, wło yła szlafrok i wyszła.

Kiedy znikn ła za drzwiami, Fleming le ał w ciemno ciach, wsłuchany w łomotanie własnego serca, wiadom, e mimo wyczerpania tej nocy ju nie za nie.

Fleming nie wiedział, e kilkaset metrów od niego, w czarnym sektorze, Amber Grant te nie mo e zasn .

Przez ostatnich kilka dni zbierała siły i obserwowała strażników, sprawdzała, o której do niej zagl daj , o której przynosz jedzenie i o której zabieraj tace po posiłku. Szukała prawidłowo ci w ich zachowaniu, patrzyła i czekała.

Obmy łała plan ucieczki.

## 40

### **Czerwony sektor Nast pnego dnia**

Zarówno Walter Tripp, jak i Felicia Bukowski uczestniczyli nast pnego popołudnia w prezentacji w laboratorium w czerwonym sektorze. Fleming zastanawiał si , czy napomkn Soamesowi o naj ciu Bukowski - jak udało jej si dosta do jego pokoju? - ale uznał, e niczemu by to

nie służyło, i nic nie powiedział. Teraz, w świetle dnia, niemal mogli sobie wmówić, że to się w ogóle nie zdarzyło. Jeśli nie będzie do tego wracał, ona też na pewno o tym nie wspomni. Miał nadzieję, że nie zaszkodzi to ich współpracy. Na szczęście jak dotąd, nie licząc wyuczwalnego chłodu, zachowywała się tak, jakby nic się nie stało.

- Fantastyczna sprawa - zachwycił się Soames, kiedy manekin wychylił prawą rękę.

Fleming, nieruchomy i milczący, koncentrował się na ciele zastępczym. Zaczął od oczu i metodycznie schodził coraz niżej. Zmusił manekina, by wyprostował barki, wychylił rękę, schylił się, zgiął kolana, a na koniec poruszył palcami u nóg.

Siedział obok Soamesa Frank Carvelli uśmiechnął się szeroko.

- Robisz to wszystko myłymi?

- Z pewnością pomóc - powiedział Fleming i wskazał Trippa i Bukowski, stojących przy NeuroTranslatorze. Tripp siedział uśmiechnięty. Bukowski spuściła oczy.

- Czy można na tym kontrolować nie tylko manekina, ale i obrazy na monitorze? - spytał Carvelli.

- Oczywiście. Można kontrolować dowolne medium. Najtrudniej jest z ciałem zastępczym. Obrazy wyświetlane na ekranie czy wygenerowane komputerowo sprawiają o wiele mniej kłopotów.

- A da się go zmusić, by mówił? - spytał Soames.

- Pokażę wam. - Zrobił wrażenie na takim jak Soames entuzjasta i geniuszu, to dopiero wyzwanie. - Jego mowa nie wypada przekonująco, bo ruchy warg są niedopracowane, ale owszem, mogłyby mu w usta słowa. Nie będzie to wyglądało rewelacyjnie, usłyszycie je jednak wyraźnie z głośnika w jego głowie. Co chcecie, żeby powiedział?

Soames podał Flemingowi kartkę z wypisanym na maszynie tekstem, który musiał przygotować specjalnie na taką okazję. Był to cytat z Biblii.

- Wydało mi się to najbardziej stosowne - powiedział. - Akt stworzenia i tak dalej.

Fleming postukał w monitor nad NeuroTranslatorem, by upewnić się, że tryb komunikacji jest włączony. Wziął tekst Soamesa i przebiegł oczami pierwszą linię. Od razu zauważył na monitorze słowa, które komputer czytał w jego myślach. A potem manekin przemówił. Czy raczej słowa dobieły się z głośnika tkwiącego w jego gładkiej, lateksowej głowie.

- Wtedy Bóg rzekł: „Niechaj stanie się światło”: i stała się światłość. Bóg widział, że światło jest dobre, oddzielił je od ciemności. I nazwał

Bóg światło dniem, a ciemno nazwał noc . I tak upłyn 1 wieczór i poranek - dzie pierwszy" .

- Niesamowite - sapa 1 Carvelli. W jego głosie brzmiał nieklamany podziw.

Po dwóch kolejnych udanych próbach Soames pokiwał głow zadowolony.

- A co z cz stotliwo ci duszy? - spytał. - Chcesz o niej teraz porozmawia ?

Fleming spojrział na ich twarze zastygłe w wyrazie wyczekiwania.

- Czemu nie. Musz przeprowadzi jeszcze kilka bada , ale na podstawie pomiarów przeprowadzonych w chwili mierci mojego brata i podczas pobytu Amber Grant w Barley Hall mog wskaza kilka oczywistych problemów.

- Jakich na przykład?

- Tak, jak rozmawiali my z Bradleyem przy naszym pierwszym spotkaniu w San Francisco, aby wykaza , e cz stotliwo duszy nie ma nic wspólnego z yciem pozagrobowym i nie jest kanałem 1 czno ci z zawiatami, próbuj udowodni co dokładnie przeciwnego. Je li fala, któr odkryłem, nie jest tylko gasn cym sygnałem wychwytywanym w chwili zgonu, powinna umo liwia nawi zanie kontaktu z dusz po mierci. St d bierze si pierwszy problem: jak namierzy dusz po mierci, by dowie jej istnienia. Nawiasem mówi c, bez udziału Amber wymagałoby to prowadzenia do wiadcz na ogromnej liczbie osób dokładnie w momencie ich mierci, a do uzyskania namiaru, co, rzecz jasna, byłoby absurdalne i nieetyczne.

- A problem drugi? - przerwał mu Soames.

- Nawet gdyby udało mi si namierzy dusz umieraj cego człowieka i udowodni istnienie ycia pozagrobowego, wci nie mógłbym nawi za kontaktu z dusz osoby ju nie yj cej, na przykład mojego brata. Aby tego dokona , potrzebne byłoby mi co w rodzaju identyfikatora, okre lonego adresu, pod którym mógłbym odszuka dan dusz , nie znajduj lepszego porównania.

- No dobrze. - Soames podrapał si po brodzie. - Czyli uwa asz, e gdyby mógł namierzy i odszuka poszczególne dusze, i nawi za z nimi kontakt przez NeuroTranslatora na cz stotliwo ci duszy, udowodniłby ich istnienie?

Cytat za *Bibli Tysi clecia* (przyp. tłum.).

Fleming był pod wrażeniem tego, jak Soames chwytła w lot koncepcje, które on sam dopiero usiłował objąć.

- Albo i nie, w zależności od tego, co odkryjesz. Do tego wcale nie potrzebna mi jest Amber. Analizujcie jej dziwne sny o śmierci, w czasie których, z neurologicznego punktu widzenia, rzeczywiście umiera, mógłbym namierzyć czy stotliwie pozwalacie na kontakt z wiatami albo, na co liczę, znaleźć bardziej racjonalne wytłumaczenie...

Carvelli zmarszczył brwi.

- A co z drugim problemem? Z identyfikacją i odszukiwaniem dusz nieżyjących osób?

Fleming się uśmiechnął.

- Wszystko po kolei. Ponieważ mam nadzieję, że nie znajdzie żadnych dowodów na istnienie życia po życiu, problem kontaktu z poszczególnymi duszami powinien być czysto teoretyczny.

- I twierdzisz, że bez Amber nie możesz posunąć się dalej w badaniach? — spytał Soames.

- Uhm - odparł Fleming. - Mogę jeszcze trochę w tym podłubać, ale bez Amber niczego nie udowodnię, ani w jedną, ani w drugą stronę.

- Dobrze wiacie. - Soames zmarszczył czoło, zamyślił się. - To brzmi logicznie. Wobec tego proponuję, żeby trochę odpoczął, a ja postaram się skontaktować z Amber.

## 41

### Sala konferencyjna w czarnym sektorze Godzin pó niej

Próba odbędzie się dziś - powiedział Soames z triumfalnym uśmiechem. Knight odwróciła się do niego ze swojego miejsca przy stole konferencyjnym.

- Fleming zrobił to, czego od niego oczekiwaliśmy? - spytała. - Już?

- Widziałem na własne oczy - przytaknął siedzący obok niej Carvelli. Soames skinął głową.

- Neurotranslator został skalibrowany i zmodyfikowany w sposób umożliwiający połączenie ze sprzątem do wychwytu duszy. Jesteś gotowy?

- Dziękuję? - powtórzył Accosta; wciwnie nie mógł w to uwierzyć. Prace nad projektem zdawały się nabierać rozpędu u kresu jego życia, jakby sam Bóg wyprowadził go w drogę. Razem z monsignorem Diageo zaglądał przez lustro weneckie do laboratorium. Dwaj naukowcy przygotowywali stół laboratoryjny i szklanki.

- Dziękuję - przytaknął Soames. Zwrócił się do Knighta: - Mam kandydata do próby?

Knight się zawahała.

- Po sukcesie z Amber ograniczyliśmy nabór miernie chorych pacjentów - powiedziała. - Jak wiesz, trzymamy jedną osobę w zielonym sektorze, w trumnie wyposażonej w aparaturę podtrzymującą życie, ale cięgniemy ją z innego powodu.

- No dobrze, ale chyba nic nie stoi na przeszkodzie, by została kandydatką? - spytał Soames. - To znaczy, spełnia wszystkie niezbędne kryteria, jeżeli nie wszystkie, zgadza się?

Knight pokiwała głową z ociąganiem.

- Tak, ale...

- Wadnych, ale, Virginio, szkoda czasu. Bierzemy ją.

- Kiedy zaczniemy? - spytał Accosta.

Soames spojrzął na zegarek.

- Tripp i Bukowski powinni być gotowi za sześć godzin.

Sześć godzin. Accosta sięgnął po przenośny aparat tlenowy i poczuł przypływ niepokoju. Jego przeznaczenie było nieodwołalnie związane z tym eksperymentem. Jeżeli zakończy się powodzeniem, przyszłość będzie pewna. Wszystko, do czego dążył, wszelkie poświęcenia i bezlitosne decyzje znajdą usprawiedliwienie. Był tak bliski spełnienia swoich marzeń, że wręcz nie mógł tego znieść. Wszystkie rozczarowania, których doznał w przeszłości, błędy w porównaniu z tym, którym ogarniającym go w tej chwili. Rozpacz wymagała od niego tylko stoickiego pogodzenia się z losem. Nadzieja, niosąca ze sobą złudne obietnice, jest o wiele okrutniejsza.

Uspokoił się i spojrzął na Soamesa. Naukowiec znów dotrzymał słowa. Pozyskał Fleminga dla sprawy, także ten nawet tego nie zauważył. Choć miał tyle zastrzeżeń, Accosta musiał przyznać, że Soames zrobił wszystko, co obiecał.

- Dobrze się sprawiło, Bradley. Dziękuję.

- Niech Wasza wi tobliwo jeszcze mi nie dzi kuje. Przyjdzie na to czas po eksperymencie. Jestem przekonany, e si uda.

Accosta odwrócił si do Carvellego.

- A co wtedy?

Carvelli zakasał r kawy i nachylił si nad stołem.

- Cóż, Wasza wi tobliwo, cała aparatura multimedialna jest ju na pokładzie Czerwonej Arki. Wasza wi tobliwo widział plany i projekt katedry. Na ekranach b dzie wygl dała imponuj co. Rozmieszczenie miejsc pozwoli osobom fizycznie uczestnicz cym w uroczysto ci by do blisko, by mogły potwierdzi autentyczno zdażenia, którego b d wiadkami.

- Co z reszt sprz tu? - spytał Accosta i wyj ł z kieszeni bia ł chusteczk .

- aden kłopot. Wi kszo urz dze do wychwytu duszy jest ju na pokładzie Czerwonej Arki. Je li tylko dzisiejszy eksperyment si powiedzie, po jego zako czeniu specjalny samolot transportowy zabierze aparaty pomocnicze .

Accosta odetchn ł chrapliwie i zakaszał w chusteczk . Zmi ł j w dłoni, nie ogl daj c krwawych plam. Monsignore Diageo bez słowa nachylił si ku niemu, zabrał chusteczk i podał mu czyst . Accosta u miechn ł si z wdzi czno ci i ponownie zwrócił do Carvellego.

- Zakładaj c, e eksperyment si powiedzie, kiedy b dzie mo na zorganizowa uroczysto ?

- Za trzydzie ci sze godzin.

- Tak szybko? Co z nadaniem jej odpowiedniego rozgłosu? Dzie Prawdy Duchowej musi zobaczy jak najwi cej ludzi.

Carvelli u miechn ł si i przesun ł wypiel gnowan dłoni po nie-naturalnie czarnych włosach.

- Prosz mi zaufa, Wasza wi tobliwo, z rozgłosem nie b dzie problemu. Spekulacje co do stanu zdrowia Waszej wi tobliwo ci sprawiły, e zainteresowanie ju jest ogromne, nie tylko w ród naszych współwyznawców. W chwili, kiedy to mówi, zaprzyja nieni dziennikarze czekaj na komunikat prasowy. Gdy tylko b dziemy pewni, e eksperyment zako czył si sukcesem, ogłosz termin uroczysto ci. - Przerwał. - Wasza wi tobliwo mo e by pewien, e wszystko b dzie tak, jak trzeba. Czekaj nas najwi ksza sensacja w dziejach mediów. Kiedy ludzie dowiedz si, czym jest Dzie Prawdy Duchowej, nie s dz, by ktokolwiek, bez wzgl du na wyznanie, chciał go przecoczy .



## Biały sektor

Sen nie przychodził. Fleming leżał na łóżku, oczy piekły go ze zmęczenia, bolała go głowa, ale nie mógł opisać się odmyśli. Po kąpieli i wczesnej kolacji zapadł w drzemkę, z której obudził się jeszcze bardziej niespokojny. Teraz była już dziesiąta wieczorem, a on nie mógł zasnąć, choć od wyjazdu z San Francisco ani razu przez dzień nie wyspał.

Bez Amber nie mógł posunąć się dalej w badaniach, lecz jego myśli krążyły wokół danych z NeuroTranslatora. Może coś mu umknęło. Może przeoczył jakiś szczegół, który pozwoliłby uznać istotliwie duszy za nic innego, jak tylko chwilową anomalię - za którą uważał i tak chciał w niej widzieć.

Im więcej o tym myślał, tym bardziej był przekonany o słuszności tego, czego zamierzał dowiedzieć. Ciężar umysłu była w porządku natury czymś ulotnym - jak rosa, która parując w porannym słońcu, zmienia się w wilgotną mgiełkę, by następnie zniknąć w ciepłym powietrzu. Pełne strachu słowa Roba wypowiedziane zza grobu były tak właśnie nie mgiełką, niczym więcej, nie wyrażały niczego prócz stresu towarzyszącego przejściu z życia w nicość. Gdyby tylko zdołał się czegoś do tego upewnić, mógłby wyzbyć się obaw o brata i z czystym sumieniem wrócić do Jake'a.

Jeszcze raz nakazał sobie spokój. Nie mógł zrobić nic więcej, dopóki Soames nie skontaktuje się z Amber. Przewracał się z boku na bok, powtarzał sobie, że musi zasnąć, ale to nie pomagało. Natarczywe myśli nie dawały mu spokoju. I nie tylko te dotyczące Roba.

Nasłuchując dźwięków za drzwiami, myślał o Bukowski, a potem o Amber - jako pacjentce, którą musiał wyleczyć - dzięki niej Rob mógł spocząć w spokoju - a przy tym atrakcyjnej kobiecie. I o Robie, NeuroTranslatorze i czystości duszy.

Oddychał głębiej, próbował odpisać wszystkie myśli; jak tylko się porządnie wyśpi, wszystko samo mu się poukłada w głowie.

- Cholerny wiat. - Usiadł prosto. Nie było sensu leżeć i przewracać się z boku na bok. Nauczony gorzkim doświadczeniem, wiedział, że na bezsenność jest tylko jedno lekarstwo: musi pracować do rana, a rozwiązać problem albo przekonać sam siebie, że nie da się tego zrobić.

Wci gn ł d insy i T-shirta z napisem VENTEC, wsun ł nogi do butów i wyszedł z pokoju. Korytarze były opustoszałe, lampy wiecej jeszcze słabiej ni zwykle. Chyłkiem opu cił cz mieszkaln , min ł restauracj i kino, skr cił w lewo, w stron zielonego sektora, i znalazł si w kwadratowym korytarzu przed wind zje d aj c do czerwonego sektora. Nie miał poj cia, co wła ciwie chce osi gn , ponownie analizuj c dane z NeuroTranslatora, ale lepsze to ni siedzie i nic nie robi . Kiedy si gn ł do kieszeni po dysk umo liwiaj cy wst p do windy, usłyszał jaki d wi k i głosy. Drzwi windy si rozsun ły. Od-ruchowo przywarł plecami do ciany.

- Ostro nie - usłyszał syknie cie Trippa do dwóch laborantów. Bez trudu rozpoznał urz dzenie na pchanym przez nich wózku. Czemu przynosili NeuroTranslatora w rodku nocy?

Ju miał spyta o to Trippa, lecz powstrzymał si , kiedy zobaczył, e ten idzie z laborantami w gł b korytarza prowadz cego do czarnego sektora. Przy całej jego wrodzonej ciekawo ci Fleming był tak pochłoni ty pracami nad nowym NeuroTranslatorem, e zupełnie zapomniiał o tej tajemniczej cz ci VenTecu. Teraz jednak, chc c pozna odpowied , znów był ni zaintrygowany.

Zaczekał, a znikn za rogiem; wtedy wyszedł z cienia i ruszył za nimi.

Kiedy skradał si słabo o wietlonym korytarzem, był a nadto wiadom, e nie do , e jest sam w tym odci tym od wiata kompleksie w sercu gór, to jeszcze nikt nie wie, e tu przyjechał. Ani jego rodzina, ani Barley Hall, po prostu nikt. Serce zabiło mu mocniej.

- Chod cie - usłyszał głos Trippa. - Doktor Soames czeka. Trzymaj c si blisko ciany, Fleming wychylił si ostro nie i zobaczył, jak Tripp wsuwa dysk do czytnika w drzwiach czarnego sektora. Otworzyły si z sykiem i trzej m czy ni weszli z wózkiem do rodka. Kiedy znikn li, Fleming rzucił si biegiem do otwartych drzwi. Zamkn ły mu si przed nosem. Zdeterminowany wsun ł do czytnika swój dysk, ale wiatełko przy klamce pozostało czerwone.

- Cholera - mrukn ł i wycofał si w cie . Zastanawiał si , co robi .

Kilka chwil wcz niej zamkni ta w pokoju w czarnym sektorze Amber te nie mogła zasn . Jej strażnik zdawał si post powa według ustalonego schematu. Co wieczór o szóstej przynosił kolacj . Potem, par minut przed jedenast , pukał delikatnie do drzwi. Je li odpowiadała, wchodził i zabierał tac , a je li milczała, czekał z tym do rana.

Przez cały dzień szukała jakiejś broni, ale wszystko w tym nijakim pokoju było przy rubowane albo niegroźne. Wreszcie podeszła do wieszaka na rączniki, z wysiłkiem podważyła okucia przytrzymujące chromowany drążek i wyrwała go.

Kiedy strażnik przyniósł posiłek, opanowała nerwy, zjadła tyle, ile mogła, i położyła tacę przy łóżku, które położyła tak, by wyglądało, jakby w nim leżała. Zaczęła się w łazience, ciskając drążek jak kij baseballowy.

Czekała w mroku, jej ogolone na zero odbicie patrzyło na nią z lustra. Ile razy zerkała na zegarek, okazywało się, że minęło dopiero kilka minut. I kiedy już zaczynała myśleć, że on nie przyjdzie, usłyszała pukanie.

- Proszę - powiedziała.

Trzasnęły zamek i drzwi się otworzyły. Do pokoju wpadło przy mione światło z korytarza i wszedł strażnik. Na chwilę straciła panowanie nad sobą, zwęzła się, czy będzie w stanie uderzyć go z zimną krwią. Zaraz jednak pomyślała o swoim uprowadzeniu i o tym, co przeszła potem, i cisnęła drążek mocniej.

- Ryba smakowała? - spytał mężczyzna i podszedł do łóżka, odwrócony plecami do łazienki.

Amber stanęła za nim i z całej siły ruciła go w głowę. Drążek odkształcił się przy pierwszym ciosie, więc uderzyła raz jeszcze.

- Rednio - powiedziała, kiedy strażnik z jakimś zwałił się na podłogę.

Dwie minuty później leżała już na łóżku, zakneblowany jeden z poszewek na poduszki; drugi Amber związała mu ręce za plecami. Przykryła go kocem, upewniła się, że wzięła jego czarny dysk, i wyszła z nadzieją, że minie kilka godzin, zanim ktoś tu zajrzy.

Nie miała pomysłu, jak wydostać się z Fundacji. Nie było możliwością zejść z tej góry, musiałyby chyba uprowadzić migłowiec - była odcięta od świata. Ogolona na zero, zmieniła się nie do poznania, a nawet gdyby udało jej się przekonać kogoś z białego sektora, że została uprowadzona, raczej nie miałyby co liczyć na pomoc w ucieczce. To było królestwo Soamesa. Pracownicy byli od niego całkowicie zależni. Jedyną nadzieją w tym, że uda jej się uzyskać dostęp do telefonu satelitarnego w jednym z pokojów, było to, że zadzwoni do kogoś z zewnątrz. Do kogoś, komu ufa, na przykład do ojca Petera Rigi.

Szła korytarzem za strzałkami wskazującymi wyjście z czarnego sektora, kiedy nagle usłyszała głosy. Zatrzymała się i zobaczyła nadchodzących z przeciwka trzech mężczyzn - pchali wózek z jakimś urządzeniem. Odetchnęła z ulgą, kiedy skręcili w prawo, w kierunku głównego laboratorium.

Trzymała się blisko ciany i nasłuchiwała. Dotarła do wyjścia. Włożyła dysk do czytnika i drzwi się rozsunęły. Wyszła na korytarz i zaczęła się zastanawiać, czy pójdzie za białymi strzałkami w lewo czy w prawo. Wtedy z cienia wyłonił się mężczyzna i wyszeptał jej imię.

Fleming nie poznał tej ogolonej na zero kobiety, dopóki nie zobaczył jej oczu. Rozpoznałby je wszędzie. Wyglądała na równie zaskoczona, jak on. Patrzyli na siebie niepewnie.

- Co ty tu robisz, do cholery? - syknęła.

- Próbuj tam wejść, żeby sprawdzić, po co Bradleyowi Soamesowi mój NeuroTranslator. A co ty tu robisz?

- Próbuję stamtąd wyjść.

Zanim zdążył spytać dlaczego, z lewej strony rozległy się kroki. Złapał ją, przyciągnął do siebie i razem wsunęli się do ciemnej wnęki. Słyszał jej oddech, czuł bicie serca. Zobaczył troje ludzi, szli od strony zielonego sektora. Wśród nich była Bukowski. Amber też musiała ją poznać, sądząc po tym, jak zeszywniała na jej widok. Dwaj towarzyszyli Bukowskiemu, czy nie pchali przed sobą wózek, na którym leżała biała trumna.

Jeden z mężczyzn położył się i uderzył trumną w cianę.

- Uwaga - szepnęła Bukowski z rozbawieniem. - Stare pudło jeszcze żyje. Nie chcemy, żeby wyciągnęła kopyta przed czasem.

Otworzyła drzwi czarnego sektora i Flemingowi zaszczoło w ustach.

Rozpoznał symbol wybity na trumnie, stylizowany rysunek czerwonej arki z masztem w kształcie krzyża. Nawet w słabym świetle wypatrzył napis: HOSPICIUM KOŃCIOŁA PRAWDY DUCHOWEJ.

W tej chwili, na widok wewnątrz do czarnego sektora trumny z charakterystycznym symbolem, Amber przestała myśleć o ucieczce. Teraz liczyło się dla niej tylko to, by słusnie straszył ją, który ciśnie ją jej ołdek.

To było niemożliwe. Po prostu niemożliwe.

Z dyskiem w rękę wyszła na korytarz i skierowała się z powrotem w stronę czarnego sektora. Miles Fleming bez słowa ruszył za nią.

### Sala konferencyjna w czarnym sektorze

**W**ilki zachowywały się tak, jakby Bradley Soames trzymał je na niewidzialnej smyczy. Siedziały po bokach jego krzesła u szczytu stołu i z wywieszonymi oczami patrzyły przed siebie, niepokojące, nieprzeniknione, nietykalne. Soames co pewien czas wsuwał rękę pod stół i jeden bądź drugi wilk coś z niej brał.

Wszyscy pozostali, włącznie z Accostą, siedzieli w pewnym oddaleniu. Wilkowska bała się wilków, ale Accosta ich nienawidził. Miały w sobie coś pogarskiego - wręcz bezbożnego. Wstał z krzesła i podszedł do lustra weneckiego, wsparty na silnym ramieniu Diageo. Biała trumna leżała na wózku przy stole laboratoryjnym. Spod uniesionego wieka wyłoniło się ciało z kroplówek, maski tlenowej i aparatury podtrzymującej życie. Accosta posmutniał na ten widok. Cóż, to ostatnie konieczne zabójstwo. Ostatnia ofiara - nim on złoży ofiarę z siebie.

- Widzi Wasza wi tobliwo NeuroTranslatora? - Soames wskazał na półprzezroczysty niebieski szkielet z pulsującymi wiatelnymi kulami, na którym stał monitor. - Dzięki zmodyfikowanym portom podczerwieni może zostać połączony z detektorem fotonów w szklanej kuli, rejestrującym kod kreskowy duszy. - Wskazał na czarną skrzynkę w nogach łóżka, na której widniały cztery kolumny mrugających wiatel. - A kiedy ustawimy sygnał naprowadzający, który zdobyli my dzięki Amber, powinniśmy móc utrzymywać ją czono tak długo, jak zechcemy. Podczas eksperymentu zamierzamy pozwolić duszy uciec. Kilka sekund później za pomocą jej kodu kreskowego i sygnału naprowadzającego przywołamy ją z powrotem, a tak powiem. Nawizujemy z nią kontakt za pośrednictwem NeuroTranslatora na czysto stotliwo ci duszy.

Accosta patrzył, jak laboranci przenoszą wychudzone kobiety na stół laboratoryjny i podnoszą jej powieki. Zazdrocił jej tego, a wkrótce zazna ukojenia, wręcz ałował, a to nie on tam leży. Niedługo przyjdzie czas i na niego.

- Dzięki dziemy mogli położyć kres wszystkim cierpieniom - powiedział, kiedy szklana kula znalazła się na głowie kobiety. - A po Dniu Prawdy Duchowej już nigdy nie trzeba będzie robić takich rzeczy, bo kiedy wszyscy ujrzą prawdę, dla zła nie będzie miejsca na tym świecie.

- Tak, Wasza wi tobliwo - powiedział Soames. - To prawda.

- Spójrz - sykn ła Amber do Fleminga.  
Siedział w kucki na korytarzu. Zajrzał przez okr ęte okna do głównego laboratorium w czarnym sektorze. Przez przyciemniane szyby zobaczył bia łą trumn ę. Cho Bukowski i Tripp zasłaniali mu widok, zauwa ył cia ło z mask tlenow na twarzy i kroplówk pod czon do lewego ramienia.

- Ktokolwiek by ł w tej trumnie, jeszcze yje - szepn ła Amber.  
- Widz - odpar ł. Miał powiedzie co jeszcze, ale w oczy rzuci ł mu si półprzezroczyste sze cian na stoliku przy le ance. - To ulepszone NeuroTranslator. Pomog łem ludziom Bradleya go skonstruowa .

Amber zmarszczyła brwi.

- Po co?

- Sam zaczynam si zastanawia .

Rozejrzał si po laboratorium. W nogach ł ka sta ła bucz ca aparatura. Jedno urz dzenie wyposa one by ło w monitor, inne pokazywa ło cztery kolumny losowo mrugaj cych wiatel . Jeden z naukowców usun ł si na bok i Fleming dostrzeg ł przez ciemn szyb kobiet na stole laboratoryjnym; w ła nie golono jej g łow . Laboranci w ło yli jej co do oczu.

- To samo robili ze mn - powiedzia ła Amber, kiedy na g łow kobiety nasuni to szklan kul .

- To znaczy?

- Prowadzili na mnie eksperymenty.

- Co takiego? - Odwróci ł si do niej z niedowierzaniem. - Kto prowadzi ł na tobie eksperymenty? Soames?

- A kto by inny? Wygl da na to, e wykorzysta ł i ciebie, i mnie. Nie wiem tylko dlaczego. Jedno jest pewne: mia ło to co wspólnego z Ariel i moimi snami.

Niczego nie rozumia ł i dalej patrzy ł przez przyciemnian szyb , co si dzieje. Dwa du e monitory nad ł kiem pokazywa ły zbli enia twarzy kobiety, ale odb łyski wiatła powodowa ły, e nie wida jej by ło wyra nie. Jeden z naukowców, Tripp, odwróci ł si do lustra zajmuj cego cian po lewej stronie i uniós ł kciuk, jakby dawa ł sygna ł sobie - albo komu po drugiej stronie.

Wci niezdolny poj , czego jest wiadkiem, Fleming obejrza ł si na Amber. Patrzy ła w skupieniu na scen rozgrywaj c si na ich oczach i dr a ła z ledwie hamowanej w ciek ło ci.

- Jak mógl to zrobi ? Jak mógl ? - szepta ła.

Buczenie przybra ło na sile, naukowcy cofn li si od ł ka i za ło yli okulary ochronne. Fleming zobaczy ł przez przyciemnian szyb o lepiaj cy

błysk, który roz wietlił kul na głowie kobiety. Wydawało si , e wystrzelił z jej oczu, by nast pnie rozej si po zewn trznej warstwie kuli pulsuj c aureol .

Rozbrzmiał przenikliwy pisk i mrugaj ce bezładnie wiatła uło yły si w cztery rz dy kolorów. Na monitorze pojawił si pr kowany wzór z białych fotonowych punktów, w którym Fleming rozpoznał klasyczny obraz interferencyjny.

W szklanej kuli zgasto wiatło.

Po kilku sekundach, zanim Fleming zd ył uporz dkowa sobie to, co zobaczył, aureola pojawiła si ponownie, jakby kto przywołał j z powrotem. Na krótk , mro c krew w yłach chwil zrobiło si tak jasno, e odbłaski znikn ły z monitorów nad łó kiem i twarz kobiety stała si doskonale widoczna.

Amber zerwała si jak oparzona, wyrwała si z r k Fleminga, pchn ła drzwi i wpadła z krzykiem do laboratorium.

Fleming nie miał innego wyj cia, jak tylko pobiec za ni .

Bukowski odwróciła si pierwsza i zast piła jej drog , ale Amber wpadła na ni z takim impetem, e odr ciła j na bok jak papierow figurk . Z jej ust wyrwał si rozpaczliwy krzyk.

- Dranie! Pieprzone dranie!

Fleming zobaczył w górze monitory ze zbli eniem wychudłej twa- rzy. Zza dziwnych soczewek kontaktowych patrzyły martwe oczy.

- Mamo! - wrzasn ła Amber i przypadła do stołu laboratoryjnego.

Naukowiec rzucił si ku niej, lecz Fleming odepchn ł go i uderzył w podbródek nasad dłoni. Ze łzami płyn cymi po twarzy Amber ci gn ła szklan kul z głowy matki i wyj ła z jej oczu soczewki. Gillian Grant ju nie yła.

- Dranie! - krzykn ła Amber raz jeszcze i czule uło yła głow matki na łó ku. Podniosła szklan kul i zwróciła si twarz do lustrzanej ciany.

Wtedy Fleming zobaczył, e na monitorze NeuroTranslatora poja- wiła si cz stotliwo duszy i włosy zje yły mu si na karku. Z gło- ników dobył si krzyk, tak przenikliwy, jak krzyk Amber.

- Amber!

W tej chwili Fleming zrozumiał, jak Soames go wykorzystał, i stwierdził z pewno ci , jakiej nie mogła da nauka, e umysł yje po mierci. Cały jego racjonalizm i sceptycyzm nie wytrzymał konfronta- cji z furi skrzywdzonej duszy, której ciało le ało martwe na le ance.

- Mordercy! - rozległo się w głośnikach NeuroTranslatora.

Amber cisnęła szklaną kulę w lustro. Przez chwilę nie działo się nic, po czym powierzchnia lustra pokryła się siatką pyłu i gajcychka dego rogu i krawędzi.

Odkłamki szkła spadły na podłogę z donośnym brzękiem.

Po drugiej stronie stali Xavier Accosta, Bradley Soames i Virginia Knight.

Cisza, która zapadła, była głośniejsza od łoskotu odkłamek odbijających się od podłogi.

## 44

Kiedy dwaj uzbrojeni strażnicy wprowadzili Fleminga i Amber po potłuczonym szkle do sali konferencyjnej, Accosta pierwszy próbował ratować sytuację.

- Usiódźcie, proszę - powiedział z kurtuazją. - Zasługujecie na wyjątki.

Amber dopiero teraz zobaczyła wilki; stały ze zjeżdżającymi za swoim panem.

- No właśnie - przytaknął Soames. - Przykro mi, że wczoraj nie mogliśmy wam ujawnić więcej szczegółów. - Przedstawił monsignora Diageo i Franka Carvellego, jakby wszyscy byli tu na spotkaniu towarzyskim.

- Co jest grane, do cholery?! - warknął Fleming.

Amber rzuciła się na Soamesa, ale strażnik chwycił ją i posadził na krześle.

- Co ty zrobił, Bradley? Co ty zrobił, do kurwy nędzy?! - wrzasnęła na niego. - Jak mogłeś? Byliście moimi partnerami, na lito boska.

Soames wydawał się autentycznie zszokowany, jakby nie rozumiał jej oburzenia.

- Cięgnijmy ją tu tylko przez wzgląd na ciebie, Amber, a poza tym i tak umierała. Dzięki jej śmierci nikomu więcej nie stanie się krzywda. Ani tobie, ani Milesowi, nikomu.

Amber patrzyła na niego osłupiała, że ci nie tym w ciebie się gardłem. Tak jakby szok wywołany śmiercią matki na jej oczach i późniejszy



Gor co pragn 1 podnie Amber na duchu, ale to było zadanie ponad jego siły. Sam nie mógł si uspokoi .

Widok Virginii Knight u boku Soamesa i Accosty, z czerwonym krzy em Ko cioła Prawdy Duchowej na piersi, pomógł mu wyj z szoku. A kiedy zobaczył triumfalnie u miechni t wyn dniał twarz Czerwonego Papie a, przypomniały mu si przestrogi ojca Petera Riggi.

Dali si z Amber wci gn w pułapk . Tak bardzo zale ało mu na tym, by pozna prawd o bracie, e był głuchy na kłamstwa Soamesa. Amber została wykorzystana wbrew jej woli, lecz on tym draniom pomógł. Czuł si tak gł boko upokorzony, e miał ochot si na kim wyładowa . Postanowił jednak, e nie da si ponie emocjom. Przynajmniej na razie.

Soames spojrział na niego.

- Pami tasz nasze pierwsze spotkanie? Chciałe wykaza , e cz stotliwo duszy nie jest dowodem na istnienie ycia pozagrobowego, a ja ci zasugerowałem, eby spróbował udowodni co wr cz przeciwnego. Pami tasz? I jak teraz si czujesz, wiedz c, e takie rzeczy s mo liwe?

Fleming zachował kamienn twarz.

- A s ?

- Słyszałe dusz Gillian Grant.

- Słyszałem, jak nazwała was mordercami. To musiała by opó niona reakcja.

Soames pokr cił głow zniecierpliwiony.

- Nie, słyszałe jej dusz . Nie w chwili mierci, jak w przypadku twojego brata, ale po tym, jak j przywołali my. Pozwolili my jej odej , a potem wezwali my j z powrotem. Miałe racj , kiedy mówiłe , e aby udowodni istnienie ycia pozagrobowego, trzeba namierzy dusz i nawi za z ni kontakt ju po jej odej ciu. Wtedy ma si pewno , e kontakt ten to nie jakie ostatnie tchnienie, jak to okre liłe . No i nam si udało. Dzi ki Amber znale li my wła ciw cz stotliwo , dokładnie tak, jak zamierzałe zrobi to ty. Tyle e my zdobyli my współrz dne pierwsi. Nawiasem mówi c, wcze niej próbowaliśmy tego dokona z pomoc licznych miertelnie chorych pacjentów; ten pomysł napawał ci takim obrzydzeniem. — Soames był wyra nie zadowolony, e mo e podzieli si z nim swój wiedz . - Chcesz wiedzie , jak wzywamy dusz , jak j identyfikujemy?

- Pewnie i tak mi to powiesz, czy b d tego chciał czy nie.

- Słyszale o eksperymencie z dwiema szczelinami?

Fleming skin ł głow .

- Otó zmodyfikowałem go tak, by zamiast fotonów energii wietlnej wykrywa fotony energii yciowej opuszczaj cej umieraj ce ciało. Przeprowadzili my ponad sto prób i stwierdzili my, e ka da dusza pozostawia za sob inny obraz interferencyjny, co jakby kod kreskowy. Wygl da na to, e ka dy z nas ma nie tylko unikalny genetyczny plan fizycznego ciała, ale i fotonowy plan metafizycznej duszy. - Soames si u miechn ł. - Dualizm kwantowy jest wsz dzie.

Fleming i Amber spojrzeli na niego z niedowierzaniem.

- Sto? - powiedzieli jednym głosem.

- Po to zabię stu ludzi? - wydyszał Fleming. Odwrócił si do Virginii. - A ty mu pomagała . Chryste, ale nas wykorzystali cie. Amber dała wam sygnał naprowadzaj cy, a ja cz stotliwo duszy.

Knight miała na tyle przyzwoito ci, e zrobiła zakłopotan min .

- Wszystko w słusznej sprawie - powiedziała. - Zobaczysz. Uwierz mi.

- Mam ci wierzy ? Niby jak, do licha? Była moj przeło on , na lito bosk , kim , do kogo powinienem mie zaufanie, a przez cały czas uczestniczyła w tym bzdurnym, szata skim spisku?

- Szatan nie ma z tym nic wspólnego, doktorze Fleming - wtr cił Accosta spokojnym tonem. - Wr cz przeciwnie. Doktor Grant powinna by tego dowodem. Kiedy najbardziej potrzebowali my pomocy, Bóg nam j zesłał. Amber jest wyj tkowa, jest darem Bo ym. Na razie pan mi nie wierzy, ale z czasem przekona si pan, e mam racj .

- Tyle e wy nie tylko zn cali cie si nad Amber, ale i zabili cie jej matk . A co z innymi nieszcz nikami, których zamordowali cie? Czym mo na to usprawiedliwi ?

- Oni wszyscy byli umieraj cy, jak ja. My tylko ul yli my im na ostatniej drodze. A ten ostatni eksperyment zako czył si powodzeniem. Matka Amber spełniła zadanie, które Bóg wyznaczył jej, jak ka demu z nas.

Fleming zdał sobie spraw , e nie ma sensu ci gn tego sporu. Kto kiedy powiedział, e wiara jest czym , za co ludzie umieraj , a dogmaty czym , za co zabijaj . Riga si nie mylił: Accosta był tak arogancki i dogmatyczny, jak głupcy z Watykanu, i bardziej od nich niebezpieczny.

- Ale co wła ciwie chcecie osi gn , niepokoj c ludzkie dusze? - spytał.

- Zbawienie - odparł Accosta krótko. - Zbawienie miliardów dusz. Powinni cie by dumni z tego, co zrobili cie dla dobra sprawy. Oddali cie

wielk przysług ludzko ci. yjemy w erze technologii, przytłoczem nadmiarem mo liwo ci. Ludzie jak nigdy potrzebuj kogo , kto wska- załby im wła ciwy kierunek. Nie s ju skłonni pokłada zaufania w lepej wierze czy natłoku bezu ytecznych informacji. Chc , ba, do- magaj si prawdy. Dzi ki tej technologii rozwiej wszelkie w tpli- wo ci zwi zane z najpowa niejszym pytaniem nurtuj cym ludzko . Co dzieje si z nami po mierci? I w odró nieniu od innych przywódców religijnych nie b d wymagał od ludzi, by uwierzyli, lecz przed- stawi im prawd o ludzkiej duszy. Stan si tej prawdy uciele nieniem, i nikt, czy to ateista, czy to yd, rzymski katolik, muzułmanin, buddysta czy humanista, nie b dzie miał powodu, by w tpi w prawd- dziwo mojej wizji. Wszyscy wst pi do Ko cioła Prawdy Ducho- wej, bo nie znajd racjonalnej przyczyny, by tego nie zrobi .

- O ile pa ska wizja jest słuszna - powiedział Fleming.

Accosta u miechn ł si do niego z wy szo ci człowieka tak pewne- go swoich racji, e im wi cej słyży racjonalnych i spójnych argumen- tów przeciw nim, tym bardziej utwierdza si w przekonaniu, e rozmówca jest za lepiony, a on jeden posiadał prawd absolutn .

- Doktor Soames wspominał, e martwi si pan o brata, e dr czy si pan my l , i jego dusza cierpi. Moim zdaniem, jest to uzasadniona obawa, doktorze Fleming. Jednak cokolwiek powiem panu o jego losie b d o losie, który czeka pana, jest nieistotne, bo nale do Ko cioła, którego pan nie uznaje. Za to po Dniu Prawdy Duchowej nawróc pana, jak wszystkich ludzi na wiecie, bez wzgl du na ich obecne wyznanie. Dowiod , e ja jeden znam prawd o tym, co dzieje si z dusz po mierci.

- Niby jak?

- Tak, e kiedy j przedstawi , nie b dzie mnie ju na tym wiecie - odparł Accosta ze spokojem.

Zanim Fleming zdołał w pełni poj znaczenie jego słów, Soames podszedł do niego i klepn ł go w plecy.

- Nie rozumiem, czemu tak si zło cisz, Miles - powiedział. - Masz, czego chciałe . Przyjechałe tu, by pozna prawd o bracie, i we wła- ciwym czasie j poznasz. Szczerze mówi c, miała to by dla ciebie niespodzianka. Po co te nerwy?

Fleming spojrział na niego: ten człowiek był niespełna rozumu. W którym momencie jego pokr conego ycia amputowano mu zdolno do empatii.

- Bradley - odparł powoli, wyra nie wymawiaj c ka d sylab - wprowadziłe Amber i poddałe j eksperymentom, zamordowałe jej matk

i setki innych ludzi w imię jakiego niewydarzonego pomysłu, a po drodze jeszcze mnie oszukała. I mimo to nie potrafisz zrozumieć, czemu się w ciekamy.

- No właśnie nie.

Fleming wzruszył ramionami, jakby dawał za wygraną, i uśmiechnął się do Soamesa przeproszając co.

- Masz rację, jestem przewrażliwiony. - Nie przestaję się uśmiechać, zacisnął prawą dłoń w pięść, naprężył ramiona i z całej siły uderzył Soamesa w twarz.

Stratnicy zareagowali z opóźnieniem, lecz wilki w mgnieniu oka skoczyły na Fleminga i jego nozdrza wypełniły duszący, wilgotny odór. Pazury wbiły się w ramiona, którym usiłował osłonić gardło.

- Powstrzymaj je! - krzyknął Czerwony Papier. - Dość już przemocy.

Soames z ociąganiem wydał niezrozumiałą komendę i wilki się cofnęły.

Amber złapała Fleminga za ramiona - było tylko podrapane.

Dopiero teraz stratnicy postanowili wyprowadzić ich z sali. Fleming poczuł satysfakcję na widok złości w oczach Soamesa, ostro nie macając cęgo podbródek. Kiedy przechodzili obok niego, Amber odwróciła się i plunęła w jego czerwoną, wykrzywioną twarz.

- Nie rozumiem, czemu tak się złości, Bradley - powiedział Fleming. - Masz, czego chciałeś.

Co z nimi zrobisz? - spytał Soames Accosta, kiedy Amber i Fleming wyszli. Soames pocierał obolałą szyję.

- Dopilnuj, by nie wchodzili nam w drogę, dopóki nie nadejdzie wielki dzień, Wasza wierność. Nie możemy dopuścić, by przeszkodzili w przygotowaniach.

Accosta na próżno usiłował przeniknąć jego myśli. Chciał wierzyć, że jedynym powodem, dla którego Soames włożył tak wiele pieniędzy, czasu i wysiłku umysłowego w to nadzwyczajne przedsięwzięcie, były jego wiara w Boga i przekonanie, że on, Czerwony Papier, jest Jego posłańcem. Mimo to, nawet w tej chwili nie był pewien prawdziwych motywów Soamesa.

- Nie chcę, by cokolwiek im się stało, Bradley - powiedział ostro - nie. - Ani przed Dniem Prawdy Duchowej, ani potem. Jasne?

Soames zmarszczył brwi jak zakłopotany nastolatek, który nie może zrozumieć, dlaczego musi wysłuchiwać kaza dotyczących spraw niemających z nim nic wspólnego.

- Lada chwila osiągniemy nasz wielki cel i zawdzięczam to tobie - cięgnął Accosta. - Aby zejść tak daleko, musieliśmy robić rzeczy godne poświęcenia. Jednak po Dniu Prawdy Duchowej przemoc i niezgoda powinny stracić rację bytu. Jasne?

- Oczywiście, Wasza wielmożo.

Accosta odwrócił się do pozostałych. Ich rozumiał lepiej. Carvelli był próżny i płytki, lepo jednak oddany Kościołowi. Knight, głębiej wierząca, nie obnosiła się ze swoją religijnością, ale dzieliła jego udręki, kiedy musiał podejmować trudne decyzje, konieczne dla wypełnienia woli Boga. Monsignore Diageo zawsze był jego prawym ręką, jego opoką. Wkrótce ich lojalna służba zostanie wynagrodzona. Już niedługo spłynie na nich łaska, a przyczynili się do sukcesu sprawiedliwego, cudownego dzieła.

- Doktor Soames wyraził pragnienie, by pozostać w Dniu Prawdy Duchowej tutaj, z dala od blasku reflektorów - powiedział.

- I wiatła słonecznego - dodał Soames.

Accosta uśmiechnął się wyrozumiale.

- My zaś wrócimy na pokład Czerwonej Arki i rozpoczniemy przygotowania.

Wszyscy zrobili smutne miny.

- Nie bódźcie przygnębieni. To nie koniec, lecz początek. Radujcie się razem ze mną. Jesteśmy u progu złotej ery oświecenia.

Pogodny uśmiech rozjaśnił zmarszczone twarz Virginii Knight.

- Tak, Wasza wielmożo, to będzie cudowne dzieło.

- Cudowny - powtórzył Diageo.

Carvelli był mniej powściągliwy.

- Dzień Prawdy Duchowej będzie objawieniem.

Soames pokiwał głową na znak zgody.

- Rzeczywiście, Wasza wielmożo, będzie to dzień objawienia, czy jak powiedzieliby Grecy, Apokalipsy.

## Niebieski sektor Dwa dni pó niej

Na razie wygląda to do niepozornie - powiedział Soames i wprowadził Fleminga i Amber do pokoju rzeczywiście ci wirtualnej w niebieskim sektorze - ale tylko zaczekajcie. Jeste tu pierwszy raz, Amber, prawda? VenTec opracował to we współpracy z KREE8 Industries.

- Amber unikała wzroku Soamesa. Wci jeszcze trudno jej było pogodzić się z jego zdradą i zrozumieć, jak to może być, że człowiek, który wprowadził ją i kazał zabić jej matkę, był tym samym człowiekiem, którego przez długie lata szanowała i podziwiała.

- Dla ciebie to też będzie coś zupełnie nowego, Miles - dodał Soames. Wci miał opuchniętą twarz i widoczny widać strup na pokrytym bliznami podbródku. Nie znał było jednak po nim zła ci. Wydawało się, że zupełnie zapomniał o wydarzeniach ostatnich trzydziestu sześciu godzin.

Za to Fleming, podobnie jak Amber, nadal nie ochłonął z gniewu. Nie zważając na dwóch ochroniarzy tuż za sobą, ostentacyjnie ignorował Soamesa. Oboje z Amber mieli na sobie obcisłe, ciemnoniebieskie kombinezony, rękawice i pantofle z czujnikami. Niebieski inteligentny materiał składał się z tysięcy mikroskopijnych paciorków, przypominających piksele na monitorze komputera. Soames i dwaj strażnicy ubrani byli podobnie.

Sam pokój był duży, ale skromny. Podłoga, ściany i sufit miały ten sam odcień błękitu, co kombinezony. Podłoga była twarda i Amber domyślała się, że wraz ze ścianami i sufitem pełni funkcję ekranu o wysokiej rozdzielczości. Na środku pomieszczenia stały trzy rzędy krzeseł, po dwa w każdym.

- Ponieważ będzie to w gruncie rzeczy swoiste przedstawienie, uznałem, że trzeba wygodnie sobie usiąść. - Soames wskazał im dwa krzesła z przodu. Strażnicy zajęli miejsca za nimi, Soames usiadł z tyłu. W lewej dłoni trzymał palmtopa, prawą dotknął jego ekranu. - Jak się ubierzemy? - spytał. - W coś eleganckiego, jak się daj.

Niebieskie kombinezony zostały natychmiast zastąpione innymi strojami. Fleming był teraz ubrany w smoking z muszką, Amber zaś miała na sobie czarną suknię bez ramiączek. Niesamowite było to, że jej odsłonięte

ramiona wyglądały najzupełniej naturalnie, a z dłoni zniknęły niebieskie rękawice. Co więcej, w ogóle nie czuła ich na rękach. Kiedy wytrzymała wzrok i szybko poruszała ręką na niebieskim tle, udawało jej się dostrzec światło, ale ledwie Soames zmienił wygląd pokoju, znalazła się w zupełnie innym miejscu. Złudzenie było pełne.

Siedzieli z Flemingiem w pierwszym rzędzie ogromnej auli, przypominającej zarazem teatr i katedrę. Po bokach wznosiły się kolumny, jak w nawie głównej, a z przodu znajdowała się scena. W górze widać było nie tyle sklepiony sufit, ile obraz pogodnego nieba usianego białymi puszystymi obłokami. Amber wręcz spodziewała się, że w każdej chwili ukażą się na nim cherubiny i serafiny. Powietrze pachniało balsamicznie, a otoczenie było tak piękne, że nie mogła powstrzymać dreszczu podniecenia. Zorientowała się, że jest to ta sama katedra, którą widziała, kiedy weszła do wirtualnej rzeczywistości podczas wizyty w hospicjum.

Przez ostatnie dwa dni opłakiwała matkę i usiłowała pogodzić się z jej śmiercią, a kiedy chciała zobaczyć, czym myśli, oglądała telewizję w swoim zamkniętym pokoju. W BBC i CNN na okrągło nadawano relacje, w których wyjaśniano znaczenie Dnia Prawdy Duchowej, i dopiero z nich dowiedziała się, jak zuchwałe są plany Soamesa i Accosty. Choć jednak bardzo się starała, nie potrafiła pojąć ich dziwnego sojuszu. Znała Soamesa od lat i nigdy nie nazwałaby go człowiekiem religijnym. Absurdem byłoby myśleć, że miałby służyć Accosty czy być jego zwolennikiem. Soames współpracował tylko z ludźmi, którzy mogli służyć jemu, nie vice versa.

Po widowni przeszedł szmer, niczym wiatr niesiony przez pole jęczmienia, i wysoka postać w czerwieni wyszła z lewej strony na radek sceny. Widzowie zadowolony uśmiech Accosty, Amber powiedziała sobie w duchu, że obaj z Soamesem zapłacą za to, co zrobili. Nie wiedziała jak, nie wiedziała kiedy, ale zapłacą.

Odwróciła głowę, pochwyciła spojrzenie Fleminga i poczuła przyływ odwagi, kiedy zobaczyła w jego oczach odbicie swojej determinacji.

**Czerwona Arka, 18° 55' N, 16° 99' W**

Xavier Accosta nigdy jeszcze nie czuł się tak pełen miłości jak teraz, gdy minuty dzieliły go od śmierci. Stał na podium w katedrze na pokładzie Czerwonej Arki i patrzył na widownię - nieco ponad sto osób. Zaproszenia do udziału w mszach na pokładzie arki były wysyłane pocztą elektroniczną do losowo wybranej garstki spośród milionów zarejestrowanych zwolenników, w zależności od ich aktualnego miejsca pobytu. Ten zwyczaj został zachowany także w Dniu Prawdy Duchowej, choć specjalne zaproszenia dostali także najważniejsi przywódcy innych religii. Co ciekawe, żadne nie zostało odrzucone. Wszyscy przysłali wysokich rang przedstawicieli, których zadaniem bez wątpienia było obejrzeć, a następnie dokładnie przeanalizować to, co zobacz.

Accosta słyszał, że wielu obecnych tu dziś szczęściarzy otrzymało idące w tysiące, a nawet miliony oferty od przedstawicieli mediów i milionerów pragnących uczestniczyć w tym wydarzeniu osobiście. Ku jego zadowoleniu, tylko nieliczni - jeżeli w ogóle ktokolwiek - odstąpili najlepsze miejsca do podziwiania tego historycznego wydarzenia. Jednak widownia obecna fizycznie stanowiła tylko drobną część ogółu widzów. Według Carvellego, liczba osób ledzących przebieg uroczystości w rzeczywistości wirtualnej, przez Internet i w telewizji przekraczała cztery miliardy - dziewięćdziesiąt procent użytkowników komputerów. Carvelli miał rację. To było największe wydarzenie medialne w dziejach.

Przed główną część uroczystości Accosta odprawił krótką mszę, podczas której złożył hołd najwierniejszym wyznawcom i udzielił błogosławieństwa wszystkim widzom, bez względu na wyznanie. Potem, po krótkiej przerwie dla nabrania tchu, Czerwony Papież wzniósł rękę, zebrał wszystkie siły, jakie zachowały się w jego schorowanym ciele, i przemówił do wiata:

- Wyruszam dziś w drogę. Wielu przede mną odbyło to w drówek, u której kresu czeka śmierć, i we właściwym czasie każe dyżur was pod moim ładem. Jaka szkoda, że po śmierci nie ma powrotu! Do wiadczycywszy jej, o ile więcej wiedzielibyśmy o miłości. Cóż, kiedy ta ostatnia droga pozostaje tajemnicą dla nas wszystkich. Niepewno co do losu, jaki spotyka nasze dusze po śmierci, legła u podstaw religii. A ile wyzna, tyle różnic



wizji ycia pozagrobowego. Wyznawcy wszystkich religii, z Ko ciołem Prawdy Duchowej wł cznie, chc c nie chc c zmuszeni s przyjmowa te wizje na wiar .

Przed dwoma tysi cami lat pewien człowiek umarł na krzy u za nasze grzechy. Człowiek ten, którego my, chrze cijanie, uwa amy za Syna Bo ego, przyszedł na wiat, by y mi dzy nami i pomóc nam wznie si ponad wiar i zobaczy prawd . Nawet w owym czasie jednak wielu nie chciało go słucha . Jego przypowie ci i nauki interpretowane były w sposób niejednoznaczny i tylko nielicznym dane było ujrze jego samego b d dokonywane przeze cuda na własne oczy. Nawet jego mier i zmartwychwstanie przekonały tylko prawdziwie wierzc ych.

Dzi nie zamierzam wygłasza kaza . Nie chc , eby cie uwierzyli we mnie czy w Boga. Poka wam wszystkim prawd . Zobaczycie moje zmartwychwstanie na własne oczy i usłyszycie ode mnie prawd . Zostałem wybrany, by by drugim Mesjaszem, umrze i zmartwychwsta , a nast pnie stan mi dzy dwoma wiatami, jedn nog u boku Boga, a drug przy was, bracia moi. Dzi ja, kardynał Xavier Accosta, st pi rogi szatana, wykorzeniaj c na zawsze z waszych serc w tpliwo ci, które diabeł wykorzystuje, by sia ziarno niezgody i czyni zło. Od dzi nie b dzie usprawiedliwienia dla ulegania pokusom szatana, wkrótce przekonacie si bowiem, e Bóg, Bóg prawdziwy, istnieje.

- Kiedy dojd do kresu mojej dzisiejszej w drówki, powróc , by przeka za wam tajemnice ycia i mierci. Ujawni wam Prawd Duchow i składaj c siebie samego w ofierze, zapewni zbawienie duszom was wszystkich.

Kiedy sko czył, nie było braw, tylko grobowa cisza.

Diageo i Knight podeszli do niego i zaprowadzili go na lew stron sceny, gdzie Bukowski i Tripp czekali przy otoczonym aparatur stole laboratoryjnym.

Diageo ze łzami w oczach pomógł Acco cie poło y si na stole, który miał si sta jego łem mierci.

- Nie smu si , przyjacielu - szepn ł Accosta. - Nie opuszczam ci . Od dzi b d z tob na wieki wieków.

Diageo próbował si u miechn , a Knight dr cymy dło mi przyczepiła elektrod do skroni Accosty.

Bukowski podeszła, delikatnie podniosła mu powieki, wprowadziła do oczu barwnik i wło yła soczewki. Oczy go piekły, ale powiedział sobie, e ból wkrótce minie. Ju niedługo spłynie na niego spokój, rado i Bo a miło .

Tripp pomógł unie głow Accosty i nało ył mu szklan kul .

Z lewej strony wyszedł na scenę Carvelli i stanął przy aparaturze nagłośnieniowej i holopadzie KREE8. Z pomocą Trippa sprawdził bezprzewodowe połączenie między NeuroTranslatorem i resztą zespołu. Potem obejrzał kamery i sprzęt audiowizualny. Widownia obserwowała ich metodyczne ruchy z nabobnością.

Bukowski podszedł do NeuroTranslatora i upewniła się, że człowiek duszy jest na monitorze.

Knight zaczęła, a wszyscy po kolei skinęli głowami na znak gotowości, przeganiając się i zwróciła twarz do Accosty.

- Wszystko gotowe, Wasza wi to bliwo .

Accosta westchnął z błogim uczuciem ulgi. Był tak blisko. Chwile dzieliły go od apoteozy.

- Zaczynamy, Wasza wi to bliwo - oznajmił Carvelli. - Jeśli z jakiego powodu...

Accosta nie dał mu dokończyć.

- Jestem gotów. - Był tego pewien jak niczego innego na świecie.

Rysy Carvellego stały.

- Niech Bóg błogosławi ci .

- Bóg już na mnie czeka - powiedział Accosta cicho.

Powietrze w ciemnościach zaczęło brzmieć przybrało na sile. Do kuli wpłynął gaz, spowijając zniekształcone w szkło kształty zielonego światła. Kardynał zobaczył po lewej stronie modlącą się Virginie Knight. Uśmiechnęła się. Nie miała po co się modlić.

Przez buczenie przebił się inny dźwięk, głąboki, niemy krzyk - to wszyscy widzowie naraz wstrzymali oddech. Accosta zaczął mówić, a Carvelli nie przygotował jakiejś muzyki, i przez chwilę zastanawiał się, jak on sam wybrałby oprawę muzyczną tej chwili.

Wtedy zaczął się odliczanie.

10... 9... 8... 7...

Po prawej stronie widział dręczącą Virginie Knight; trzymała miniaturowy panel połączony z elektrodami przyczepionymi do jego czoła - elektrodami, która wywołała mierniczo wstrząs elektryczny i zabije go w mgnieniu oka. Wtedy dotarło do niego, że to ostatni obraz, jaki zobaczy jako miernik.

6... 5... 4...

Niczym duchowy kosmonauta Accosta wziął ostatni głęboki wdech i czekał na start.

**3... 2... 1... :**

Najpierw jest tylko ciemna próżnia. Potem dostrzega w oddali światło, ku któremu pędzi. Szybko jest oszalał, wprawia go w euforię. Nie czuje strachu. Im wiksza szybkość, tym prędzej dotrze do kresu podróży.

W mgnieniu oka wchodzi w światło i mknie tak szybko, że jasno zdaje się nieruchomie wokół niego wל nic nie wycy srebrnych cząstek. Łączy się z blaskiem w jedno, zlewa z otaczającymi fotonami. Czuje, że jest zarazem odrębny istotą - sobą - i czuje się w kszej całości, w kszej jałności.

Kiedy zbliży się do źródła blasku, ogarnia go błogość. W zachwycie oddaje się wietlistym zastępom, przygotowuje się na objawienie - na chwilę, kiedy połączy się z Bogiem i posiędzie całą wiedzę.

Ledwie dociera do źródła, wszystko przy niejawa o lepijca, niebiesko-biała supernowa.

Wchłania go wir kolorów i światła, potęga energia rozrywa go na kawałki i odtwarza z powrotem, raz po razie.

Nagle o lepijca burza wietlna znika i wraca mu wzrok - ale nie taki, jak dawniej. Widzi nowe kolory, kształty i wymiary. Ukazują mu się niezliczone obrazy, jakich sobie dotąd nawet nie wyobrażał. To tak, jakby widział dosłownie wszystko.

I wtedy zaczyna rozumieć, co widzi.

Dusza Xaviera Accosty pragnie przemówić.

Ale nie ma głosu i może tylko krzycze w niemej rozpacz.

## 47

### **Pokój rzeczywistości wirtualnej, niebieski sektor**

Fleming obserwował szklaną kulę na głowie Accosty, kiedy iskra życia strzeliła z umierających oczu Czerwonego Papieża, trafiła w detektor fotonów i utworzyła charakterystyczny wietlisty aureol w zewnętrznej warstwie kuli z włókna optycznego. Teraz już znał całą procedurę: przenikliwy sygnał i cztery kolumny światła układające się w regularny wzór wskazywały, że dusza Accosty została namierzona. Obraz interferencyjny na ustawionym obok monitorze był jej niepowtarzalnym sygnaturą. Dziś tym dwóm danym - sygnałowi naprowadzającemu i sygnaturze - można

było teraz przystąpić do nawiązania kontaktu. A za pomocą NeuroTranslatora Fleminga i czystotliwoci duszy uzyskanej od Amber, Tripp i Bukowski powinni połączyć się z duszą Czerwonego Papie'a.

W tej chwili Fleming na chwilę pohamował gniew. Nie zastanawiał się nad moralną oceną ródków, które posłużyły do osiągnięcia tego celu: oszustwo Soamesa, zabójstwo, choroba, zuchwała ambicja Czerwonego Papie'a, o wszystkim tym włącznie już nie myślał, bo patrzył, jak granica między życiem a śmiercią wytyczana jest na nowo, myślał tylko o bracie i Jake'u.

Kiedy wraz z Amber zasiadł w pokoju rzeczywiście czuł wirtualnej, postanowił, że aby nie dawał Soamesowi powodów do satysfakcji, nie zareaguje ani słowem na dowody jego technicznej wirtuozerii czy cyrkowe popisy Czerwonego Papie'a. Nie mógł jednak nie ulec magii tego widowiska, nie patrzył z podziwem na to niezwyklej wagi wydarzenie, jakie rozgrywało się na jego oczach. Jego mimowolna fascynacja wykraczała poza czysto naukowe ciekawość czy nawet obawy o duszę Roba. Było to coś bardziej pierwotnego. Do tej pory nie wierzył w życie pozagrobowe, a już na pewno nie w Boga, który ingerowałby w ludzkie sprawy. Nie zmieniły tego nawet ostatnie, irytujące co niejednoznaczne wydarzenia, które przyniosły mu tej chwili odpowiedzi. Wkrótce jednak już nie będzie mógł wybrać, w co wierzy: pozna prawdę i ta mu ją przerażała. Mimo to nie odwracał wzroku.

Wiatło zgasiło w szklanej kuli. Knight i niezależny lekarz sprawdzili czynności życiowe Czerwonego Papie'a i stwierdzili jego zgon. Carvelli w tym czasie skupił się tylko na czarnym sprzecznie ustawionym na prawo od skanera, a szczególnie na okrągłym dysku na podłodze. Sprawdził jego połączenie w podcierwieniu z NeuroTranslatorem.

- Patrz na holopad KREE8 - szepnęła Amber i Fleming zrozumiał, co zaraz się stanie.

Ludzie Soamesa nie tylko posłużyli się NeuroTranslatorem, by pozwoili duszy Accosty przemówić do wiatła, ale i będą sterować jego hologramem tak, jak Fleming sterował Brianem. To, co nastąpi, będzie nie mniej, niż wcześniej, tylko wirtualnym zmartwychwstaniem Czerwonego Papie'a. Przeniósł wzrok na czarny dysk i dreszcz przeszedł mu po plecach.

Holopad KREE8 włączył się z szumem. W szklanej kuli na głowie martwego Czerwonego Papie'a ponownie rozblęsnęła aureola i Fleming domyślił się, że wykres czystotliwoci duszy na podzielonym na pół monitorze NeuroTranslatora zaczął się wznosić.

I wtedy to się zaczął.

Pozioma linia po poziomej linii, jego oczom ukazała się zjawia. Accosta zmaterializował się dosłownie z powietrza. Czerwony Papie stał niecałe trzy metra od własnych zwłok. Ka dy szczegół, nawet wyraz twarzy, został wiernie odtworzony.

Hologram odwrócił głowę, jakby chciał rozejrzeć się po widowni, powoli, niczym noworodek pierwszy raz zaciskając dłoń. Jego twarz była powa na, a hipnotyzujące ciemne oczy zdawały się patrzeć na ka dego z osobna. Fleming nie musiał zgadywać, jakie wrażenie zrobiło to na miliardach widzów, wiedział to po sobie. Miał spocone dłonie, a serce waliło mu w piersi.

Nastąpiła chwila ciszy, po czym usta Accosty poruszyły się, wypowiadając słowa, które miały dać początek nowej epoce w dziejach ludzkości.

- Jestem sługą Pana. Widziałem Jego moc i znam Jego wolę. Nakazał mi powrócić do was, by wyjawia Prawd Duchów.  
Znowu zapadła cisza. Fleming wychylił się do przodu. Niesamowicie było to, że głos boki głosu Accosty brzmiał tak samo jak za jego życia.

- Zawsze wierzyłem w Boga - powiedział uroczystym tonem - mojego Boga, który stworzył człowieka na swoje podobieństwo, by ten składał Mu cześć. Wszechmogący, wszechwiedzący, miłosierny Boga. W latach młodości czytałem mnie nazwany tak przez filozofów Problemem Zła. Skoro na świecie jest tyle zła, jak to może być, by istniał wszechmogący, wszechwiedzący, miłosierny Bóg? Albo Bóg wie o istnieniu zła, chce położyć mu kres, ale nie jest w stanie tego zrobić, co oznaczałoby, że nie jest wszechmogący, albo chce i może położyć kres złu, ale nic o nim nie wie, z czego wynikałoby, że nie jest wszechwiedzący, albo zna zło, może położyć mu kres, ale nie chce tego zrobić, co wskazywałoby, że nie jest miłosierny.

Fleming poczuł gwałtownie skórę na przedramionach. Miał wrażenie, że Czerwony Papie mówi wprost do niego, że przytacza jego własne argumenty przeciw Bogu i religii.

- Aby uporać się z tym sprzecznością - ciągnął Czerwony Papie - przekonywałem sam siebie, że mój wszechmogący, wszechwiedzący, miłosierny Bóg dopuszcza istnienie zła, by obdarzyć nas, Jego najwspanialsze dzieło, wolną wolę. By powierzyć nam zdolność i możliwość dokonania wyboru między złem a dobrem, nawet w chwilach najcięższej próby. Ja wiem już, czym jest dobro i zło. I kiedy poznałem prawdę, wszystko stało się dla

Generated by Foxit PDF Creator © Foxit Software  
http://www.foxitsoftware.com For evaluation only

mnie oczywiste. W końcu po co Bóg miałby stwarzać człowieka po to tylko, by ten Go czcił? Jaka Najwyższa Istota mogłaby być tak próżna, tak małostkowa? - Wyrzucił z siebie to ostatnie słowo tak, jakby wypełniało jego usta gorycz. Problem Zła nie istnieje, Pan bowiem nie stworzył nas po to, aby my oddawali Mu cześć. Zawsze byłem przekonany, że Bóg stworzył doskonały, uporządkowany świat, raj, do którego wprowadził w nim zła, by poddać nas próbie. Myliłem się. Nasz Pan stworzył zły świat, do którego wprowadził dobro. Naturalnym stanem rzeczy tak na tym świecie, jak i w zaświatach, jest chaos, entropia. Zło jest normą, dobro zrodziło się z kaprysu Stwórcy, który stworzył nas wyłącznie dla własnej uciechy. Jest to nasz jedyny cel bytu. Podobnie jak dziecko, które buduje wieżę z klocków po to tylko, by ją zburzyć, Pan nasz pozwala nam piąć się wyżej i wyżej, wierzy w cnotę, dobro i honor, po to tylko, by zło łatwiej zrzuciło nas na samo dno. Nie ma nieba, jest tylko arbitralne cierpienie. Życie po śmierci jest równie okrutne i pozbawione reguł, jak życie doczesne, tyle że trwa wiecznie. Nie ma ucieczki. Nie ma karmy. Nie ma sprawiedliwości. Nie ma Pól Elizejskich, na których dobrzy ludzie mogą znaleźć spokój po ciemnym życiu. Nie ma Boga, jest tylko chaos. Prawda Duchowa, którą mogę wam teraz ujawnić, jest taka, że Bóg, ten Bóg, któremu poświęciłem całe moje życie na Ziemi... nie istnieje.

Twarz Accosty jakby się zapadła, hologram z bezlitosną wiernością oddał przerażenie i rozpacz, wyczierając z jego rysów.

Jestem udręczoną duszą. Pan, któremu z własnej woli służyłem przez całe życie i któremu skazany jestem służyć przez całą wieczność, nie jest Bogiem. Jest jeden Bóg, Bóg chaosu i ciemności. To diabeł. Szatan we własnej osobie.

Z ust widzów wyrwały się stłumione okrzyki. W innych okolicznościach słowa Accosty uznane zostałyby za rojenia szaleńca, teraz jednak brzmiały zatrważająco prawdziwie. Fleming poczuł, że Amber szuka jego dłoni.

Czerwony Papież wznosił ręce.

- Aby udowodnić, że Bóg nie istnieje, Pan nasz, szatan, za pośrednictwem swojego przedstawiciela na Ziemi ukazał cztery znaki - wychrypiął tonem starotestamentowego proroka. - Cztery je dają Apokalipsy zstąpiła na ten przeklęty świat, by szerzyć strach i pozostawiać za sobą rozpacz. Pierwszy wyruszy jeszcze tej nocy. Drugi ukazał się za dwa dni. A dnia trzeciego pojawi się dwaj ostatni je dają, rami w rami.

Accosta przerwał, jego twarz była bardziej martwa niż leżące obok ciało. Cała jego dusza wydawała się przesycona rozpaczą.

- Wybaczcie mi. Wyruszyłem w tę drogę pełen nadziei, ale wróciłem nadziei tej pozbawiony. Nie ma nadziei. Nie ma Boga. Nie mogłem nawet się z wami pomodlić.

Zapadła głucha cisza.

Nagle wizerunek Accosty zniknął i wiatr pogryzł się w ciemnościach.

Zaskoczony i przerażony, Fleming zamrugał oczami, wypatrując światła w mroku.

Po kilku sekundach niesamowicie cisz przerwał dźwięk, który jednak nie przyniósł mu pociechy.

Był to skowyt wilków, dochodził z zewnątrz, z ciemności.

# III

# LUCYFER



## 48

Jak cie za mienia w druj cy po Ziemi, elektryczno pierzchała z kolejnych miast z nastaniem nocy, by powróci dopiero o wicie. Poczynaj c od zachodniego wybrze a Ameryki, ciemno pod ała w lad za zachodz cym sło cem na zachód, przez Pacyfik, by dotrze do Honolulu na Hawajach o 18.53 czasu lokalnego. W ci gu nast pnych dwudziestu czterech godzin, w trakcie jednego obrotu Ziemi wokół Sło ca, praktycznie wszystkie najwi ksze miasta na wicie zostały pozbawione pr du od zmierzchu do witu.

Nastanie ciemno ci wywołało najprzeró niejsze reakcje, od przeraenia przez negacj po gniew. Znikoma mniejszo rado nie wi towała wydarzenie, które wszyscy uznali za pierwszy znak, nadej cie pierwszego je d ca Apokalipsy Czerwonego Papie a. Wydawało si , e ludzko cofn ła si do poga skich czasów, kiedy czciła Sło ce w przekonaniu, e ono jedno przep dza mrok i jest ródłem wszelkiego dobra.

Wielu pochowało si po domach, gdzie przeczekali pochód anioła ciemno ci. Inni wylegli na ulice w nadziei, e w tłumie poczuj si pewniej. O północy Sydney w Australii zaroilo si od ludzi ze wiecami, pragn cych da odpór ciemno ci. To samo powtarzało si wraz z zachodem sło ca w kolejnych krajach Azji i Europy. wiatowe media ledziły w drówk mroku, informowały na bie co o utracie kontaktu z pozbawionymi pr du biurami regionalnymi.

Niektórzy próbowali zapobiec panice, tłumacz c, e to tylko nieistotny zbieg okoliczno ci; e objawienie Czerwonego Papie a było zainscenizowane, a przerwa w dostawach pr du to dzieło przypadku. Kiedy jednak okazało

si, jak szeroki jest zasięg tego zjawiska, strach przeszedł w przerażenie, a potem w złość. Coraz więcej ludzi czuło potrzebę, by obarczyć kogoś odpowiedzialnością za własną rozpacz i utratę złudzeń.

W tej ciemnej nocy spalono wiele sklepów. Londyński East End, Paryż i Lower East Side w Nowym Jorku zostały poważnie zdevastowane przez motłoch. Najbardziej jednak ucierpiały najwrażliwsze ośrodki kultury religijnej. Gniew tłumu skupił się na kapłanach, którzy mówili nieprawdę o niebie i o Bogu. Kościoły były doradcami w sprawach ducha, dawały, by pokładać w nich pełną ufność, podawały się za jedynych przedstawicieli Boga. Teraz objawienie Czerwonego Papieża pozbawiło wiarę jakiegokolwiek wartości.

I kto musiał za to zapłacić.

Im więcej ktoś cięł, tym więcej kłosa nienawiści: od Hagia Sophia w Stambule, przez katedrę w Canterbury i Bazylikę św. Piotra w Rzymie, po synagogę w Jerozolimie. Bez względu na wyznanie. Kapłani szukali schronienia w zbiorowiskach żyjących w tyńcach, a tłumy z pochodniami gromadziły się wokół prastarych miejsc kultury, które wskaźniki znaczą na niebo, które, jak to udowodnił Czerwony Papież, jest ułudą.

W wielu państwach ogłoszono stan wyjątkowy. Władze usiłowały podać racjonalne przyczyny nastania ciemności. Następnego dnia, kiedy ze wschodem słońca przywrócone zostały dostawy prądu, prezydent Stanów Zjednoczonych wystąpił z apelem o spokój i rozstrzygnięcie w wygłoszonym przed kamerami mocnym przemówieniu do rodaków i ludzi na całym świecie.

– Jak dotąd, nie ma dowodu, że to, co się stało, miało związek z wystąpieniem Czerwonego Papieża, czy że wystąpienie to było autentyczne – stwierdził. – FBI i straż przybrzeżna podjęły bezprecedensowe decyzje, by wejść na pokład Czerwonej Arki na wodach międzynarodowych; prowadzone jest szeroko zakrojone śledztwo. Co w przeciwnym razie, to, co kardynał Accosta powiedział bóg przemilczał, nie jest istotne z punktu widzenia porządku prawnego w naszym kraju. Nie mam wpływu na to, co dzieje się w niebie czy piekle, ale tu, na tym świecie, ostatnie słowo należy do mnie. W cokolwiek wierzycie inni, ja wierzę, że prawo nadal obowiązuje i musi być przestrzegane. Nie wiem, kogo spotka kara na tym świecie, a kogo nie, ale jedno mogę wam obiecać: tego, kto złamie prawo, kara spotka tu i teraz. Jeśli nie wierzycie już w nic innego, uwierzcie w to.

Soames siedział sam w sali konferencyjnej w czarnym sektorze i głaskał wilki. Oglądał serwisy informacyjne. Kiedy spikerzy CNN i BBC podali, że przywrócony został niepewny spokój, uśmiechnął się. Wiedział, że to tylko cisza przed burzą.

## 49

### VerTec Następny dzień

Zbierało się na burzę. Ciemne chmury niegowe okrywały szczyty gór, poddmuchy wiatru miały migłowiec wiozącym Rad Prawdy z powrotem do Fundacji.

- Dajcie spokój, to wcale nie katastrofa - powiedział Soames uspokajającym tonem, kiedy w holu głównym powitał Carvellego i Knight. Oboje byli w potężnym szoku. Carvelli robił wrażenie oszołomionego: jego oliwkowa cera przybrała bladą odcień, a zwykle starannie uczesane włosy były w nieładzie. Virginia Knight wyglądała jeszcze gorzej: na twarzy wypisaną miała zgrozę wywołaną tym, co zobaczyła na pokładzie Czerwonej Arki. Wydawało się, że jest na skraju załamania nerwowego.

- Po naszym wyjeździe na Arce zaroilo się od agentów FBI - oznajmił Carvelli. - Musieli obserwować, odkąd zapowiedzieli my Dzień Prawdy Duchowej, a po tym, jak pierwszy znak wywołał panikę na całym świecie, weszli na pokład. Gdyby my wstrzymali się ze startem trochę dłużej, musielibyśmy teraz odpowiadać na trudne pytania.

- Tu jesteście bezpieczni. - Soames położył dłoń na przedramieniu Knight, by dodać jej otuchy. - Musimy tylko się zastanowić, co dalej.

Spojrzał na Trippa i Bukowski, wchodzących za dwójką członków Rady Prawdy do Fundacji. Z kamiennymi twarzami strzepnęli nieg z ramion kurtek polarnych i odwrócili się do Soamesa. Napotykając jego spojrzenie, skinęli głowami ze zrozumieniem i ruszyli szybkim krokiem do windy zjeżdżając do czerwonego sektora.

- Gdzie monsignore Diageo? - spytał Soames. - Myślałem, że przyjedzie tu z wami na... - szukał właściwego określenia - ...odpraw.

Virginia Knight pokręciła głowę. Zaniemówiła. Jej jasne włosy wydawały się bardziej przyprószone siwizną, niż kiedy była tu ostatni raz, kilka dni wcześniej.

- Nie wuj - powoli odparł Carvelli. - Rzucił się z najwyższego pokładu Czerwonej Arki.

- Choć wiedział, że nie przyniesie mu ukojenia - powiedziała Knight.

- Wpadł w panikę - stwierdził Soames. - Nam nie wolno sobie na to pozwolić.

Zaprowadził ich do czarnego sektora. Korytarze Fundacji wieciły pustkami. VenTec był samowystarczalny, wyposażony we własny generator prądu i niezbędne instalacje, a sterylne środowisko nie wymagało szczególnych zabiegów. Dzień przed objawieniem Czerwonego Papie, a Soames kazał wywieźć wszystkich pracowników prócz niezbędnego personelu.

Potłuczone szkło zostało zabrane z sali konferencyjnej, ale nie wstawiono jeszcze nowej lustrzanej ściany. Zmieniło to akustykę sali, powiększając teraz o przestronne, niebieskobiałe laboratorium, i sprawiło, że zrobiło się w niej jakby zimniej. Wilki siedziały nieruchomo, kiedy Knight i Carvelli zajmowali miejsca przy stole.

Soames nalał im kawy z termosu, a sam napił się coli z puszki.

Knight ukryła twarz w dłoniach.

- Cała nasza praca poszła na marne... wszystkie zabójstwa, czas, jaki po wzięciu cili my. Nie ma usprawiedliwienia dla naszych zbrodni.

Soames się uśmiechnął.

- Teraz to już chyba i tak bez znaczenia.

Knight spojrzała na niego oburzona.

- Szatan posłużył się nami, wmówił nam, że uczestniczymy w dziele Boga. Czynili my zło w przekonaniu, że czynimy dobro. Oczywiście, że to ma znaczenie.

Soames uśmiechnął się szerzej.

- Dlaczego? No dobrze, Bóg okazał się szatanem... ale co z tego? Prawda mówi ci, że to dobra wiadomość. Skoro Boga nie ma, nie spotka cię kara za grzechy.

- Jak możesz tak mówić, Bradley? Ty też wierzyłeś. Jak możesz przyjmować to z takim spokojem?

- Powiedzmy, że nie jestem przesadnie zaskoczony. - Wskazała na swój oszpecony bliznami twarz. - Jak rodzi się z czym takim, nie widzisz w Bogu samych plusów. Zawsze podejrzewałem, że dra jest sadystą, więc

to, e okazał si diablem, w pewnym sensie przynosiło mi ulg. To wyja nia par spraw i obala wszystkie te walkowane bez ko ca ko- ciełne teorie maj ce wyja ni , dlaczego wszechmog cy i wszechwie- dz cy Bóg pozwala, by na wiecie było tyle cierpienia. U miechn ł si do Knight, która siedziała z otwartymi ustami.

- Jak si nad tym zastanowi , prawda ujawniona przez dusz Czerwonego Papie a daje nam nowe ycie, wyzwala nas. Dlatego wła nie to, co si stało, nie ma znaczenia. Przecie tak naprawd nic si nie zmieniło.

- Jak to? Wszystko si zmieniło - oburzyła si Knight.

Soames si roze miał.

- Gdzie tam. Zmieniło si tylko to, w co wierzysz. Przesta drama- tyzowa , Virginio. W ko cu to nie jest tak, e Bóg nagle wzi ł i si zmył. On w ogóle nie istniał, a ty po prostu nie zdawała sobie z tego sprawy i tyle. Teraz przynajmniej wiesz, e ycie jest w gruncie rze- czy gr w pokera znaczonymi kartami, wi c przesta j cze i si po- zbieraj.

Virginia siedziała nieruchomo i patrzyła na Soamesa oczami zmr- onymi z nienawi ci i obrzydzenia.

- Nigdy nie wierzyłe w Boga, co?

Soames milczał. Przez chwil miał ochot powiedzie jej wszystko. Korciło go, by podzieli si z ni tajemn wiedz , któr nosił w sercu. Musiał jednak zachowa cierpliwo . Jego długie oczekiwanie dobie- gało ko ca.

- Hej e - wtr cił Carvelli. Jego szeroki u miech był sztuczny, lecz wracała mu pewno siebie. - Nie skaczymy sobie do gardeł. Owszem, sprawy si skomplikowały, prze yli my du y zawód, ale musimy my- le praktycznie. Virginio, Bradley ma racj . Mo e rzeczywi cie trze- ba pogodzi si z now sytuacj i spróbowa si dostosowa .

Knight westchn ła ci ko.

Soames nachylił si ku niej.

- Virginio, musimy ratowa , co si da. Poza tym, jak słusznie za- uwa yła , mamy na koncie pewne grzechy, mo e nie w oczach nasze- go nowego Pana i Władcy, ale z punktu widzenia przepisów prawa, jak najbardziej.

Carvelli si zaniepokoił.

- Czy FBI znajdzie na pokładzie Czerwonej Arki dowody naszego współudziału w zabójstwach i...?

- Nie przejmuj si Czerwon Ark . Władze maj pełne r ce roboty, usiłuj wyja ni pierwszy znak i przygotowa si na nast pne. Nale a- łoby jednak chyba zaj si wiadkami naszych pochopnych i, patrz c z perspektywy czasu, niepotrzebnych zabójstw i uprowadze .

Twarz Knight wyrażała coraz większe przerażenie.

- Co przez to rozumiesz?

- Amber Grant i Miles Fleming są dla nas dużymi ciętymi.

- Przecież Czerwony Papie mówił, żebyśmy nie robili im krzywdy - wyrzuciła z siebie Knight. - Powiedział, że przemoc...

Soames zarechotał.

- Ale się mylił, zgadza się? Widz, że jeszcze to do ciebie nie dotarło, co, Virginio? Czerwony Papie był zakłamanym, aroganckim głupcem, który nie wiedział nic. - Spojrzał w oczy Carvellemu, a potem Knight. - Sprawa jest prosta. Musimy uciszyć Fleminga i Grant na zawsze, by mieć przykrą historię za sobą i iść dalej. Virginio, nie rób takiej przeraźliwej miny. Sumienie jest ci niepotrzebne, skoro nie ma Boga, który mógłby ci wynagrodzić za czynienie dobra.

- Chrzani Boga! - krzyknęła Virginia. - Co z naszym człowieczeństwem? Co z ludzkim wiarem w dobro i zło?

Głos Soamesa przeszedł w pogardliwy szept.

- No właśnie, co, Virginio? Co z tym drogocennym człowieczeństwem, które nagle w sobie odkryła? Czy aby nie to samo człowieczeństwo pozwoliło ci przyczynić się do śmierci setki śmiertelnie chorych tylko dlatego, że myślała, że służy Bogu?

## 50

### Czarna mieszkalna w czarnym sektorze Dwie godziny później

**A**mber spała w zamkniętym pokoju, dwoje drzwi od pokoju Fleminga. Po śmierci matki była w zbyt wielkim szoku, by odpoczywać, ale teraz, kiedy minął Dzień Prawdy Duchowej Czerwonego Papie a i na wiecie zapanował chaos, spłynął na nią dziwny spokój. Zapadła w sen, głębi jak nigdy. Odprężenie przeniknęło jej do szpiku kości, rozluźniło mięśnie, złagodziło stres i obawy.

Kiedy wchodziła w stan marzenia sennych, nie miała już jej spokoju; nie szamotała się, nie widać było po niej lęku. Leżała nieruchomo i choć po

osi gni ciu fazy REM jej gałki oczne zaczął poruszać się jak zwykle, nie uniosła powiek i oddychała regularnie.

A potem, jak to się często zdarzało, jej umysł wyruszył na w drogę ku mierci.

Otulona aksamitnym kokonem ciemno ci, czuje odrzucić cię i spokój. Tu nie może być się stać nic złego. Jest spokojna nawet wtedy, gdy widzi znajomy wietlny punkt i prowadzi ku niemu przez czarny wir. Tym razem nie jest sama. Czuje przy sobie obecność kogoś, kto ją prowadzi. Kiedy razem zbliżą się ku wietlnemu stołowi, ma wrażenie, że nigdy nie były rozdzielone. Znowu stają się jedno ci i Amber wie wszystko, co wie Ariel.

Mknie przez ciemność i uwiadamia sobie, że Ariel przez te wszystkie lata czekała na nią na ziemi niczyjej między życiem a miercią. Cierpliwie jej siostry wyczerpała się dopiero wtedy, gdy Bradley Soames po raz pierwszy odkrył istnienie duszy, w trakcie wczesnych doświadczeń prowadzonych na śmiertelnie chorych pacjentach. Tamtego dnia korpuskularno-falowy dualizm duszy i ciała uległ zaburzeniu, co tak odkształciło uniwersalną membranę między życiem a miercią, że odczuła to Ariel, wywołując u Amber, połkniętej z niej siostry, fantomowy ból.

Sny o mierciu brały się z tego, że Ariel próbowała ostrzec ją przed działaniami Soamesa. Z uwagi na charakter między nich, ilekroć Ariel usiłowała wniknąć do pogrzebnej nie wiadomo której siostry, odpychała ją od siebie. Im bardziej zdecydowanie przeciskała się przez obrotowe drzwi do życia, tym szybciej Amber krążyła w przeciwnym kierunku, ku mierciu. Jak na ironię, eksperymenty Soamesa na Amber uwolniły Ariel z potrzasku i pozwoliły jej nawiązać kontakt z siostrą przed długo odwiekanym wyruszeniem w dalszą drogę ku mierciu. Teraz, prowadzona przez nią ku światłu, Amber wie, że Ariel chce się z nią połączyć. I co jej pokazał.

Wnikaj w światło, pędź tak szybko, że jasno zdaje się nieruchomieć wokół nich w zastygłej niebieskiej srebrnej czystości. Amber zlewa się z blaskiem w jedno, i czuje się otaczaną przez fotony. Teraz, kiedy jest z nią Ariel, nie czuje strachu. Przez kilka następnych pozaczasowych chwil znowu stworzyły ze siebie, stają się tańczącymi siostrami, poruszając się w idealnie zgodnym rytmie. Gdy zbliżą się do wierzchołka wietlnego stołka, błogo przenika Amber do głębi i siostry zlewają się z źródłem blasku. Wówczas Amber czuje, że jest jednocześnie odrębną istotą - sobą - i z nią Ariel, a tak jest elementem wiążącym całość, wiążącym ją z nią.

Wtedy wszystko ginie w o lepiaj cym blasku niebieskobiełej superno-  
wej i Amber zostaje wci gni ta w pot ny wir wiatła, który rozrywa j na  
strz py i odtwarza z powrotem, raz po raz.

Nagle wietlna burza znika i Amber zostaje sama. Czeka, a wróci do wia-  
ta ywych. Nie czuje jednak smutku ani alu. Po raz pierwszy ma wra enie,  
e jest w pełni sob . Unosi si u wierzchołka wietlnego sto ka. Odzyskuje  
wzrok; jasno , która wcz e niej o lepiała, teraz o wietła. Jak alpinista patrz cy  
ze szczytu góry na zalany sło cem płaskowy , Amber widzi wyra nie miejsce,  
w którym jest jej siostra. I przybrana matka. I wszyscy, których kochała.

Przez t krótk , upajaj c chwil , zanim wir wci gnie j z powrotem,  
widzi wszystko, co jest poza ródłem wiatła, na tamtym wiecie.

- Amber, obud si ! Obud si !

Nieprzytomna i zdezorientowana Amber nie miała poj cia, czy słyszy  
ten głos we nie czy na jawie. Uniosła powieki i zobaczyła Soamesa - stał  
z wilkami w przy mionym wietle wpadaj cym przez otwarte drzwi.

- Chciałem tylko sprawdzi , czy wszystko u ciebie w porz dku - szep-  
n ł. Po tym, przez co Amber przeszła w ci gu ostatniego tygodnia, jego  
troska była spó niona i niestosowna.

Wy lizn ła si z łó ka i podeszła do niego.

- Nie mogłam zrozumie , dlaczego współpracowałe z Accost ... ale ty  
nigdy w niego nie wierzyłe , mam racj ? Jakim cudem wiedziałe , co  
odkryje. Wiedziałe , e to b dzie straszne.

- Amber, ja tylko byłem ciekaw, co dzieje si z człowiekiem po mierci.  
D yłem do tego samego co Miles... i do czego na moim miejscu d yłby  
ka dy naukowiec z prawdziwego zdarzenia, który miałby dost p do odpo-  
wiedniej technologii. A ja t technologii miałem, dzi ki twojej pomocy.  
Chciałem pozna prawd , to wszystko. Co w tym złego?

- Zabijałe i uprowadzałe ludzi, eby osi gn swój cel.

- To było konieczne, Amber.

- Dlaczego?

- Bez tego nie poznałbym prawdy.

-Ale to wła nie jest dziwne, Bradley. Szczerze mówi c, nie wiem, czy  
to rzeczywi cie prawda. Jest w tym co wi cej, co , co...

- Tak s dzisz? - przerwał jej Soames. W słabym wietle widziała, e  
przygl da jej si ze zmarszczonym czołem, jakby próbował przenikn jej  
my li. - Nie - uci ł. - Nie ma nic wi cej. Prawda jest jedna. Kiedy uka  
si znaki, te to zrozumiesz.



Podeszła bliżej.

- A je li Accosta nie powiedział całej prawdy, Bradley? Nie jesteście ciekaw, czy nie mógł się pomylić? Kurcz, chciałabym, żeby się pomylił. To naturalne. Nawet ty musisz tego chcieć, co, Bradley?

Odwrócił się do drzwi i snop światła z korytarza wydobył z mroku jego oczy. Odkąd Amber znała Soamesa, wiedziała, że jest dziwny, ale zawsze przypisywała to jego ogromnej inteligencji i niezwykłości z powodu choroby w wychowaniu. Teraz jednak, kiedy spojrzała mu w oczy, uświadomiła sobie, że kryje się za tym coś więcej. Nie był tylko ekscentrykiem pozbawionym zdolności empatii, był człowiekiem bez uczuć. Nie zobaczyła w jego oczach zła, lecz coś o wiele bardziej przerażającego.

Zobaczyła pustkę.

## 51

### Czarna mieszkalna w czarnym sektorze

**D**wadzieścia siedem godzin po wystąpieniu Czerwonego Papieża a media ujawniły tajne ustalenia obecnych na pokładzie Czerwonej Arki agentów FBI współpracujących z zaproszonymi naukowcami i delegacją z Watykańskiego Instytutu Cudów. Przesłuchano wszystkich naocznych świadków włącznie z zaproszonymi przedstawicielami najważniejszych religii.

Wszyscy zainteresowani pragnęli dowiedzieć się, że objawienie Czerwonego Papieża było mistyfikacją, ale po oglądnięciu zwołów i analizie nowoczesnego sprzętu musieli przyznać, że hologram kontrolowany był włącznie przez NeuroTranslatora, a on odbierał tylko sygnały ze szklanej kuli na głowie martwego Accosty. Wniosek ten, w połączeniu z zeznaniami świadków, którzy byli na pokładzie Czerwonej Arki, sprawił, że komisja nie miała innego wyboru, jak tylko uznać, że „nie można racjonalnie wytłumaczyć tego, co się stało”. Przytoczono te słowa anonimowego informatora, według którego je li była to sztuczka, to „taka mistyfikacja byłaby nie mniejszym cudem niż wygłoszona zza grobu mowa Accosty...”

Morgan Jones, wysoki, ciemnoskóry zastępca dyrektora FBI nadzorujący dochodzenie, zwołał dwie konferencje prasowe; trzymał się na nich oficjalnej wersji, uparcie i elokwentnie unikając konkretów. Jednak jego powściągliwość i brak reakcji Watykanu na prośbę o zaprzeczenie rewelacjom Czerwonego Papieża a uznane zostały za potwierdzenie słuszności tajnych ustaleń FBI i ostatnich słów Accosty.

Zamknij ty w swoim pokoju Fleming ledził rozwój wypadków w telewizji i zirykowany własną bezsilnością krążył po pomieszczeniu. Nie mógł wysiedzieć na miejscu, jego umysł tak ciężko nie miał chwili wytchnienia, zajmował analizę wszystkich zebranych informacji i wyciąganiem wniosków. Odkąd usłyszał słowa Czerwonego Papieża, nie mógł spać i nabierał coraz większej pewności, że musiało w nich być ziarno prawdy. To, co ujawnił Accosta, zbyt dobrze współgrało z jedną z jego teorii uzasadniając ateistyczne poglądy Fleminga: religia jest źródłem wszelkiego zła na tym świecie.

Zatrzymał się na chwilę przed drzwiami, które otworzyły się i stanął w nich Bradley Soames. Wilki były przy nim i dyszały cicho.

- Jak się czujesz, Miles? - spytał z radosnym uśmiechem.

Fleming nie odpowiedział.

- Powiedz - poprosił Soames, wprowadził wilki do korytarza i zamknął drzwi - jak to jest, kiedy sprawdzasz swoje najgorsze obawy? - W jego głosie brzmiało chłodne zainteresowanie. - Jakież to uczucie wiedzieć, że twój brat zapewne teraz cierpi, a ty nie próbowałeś go ocalić? Jak ktoś taki jak ty, człowiek, który przez całe życie próbuje ulżyć cierpiącym na tym świecie, a tamten wiat postrzega jako błogę, dając ulgi nico, znosi wiadomość, że mierzą tylko dalsze arbitralne cierpienie, na wieki wieków?

Fleming milczał i nie patrzył na niego.

- Co czułby twoi rodzice, gdyby wiedzieli, że ich ukochany starszy syn cierpi, bo młodszy nie chciał go uratować? Co czułby twój bratanek? Na imię ma Jake, zgadza się? Jak zniosłby tę wiadomość? Myśl, że byłby załamany. A ty?

Fleming nadal milczał.

- Nie rób sobie wyrzutów, Miles - ciągnął Soames. - Pod wieloma względami miałe rację. Nie ma Boga jako takiego. Nie ma najwyższego sędziego, który pilnuje, by każdemu po śmierci dostał to, na co zasłużył. Jest tylko zły Władca Chaosu. Jedyną różnicą między tym, w co wierzyłeś dawniej, a tym co wiesz teraz, jest taka, że kiedy umierasz, chaos i cierpienie trwa cały wiek.

Fleming padł na kolana, po jego policzkach płynły łzy.

Soames podszedł bliżej.

- Al mi ciebie. Domylam się, jak cię kiedyś wiesz, na jaki los skazał brata.

Nagle Fleming wziął praw dłoń Soamesa w obie ręce. Wilki sprężyły się do skoku, ale Soames uspokoił je gestem.

- Błaganie nic nie da, Miles. Nie mogę ci pomóc. Teraz już nie. - Parsknął miechem. - A może się modlisz? Nie, to byłoby głupie. - Wyrwał dłoń z jego uścisku. - Po co się modlisz, kiedy i tak nikt cię nie słyszy? - Wyprowadził milczące wilki z pokoju.

Fleming leżał na podłodze ze złoconymi rękami, dopóki nie usłyszał trzasku zamykanych drzwi. Wtedy powoli usiadł i otworzył dłonie.

## 52

### **Pokój 1 czarno ci w białym sektorze**

Z poszarzał, pozbawiony wyrazu twarzy, odrzuciła w próżnię po utraczonej wieży Virginia Knight odłożyła telefon satelitalny. Nie miała wyboru.

Wyszła z pokoju i jak zombie powlokła się przez opustoszały biały sektor do wyjścia. Za oszklonymi drzwiami, w blasku reflektorów widać było nadciągające niebezpieczeństwo. Otworzyła dyskiem schowek w korytarzu prowadzącym do recepcji. Nie wiedząc, co wybrać, przejrzała zapasy i wrzuciła do plecaka paczkowaną żywność. Westchnęła ciężko i wróciła do serca Fundacji, do czarnego sektora.

### **Czarny sektor**

Amber kręciła głową gorączkowo po pokoju, w jej głowie kotłowały się sprzeczne myśli. To, co zobaczyła w oczach Soamesa, podsycało w niej niepokój wywołany objawieniem Accosty. Zobaczyła już pierwszy z zapowiedzianych przez niego znaków, co dowodziło, że mówi prawdę. Jej sen jednak wskazywał, że jest to inna, całkowicie odmienna prawda.

Usiadła na łóżku z twarzą w dłoniach. Wciąż nie była pewna, co właściwie Ariel próbowała jej pokazać, wiedziała jednak, że siostra trafiła do miejsca zupełnie innego niż to, które opisał Accosta.

Aby się uspokoić, wróciła myślenie do chwili, kiedy ostatni raz widziała matkę w hospicjum, w popołudniowym słonecznym przezwitaniu na odkrytym zielonym tarasie. To pogodne wspomnienie uspokoiło ją tak, jakby poczuła na czole chłodną dłoń matki.

- Może Ariel próbowała mi coś powiedzieć - głębiała. - Co, co powinnam przekazać wiatu...

Rozejrzała się po swojej celi w odległych, niedostępnych górach za kołami podbiegunowymi. Nawet gdyby wiedziała, co chce powiedzieć wiatu, jak miałaby się z kim skontaktować? Czuła się tak, jakby była wręcz poza wiatem.

Trzask.

Obróciła się na pięcie i wbiła wzrok w drzwi.

Do tej pory nie bała się Soamesa, teraz jednak z rosnącym lękiem przygotowywała się na następną konfrontację. Stała sztywno jak słup, twarzą do drzwi.

Otworzyły się powoli.

To nie była sylwetka Bradleya Soamesa. Soames był niemy.

- Amber - usłyszała nagle szepcący głos i postać wsunęła się do pokoju. - Chodźmy stąd.

Amber osłupiała, ale serce jej urosło.

- Miles, jak się tu dostałaś, do licha? I jak ci się udało wyjść?

- Powiedzmy, że położyłem klucz od Bradleya. Później wyjdą niemi. Najpierw musimy się stąd wynieść.

## 53

### Czarny sektor

Na ciemnych, opustoszałych korytarzach panowała zdradliwa cisza.  
- Masz jakiś plan? - spytała Amber.

- Wszystko po kolei - odparł Fleming. - Najpierw wydostaniemy się z czarnego sektora. Pójdziemy do pokoju i czno ci w białym sektorze i zadzwonimy z telefonu satelitarnego.

- Do kogo?

- Na przykład do FBI... wszystko jedno, byleby my zostali wysłuchani.

- Nie robiło mu różnicy, z kim się skontaktuje; najważniejsze, by przekazać wiadomość o ich sytuacji i roli Soamesa w ostatnich wydarzeniach. Bardziej martwiło go to, co zrobi potem. Pomoc nadejdzie nieprzekonanie, a oni w tym czasie zdani będą na łaskę i niełaskę Soamesa. Gdyby był sam, mógłby spróbować zejść do posterunku straży rezerwatu, który widział w drodze do Fundacji. Musiał jednak myśleć o Amber.

Już tylko metry dzieliły ich od zamknięcia tych drzwi czarnego sektora i Fleming skierował się ku nim, gdy nagle zobaczył za szybą strażnika. Wepchnął Amber w ciemność i syknął:

- Kiedy pójdziesz, spróbuj otworzyć drzwi.

- Po kilku sekundach strażnik zniknął.

- Chodźmy. - Fleming poprowadził Amber do drzwi.

- Jak je otworzysz? - szepnęła.

- Tym. - Rozłożył prawą dłoń. - Zabrałem to Bradleyowi.

Amber przyjrzała się lewej na jego dłoni czarnej bryłce połyskującej z jednej strony w pół wietle. Skrzywiła się. - Fuj.

- Dziękuję ciemu doszliśmy tutaj, więc nie narzekaj. - Wziął strup na czubek prawego palca wskazującego i przycisnął go do czytnika obok zamka.

Poczuł dotyk gorąca, kiedy skaner DNA odcinał mikroskopijne warstwy tkanki, i wbił wzrok w czerwone wiatelko, modląc się, by strażnik nie wrócił. Wiatelko pozostawało czerwone i Fleming już wyobraził sobie wycie alarmu ostrzegające Soamesa.

- No, dawaj, skubańcu - mruknął, trzymając strup na czubku palca.

Amber przysunęła się do niego i poczuła bijący od niej niepokój.

Wtedy zapaliło się zielone wiatelko i oboje odetchnęli z ulgą.

Wymknęli się z czarnego sektora i skręcili w lewo, w przeciwnym kierunku niż strażnik. Kiedy Fleming wchodził do białego sektora, miał dziwne wrażenie, że ktoś ich ledzi; dwa razy obejrzał się za siebie, ale szybko stwierdził, że nie ma tu drugiej duszy. Po lewej stronie zobaczył przyciemniane okno z widokiem na polarny pejzaż zabarwiony w szybie na niebiesko. Tumany nieguskały były się na tle nocnego nieba,

Amber wskazała drzwi w głębi korytarza po lewej stronie.

- Tam - powiedziała.

Drzwi pokoju ł czno ci były otwarte, na głównej stacji roboczej le ały w równym rz dzie trzy matowoszare telefony satelitarne. Fleming poczuł, jak opuszcza go napi cie. Si gn ł po pierwszy telefon z brzegu i przyło ył go do ucha.

- Do kogo zadzwonimy? - spytała Amber.

Fleming usiłował przypomnie sobie nazwisko zasłyszane w wiadomo - ciach.

- Do agenta FBI, który nadzoruje ledztwo.

Zza ich pleców dobiegł jaki d wi k. Zanim Fleming zd ył si odwró - ci , usłyszał głos:

- Nigdzie nie zadzwonicie. Telefony nie działaj . Ł czno ze wiadom została zerwana.

Fleming poczuł zimny ucisk w oł dku i si odwrócił. W drzwiach stała Virginia Knight. Miała przekrwione oczy i trupio blad twarz. Wło yła r k do kieszeni.

- To dla ciebie, Miles - powiedziała. - Tak mi przykro, e musiało do tego doj ...

## 54

**W**szystko stało si tak szybko, e Amber nie zd yła odetchn . W jed - nej chwili Fleming stał przy niej z telefonem satelitarnym w r ku, a zaraz potem skoczył ku Virginii Knight i przewrócił j na podłog .

Knight nie stawiała oporu, kiedy Fleming wło ył r k do jej kieszeni i wyj ł dysk.

- Dlaczego telefony nie działaj ? - spytał głosem napi tym z gniewu.

Patrzyła na niego t po.

- Bradley zerwał kontakty ze wiadem zewn trznym - powiedziała. Nawet ja nie mog si z nikim poł czy . Tylko on ma dost p do rodków ł czno ci.

- Dlaczego?

- Nie wiem. Odbiło mu. Wiem tylko, e zamierza was zabi . Musicie si st d wydosta i sprowadzi pomoc.

- Niby jak? - wyrwało się Amber. - Musielibyśmy zejść z tej góry.
- To jedyne wyjście - stwierdził Fleming ponuro.

Knight spojrzała na niego.

Pomogę wam. Mam mapy okolicy i plany budynku.

- Gdzie?
- W plecaku w schowku.
- Fleming przyjrzał jej się uważnie i pomógł wstać.
- Chodźmy.

Przeszli przez opustoszały biały sektor i po paru minutach byli już w recepcji. Za barwionymi na niebiesko oszklonymi drzwiami wyjściowymi z wytrawionym V ktoś bił się głową. Na lewo był schowek z ekwipunkiem do wspinaczki, racjami wyłącznie wyjściowymi i odzieżą chroniącą przed mrozem. Za pomocą smart-dysku Knight Fleming otworzył drzwi i puścił kobiety przodem.

Jedną ze ścian zajmowały kombinezony ochronne wszystkie jasnoczerwone opatrzone marką North Face. W odróżnieniu od zwykłych ubrań wisiały na wieszakach, lecz stały prosto jak zbroje. Od mankietu lewej nogawki kable z kombinezonów odchodziły podłogami do gniazdka elektrycznego w ścianie, przed nimi zaś stały rzędem buty kinetyczne. Na półce leżały izolowane kaski z przeciwnymi osłonami na oczy i lampami. Wzdłuż przeciwległej ściany ciągnęły się regały z racjami wyłącznie wyjściowymi i sprzętem do wspinaczki: siekierami, linami, piętami do śniegu, czekanami. Fleming był pod wrażeniem tego wszystkiego, a zwłaszcza kombinezonów ochronnych - nowoczesnej odzieży, podobnej do sprzętu, jakiego używał półtora roku wcześniej podczas wyjazdu do Chamonix.

Po lewej stronie na ławce w kącie leżały dwa schludnie złożone komplety ubrań, jeden większy, drugi mniejszy. Na podłodze stał wypchany plecak.

- Po jednym komplecie dla każdego, w plecaku jest ekwipunek i racje wyłącznie wyjściowe. Pewnie znasz się na tym lepiej ode mnie, Miles, więc sprawdź, czy o czymś nie zapomniałam, i pomóż Amber się wyekwipować. - Knight wyjła z plecaka palmtopa i podała go Flemingowi. - Masz na tym szczegółowe mapy okolicy i plany starej platformy Alascon Oil. Na wschód od nas jest posterunek straży rezerwatu.

Fleming skinął głową.

- Kiedy tu leciałem, widziałem go ze migłowca.
- Kombinezony wyposażone w mikrofony i nadajniki pozwalają się porozumieć i wysłać SOS na odległość kilkuset metrów, aby

nawiązała czno zamiejscow, musicie dostać się na posterunek strażacki. O tej porze roku nie ma chyba w nim nikogo, ale jest tam w pełni wyposażone stanowisko łączności. Stałbym się dla was wiadomością. Zbierajcie się. Zostało mało czasu.

Fleming zaczął przeglad zawartości plecaka, Amber w tym czasie włożyła kombinezon.

- Czemu to robisz, Virginio? - spytał.

- Chciałabym zrobić więcej, ale nie mam dostępu do migłowca.

- Dlaczego już teraz chce nas zabić? - powiedziała Amber. - Wiem, że jesteście moimi przyjaciółmi, ale i tak tu umrzeliście, więc...

- Sama tego nie rozumiem. Zanim poszłam po was, próbowałam zadzwonić na policję. Chciałam przyznać się do winy i wezwać pomoc, ale, jak sami widzieliście, to niemożliwe. Zresztą, nawet gdybym się z nimi połączyła, mają tam taki chaos, że w kilka minut, zanim wszystko wróci do jakiejś normy. - Skuliła się. - Wyglądała na zagubioną, załamana. - Je li to w ogóle możliwe.

- Czemu nam pomagasz, Virginio? - powtórzył Fleming. - Dlaczego akurat teraz?

- Postąpiłam źle i próbuję to naprawić. Dlatego, do czego dopuściłam... i co stało się przede mną.

- Ale czemu to robisz? - nalegał Fleming, upewniając się, że kable wychodzące z nogawek kombinezonu Amber podłączone są do butów kinetycznych. - Je li Bóg nie istnieje, nie masz powodu, by nadstawiać za nas karku. Nie boisz się zemsty Bradleya?

- Owszem, ale teraz to już bez znaczenia. We wszystkich moich czynkach, dobrych i złych, kierowałam się miłością, a uczestniczyłam w wielkiej misji Czerwonego Papieża, służyłam Bogu. Teraz, po tym, co przeszłam, już nic nie jest mi straszne. Nie mam nic do stracenia, nie mam w co wierzyć, mogę tylko wierzyć w siebie. Aby być wam wierna, muszę wam pomóc. Je li nie pozostanie mi nawet poczucie, że moje życie było coś warte, to znaczy, że wszystko poszło na marne.

Fleming widział, że jest zrozpaczona i zagubiona, i przez chwilę zobaczył w niej kobietę, którą znał w Barley Hall. Chodził z nimi - proponował.

- Nie mogę. Muszę mieć oko na Soamesa. Nie jest tym, za kogo go uważałam. Mam wrażenie, że wiedział, co Czerwony Papież powie. Co się za tym kryje.

- Mylisz, że objawienie Czerwonego Papieża to nie cała prawda? - spytała Amber.



Fleming spojrzął na nią i pytał co, ale zanim zdążył cokolwiek powiedzieć, Knight odparła:

- Widzieli cie pierwszy znak... ciemno i jej skutki. To był pierwszy je dziec Apokalipsy. W księdze Apokalipsy mowa jest o tym, że pierwszy je dziec zasieje ziarno na wiecie. Za nim podążą następnicy i boją się, że udowodnią ponad wszelką wątpliwość, że Czerwony Papież się nie mylił.

- To nie takie proste - powiedziała Amber. - Jest w tym coś więcej, czuj to.

Wtedy Fleming usłyszał dźwięk, który obudził w nim jakiś pierwotny instynkt. Serce zabiło mu mocniej, mięśnie sprężyły się do ucieczki. Pospiesznie sprawdził, czy Amber zapięła wszystkie zamki w kombinezonie, czy działa mikrofon w kołnierzu i głośniki w kasku i czy buty kinetyczne przy ruchu nóg zasilają resztę kombinezonu.

- Czujesz ciepło w kombinezonie? - spytał.

Skin łączy głowę.

- To dobrze. Zapnij zamki i trzymaj się mnie. - Odwrócił się do Knight, która patrzyła przez szklane drzwi na recepcję i wyjście z budynku. - Na pewno nie chcesz iść z nami?

Bez słowa otworzyła drzwi i skierowała się do wyjścia z budynku.

Fleming narzucił plecak na ramie i poszedł za nią. Wtedy znów usłyszał ten dźwięk.

Wycie wilków.

Kiedy ten oka zobaczył jakiś ruch i się odwrócił. Soames stał kilkanaście metrów za nim, tuż za schowkiem. Wilki były przy nim, szeroko otwierały łapy i jeły sierść.

Fleming zatrzymał się obok Knight w drzwiach, ciekaw, czy kombinezony ochroni ich przed atakiem wilków. Były co prawda wzmocnione aluminiowym stelażem, on jednak słyszał do tego, aby było na czym zaczepić liny. A warstwy tworzące nowoczesny materiał były lekkie i miały oprzeć się zimnu, nie kłom i pazurom.

- Ju wychodzicie? Tak wcześnie? - spytał Soames cicho. Jego oszczędna twarz była zarumieniona, oczy szeroko otwarte. Wyglądał, jakby z trudem trzymał nerwy na wodzy.

- Puść ich, Bradley. - Głos Virginii Knight drżał ze strachu. - To konieczne. Projekt „Dusza” nie ma już znaczenia. Zresztą i tak w niego nie wierzyłem. Nigdy nie byłę jednym z nas.

- Ale wprost przeciwnie. Zawsze wierzyłem, Virginio, i nadal wierzę. Tyle tylko, że ani ty, ani Accosta nie pomyśleliście, aby spytać mnie w kogo. Virginii Knight przeszedł dreszcz.

- W takim razie masz to, czego chciała . Wygrała . To powinno ci wystarczyć . Nie musisz już nikogo krzywdzić ani zabijać .

- O to ci chodziło, Bradley? - spytała nagle Amber. - żeby pokazać ci wiatu, że diabeł jest panem?

Na ustach Soames powoli pojawił się uśmiech.

- Teraz to już nie ma większego znaczenia, co, Amber?

- Ma, jak najbardziej - zaprzeczyła - bo Prawda Duchowa Czerwonego Papieża a może nie byłby jedyną prawdą .

Soames zmrużył oczy i Fleming zauważył, że on i Amber patrzą na siebie ze zrozumieniem.

- Myślisz, że wiesz, dlaczego nie mogę pozwolić tobie i Milesowi się uratować - stwierdził Soames.

Za jego plecami pojawił się Carvelli.

- Bradley? Virginia? Co się dzieje?

W tym momencie zareagowała Knight. Najpierw mocno pchnęła Fleminga w pierś, a stracił równowagę, zatoczył się do tyłu i wypadł przez próg w mroźną noc, cięgnąc za sobą i Amber, a potem wyjął dysk z zamka, zamykając drzwi wyjściowe i zostawiając ich na zewnątrz, bez możliwości powrotu.

Spojrzała przez szybę na Soamesa. Ubrana w cienki granatowy kostium drżała na całym ciele, ale w jej twarzy nie było strachu. Kiedy Soames sięgnął do zamka, krzyknęła:

- Bradley, wiem, dlaczego słowa Czerwonego Papieża a nie były dla ciebie zaskoczeniem!

Fleming i Amber pociągnęli ją za sobą, ale nie drgnęła. Zerknęła tylko na Fleminga i rzuciła:

- Idcie.

- Tylko z tobą - powiedział.

- Idcie - warknęła i odwróciła się znów do Soamesa, który szeptał coś do wilków wychodzących i drapiących w drzwi. Kiedy położył palec na czytniku DNA i zamek się otworzył, zwierzęta dosłownie oszalały.

Fleming złapał Amber za ramię .

- Chodźmy już . - Obejrzał się na Knight, ale wyczytał z jej oczu, że nie zamierza pójść z nimi.

- Odejdź, Miles! - krzyknęła. - Mogę go na jakiś czas zatrzymać . - Odwróciła się do Soamesa.

Kiedy pierwszy wilk przecisnął się przez drzwi i skoczył na nią, Fleming usłyszał jej spokojny głos:

- Ty nie tylko czcisz szatana. Ty...

Mo e to podmuch wiatru, a mo e wbijaj ce si w gardło kły pierwszego wilka sprawiły, e jej słowa nagle ucichły. Kiedy drugi wilk zaczął szarpać jej cię gna pod kolanami, Fleming najwy szym wysiłkiem woli skoncentrował się na tym, by ocalić Amber. Nie widział, jak nieg czerwienieje wokół niej cej się z bólu Virginii ani zdezorientowanego Carvellego, który wychylił się zza szklanych drzwi błady z przera enia. Ani Bukowski i Trippa nadbiegaj cych z gł bi Fundacji.

Skupił się tylko na tym, by cię gn Amber przez przejmuj cy wiatr w nie n noc.

## 55

**A**mber ucieszyła się, e jest przenikliwie zimno i e Fleming wykrzykuje polecenia; dzięki temu nie miała czasu myśle o tym, co widziała przed chwil i co czyhało za jej plecami w mroku.

- Trzymaj się blisko mnie i rób, co ka - usłyszała w głokach krzyk Fleminga.

Pobiegł po stalowej platformie w stronę dowiska dla helikopterów i wyjął z plecaka linę. Jeden koniec przytrzymał do metalowej obręczy w pasie jej kombinezonu, a drugi do takiej samej obręczy przy swoim kombinezonie. - Tam, gdzie b dzie się mo na zaczepić, zjedziemy na linie, gdzie nie b dzie mo na, schodzimy. W porz dku?

- Tak - odparła, choć nie miała poj cia, o czym on mówi. Cięko jej się biegło, bo raki wbijały się w lód. - Dok d idziemy?

Fleming wskazał co w skrz cej się niegiem ciemno ci. Poza zasięgiem reflektorów VenTecu nie widać było nic.

- Włóż lampę na kasku.

Wcisnęła guzik w pasku pod brod, tak, jak jej to pokazał w schowku, usłyszała trzask i w mrok wystrzelił snop wiatła. Poczowała się pewniej, choć lampka wydawała się ało nie słaba w tym mrocznym, niego cinnym miejscu.

Fleming zatrzymał się kilka metrów przed nią, schylił się i zniknął. Biegąc pod wiatr, zaczęła gor czkowo rozglądać się na boki, wypatrywała go w ciemno ci i kłbach niegu.

Wtedy usłyszała jego głos.

- Stój. Spójrz w dół.

Półtora metra przed sobą zobaczyła barierkę wyznaczając koniec stalowej platformy i lądowiska. Dalej nie było nic. Wychyliła się i zauważyła, że Fleming przypina się do jednej z pajacych nóg, na których wspierała się cała konstrukcja. Zaskoczyło ją, że tak szybko przeszedł przez barierkę i dotarł pod budowlę. Wisiał nad przepaścią, ale wydawał się pewny siebie, jakby jego ruch był płynny i zdecydowany. Uniósł prawą dłoń i dał jej znak, żeby do niego dołączyła.

Zawahała się.

- Chodź - usłyszała w głuchych tonach jego spokojny, lecz nagły głos.

- Przejdź przez barierkę i kieruj się ku mnie. Jestem przyczepiony do słupka, a ty jesteś przywiązana do mnie, więc jeśli spadniesz, wrócisz do domu.

Zawsze miała lęk wysokości.

- Chodź - namawiał spokojnie. - Bezpieczniej tu zejdziesz niż tam zostaniesz.

Wciąż nie mogła się zdecydować, brakowało jej odwagi.

Nagle usłyszała wilki, wyczuła, że biegnie ku niej, i strach przed nimi wziął górę nad lękiem wysokości. Wdrapała się na barierkę i powoli wysunęła za krawędź. Zbijonym sercem spojrzała w dół i przekrzywiła głowę tak, by snop światła z lampy padł na Fleminga. Wyciągał do niej prawą rękę, ale dzieliły ich dwa metry.

- Jak się tam, do cholery, dostała? - spytała.

- Spadłem.

- Co takiego?

- Specjalnie. Zeskoczyłem na nieszczęśliwego i wszedłem tutaj.

- Z góry dobiegły drapanie łap i warkot.

- Skacz! - rozkazał Fleming.

Odetchnęła głębiej, wyprostowała stopy i zsunęła się z platformy. Zaskoczyło ją, że buty i raki zaczęły się odywigar, który okazał się szerszy, niż to wyglądało z góry. Powoli podeszła do Fleminga i pochyliła głowę, kiedy objął ją w tali.

- Dobra robota - pochwalił. - Teraz musimy wejść na tamten lodowy nawis. Stamtąd możemy zjechać na linię. Będzie cię podtrzymywał. Bez obaw, to kaszka z mlekiem.

- Serio?

Przez szybkie widzenie było, że się skrzywił.

- Nie bardzo - odparł. - W tych warunkach będzie cię kołować jak diabli.

- No dobrze - powiedziała powoli, ruszyła za nim po d w garze w dół, ku lodowemu nawisowi, staraj c si na ladowa wszystkie jego ruchy. Wygl dało na to, e instynktownie wybierał najlepsz tras .

Nawis był spowity mgłą i dobrze osłoni ty. Amber chciała odpocz , Fleming jednak ju wygrzebywał z plecaka ruby lodowe, lin i kliny. Wskazał w dół, na nast pny wyst p.

- Musimy tam zjecha , a potem, przy odrobinie szcz cia, zej zyzkaniem po tej cianie a do bocznej grani. Wtedy odbijemy na wschód. Zej cie do posterunku stra y jest trudne, ale je li b dziesz słuha moich polece , damy rad . - Przerwał. - Kurde. A ten sk d si tu wzi ł?

Zimny dreszcz przeszedł Amber po plecach, kiedy zobaczyła we mgle zbli aj ce si ólte lepia.

Fleming zakł ł i wskazał na prawo. Drugi wilk nadchodził z przeciwnej strony.

Zanim Amber zd yła zebra my li, Fleming wcisn ł jej dwa czekany do r k, a sam zsun ł si z półki. Wbił czubki butów w lód, by mie oparcie dla nóg, i za pomoc czekanów przytrzymał si niemal pionowej ciany. Ka demu, kto popatrzyłby na niego, musiałoby wydawa si to łatwe.

- Nie ma czasu na zjazd na linie - powiedział. - Id po moich ladach i wbijaj czekany w lód, eby utrzyma swój ci ar. Nie bój si , b d zostawiał lady blisko siebie.

Tym razem bez wahania zsun ła si w dół, odnalazła wgł bienia pozostawione przez Fleminga i zacz ła schodzi .

Nast pna półka była mo e dziesi metrów ni ej, ale eby do niej dotrze , musieli schodzi po skosie, wi c odległo wydawała si wi ksza. Ju po kilku metrach Amber miała skurcze łydek, z ramionami było jeszcze gorzej, a do tego poczuła pieczenie mi ni pleców. Kiedy jednak słabła, skowyt wilków mobilizował j do wzmo onego wysiłku.

Prawy czekan. Lewy czekan.

Stop.

Praw nog odszuka nast pny punkt oparcia. Lew nog odszuka nast pny punkt oparcia.

Stop.

To był horror, rytmicznie powtarzane czynno ci wzmagały ból.

Czekan, czekan, stop. Prawa, lewa, stop.

Ani chwili wytchnienia; ju samo utrzymanie si na pionowej cianie było m czarni , a co dopiero mówi o schodzeniu. Przed oczami miała

tylko oblodzon skał, zielonobłkitn w wietle lampy. Płuca domagały si powietrza, jakby była pod wod, ton ła w pi knym, ale mierciono - nym zamarni tym morzu.

I kiedy ju my łała, e zaraz zemdleje, silne ramiona opu ciy j na skaln półk. Nogi ugi ły si pod ni i run ła na nieg.

Fleming zacz ł masowa jej łydki, podczas gdy z góry dochodziło wycie wilków.

- Dobra robota - pochwalił. - Było ci ko. Dalej nie powinno ju by tak stromo. St d mo emy zjecha na linie, a na bocznej grani odpoczniemy troch na płaskim terenie.

Chciało jej si płaka z frustracji i bólu.

- Nie dam rady.

- Dasz - zapewnił. Nawet nie był zdyszany.

- Id dalej beze mnie. Kto musi powstrzyma Bradleya. W tym, co powiedział Czerwony Papie, co jest nie tak... i to chyba Bradley za tym stoi. Jedno z nas musi prze y, eby go powstrzyma.

- Ciii. Oszcz dzaj siły na zej cie.

- B d ci ci arem. Dalej musisz i sam.

- Nie. Tkwimy w tym razem. - Fleming poderwał j na nogi. - Cholera jasna, jak one doszły tu tak szybko?

Zobaczyła przez rami dwa szare kształty; p dziły ku nim po półce skalnej. Fleming poci gn ł j za sob, w stron serca góry. Wiedziała, e nie uciekn przed wilkami: to był ich teren.

Nagle Fleming si zatrzymał. ledz c oczami jego spojrzenie, zobaczyła, e dwadzie cia metrów dalej półka ko czy si pionow cian odcinaj c drog ucieczki. Jakie trzy metry wy ej ze skały wystawała szeroka, okr gła rura.

Fleming odpi ł lin ł cz c go z Amber i popchn ł j do przodu.

- Id na sam koniec i czekaj na mnie.

Amber nerwowo zerkn ła przez rami na wilki. Były ju blisko.

- Co chcesz zrobi ?

- Licz na łut szcz cia. - Wzniósł czekany wysoko nad głow i zaczą skaka po półce. - Uciekaj, do cholery, uciekaj! - krzykn ł, widz c, e Amber stoi i patrzy. Jego słowa j zmobilizowały i rzuciła si w stron ciany.

Przypadła do niej, odwróciła si i zobaczyła, e Fleming nadal podskakuje, a wilki s coraz bli ej. Kiedy ju my łała, e pierwszy z nich rzuci si na niego, wyst p załamał si i Fleming znikn ł w chmurze niegu i lodu.

Wilki z trudem wyhamowały, lizgaj c si po lodzie. Trzymetrowej szeroko ci wyrwa dzieliła je od Amber. Ale gdzie był Fleming?

- Miles, wszystko w porz dku?! - zawołała do mikrofonu, usiłuj c opañowa panik . - Miles, powiedz co . Miles.

## 56

### Sala monitoringu, VenTec

Jezu, Bradley, co ty zrobił?

Niezdrowo pozieleniały na twarzy Frank Carvelli szedł za Soamesem w gł b korytarza odchodz cego od recepcji. Za szklanymi drzwiami wida było czerwony płat niegu, na którym jeszcze przed chwil le ały zmasakrowane zwłoki Virginii Knight. Elegancki kaszmirowy golf Carvellego był pokryty wymiocinami, a wła ciwa mu pewno siebie znikn ła bez ladu.

- Czemu nie powstrzymałe wilków? Nie uzgodnili my jeszcze, czy zlikwidujemy Fleminga i Amber, wi c dlaczego zabite Virgini , bo ich wypu ciła? To si wymyka spod kontroli, Bradley. To zbyt...

Soames zniecierpliwiony uniósł dło i wbił wzrok w monitory. Oprócz padaj cego niegu i dwóch strażników patrz cych t po w mrok na l dowski i stalowej platformie nic nie było wida .

- Dok d poszli? - spytał, raczej zaskoczony niż zły.

W drzwiach stan li Tripp i Bukowski. Oboje mieli na sobie kombinezony ochronne i trzymali bro w r kach. Ich r kawice i kombinezony były zakrwawione. Carvelli osun ł si na cian , bał si , e nogi odmówi mu posłusze stwa.

- Posprz tali cie? - spytał Soames.

Bukowski skin ła głow .

- Dobra robota. Teraz poszukajcie wilków. Przynie cie to, co zostawiły z Fleminga i Amber.

Bukowski i Tripp si odwrócili.

- Jeszcze jedno - dodał Soames, zanim wyszli. - Nie przeszkadzajcie im w jedzeniu. Dajcie im sko czy , zanim zabierzecie resztki.

- Bradley, co ci optało? - jkn ł Carvelli. - Czemu to robisz? To szalestwo. Dlaczego tak ci zależy na mierni Amber Grant i Milesa Fleminga?

Niepokój ce oczy Soamesa zdawały siwnika w gł b duszy Carvellego, taksowały go, os dzały.

- Naprawdę chcesz wiedzie? - spytał wko cu.

Zabrzmiało to tak, jakby rzucał mu wyzwanie, niepewny, czy zniesie prawd. Carvellemu zaschło w ustach.

- Tak - wychrypiał.

Soames przez chwil milczał. Wreszcie u miechn ł si lekko i wyprowadził Carvellego z sali. Przeszedł przez biały sektor i wcisn ł guzik przywołuj cy wind.

Fleming miał zmienne szcz cie: osłabiony fragment skały załamał si pod nim i odci ł wilkom drog do Amber - on sam jednak przez jedn przera aj c sekund spadał w otchła. Musiał wyt y siły, by wbi czekany w oblodzon cian pod wyst pem, po stronie Amber. Za pierwszym razem si nie udało, ale za drugim - cho omal nie wyrwał sobie przy tym ramienia ze stawu - przywarł do skały.

Wdrapał si z powrotem na półk.

Amber przypadła do niego, by pomóc mu wej.

- Czemu nie odpowiadała?

- Byłem trochę zaj ty.

- Wystraszyła mnie - powiedziała i go przytuliła.

- Sam siebie wystraszyłem. - Wilki kr yły po drugiej stronie wyrwy, zbierały odwag do skoku. - Chod. Nie mo emy tu zosta.

- T dy nie zej d - wskazała pionow cian, która gin ła w ciemno ci. Nigdzie nie było cho by jednego wyst pu czy szczeliny.

Fleming przyczepił lin Amber z powrotem do swojego kombinezonu, wyj ł z plecaka palmtopa od Virginii, poło ył go sobie na dłoni i spojrział na ekran.

- Nie pójdziemy w dół, tylko do góry. - Machn ł r k w stron wylotu rury trzy metry nad ich głowami. - Je li dobrze czytam map, to rura przelewowa z dawnej platformy Alascon Oil. Ruroci g pewnie biegnie przez wn trzy góry do rafinerii na wschodnim szczycie, a stamt d ju niedaleko do posterunku stra y rezerwatu. B dzie wzgl dnie łatwo i, b dziemy osłoni ci od niego i wiatru, a te skuba ce zgubi nasz trop.



W chwili, kiedy wskazał na wilki, widział ich cofnętych i sprętych do skoku. Fleming podszedł do oblodzonej ciany.

- Odejd od krawędzi i trzymaj rękę na karabińczykach... przepraszam, tych zatraskach na linie i czuj się ze mną. Jeśli spadną, odepnij je, żeby nie pocięły cię za sobą.

Spojrzała na niego przerażona.

- A potem co, mam czekać, a wilki mnie dopadną? Nie rusz żadnego zatrasku. Masz nie spać i tyle. Podobno jesteś w tym dobry.

Fleming wbił lewy czekan w pionową cianę, prawym butem wydrążył w skale pierwszy stopień i się podciągnął. Zaczepił drugi czekan wyżej i znalazł oparcie dla lewej nogi. Wspiął się płynnie i bez większego wysiłku dotarł do wylotu rury. Wewnątrz przypominała sztuczna jaskinia, wilgotna i ciemna, ale niewątpliwie bardziej przytulna niż mrok na zewnątrz i czaj się w nim wilki. Poczucił płynący z wnętrza góry ciepły podmuch.

Spojrzał w dół i zobaczył, jak pierwszy wilk przeskakuje wyrwę. Zaparł się nogami i pocięła linę, z nadzieją, że Amber się nie ześlizgnie; na widok wilka nabrała jednak takiego rozpadu, że bez trudu wciągnęła ją do wnętrza rury.

Przez chwilę stali i patrzyli na bezradnie warczące wilki. Odwrócili się i weszli do wnętrza rury.

Rura biegła wzdłuż, ale nierówne podłoże zastępowało schody. Przez jakiś kwadrans szli w milczeniu, gdy nagle Fleming wyczuł zmianę w powietrzu. Lekki podmuch przeszedł w ciepły, pachnący czymś bryz.

- Dziwne. Bradley mówił mi, że jego ojciec nigdy nie wydobywał ropy.

- To prawda - powiedziała Amber. - Odkrył złota, ale zmarł, zanim platforma zaczęła działać. Bradley zamknął wszystko i zaczął odwiert, kiedy sprzedawał Alascon Oil i urządził tu VenTec. - Zatrzymała się w pół kroku. - Patrz!

Przed sobą, w mroku, Fleming zobaczył przedziwny widok: pokaz stroboskopowych wiatel, któremu towarzyszył jednostajny furkot. Zauważył, że podmuch przybrał na sile, czuł napór ciepłego powietrza. Musiał odwrócić się od źródła wiatła, tak było jasne, ale kiedy rozglądał się, mruć oczu, ze spuszczonej głową, mógł się zorientować w otoczeniu. Doszli do miejsca, w którym rura przecinała centralny odwiert. W dole ział wielki okrągły otwór, o rednicy co najmniej dziesięciu metrów, zamknięty sześć metrów niżej elaznym czopem, z którego wystawała rura - Fleming

domy lił si , e to górna cz widra. W powietrzu wisiał silny zapach, wiadczy o tym, e gdzie w mrocznej otchłani pod elaznym czopem jest ropa naftowa. W poprzek odwiertu biegł zniszczony pomost - droga na drug stron .

Fleming zerkn ł w gór . Pokaz wiatel powstawał za spraw ogromnego wentylatora, który wci gał chłodniejsze i wypychał gor ce powietrze. Znad niego dochodziło znajome buczenie. I to ono, w pół czeniu z jasnym wiatłem, powiedziało mu, co tam jest.

Zrobił krok do przodu i wypróbował pomost; cho zardzewiały, na oko trzymał si mocno.

- Chod - powiedział. - Musimy si pospieszy .

Podmuch z wentylatora w ka dej chwili mógł zdmuchn go z pomostu, a o lepiaj cy blask w gorze zmuszał do patrzenia w dół, w budz c groz otchła .

- Bo e, ona chyba si ga samego piekła - usłyszał głos Amber. Poło yła dło na jego ramieniu i kiedy przeszli na drug stron , gło no odetchn li z ulg .

Fleming ucieszył si , bo rura zacz ła opada . Im ni ej poło ony b dzie wyłot po drugiej stronie góry, tym krótsze zej cie czeka Amber. Przez pół godziny szli w milczeniu, a dotarli do rozgał zienia ruroci gu.

- Któr dy? - spytała Amber.

- Nie mam poj cia, ale instynkt mówi mi, eby i na wschód, w lewo. Mniej wi cej tam jest nasz cel. A poza tym czuj , e leci stamt d powietrze.

- Dobrze - powiedziała i pierwsza weszła do tunelu po lewej stronie.

Kiedy patrzył na jej drobn sylwetk , przypomniaty mu si dziwne spojrzenia, jakie wymieniła z Soamesem po tym, jak podała w w tpliwo słowa Czerwonego Papie a, i enigmatyczna odpowied Soamesa: „My l , e wiesz, dlaczego nie mog pozwoli tobie i Milesowi uj z yciem”.

Co on przez to, do cholery, rozumiał?

- Amber?

- Tak?

- Co Bradley...

Potkn ła si i znikn ła.

- Spadam, Miles!

Fleming zaparł si nogami i cisn ł lin , która wci ich ł czyła. Amber jednak spadała zbyt szybko. Lina napr yła si , przewrócił si na brzuch, a ona powlokła go w gł b rury opadaj cej ostro ku dołowi jak zsyp. Wi-

dział ju przed sob nieg i ciemn , zimn noc. To była druga rura przelewowa. Amber wystrzeliła z niej w pustk i to samo miało zaraz jego spotka . Usiłował zaczepi o co rakami i butami, ale gładkie elazo nie dawało najmniejszego oparcia dla nóg.

- Przetnij lin ! - krzykn ła Amber. - Przetnij t zasran lin , prosz !

W akcie rozpaczy wbił czekany w metalow rur , by wyhamowa upadek; trysn ły iskry, jak spod kół gwałtownie hamuj cego poci gu metra.

Kiedy ju tylko kilka metrów dzieliło go od wylotu rury, nagle usłyszał trzask, jego prawe rami przeszył piek cy ból, on sam za obrócił si o sto osiemdziesi t stopni. Nogi zawisły mu nad przepa ci . Najwa niejsze, e ju nie spadał. Jakim cudem ostrze czekana, który trzymał w prawej dłoni, zaczęło si o wypukło w jednej ze spoin. Pospiesznie wbił w rur lewy czekan, by zmniejszy obci enie nadwer onego prawego ramienia. Lina ci gn ła go w dół, ale drucziany stela kombinezonu pomógł równomiernie rozło y ci ar Amber. Niestety, nie miał oparcia dla nóg. Nie mógł wci gn nej na gór . Zacisn ł z by i zastanawiał si , jak długo wytrzyma.

W swoich snach Amber spadała przez ciemno ku mierci. Tym razem jednak nie widziała przed sob wiatła, tylko nieprzenikniony mrok. I to nie był sen.

Zd yła tylko poczu , e ziemia ucieka jej spod nóg, a chwil potem wyleciała z rury i spadała w otchła .

Kiedy poczuła pierwsze szarpni cie i lina si napr yła, odetchn ła z ulg , ale po chwili znów zacz ła spada i z rozumiała, e ci gnie Fleminga za sob .

Po kilku sekundach znów znieruchomiła. Zawieszona na obr czy opasuj cej kombinezon unosiła si w ciemno ci; snop wiatła z lampy na kasku wydobywał z mroku płatki niegu kł bi ce si w otaczaj cej j pró ni.

- Miles, co si dzieje?

- Nie jest dobrze.

- To przetnij lin .

- Nie b d ci ł adnej liny. Nigdy.

Zaskoczył j agresywny ton jego głosu.

- Ale... - Urwała. - Przepraszam.

Zpadła cisza.

- O co chciae spyta , zanim zacz łam spada ? - spytała.

- Chodziło o Bradleya i o to, co powiedział Czerwony Papie . Ale teraz to ju niewa ne. Wkrótce sam poznam wszystkie odpowiedzi.

- Ja te .

Kiedy wisiała na wietrze, wpatrzona w rozci gaj cy si w dole mrok, pomy lała: To koniec. Umr . Naprawd umr . Nareszcie.

Nie bała si ; ogarniały j gniew i dojmuj ce poczucie krzywdy. Na my l o Flemingu i o tym, co mogłoby by , gdyby sprawy potoczyły si inaczej, zrobiło jej si dziwnie smutno.

Miles wiedział, e koniec jest bliski, cho po lewej stronie, w odległości dosłownie paru centymetrów, widział szereg mog cych posłu y za uchwyty wystaj cych nitów, które biegły wzdłu pionowej spoiny. Tu nad stopami miał szerok kraw d rury, która idealnie nadawałaby si na oparcie dla nóg, gdyby tylko zdołał unie je dostatecznie wysoko. Poniewa jednak ci ar Amber ci gał go w dół, mógł to sobie wybi z głowy. eby si uratowa , musiałby j pu ci , ale po tym, co stało si z Robem, nie zamierzał ju nigdy wi cej przecina adnych lin i pomaga innym, by umarli.

- Có , ka dy kiedy musi umrze - usłyszał głos Amber. Nie było w nim strachu, tylko smutek. I frustracja tak wielka, jak wielka była jego zło .

- Uhm. Pewnego dnia wszyscy umrzemy - mrukn ł przez zaci ni te z by - ale nie dzi .

## 57

### Czerwony sektor

Frank Carvelli nie był odwa nym człowiekiem: owszem, był dystyngowany, potrafił pokaza , e ma siln osobowo , kiedy wymagaj tego okoliczno ci, ale nie w tej sytuacji. Kiedy szedł za Bradleyem Soamesem do czerwonego sektora, czuł, e zaraz dostanie rozwolnienia. Nigdy jeszcze nie widział tej cz ci VenTecu i nie wiedział, czy si cieszy , e został tu zaproszony wła nie teraz.

Zawsze potrafił wszystko obróci na własn korzy . Zawdzi czał to temu, e rozumiał zmienne potrzeby i pragnienia ludzi. Na tym wła nie zbudował imperium medialne i filmowe; wiedział, czego chce pub-

liczno, i potrafił pozyskać współników w interesach. Jego współpracą z Czerwonym Papieżem była dla KREE8 darem niebios: opracowana przez firmę technologia prezentacji umożliwiła powołanie pierwszego elektronicznego Kościoła na wiecie, a sam Carvelli, specjalista od public relations i produkcji filmowej, mógł tak pokierować wykorzystaniem tej technologii, by z ulubionymi mediami, jakim był Accosta, uczynił prawdziwy fenomen.

Jednak jeżeli Kościół Accosty dał KREE8 szansę zademonstrowania wiatu swoich osiągnięć, wiedza i środki zapewnione przez Bradleya Soamesa pozwoliły wyścignąć z nich jak najwyżej. Bez udziału Soamesa i naukowców z VenTecu KREE8 pozostałby przeciwnikiem firm z branży telekomunikacyjnej.

Carvelli myślał, że owinął sobie Soamesa wokół palca. Przekonał go, by oddał mu owoce swojego geniuszu za znikomy procent wartości rynkowej, wszystko w imię pomocy w urzeczywistnieniu wielkiego planu Czerwonego Papieża, projektu „Dusza”. Teraz jednak uprzytomnił sobie, że to on dał się zwieść. Coraz bardziej oczywiste wydawało się to, że Soames manipulował wszystkimi, włącznie z Czerwonym Papieżem, dla własnych celów. Jakikolwiek by one były.

- Załóż to. - Soames podał mu okulary ochronne.

Winda zatrzymała się i Carvelli zobaczył niebieskobiałe światło syczące się przez drzwi. Soames poprawił ubranie, zasłaniając skórę, i kiedy winda się otworzyła, wyglądał jak zakapturzony mnich.

- Wiesz, co to jest? - spytał, kiedy Carvelli stanął na stalowym pomoście i spojrzął w głąb odwiertu, na kul pulsującej energii wietlonej.

Carvelli długo się w nią wpatrywał, zanim odpowiedział. Patrzył w niemym zachwycie na iskry, które błyskały wewnątrz kuli. Kiedy jego oczy oswoiły się z blaskiem, zauważył wokół laboratorium. Przez zakrzywione, przyciemniane okna jednego z nich widział NeuroTranslatora Fleminga i szklaną kulę Soamesa. Główna sala obserwacyjna wyposażona była w pulpity, monitory i mnóstwo urządzeń peryferyjnych.

- To komputer - wyszeptał i pomyślał z podziwem o mocy, jaką musiała kryć się w tej kuli o kilkumetrowej średnicy. - Wielki optyczny komputer.

- To co wiemy, Frank. O wiele więcej. - Głos Soamesa się zmienił. Właściwie mu wyniósł obojętność zastąpiła dumą. - Oto objawiona moc naszego Pana, instrument, który poniesie Jego mroczną wiedzę wszystkim narodom wiata. W tym gorącym, wietlnym piecu powstaną cztery gwiazdy, którymi zabita zostanie trumna wiary. Dziękuję, niemu spełni się cztery

Carvelli coraz bardziej się niepokoił. Z najwyższym trudem powstrzymywał dręcenie.

- To dlatego nie był zaskoczony jego słowami - powiedział nie swoim głosem. - Już wcześniej wiedzieli, kto jest naszym panem, bo zawsze mu słuchali. - Na myśl o tym, jak bardzo Soames ich oszukał, ogarniało go przerażenie.

Usłyszał jakiś dźwięk. Odwrócił się i zobaczył, że drzwi windy się rozsuwają. Wyszli z niej Bukowski i Tripp, a za nimi wilki o pyskach pokrytych zakrzepłą krwią.

- Amber i Miles? - spytał Soames, kiedy wilki potruczały do niego. Z kamienną twarzą Bukowski pokręcił głową.

- Zniknął bez śladu. Wilki ich nie znalazły. Pewnie spadli w przepaść. A jeśli nie, to mało prawdopodobne, żeby przeżyli. Pogoda się pogarsza, a Amber Grant może na powiedzenie wszystko, tylko nie to, że jest alpinistą.

- Miles jest alpinistą - zauważył Soames.

Carvelli nie słuchał ich rozmowy. Wciąż usiłował uporządkować sobie w głowie to, co usłyszał od Soamesa.

- Zawsze słuchali szatanowi - powiedział, jakby powtarzając te słowa, chciał złagodzić ich wymowę.

- Nie - odparli Bukowski i Tripp jednym głosem i gwałtownie odwrócili się do Carvellego tak, jakby bluźnił.

- Nie rozumiesz? - spytała Bukowski z mrocznym krew w żyłach lekkim uśmiechem i oboje z Trippem spojrzeli na Soamesa. - Słuchajmy jemu.

Carvelli odwrócił się do zakapturzonej postaci Soamesa, stojącej z wilkami na tle blasku ze świetlnej kuli, i poczuł, że puszcza mu zwieracze. Nic nie mógł na to poradzić; jeszcze nigdy w życiu tak się nie bał.

- Kim jesteś?

- A jak myślisz? - spytał Soames.

Carvelli tylko patrzył na niego i jęczał cicho. Nagle zrozumiał, że wszystko stało się przerażająco oczywiste. Soames podszedł do niego.

- A teraz pozwól, że wyjdę, dlaczego nie możesz na dopuścić do tego, by Amber i Miles zagrozili naszym przygotowaniom.

Carvelli słuchał. Dygotał, czuł fetor własnego strachu.

- Teraz, kiedy już wszystko rozumiesz, pozostaje tylko jedno pytanie - podsumował Soames. - Jesteś ze mną czy, jak Virginia, przeciwko mnie?

Carvelli spojrział na niego i czuwał ce przy nim wilki. Próbował co powiedzieć , ale usta odmawiały mu posłusze stwa. Mógł tylko pa na kolana i spu ci głow na znak uległo ci.

- Zrobisz co dla mnie? - spytał Soames.
- Wszystko, co zechcesz - wychrypiął Carvelli.
- Soames, zadowolony, pokiwał głow .
- Polecisz migłowcem do Fairbanks. Tam przesi dziesz si do mojego samolotu. Trzeba załatwi pewn drobn spraw . Chodzi o dodatkow polis ubezpieczeniow .

## 58

**A**lpini ci nazywaj to zjawisko syndromem trzeciego człowieka; Acz sto, kiedy wspinaj si parami, czuj przy sobie obecno niewidocznej, ale yczliwej siły. Wspominaj te o tym uczestnicy ekspedycji polarnych. Fleming do wiadczył czego podobnego kilkakrotnie, zwykle kiedy on i brat byli wyczerpani, głodni i u kresu sił. Pó niej Rob zawsze potwierdzał, e te to czuł.

Tym razem było inaczej. Fleming ciskał trzonki czekanów, piekły go wszystkie mi nie i stawy, i nie czuł przy sobie niczyjej obecno ci. A do chwili, kiedy dłonie mu zdr twiały i zabrakło mu tchu: wtedy jakby silne r ce zacisn ły si na jego nadgarstkach. Zebrał resztki energii i przygotował si do ostatniej desperackiej próby; miał nadzie j , e uda mu si podci gn do wysoko, by postawi nogi na kraw dzi rury i ul y nadmiernie obci onym barkom.

Nie dał rady tego zrobi , kiedy nie był jeszcze zbyt zm czony, teraz jednak nie miał nic do stracenia. Zacisn ł z by, napr ył bicepsy i spróbował si unie . Wyt ył wszystkie siły, ale podci gn ł si mo e o centymetr. Wtedy poczuł, e niewidzialne dłonie mocniej zaciskaj si na jego nadgarstkach, jakby chciały go przytrzyma .

Wykrzesał z siebie resztki sił, wspi ł si i podniósł praw nog najwy ej, jak mógł. Zaskoczony, e jego stopa spocz ła na kraw dzi rury, poczuł przyływ energii. Postawił drug nog obok i si gn ł do zast - puj cych uchwyty nitów.

Zrobił krótką przerwę, by odetchnąć; bał się, że jeśli będzie za długo odpoczywał, nowe siły go opuszczą. Zaczął piąć się po nitach, trzymając się na rakach i czekanach, i wciagał Amber coraz wyżej.

Z każdym centymetrem przybywało mu energii, a znalazł się w poziomym odcinku rury i usłyszał, jak Amber pokonuje krawędź. Kiedy lina poluzowała się i oboje byli bezpieczni, dosłownie opadł z sił. Przewrócił się na plecy. Amber nachyliła się nad nim i patrzyła na niego szeroko otwartymi oczami, pełnymi troski i czegoś jeszcze: czegoś, czego nie potrafił nazwać.

- Jak to zrobiła? - spytała.

Był tak zasapany, że nie mógł mówić.

- To się w głowie nie mieści.

- Dziwne rzeczy dzieją się w górach - wydyszał.

Za miała się i Fleming, choć wyczerpany, poczuł, że zatliła się w nim iskierka nadziei. Podniósł się i wziął Amber pod ramiona.

- Nie możemy tu siedzieć. Musimy dostać się do rafinerii i zejść na posterunek straży rezerwatu.

Kiedy Amber ochłonęła nieco z euforii, przestała jej interesować, jak Fleming ich uratował. Wystarczyło, że to zrobił.

Wrócili do rozgałęzienia i skierowali się - tak przynajmniej mieli nadzieję - w stronę rafinerii. Kiedy szli naprzód w ciemnościach, Amber nagle pomyślała, że Fleming wie o niej i o jej przeszłości, wszystko, a ona włącznie go nie zna. Zanim zdążyła go o to spytać, powiedział:

- Jestem prawie pewien, że to, co słyszeliśmy i widzieliśmy, nie było sztuczką. Znam technologii, którzy wykorzystali, w końcu sam nad nimi pracowałem, i sprawdziła się już pierwsza z zapowiedzi Czerwonego Papieża. Ale ciebie nadal to nie przekonuje, mam rację?

- Przy nił mi się jeszcze jeden sen, ale wiem, co się dzisiaj o moich snach...

Fleming uśmiechnął się szeroko.

- O to na co sobie zasłużyłem. Ale to było dawno, teraz jestem bardziej otwarty. Opowiedz mi swój sen, czy cokolwiek to było.

- Jak ty myślisz, że wystąpienie Czerwonego Papieża nie było mistyfikacją, ale te uważam, że nie była to jedyna czy cała prawda.

- Dlaczego?

- Bo myślałam... wiem, że widziałam, co dzieje się po śmierci. Wiem, dokąd odeszła moja siostra, bo sama mi to pokazała. Nie mogłam się rozdrab-



nia , bo tego, co zobaczyłam, nie da się opisać ... w każdym razie to dobre miejsce. Nie tylko to widziałam, ale i czułam. Tam nie ma cierpienia. To bezpieczna, zalana słowami przestrzeń , do której nie dociera nawet ciebie ból. Stan wiecznej szczęśliwości ci, tylko tak to mogę opisać .

Fleming patrzył na nią , jego twarz jaśniała nadzieją . Amber wiedziała , że mówi o bracie, i chciała go uspokoić , jak Ariel ją uspokoiła.

- Wiem tylko - dodała łagodnym tonem - że to, co widziałam, nie było pozbawionym nadziei, przekleństwem tym miejscem, które opisał Czerwony Papież .

- Chcemy ci wierzyć .

Uśmiechnęła się .

- No to wierź. Wiara to wszystko, czego nam trzeba.

Fleming wzruszył ramionami.

- Nie mogę tylko zrozumieć , dlaczego Bradley tak się cieszy z przepowiedni Czerwonego Papieża. Zupełnie jakby jej oczekiwał, liczył na nią .

Amber usiłowała uporządkować niejasne myśli , które biły się w jej głowie.

- No właśnie - powiedziała. - Mnie te rzeczy niepokoi. I dlatego musimy wszystkich ostrzec. Przeraża mnie to, że Bradley najwyraźniej wietnie sobie bawi.

Uderzył w nich zimny podmuch i Fleming przytrzymał ją , by nie poszła dalej.

- To musi być wylot rury. - Spojrzała za jego plecami i zobaczyła księżyc i gwiazdy. - Wygląda na to, że nie uca ustąpiła. Zobacz, tam widać ruiny rafinerii.

Usłyszała jej, kiedy zobaczyła, że rura wychodzi na równy teren, choć pokrywała go grubą warstwą śniegu, a dolna część wylotu ginęła w zaspie. W wietle księżyca majaczyły szkielety nieukończonych konstrukcji, w tym dwóch wielkich cylindrycznych klatek - w przyszłości zbiorników ropy.

- Tak tam zimno - westchnęła. - Możemy zostać tu i odpocznemy, a rano ruszymy dalej? Mamy jeszcze trochę czasu, zanim ukażą się następne znaki. - Spojrzała na Fleminga z nadzieją .

- Dobrze. Możemy zejść z racji tylko ciowych i się przespać . Na razie jest dość ciepło, ale kiedy przestaniemy się ruszać i wyczerpie się energia kinetyczna z butów, będzie zimno. Powinniśmy to zrobić , jeśli przytulimy się do siebie.

Zachowała miertelnie poważy ton.  
Przełamam już gorsze koszmary.

## 59

### Ocean Atlantycki

Daleko na południu wstał nowy dzień. Carvelli, w pełni rozbudzony, był sam w kabinie pasażerskiej prywatnego samolotu Soamesa lecącego do Londynu. Czuł, że już nigdy nie zmruży oka. Miał tylko jeden cel: wykonać zadanie.

Wybił sobie z głowy myśli o tym, by przeciwstawić się Soamesowi czy uciec. Nie miałby się gdzie ukryć - ani na tym, ani na tamtym świecie. Na samą myśl o Soamesie i o tym, co od niego usłyszał, oblewał się potem. Wyraźnie zaniedbał swój do niedawna nienaganny wygląd: skóra miała bladą, plamistą, włosy potargane, a czarne ubranie było wymięte.

Zadzwonił telefon w porządku fotela; Carvelli aż podskoczył. Podniósł słuchawkę.

- Tak?

- Kazano mi zadzwonić na ten numer - głos mówił z lekkim szkockim akcentem. - Podobno ma pan odebrać przesyłkę, nieuszkodzoną.

Carvelli nigdy nie spotkał tego człowieka osobiście, ale miał jego zdjęcie i rozpoznał głos. Soames i Knight korzystali z jego usług w przeszłości - w projekcie „Dusza”. Boże, wydaje się, że to było tak dawno temu, pomyślał.

- Zgadza się. I mam bezpiecznie przewieźć to ... przesyłkę do Ameryki. Najszybciej, jak to możliwe.

- Jeden kłopot - powiedział głos. - Będzie czekać na Heathrow. Przeprowadzili my zwiad i wiemy, gdzie jest ta przesyłka. Szczyt jej rozmiarów i z tego, jak wygląda, nie będzie z nią kłopotu. - Parsknął śmiechem. - Dziecinna igraszka.

Carvellemu nie było do śmiechu, kiedy odłożył słuchawkę. Zrobiło mu się niedobrze.

Usiadła prosto.

- Co to było? - Zamrugła. - Gdzie one są?

- Nie wiem, ale musimy ruszać.

Wyjrzał z rury na dziwaczne kształty nieukończonych rafinerii. Widać tu nad horyzontem słońce zalewało okolic słabym, mdłym światłem. Za kilka tygodni zniknie na całą zimę. Gruba warstwa niegu przykrywała wszystko, ale wiatr nie był tak silny jak w nocy, a niebo - prawie bezchmurne,

Amber wstała i zaraz upadła, trzymając się za prawe nogi.

- Cholera.

Fleming obmacał jej udo i wyczuł pod kombinezonem napięte mięśnie. W milczeniu rozmasował je, nie zważając na protesty Amber, i puścił jej nogi dopiero, kiedy się rozluźniły.

Naburmuszona spróbowała stanąć na dworku jednej nodze.

- Przynajmniej teraz będziesz mogła iść - oświadczył. - A ból będzie dużo gorszy, jeśli dopadną nas wilki.

Choć zaspasy były duże, posuwali się naprzód w dobrym tempie i mimo to co jakiś czas dobiegało ich wycie wilków, idąc przez rafinerie, których nie widzieli. Panowała niesamowita cisza, konstrukcje wznosiły się nad nimi niczym zaśnieżone nagrobki.

Po trzech godzinach zrobili sobie przerwę, zjedli czekoladki i roztopili na palniku trochę niegu na kawę. Na kilka cudownych chwil słońce wyłoniło się zza chmur i Fleming zapomniał nawet, w jak trudnej sytuacji.

Wtedy znów usłyszeli wilki. Bliżej.

Może dlatego, że byli już prawie u dołu zbocza, a może dlatego, że tak dobrze mu było z Amber, Fleming zarzucił plecak na ramie i zrobił następny krok, nie sprawdzając gruntu. Jego noga przeszła przez zaspę i runął w wyrwę w półce skalnej, ciągnąc za sobą Amber i zwałę wiego niegu. Turlał się na odepniętych po zboczu, przeklinał swoją głupotę i tylko czekał, aż uderzy w głazy. Zgubił plecak, buty Amber dwa razy wbiły mu się w plecy. Zwinął się w kłębek i stracił poczucie czasu; nie wiedział, jak długo spadali, chyba bez końca. Kiedy wreszcie się zatrzymał, tkwił w zaspie, nie wiedział, gdzie jest góra, gdzie dół. Pociągnął za linę i ułożyło mu, kiedy poczuł, że Amber szarpnęła drugi koniec.

Wyprostował się z pozycji embrionalnej i wypłuł z ust strumień liny - Rob nauczył go, że w ten sposób można sprawdzić, w którym kierunku

działa przyci ganie ziemskie. Teraz, kiedy wiedział ju , gdzie jest góra, zaczął kopać . Wkrótce zobaczył rozmyte słowo przez białą mgłę.

Wyrzucił na zewnątrz i zobaczył sosnowy zagajnik. Amber wynurzyła się obok niego, łapiąc powietrze. Wyrzebał się z niego i pociągnął ją za sobą . Otrzeptał się zaniepokojony, jak poradzi sobie bez plecaka i palmtopa. Kiedy już miał ich poszukać , Amber wskazała coś w głąb doliny.

- Zobacz. - Fleming podał jej wzrokiem za jej palcem i zobaczył skupisko domków, które przycupnęły w niegu. - To tam? - spytała.

Rozejrzał się po rozległej, górskiej, niezamieszkaną, za nie oną przesłonięty, i nie mógł się nie uśmiechnąć .

- Uhm - powiedział. - Na to wygląda.

## 60

### Posterunek strażniczy w rezerwacie, Narodowy Rezerwat Przyrody

Zgodnie z tym, co mówiła Virginia Knight, posterunek był opuszczony. Duża tablica przy zasypanym niegami najwęższym domku wyjątkowo była, a od połowy października do końca marca strażnicy pełnią tu tylko okresowe dyżury. Posterunek tworzyły trzy domki i szereg sterowanych komputerowo betonowych pojemników, z których zimno wyrzucana była karma dla zwierząt, w porach wyznaczanych w zależności od temperatury i czasu, jaki minął od ostatniego karmienia. Kiedy wyprowadzali się ludzie, ich miejsce zajmowały zwierzęta. W okolicy rojono się od dobrze wykarmionych wilków, a po niebie krążyły drapieżne ptaki.

Amber patrzyła z podziwem na góry za jej plecami. Widziała płaskowierzchołki na szczycie, ale rafineria i siadający z nimi wierzchołki ginęły w chmurach. Nie dało się stwierdzić, czy VenTec mógłby być widoczny.

Fleming podszedł do najwęższego domu z antenami doładowo ci laserowej i anten satelitarnych . Już miał wyważyć drzwi, kiedy Amber wskazała na drewnianą skrzynkę na prawo od wejścia. Mała, starannie wykonana tabliczka informowała, że:

Wszyscy w drowcy s tu mile widzianymi go mi i mog korzysta z wszelkich udogodnie . Prosimy tylko, by cie zostawili dom w takim stanie, w jakim go zastali cie, uzupełnili zapasy i nie wpuszczali zwierz t. Datki mo na zostawi w metalowej puszcze, prosimy te o wpisanie si do ksi gi go ci. Wychodz c, zamknijcie drzwi i zostawcie klucz w skrzynce.

**Dzi kujemy za zainteresowanie flor i faun naszego pi knego stanu.**

**John Mahoney. Kierownik stra y.**

**Narodowy Rezerwat Przyrody. Region polarny, Alaska.**

Amber wyj ła klucze i otworzyła drzwi. Dom okazał si zaskakuj co nowoczesne nie wyposa ony, dobrze ocieplony i umeblowany. Były tu wszelkie urz dzenia, jakich mogliby sobie za yczy . W k cie stały komputer optyczny z monitorem i ekran plazmowy do wideokonferencji, obok matowej czarnej centralki wyposa onej w kamer wideo, telefon satelitarny, klawiatur i faks. Po namy le Amber uznała, e nie ma si czemu dziwi ; takie wyposa enie było tu konieczne.

- Dobry sprz t - powiedziała i wł czyła komputer optyczny Lucyfer.

Fleming wzi ł telefon satelitarny.

- Działa. Pewnie maj własny generator.

Na monitorze wyskoczył portal Optinetu i Amber kiwn ła głow zadowolona. Fleming wybrał numer.

- Czy mogłaby mnie pani poł czy z FBI? Nie wiem... z kwater głów n ? Dobrze, niech b dzie Waszyngton. - Zamilkł na chwil , po czym Amber usłyszała, jak mówi: - Dzie dobry, musz porozmawia z osob nadzoruj c ledztwo w sprawie Czerwonego Papie a. Jasne. Rozumiem, e przez to wszystko, co si dzieje, macie pełne r ce roboty. Prosz jej tylko przekaza wiadomo . Zapewniam, e zechce z nami porozmawia . Prosz powiedzie , e Amber Grant i Miles Fleming pilnie szukaj z ni kontaktu. Jestem współkonstruktorem sprz tu wykorzystanego przez Czerwonego Papie a w jego wyst pieniu. Prosz te powiedzie , e mamy informacje. Uhm. Mo e pan poprosi , by ta osoba do mnie zadzwoniła... Halo? Słucham? Oczywiście, zaczekam.

Po czterech minutach poł czył si z tymczasow baz operacyjn zast pcy dyrektora FBI Morgana Jonesa na pokładzie Czerwonej Arki. Obraz był doskonałej jako ci i na ekranie plazmowym Amber zobaczyła przestronn sal balow . Na dalszym planie agenci bez marynarek siedzieli przy stołach na kozłach wpatrzeni w monitory komputerów. Styropianowe kubki walają si wsz dzie, du e telewizory pokazywały serwisy wiadomo ci

z całego wiata. Zastępca dyrektora Morgan Jones, szary i ciemno-skóry mężczyzna w ciemnoniebieskim garniturze i białej koszuli, z kabur pod pach, chodził wokół stołu konferencyjnego, przy którym siedziały trzy osoby.

- Moglibyście przysunąć się bliżej kamery? Muszę potwierdzić wasz to samo - powiedział Jones.

Amber i Fleming zdjęli kaski, podeszli do pulpitu i spojrzeli prosto w obiektyw. Amber wstyd było pokazać się z ogoloną głową; włosy już zaczynały odrastać i wyglądały jak drobny meszek, mimo to domyślała się, że zupełnie nie przypomina siebie ze zdjęć, które Jones musiał mieć na swoim monitorze. On jednak wydawał się usatysfakcjonowany i najwyraźniej był zbyt szarmancki lub zaabsorbowany własnymi myślami, by skomentować jej wygląd.

- Wszędzie was szukaliśmy. Doktor Grant, jakiś czas temu dostaliśmy zgłoszenie o pani zaginięciu i osoba, która je przekazała, pomaga nam w tej paskudnej sprawie. - Odwrócił się i wskazał gestem palca w czerni przeciskając się przez szeregi agentów w stronę stołu konferencyjnego.

Amber uśmiechnęła się na widok ojca chrzestnego.

- Ojciec Riga był na mszy jako jeden z zaproszonych przedstawicieli Kościoła katolickiego. Wraz z innymi przywódcami religijnymi stara się pomóc nam zrozumieć, co się stało.

- Amber, dzięki Bogu - powiedział papa Pete, podchodząc do stołu.

- Doktorze Fleming. Gdzie jesteście? Po pańskiej wizycie kazałem panu leżać... dla pańskiego bezpieczeństwa - dodał pośpiesznie - ale zgubili my pana w San Francisco.

Fleming zmarszczył brwi.

- Podejrzał co ojciec już w czasie naszego spotkania w Rzymie? Riga usiadł i skrzył ową ramioną na piersi. Nie widano było po nim skruchy.

- Tak, ale nie wiedziałem co. Jezuita od pewnego czasu obserwował msze Czerwonego Papieża i sędzieli my, że planuje coś spektakularnego. Kiedy skontaktował się pan ze mną w sprawie czystości ci duszy Amber, zacząłem kojarzyć fakty.

- I od tamtej pory dyskretnie szukaliśmy Amber Grant - dodał Jones.

- Ale po Dniu Prawdy Duchowej mieliśmy pełne ręce roboty, usiłując opanować panikę. Powiedźcie, gdzie jesteście i co wiecie o całym zdarzeniu.

Amber i Fleming popatrzyli na siebie. Wspólnie opowiedzieli o ucieczce na posterunek straży rezerwatu, a potem o wydarzeniach ostatniego tygodnia. Amber opisała swoje uprowadzenie i eksperymenty, którym zo-

stała poddana. Fleming mówił o tym, jak Soames podstępem skłonił go do skonstruowania bardziej nowoczesnego NeuroTranslatora umocliwiając go do ludzkiej duszy. Wyjaśnił, że Soames dowiedział się o jej istnieniu, bo uczynił ją widoczną w chwili śmierci i wychwycił jej sygnaturę w detektorze fotonów, ale potrzebował Amber, by znaleźć skutecznie pozwalając ludziom dusz już po śmierci, i NeuroTranslatora, by nawiązać z nią kontakt.

- Krótko mówiąc, dzięki mnie i Amber zdobył brakujące elementy układanki, dzięki którym mógł objawić się Dzieło Prawdy Duchowej.

- Czyli to było autentyczne? - spytał jeden z agentów FBI, siedzący przy komputerze optycznym. - Nie znaleźliśmy żadnych dowodów mistyfikacji, ale miałem cichą nadzieję, że wyjaśni nam pan, jak oni to wszystko zainscenizowali.

- To mogło być autentyczne - wtrącił ojciec Peter. - Potwierdzają to nasi naukowcy z Rzymu. Jednocześnie nie była to swoista sztuczka.

Fleming westchnął. Amber słyszała niemal, jak myśli: „Czemu księża zawsze są tak cholernie pewni wszystkiego?”

- Chciałbym powiedzieć, że to nieprawda - powiedział. - Wierzę mi, technologia, jak wykorzystali, jest autentyczna. Słyszeliśmy duszę Czerwonego Papieża, jestem tego pewien.

- Czyli rzeczywiście nie ma Boga i musimy przygotować się na następne znaki? - spytał wprost zastępca dyrektora. Jego szczupła ciemna twarz poszarzała.

- Niekoniecznie. - Amber nagle doznała omdlenia.

Fleming odwrócił się do niej z uśmiechem i znów spojrzał w kamerę.

- Miała sen.

- Nie. - Sięgnęła do stojącego obok komputera. - To coś więcej.

## 61

Miało to jakiś związek z tym, jak Soames zareagował na słowa Czerwonego Papieża... przyjął je nie tylko ze spokojem, ale i wręcz z zadowoleniem - jakby się ich spodziewał. Co takiego powiedział do Virginii Knight, kiedy uciekali?

„Ale wprost przeciwnie. Zawsze wierzyłem, Virginio, i nadal wierz. Tyle tylko, że ani ty, ani Accosta nie pomyśleli cię, by spytać mnie w kogo”.

Właśnie to połączyło satysfakcję, z jaką przyjął wystąpienie Czerwonego Papieża, z zupełnie odmienną wizją, jaką Ariel pokazała jej w internecie, sprawiło, że Amber sięgnęła do komputera.

Za pomocą konsoli dotykowej w prawym górnym rogu klawiatury kliknęła na ikonę Optinetu i zalogowała się do optycznego Internetu. Szybko przywołała portal Optryksu i wprowadziła osobisty kod dostępu, który pozwolił jej wejść do Data Security Providera Optryksu. Z nastaniem epoki optycznego Internetu szybko i natychmiast ruch w sieci przestał być problemem; gorzej było z bezpieczeństwem. Dane były przesyłane tak błyskawicznie, że złodzieje informacji mogli włamywać się do plików osób prywatnych czy firm i uciekać z łupem, zanim ofiara zdążyła mrugnąć okiem.

Od czasu podpisania w 2004 roku konwencji o bezpieczeństwie danych praktycznie nikt nie przechowywał ich u siebie. Niemal wszyscy byli podłączeni do Optinetu i korzystali z usług niezależnych Data Security Providerów, w skrócie DSP. Te wykorzystywane kody kwantowe bazy danych uchodziły za niedostępne dla hakerów, ich bezpieczeństwo było gwarantowane. Każdy abonent dostawał losowo generowany kod, nieznanego nikomu innemu, z DSP włócznie.

Po wpisaniu swojego Amber przeszła do DSP Optryksu. Przejrzała archiwum firm będących klientami Optryksu, zwracając szczególną uwagę na zakłady użyteczności publicznej na całym świecie. Po niecałych trzech minutach jej podejrzenia się potwierdziły.

- Jaki miała sens, Amber? - spytał zastępca dyrektora.

Amber przetarła oczy, opisała go pokrótce i dodała na koniec:

- Mówi tylko, że dzięki niemu nabrałam pewno ci, że prawda Czerwonego Papieża nie jest jedyna.

- To oczywiście - przytaknął Riga. - Accosta widział prawdziwego człowieka przekłanego obłotem onego ekskomunikowanego przez Kościół katolicki. Twoja siostra widziała prawdziwego katolika...

Fleming ze złości pokręcił głową.

- Niczego się ojciec nie nauczył? Skąd ojcu wiadomo, że to, czy jest się katolikiem, czy nawet chrześcijaninem, ma cokolwiek do rzeczy? Jeśli Accosta zobaczył wizję piekła, to dlatego, że w swojej arogancji myślał, że zna odpowiedzi na wszystkie pytania, i zabijał ludzi, by to udowodnić.



- Najważniejsze jest to - powiedział Riga, nieporuszony - e prowadzimy wojnę o dusze całej ludzkości. Bóg pozwolił diabłu poddać nas próbie i musimy stawić czoło wyzwaniu. Do tej pory wszyscy się dzielili, e najważniejszym podstępem szatana było wmówienie nam, e on nie istnieje. To nieprawda. Najważniejszym podstępem było wmówienie nam, e istnieje tylko on. Dlatego właśnie nie trzeba zapobiec ukazaniu się następnym znakom.

- To nie jedyny powód - wtrącił Jones. - Ojciec jest od ratowania naszych dusz wiecznych, ale mnie bardziej interesują doczesne ciała. Z tego, co pamiętam z Biblii, czterech je dających Apokalipsy nie niosą wiatu zdrowia, dobrobytu i szczęścia.

- A co właśnie ciwie? Przypomnijcie zawstydzonemu ateistę - spytał Fleming.

Riga wychylił się do przodu, jego zryta bruzdami twarz była niezwyczajnie poważna.

- Według Apokalipsy wi tego Jana czterech je dających koni różnej maści. Pierwszy, biały je dziecko, sieje zamordowanie; drugi, czerwony, przynosi wojnę; trzeci, czarny, zsyła głód. Ostatni jest trupio biały.

- Co niesie?

- śmierć.

Nastąpiła chwila ciszy.

- I przyjdzie w tej kolejności ci? - spytał Fleming.

Riga wzruszył ramionami.

- Wiemy tylko, e pierwszy znak zasiał zamordowanie i e według Czerwonego Papieża a trzeci i czwarty ukazają się jednocześnie.

- A poza tym nie wiemy nic - powiedział agent FBI. - Nie mamy pojęcia, w jakiej kolejności i w jakiej postaci przyjdzie. - Spojrzał na zegarek. - Cóż, zaraz się przekonamy. Drugi znak ma się ukazać już teraz.

- Znaki będą dziełem człowieka - stwierdził Riga.

- To znaczy?

- Bóg wystawia nas na próbę. Nie ze względu na klęknięcie wzywającej. Sprawdzają naszą wolność. Zamordowanie, pierwszy znak, powstał w wyniku wywołania przerażenia i wystąpienia Accosty. Myślę, e inne objawi się w podobny sposób. On wykorzysta ludzi, będnących ich kuśnięcie do czynienia zła. Znaki będą dziełem ręk ludzkich. Sam Accosta przepowiedział, e uczyni je „przedstawiciel na Ziemi”.

- To właśnie nie próbujcie wam powieścić - wtrąciła Amber. - Chyba wiem, kim ten przedstawiciel jest.

Fleming zrozumiał.

- Bradley.

- Uhm. Zajrzałam do bazy danych Optriksu. Okazuje się, że wszystkie bez wyjątku miasta, w których wyłożono przyrządy, korzystają z nowoczesnych, skomputeryzowanych systemów zarządzania usługami komunalnymi. Systemy te powstały na bazie komputerów optycznych, a ich kluczowe elementy zakupiono, po prostu lub bezpo prostu, w Optriksie.

Zastępca dyrektora Jones zmarszczył brwi.

- To znaczy, że to Bradley Soames odpowiada za wyłożenie przyrządów?

- Uhm.

- Ale po co to zrobił?

- Jest pionkiem w rękach szatana - powiedział Riga spokojnym tonem.

- Podjął się urzeczywistnienia znaków, by wmówić światu, że objawienie Czerwonego Papieża to jedyna prawda. Słuchaj diabłu i zamierza zniszczyć wiarę w Boga.

Agent FBI miał sceptyczny min.

- Co ty na to, Amber? Był twoim współnikiem.

Zawsze uważała, że zna Soamesa jak nikt, ale jego postępowanie w ostatnich dniach nie pasowało do człowieka, jakiego w nim widziała - naukowca, który zmienił świat na lepsze i rozdał miliony na cele dobroczynne i badania medyczne. Czy rzeczywiście mógł mieć kontakty z ciemnymi mocami? Dreszcz przeszedł jej na wspomnienie chwili, kiedy obudził ją ze snu i spojrzała mu w oczy.

- Szczerze mówiąc, nie wiem, co nim kieruje - odparła. - Co ty myślisz, Miles?

Potań brod.

- Nie ujłbym tego tak jak ojciec Riga, ale muszę przyznać, że się z nim zgadzam. Jakikolwiek są motywy Bradleya, za wszelką cenę chce udowodnić, że Accosta miał rację.

- Jak to zrobił? - spytał jeden z agentów. - Wszystkie te systemy chronione są kodami kubkowymi.

- No właśnie, a nawet gdyby ktoś z nich złamał - dodał inny - zsynchronizowanie wyłożenia i włożenia przyrządów z zachodem i wschodem słońca wymagałoby użycia komputera o niezwykłej mocy...

Amber pochwyciła spojrzenie Fleminga i zorientowała się, że pomyliła o tym samym.

- Soames jest bardzo bystry - powiedziała. - I ma komputer o niezbadanej mocy.

Generated by Foxit PDF Creator © Foxit Software  
http://www.foxitsoftware.com For evaluation only

- Widziałem go w czerwonym sektorze, w podziemiach VenTecu - przytaknął Fleming. - To ogromna wietlna kula umieszczona w głównym odwiercie. W samym sercu góry.

- Pomagałam w pracach nad wczesnym prototypem - wyjaśniła Amber. - Ju wtedy był potny, potrafił łamać kody i przejmował kontrolę nad innymi komputerami w sieci, a Bradley od tamtego czasu jeszcze go usprawnił. Zawsze marzył o tym, by nie poprzestać na zwykłych komputerach optycznych, a i stworzyć taki, który wykorzystywałby mo liwości mechaniki kwantowej. Nazwał go Ostatnim Komputerem. Potrafi on wykonywać dziesięć do potęg pi dziesięć tej pierwszej operacji na sekund ... to jeden i pi dziesięć t jeden zer... ale jego fotoniczne bity kwantowe, czyli kubity, mogą wykorzystywać niewyobrażalną liczbę stanów superpozycji, co pozwala mu wykonywać niezliczoną ilość obliczeń równocześnie. Złamanie kodów kwantowych to pestka dla komputera o takiej mocy. - Spojrzała na swój komputer i zaczęła stukać w klawisze. - Spróbuj znaleźć go SS-em w sieci i dostać się do jego bazy danych, ale nie będzie to łatwe.

Dwaj agenci, specjaliści od nowoczesnej technologii komputerowej i elektronicznej, nie kryli zdumienia.

- Co to jest SS? - spytał jeden z nich.

- Superszperacz - odparła Amber. - Co, nad czym pracujemy w Optriksie. Mówi ci prościej, to inteligentny wirus, pakiet kodu kwantowego, który mógł wysłać do optycznego Internetu, by tam szukać różnych rzeczy. Znajdzie każdą stronę, którą mu podam, a potem, nie wykryty, ustali, jak uzyskać dostęp do danych, i złoży mi raport.

Przygotowanie superszperacza i wprowadzenie parametrów przeszukiwania zajęło jej siedem minut.

- Zrobione - powiedziała i wysłała go do sieci. - Działa teraz na własną rękę, przeszukuje Optinet. Powinien zgłosić się za jakie ...

Obraz na jej monitorze znieruchomiał i zaczęła nie yć. Z góry na dół błyskawicznie przewijał się strumień danych. Z głosiaków dobieł dziwny pisk przypominający odgłos pracującego faksu.

- Co to było? - spytał agent siedzący przy monitorze do wideokonferencji, na którym nie było zakłóceń.

- Nie wiem - odparła Amber. - Ja tego nie zrobiłam.

Za plecami Jonesa powstało zamieszanie. Agenci wpatrywali się w monitory komputerów; Amber widziała tylko kilka z nich, ale to wystarczyło, by stwierdzić, że ze wszystkimi dzieje się to samo, co z jej monitorem.

Zadzwonił telefon obok Jonesa i zastępca dyrektora FBI odebrał.

- Dobrze, sprawdź . - Odłożył słuchawkę . - Dzwonili z Waszyngtonu. W budynku imienia Hoovera i akademii w Quantico mają ten sam problem. Ich bazy danych oszalały i najwyraźniej stało się tak nie tylko w FBI. Trwało już kilka minut i ma szeroki zasięg. Właśnie BBC.

Trwała właśnie relacja z nowojorskiej giełdy: zszokowani maklerzy stali w milczeniu na parkiecie, a na wielkich ekranach podających ceny akcji wiodących przedsiębiorstw działo się to samo, co na monitorze Amber.

- Wall Street nie może się pozbierać - mówił komentator. - Instytucje na całym świecie usiłują poradzić sobie ze zjawiskiem, w którego obliczu błędnie pamiętamy o obawie przed pluską milenijną. Wstrząsni ty wiat zadaje sobie pytanie: czy jest to drugi znak zapowiedziany przez Czerwonego Papieża?

Jak na zawołanie, pokazywany w telewizji wielki ekran na Wall Street zgasł. Monitor Amber również. Niemal od razu jednak włączył się z powrotem, jak wszystkie pozostałe.

Była tylko jedna istotna różnica.

Na jednym z monitorów nie było już danych. Wszystkie bez wyjątku pokazywały tylko niekończące się zer.

## 62

### **Sala konferencyjna w czarnym sektorze**

Drugi znak wywołał dwojaki szok i chaos nie pierwszy. Wyzerowały się ceny akcji i obligacji na wszystkich giełdach świata, od Wall Street po Hang Seng. Konta korporacji, firm i osób prywatnych zostały skasowane w mgnieniu oka. Karty kredytowe nie działały ani w sklepach, ani w sieci. Bankomaty odmawiały posłuszeństwa, bo nie rozpoznawały kart klientów i nie mogły znaleźć pieniędzy na jednym z rachunków.

Na rynkach finansowych i bankach się nie skończyło. Akta przestępstw zostały usunięte ze wszystkich skomputerowanych baz danych na świecie, właśnie z tymi prowadzonymi przez FBI w Waszyngtonie, Interpol

w Paryżu i Scotland Yard w Londynie. Zniknęły rzadowe spisy obywateli, wyborców i podatników. Wymazane zostały dokumenty ubezpieczenia zdrowotnego i uczelniane akta, w tym wyniki egzaminów i listy studentów. Przepadły opisy badań naukowych i kartoteki medyczne. Wojsko utraciło zasoby informacji i akta osobowe. Wszystkie starannie zabezpieczone Data Security Providery padły ofiarą ataku, zawarte w nich dane zostały skasowane. Wyczyszczone zostały dostępnym w sieci bazy danych, strony internetowe, biblioteki i przechowywane w pamięci informacje. Zginęło wszystko, co nie było wydrukowane, przechowywane poza siecią, zapisane w pamięci. Wyglądało to tak, jakby technologiczny mózg i pamięć całego świata uległy zniszczeniu.

Bradley Soames siedział w sali konferencyjnej w czarnym sektorze i oglądał dramatyczne relacje z całego świata. Wszędzie panowały chaos i panika - to dobrze.

Wstał z krzesła i ruszył do windy zjeżdżając do czerwonego sektora. Wilki poszły za nim. W windzie buczenie było głośniejsze niż zwykle. Soames spojrzął w dół przez przyciemniane szklane podłogi kabiny. Ogniociępną wietlną kulą pulsowała jak nigdy dotąd. Błyskawice przelatujące po jej wnętrzu przypominały burzowe słoneczniki. Winda zatrzymała się tuż nad kulą. Rozwielkone drzwi się otworzyły - ukazały się sterownia i laboratoria wokół otworu odwiertowego.

Tripp i Bukowski stali przy szeregu terminali sterujących komputerem. Bukowski odwróciła się do Soamesa z błyszczącymi oczami.

- Jak wam idzie? - spytał. - Jakie kłopoty z wyszukiwaniem czy po prostu ci?

Bukowski parsknęła śmiechem.

-To niesamowite - powiedziała. - Wykorzystali my ledwie znikomą część pojemności, a jako transmisji przeszła nasze najgorsze oczekiwania. Dane nie zostały w najmniejszym stopniu uszkodzone.

Soames nie był zaskoczony, ale odczuł ulgę. Usiłował powściągnąć coraz większą niecierpliwość, z jaką wyczekiwał chwili, kiedy doprowadzi swoje dzieło do końca. Opanował się. Przypomniał sobie, że wszystko przebiega zgodnie z planem, a jego obowiązkiem jest dopilnować, by spełniło się proroctwo Czerwonego Papieża. Ostatnie dwa znaki pojawiły się jednocześnie nie o przepowiedzianej porze, a wówczas jego misja na tym świecie dobiegnie końca.

Zadzwoił telefon. Tripp odebrał i oddał mu słuchawkę.

To był Carvelli.

- Polisa ubezpieczeniowa przygotowana, jest już w drodze - powiedział.

Doskonale - odparł Soames. - Zaraz po przyjeździe przyjdę do mojej kwatery.

Usiadł i spojrzał przez przyciemniane szyby na ogniste kul ujarzmionego wiatła. Westchnął i oderwał z przedramienia płat złuszczonej skóry, i w zamyśleniu karmił nim wilka. Ogarnęło go zmęczenie spowodowane dziesięć latami czekania, planowania i zdobywania wiedzy.

To już prawie koniec, powiedział sobie raz jeszcze, tłumieć nieodparty pokusę, by przyspieszyć porządek ostatnich znaków i skończyć wszystko już teraz.

Jesteś tak blisko, przestrzegł się w duchu. To tylko kwestia czasu, kiedy wypełni się twoje przeznaczenie.

## 63

### Posterunek strażnicy i rezerwatu

Fleming nie uległ panice, która opanowała cały wiat. Myślał o Soamesie. Wiadomo było, że to on stoi za tym wszystkim, dziwnie mu się wydało; dziś nie mógł uzyskać szansy na odkupienie, bo wreszcie miał kogoś, komu mógł stawić czoła, kogoś, kto potrafi wyjąć go z rąk Czerwonego Papieża.

A kiedy tłumaczył agentom FBI zawilo ci technologii stosowanej przez Soamesa, obudziło się w nim pewne wspomnienie: chodziło o coś, co Soames mówił o niepowtarzalnym kodzie kreskowym duszy. Nasunęło mu to myśl, która dawała nadzieję na to, by nawiązać kontakt z duszą Roberta i upewnić się, że brat nie cierpi. Na razie jednak musiał pomóc zaplanować nad powszechnym chaosem i zamieszaniem.

Nie licząc kilku drobnych usterek, systemy zostały czczo ci wyszły z kryzysu w zasadzie bez szwanku, a komputery wkrótce znów zaczęły działać. Wiadomość o uszkodzeniu programów nie została uszkodzona. Problem polegał na tym, że tak w nich, jak i w pamięci komputerów nie było nic, jakby dopiero je zainstalowano. Wszystkie przechowywane w nich informacje przepadły;

wszystkie bazy danych zostały wykasowane. Widz c szok na twarzach agentów FBI, Fleming przypomniał sobie przepowiedni Czerwonego Papie a.

- To drugi znak - powiedział wpatrzony w zapisane zerami monitoru.

Zast pca dyrektora Jones przestał kr y po pokoju i odło ył telefon, do którego wykrzykiwał polecenia.

- To katastrofa, do cholery! - krzykn ł. - Cały wiat dostał Alzheimera. Ludzko jest na kolanach. Nie mo na prowadzi nawet najprostszych transakcji. Instytucje nie potrafi stwierdzi , kto jest kim i w ogóle czym powinny si zajmowa . Ale jak to si ma do czterech je d ców?

- Nijak - stwierdził Riga. Fleming potarł obolałe rami .

- Prosz mi przypomnie , co niesie czarny je dziec.

- Głód - powiedział Riga.

Fleming odchylił si na oparcie krzesła i czekał, a wszyscy przestali gor czkowo si krz ta i spojrz na niego.

- A nie z tym wła nie mamy do czynienia? - zapytał. - Z głodem informacji?

Amber klepn ła go w kolano.

- Moment - powiedziała, stukaj c w klawisze. - My l , e masz racj , Miles, ale kryje si za tym co wi cej. Wła nie wrócił mój superszperacz. Nie włamał si do komputera Bradleya, bo ten jest zbyt pot ny, ale przy niósł ciekawe informacje. Odnotował kolosaln liczb transmisji nadchodz cych na jego adres. - Wypu ciła powietrze z ust. - Chcecie dobr czy zł wiadomo ?

Milczenie.

- Có , dobra wiadomo jest taka, e dane nie zostały skasowane. Potencjalnie mo na je odzyska .

- Gdzie s ? - spytał Jones

- To wła nie jest zła wiadomo . Bradley Soames trzyma je w swoim superkomputerze.

- Co takiego?

- To nie jest niemo liwe - stwierdziła. - Ju pod koniec ostatniego tysi clecia naukowcy oszacowali za pomoc podanego przez Maksa Plancka wzoru „ciała doskonale czarnego”, e w pami ci fonicznego komputera o obj to ci litra zmie ciłoby si dziesi do dwudziestu razy wi cej danych ni na dziesi ciogigabajtowym twardym dysku starego typu. A obj to komputera Bradleya Soamesa jest wi ksza ni litr.

- Du o wi ksza - u ci lił Fleming. - Kula, któr widziałem, ma co najmniej sze metrów rednicy.

- Musimy odzyska dane - o wiadczył Jones.

- To nie wystarczy - stwierdził Fleming. - Musimy nie tylko uratowa dane, ale i wył czy jego komputer. Nie ulega w tpliwo ci, e to za jego pomoc Bradley Soames wciela w ycie prorocstwo Czerwonego Papie a. Zrobił tak w przypadku pierwszego i drugiego znaku. Mo na miało zało y, e posłu y si nim tak e do wywołania ostatnich dwóch, które, według Czerwonego Papie a, maj ukaza si jednocze nie za jak dob. Wygl da na to, e zachował je na wielki finał.

- Wojna i mier. - Riga pos pnie kiwn ł głow.

- Otó to - przytakn ł Fleming. - A je li do nich dojdzie, gra sko czona. - Odwrócił si do Amber. - Jak na miejscu Bradleya wykorzystałaby jego komputer do zrealizowania ostatnich dwu znaków?

Odchyliła si i potarła skronie. Cho była wyczerpana, jej kocie zielone oczy płon ły jeszcze ja niejszym blaskiem ni zwykle, a pokrywaj cy głow meszek wydawał si tak puszysty, e Fleminga a r ka wierzbiła, by go pogładzi.

- Co bym zrobiła? - my lała na głos. - Có, zwa ywszy na to, e praktycznie wszystkie systemy komputerowe na wiecie poł czone s z Optinetem, postawiłabym na nogi któr z baz wojskowych. Na przykład jedno z laboratoriów do bada nad broni biologiczn w USAMRIID, Iraku albo Izraelu...

Zast pca dyrektora Jones przestał kr y po pokoju.

- Ja bym tak nie zrobił - powiedział z mro cym krew w yłach spokojem. - Raczej otworzyłbym kilka silosów i odpalił par uzbrojonych głowic nuklearnych.

Fleming skin ł głow.

- To by wystarczyło. Skutkiem byłaby wojna i mier, mier na masow skal. Wystrzelenie cho by jednej rakiety oznacza wojn wiatow.

- Musimy zniszczy ten komputer - upierał si Jones.

Amber si skrzywiła.

- To nie takie proste. Niszcz c go, stracimy wszystkie dane. Min la, dziesi ciolecia, zanim odtworzymy „umysł” wiata. Niektóre z danych s nie do zast pienia, a je li szybko nie opanujemy chaosu, wiatowa gospodarka i infrastruktura mog ucierpie na tyle, e nigdy ju ich nie odbudujemy. To entropia na wielk skal i trzeba odwróci jej bieg. Musimy uratowa dane, zanim zniszczymy komputer.



- Poza tym Bradley na pewno zainstalował elektroniczne alarmy i pułapki, tak by w razie próby włamania komputer natychmiast wykonał zaprogramowane rozkazy. Bezpośredni atak na VenTec czy komputer mijają się z celem, przyspieszą tylko czas wypełnienia się ostatnich znaków.

- Nie można by go wyłączyć zdalnie, przez sieć? - spytał jeden z agentów.

- Jest zbyt potajemny i zbyt dobrze zabezpieczony. Musimy dostać się do VenTecu i osobiście przeprogramować komputer u źródła, tak, by Bradley nic nie zauważył. To jedyny sposób, aby odzyskać dane i uniemożliwić komputerowi wywołanie ostatniego znaku.

- Jak, u licha, mamy się do niego dostać? - spytał Jones.

Fleming spojrzał na Amber; jej kąciki ust, kiedy domyślała się, co chodzi mu po głowie.

- Nie ma mowy, Miles.

- Znasz kogoś innego, kto potrafiłby przeprogramować to cholerstwo? - spytał.

Zwiesiła ramiona.

- Cóż - Fleming uśmiechnął się ponuro - wygląda na to, że wszystko w naszych rękach. - Odwrócił się do zastępcy dyrektora FBI. - Chyba wiem, jak wprowadzić tam Amber. Będzie nam potrzebny sprzęt.

- I wsparcie. HRT czeka w pogotowiu - oświadczył Jones.

- HRT? - spytał Fleming.

- Antyterrorystyczny. Są wyszkoleni w przenikaniu do takich miejsc. Oddział czeka na lotnisku w Anchorage, parę godzin lotu stąd.

- Dobrze - powiedział Fleming. - Powinniśmy te informacje przedzielić z wojskiem o ostatnich znakach.

Jones zaśmiał się niewesoło.

- O rany - sapnął i podniósł słuchawkę - skoro sprawa jest tak poważna, nie tylko wojsko, ale i my musimy przedzielić.

## 64

### Dziewi dziesi t dwie minuty pó niej

W centrum operacji FBI na pokładzie Czerwonej Arki pojawiły się cztery dodatkowe monitory do wideokonferencji ustawione tak, by widzieli je Amber i Fleming. Trzy ukazywały umundurowanych mężczyzn.

Jednym z nich był agent specjalny Wayne Thomas; dowodził oddziałem antyterrorystów i w tej chwili przebywał w Anchorage, w lokalnym biurze FBI. Chudy jak szczapa, o pociętej twarzy, miał na sobie ciemnoniebieski płaszcz nieprzemakalny z napisem FBI, narzucony na czarną kamizelkę kuloodporną i mundur polowy. Na siedzącym ekranie zobaczyli mężczyznę w wojskowym mundurze maskującym. Podpułkownik Mark Kovac, zawodowy żołnierz obcizny na przepisywanego języka, dowodził plutonem Delta Force, elitarnej dywizji amerykańskich komandosów. W tej chwili był w tajnej bazie położonej trzysta kilometrów na południe od granicy z Kanadą. Kovac miał to do siebie, że wyglądał na znużonego nawet wtedy, kiedy było oczywiste, że jest w pełni skupiony. Amber domyślała się, że ma niżej tętno od większości sportowców. Jednak przy całej jego ostentacyjnej obojętności widziała po nim, że pali się do tego, by wyrwać dowodzenie akcją z rąk FBI.

Nastąpiły już pierwsze subtelne przepychanki: dowódca z Delta napomknął, że to zadanie dla zawodowców, a agent FBI w odpowiedzi podkreślił, że niezbdny jest „stosownie wyszkolony” personel.

- Na pewno zgodzi się pan ze mną, podpułkowniku, że ta misja wymaga chirurgicznej precyzji skalpela, a nie lepej siły młota.

Amber czuła się nieswojo w tej przesyconej testosteronem atmosferze, Fleming natomiast znośił ją ze spokojem - nawet kiedy Kovac podał w twóży sens jego powrotu do VenTecu.

- Doktorze Fleming, jest pan cywilem. Proszę przedstawić nam rozkład pomieszczeń, my zajmiemy się resztą.

Amber odwróciła się do niego w popłochu. Przerażała ją myśl o ponownym wejściu na szczyt, ale u boku Fleminga przynajmniej czuła się bezpieczna. Miał w sobie tyle pewności siebie, że Kovac pod tym względem nie mógł się z nim równać.

Fleming uśmiechnął się do Kovaca.

- Id z wami.
  - Kiedy wysi dziemy z blackhawków, dalsza wspinaczka może być ciężka - uprzedził Kovac. - Możemy pomóc doktor Grant, ale dwie osoby będą dla nas zbyt dużym obciążeniem.
  - Nie musicie się o mnie obawiać - zapewnił Fleming cicho. - Dotrzymam wam kroku.
  - Wspiął się pan już kiedy ?
  - Trochę .
  - Jaki ma pan poziom?
  - A pan, podpułkowniku? Kovac wzruszył ramionami.
  - Osiemnasty. Ale przeszedłem szkolenie.
  - Ile poziomów jest w ogóle? – spytała Amber.
- Fleming spojrzał na nią .
- Trzydziesty jest najwyższy. Rob był na dwudziestym siódmym. Na wiecie tylko garstka ludzi ma wyższy niż dwudziesty szósty. - Odwrócił się do Kovaca. - Ale poziom osiemnasty to doskonały wynik. Trzeba być naprawdę dobrym, by przekroczyć piątnasty.
  - Jak mówiłem, przeszedłem szkolenie - powiedział Kovac skromnie.
  - Na którym ty jesteś poziomem, Miles? - spytała Amber.
  - Dziewiętnastym.
- Od tej chwili Kovac traktował Fleminga z większym szacunkiem. -

...

Amber utkwiała wzrok w trzecim ekranie, na którym mierzchna w mundurze ponuro kręcił głowę, patrząc na zastępcę dyrektora Jonesa. Ostatni uczestnik narady był starszy wiekiem, miał srebrzyste włosy i nosił piąty gwiazdek.

- Jeśli my licimy, że wyłanczymy systemy sterowania raketami, to jesteście w błędzie - zagrzniął generał. - Od sprawy pluskwy milenijnej poczynili my stosowne kroki, by zapobiec takiej ewentualności, i nie narazimy kraju na niebezpieczeństwo. Nie wiem, czy zauważyliście, ale wiat tkwi po uszy w gównie.

- O to właśnie chodzi, generale - powiedział Jones. - Jeśli zamkniecie wszystkie bazy raketowe, Soames nie będzie mógł się dostać do raket. W ten sposób ochronicie kraj.

- A skąd wiadomo, czy ten psychol nie spróbuje odpalić ruskich czy innych pocisków? Musimy się bronić. Zastępcę dyrektora Jones pokręcił głową .

- Generale, jestem pewien, że jeśli damy przykład i dyskretnie wyjdziemy wiatu, jak się sprawy mają, Soames straci dostęp do wszystkich

arsenałów i nie rozpoczyna wojny. Jeśli wszyscy zdejmą palec z cyngla, pozostaniemy sobie przynajmniej jednego zagrożenia.

- Wykluczone. Nie wiemy, czy inni na to pójdą - warknął generał. - Jak się to mówi, nie ma sensu być dobrym wśród złych ludzi. A jeśli wojna jest nieunikniona, nie zamierzam dać się zaskoczyć.

- Nawet gdyby miało to oznaczać jej wywołanie? - spytał Riga.

Generał zacisnął szczękę.

- Nawet.

Fleming wstał i nachylił się w stronę kamery.

- Ale prezydent na pewno...

- Doktorze Fleming, jestem panu szczerze wdzięczny za pomoc w tej sprawie, ale jako przewodniczący komitetu powołanych sztabów wcale nie byłem u prezydenta, który, nawiasem mówiąc, ma w tej chwili sporo innych zmartwień... i zgodził się ze mną, że nie ma innego wyjścia, jak tylko wprowadzić powołane siły Delta Force i FBI do VenTecu.

- Podpułkownik Kovac jest wietnym ołnierzem, a jego ludzie są najlepszymi, jakich mamy. Na szczęście akurat są na manewrach w pobliżu granicy z Kanadą i za parę godzin mogą spotkać się z FBI w Fairbanks. Na miejscu zajmij się zabezpieczeniem akcji, co pozwoli panu, doktorze Fleming, doprowadzić doktor Grant i FBI do celu i unieszkodliwić komputer Soamesa. Ludzie Kovaca zapewnią wam wszelką niezbędną pomoc, ale nie możemy, powtarzam, nie możemy rozbroić naszych rakiet. Jeśli, zgodnie z naszym przekonaniem, ostatnie dwa znaki Czerwonego Papieża to wojna i śmierć, moim obowiązkiem jest strzec bezpieczeństwa kraju.

Amber widziała, że Fleming chce mu przerwać, ale generał mówił dalej:

- Nie zrozumcie mnie źle. W pełni zdaję sobie sprawę z powagi sytuacji i znaczenia waszej misji. Musi być coś z powodzeniem, nie tylko po to, by odzyskać dane z komputerów całego świata i ochronić niezliczone istnienia ludzkie, ale i po to, żeby przywrócić wiarę w Boga i moc dobra na tym świecie.

Umilkł i jego stalowe spojrzenie przeniknęło wszystkich obecnych w sali i na monitorach: dowódcę plutonu Delta Force, agentów FBI, jezuitę i dwójkę naukowców Fleminga i Amber.

- Misja, której się podjął - stwierdził - to nic innego jak krucjata dla ocalenia umysłu, ciała i duszy człowieka. A jeśli Bóg mimo wszystko istnieje, modlę się całym sercem, by był z wami.

## Czarny sektor Sze godzin pó niej

Burza powróciła ze wzmożoną siłą i Carvelli był zadowolony, że migłowiec, który przywiózł go do VenTecu, zdążył wyłowić, zanim rozszała się na dobre. W drodze do kwatery Soamesa słyszał, jak wiatr łoskot w grube, przyciemniane okna.

Dużo przedpokój w czarnym sektorze był eklektycznym sezamem: na klonowej nielakierowanej posadzce stały się afgańskie, tureckie i perskie dywany, jedna z cian zdobitych piwnicą o wietlone maski afrykańskie, drugie pokrywały gobeliny z Radastanu i oprawione jedwabne tkaniny z Chin. W koszu obok kominka z lśniącym czarnym gagatu były rzeźby z wonnego drzewa sandałowego. Na szklanym blacie stołu leżały korale i egzotyczne kamienie szlachetne podświetlone od dołu lampą ze skierowanym w górę kloszem - rzucała na biały sufit wielobarwne odbłyśki klejnotów. Zwnięki wyglądała o wietlona od tyłu głowa Iwa, z pełną grzywą, a w cian przy drzwiach wejściowych wbudowane było duże akwarium - kolorowy kalejdoskop migających w wodzie tropikalnych ryb.

Carvelli miał wrażenie, że Soames, skazany na to, by nigdy nie zobaczył świata i nie poznał bezpośrednio bardziej egzotycznych rejonów świata, spotykał swój pokonywany majtek na odtworzenie ich piwnicą w swoim prywatnym, mrocznym królestwie.

Zadrżał. Nigdy jeszcze nie był w kwaterze Soamesa i mimo wypełnionych skarbów wolałby by gdziekolwiek indziej, byle nie tu.

Zapukał do podwójnych drzwi i zaczął na wezwanie. Kiedy cisza się przedłużyła, wszedł do dużego salonu. Na jednej z cian wisiała rzeźbiona kamienna płyta ze starej pogańskiej wiary; ukazywała ze szczegółami postacie ludzkie uprawiające seks we wszystkich pozycjach, jakie można sobie wyobrazić. Carvellemu aż dłońmi się spociły, kiedy przyglądał się jej, sunąc bezszelestnie po parkiecie. Nie było tu rzeczy osobistych, zdjęć rodziny czy przyjaciół, księgek, płyt kompaktowych, butelek alkoholu czy cygar. Poza stojące w kącie przeszklone szafy chłodnicze z puszkami coli nic nie wskazywało na to, by Bradley Soames pozwalał sobie na jakiegokolwiek drobny przyjemności. Carvelli czuł się tu jak w ponurym muzeum i nawet erotyczne obrazki nie łagodziły tego uczucia.

Kiedy usłyszał głos z drugiego końca pokoju, najpierw go nie rozpoznał. Zaraz jednak zorientował się, że mówi to Soames - i to błagalnym tonem.

- Przecież zrobiłem wszystko, czego chciałem - usłyszał - sprowadziłem na świat ciemność i zamek, teraz wywołałem głód. Czy nie mógłbym przyspieszyć ostatnich znaków o kilka godzin? Jaka to różnica po takim długim oczekiwaniu?

Carvelli zamarł, serce podeszło mu do gardła.

- Proszę, pozwól mi to zrobić - namawiał Soames. - Zbyt niebezpiecznym jest czekać, czuj to. Grant i Fleming wiedzą o Matce Lucyfer. Im dłużej będzie zwlekał, tym bardziej prawdopodobne, że znajdzie sposób, by wszystko zepsuć.

Przerazony, ale zaintrygowany, Carvelli podszedł do hebanowych drzwi na końcu salonu. Były uchylone. Kiedy przysunął się bliżej, zauważył, że w pokoju za nimi jest ciemno.

Soames znów przemówił, tym razem gwałtowniej.

- Dlaczego to takie ważne, by trzymać się planu? Jesteśmy blisko, skutkiem będzie ten sam. Zastępuj na to, żeby pozwolił mi zakończyć to teraz. Zrobiłem wszystko, czego chciałem. Jestem zmęczony. Chcę, by to skończyło się. Daję tego.

Rozległ się trzask, jak uderzenie biczem, i zduszony szloch.

Carvelli podszedł bliżej i w sнопie wiatła wpadł cym przez drzwi zobaczył, że pokój jest pusty; stało w nim tylko proste łóżko. Soames klęczał w jego nogach, odwrócony plecami do drzwi. Był nagi, skór miał w plamach, zryt bliznami po niezliczonych operacjach. I był sam.

- Daję tego - powtórzył. - Zastępuj na to. Musisz pozwolić mi przyspieszyć ukazanie się ostatnich znaków. Mam do tego prawo po tym, jak wielki przysług ci wyświadczylem.

Podniósł wysoko mały pejcz w prawej dłoni i zaczął chłostać się po plecach. Płakał i błagał o wybaczenie nieposłuszeństwa.

- Odepnij mi moją zuchwałą i niecierpliwą. Pragnę tylko służyć tobie i wypełnić swój powinno.

Odłożył okrwawiony pejcz na podłogę i nachylił się nad łóżkiem, już spokojniejszy. Nagle, ku zdumieniu Carvellego, złożył dłonie, spuścił głowę i zaczął się modlić:

- Ojczy nasz, który jest w niebie, wiś się imi Twoje...

Carvelli stał w drzwiach; znieruchomiał z szoku i zaskoczenia. Jak to możliwe, że ten sam Soames, który zdradził mu swój mroczny tajemnic, teraz odmawiał jedynie modlitw przypisywaną w Biblii Jezusowi Chrystusowi?

stusowi? Zanim zdążył to przemyleć, Soames opuścił ręce i uniósł głowę. Nie odwracając się, powiedział:

- Frank, przywiozłeś polis ubezpieczeniową ?

- T-t-tak - wyjechał Carvelli. - Jest w białym sektorze.

- Dobra robota.

- Chcesz zobaczyć ? Soames skinął głową .

- Zaraz przyjdę . - Obejrzał się na Carvellego i snop światła z uchylonych drzwi padł na jego profil.

Carvelli odwrócił się i zasłonił dłonią oczy irracjonalnie pewny, że jeśli zobaczy twarz Soamesa, umrze.

## 66

### Góry Brookska, Alaska

Burza miotła blackhawkiem tak mocno, że cały kadłub drżał i trzeszczał. Za chłostan niegłębokim szyb Fleming widział rozgałęzione błyskawice, które rozdzierały ciemność i rozświetlały o niebo szczyty przypominające spiętrzone fale na wzburzonym morzu. Jeśli, jak miał nadzieję generał, Bóg istniał, to zdaniem Fleminga nie było Go z nimi na tej misji.

Przez ostatnich kilka godzin siedzieli z Amber w domku strażniczym rezerwowym i obserwowali z narastającym cym niepokojem pogarszając się pogodę. Fleming dwa razy bez skutku próbował dozwonić się do Anglii, do rodziców; czas, jaki pozostał do przybycia migłowców, poświęcił na to, by coś zjeść i się zdrzemnąć. Kiedy maszyny nadleciały, padał tak gęsty śnieg, że piloci nie odważyli się wylądować. Oboje z Amber dostali się na pokład blackhawka za pomocą wciągarki.

- Zapnijcie pasy i trzymajcie się mocno - powiedział pilot ponuro, kiedy migłowiec wszedł na wysypisko. - Lecimy po omacku, a warunki jeszcze się pogorszą .

Fleming rozejrzył się po kabinie. Wiosna współpasaerów miała równie ponure miny jak pilot; na pokładzie było czterech komandosów z Delta Force, zwanych D-boyami, wśród nich Kovac, i dwaj agenci FBI, którzy

mieli pomóc Amber. Ona sama siedziała obok Fleminga; w ród m czyn w pełnym rynsztunku bojowym wydawała si krucha i bezbronna.

D-boye mieli zimowe mundury bojowe, białe z naniesionym lekkim wzorem maskuj cym. Ka dy z nich wyposa ony był w plecak, wi zk granałów i bro paln : jedni mieli czarne naoliwione karabiny samopowtarzalne CAR-15, inni karabiny maszynowe M-60. Agenci FBI nosili czarne stroje ninja preferowane przez antyterrorystów i uzbrojeni byli w skromniejsze i, zdaniem Fleminga, bardziej praktyczne karabiny.

Gdzie w skł bionej ciemno ci leciał drugi migłowiec, wiózł czterech agentów FBI, w tym agenta specjalnego Wayne'a Thomasa, i czterech komandosów Deltę. Trzeci, zapasowy helikopter z oddziałem rezerwowym, czekał w odwodzie pod Fairbanks.

Plan był prosty: lec c nisko, by unikn wykrycia, i utrzymuj c cisz radiow tak długo, jak si da, dotrze do nieuko czoney rafinerii na ni szym wierzchołku, za VenTekiem. Tam migłowce opadn jak najbli ej ziemi, co pozwoli uczestnikom akcji zjecha na linach na szczyt góry. Kiedy zgrupuj si , Fleming zaprowadzi ich do wylotu rury, sk d t sam tras , któr uciekał z Amber, przejd do VenTecu. Zamierzali dotrze do odwiertu pod czerwonym sektorem i dosta si do komputera Soamesa od dołu. Pierwszy etap, powrót do rafinerii, miał by najprostszy.

I byłby, gdyby nie nie yca.

Poniewa GPS działał na podstawie danych, które zostały utracone po ukazaniu si drugiego znaku Czerwonego Papie a, pilot musiał prowadzi maszyn jak za dawnych lat, polegaj c tylko na mapach i własnym wzroku. Problem był w tym, e w takiej zamieci nie widział nic. Lot w tych warunkach przypominał jazd z zawi zanymi oczami przez Manhattan z pr dko ci trzech machów i ka da inna misja zostałaby odwołana. W tym przypadku nie było takiej mo liwo ci: musieli unieszkodliwi komputer Soamesa, zanim sprowadzi na wiat ostatnie znaki.

Kovac próbował rozładowa napi cie.

- Warunki s wymarzone - powiedział. - Jeste my doskonale osłoni ci i mo emy liczy na element zaskoczenia.

migłowcem nagle rzuciło w lewo i Fleming zobaczył w wietle błyskawicy drugi helikopter; nadlatywał z prawej strony. Cholera, pomy lał. Nie widz nawet siebie nawzajem. Amber patrzyła na niego szeroko otwartymi oczami - te zauwa yła, jak niewiele zabrakło do zderzenia.

- Jak zobaczymy miejsce do l dowania w tej nie ycy? - spytała Kovaca.



Odwrócił się do niej, wciąż z lekko znudzonym minem.

- Wy? Pewnie nie zobaczycie go wcale - wycedził, jakby miejsce do lądowania było tajemnicą, której nie mógł ujawnić - ale się nie przejmujecie.

Fleming i Amber popatrzyli na siebie.

- Zjeżdżała pani już kiedyś na linie, doktor Grant? - spytał jeden z komandosów Delta Force.

Pokręciła głową.

- Wszystko gra, ja wciąż jestem na dół - powiedział Fleming.

- Jest pan pewien? - zapytał Kovac. - Ona ma kluczowe znaczenie dla misji. Nie chcemy, by cokolwiek jej się stało. Może lepiej, by zrobił to któryś z nas.

- Dzięki za troskę, ale jestem pewna, że z Milesem nic mi się nie stanie.

Kovac przyjrzał się Flemingowi i wzruszył ramionami.

- Już blisko - poinformował pilot spokojnym, krzepiącym tonem, jakiego z czasem nabierają wszyscy piloci, ale kiedy kazał „szykować linę i przygotować się”, Fleming wyczuł w jego głosie napięcie. Migłowiec kołował się w powietrzu i pilot musiał wyłożyć wszystkie siły, by nad nim zapanować.

Trzy błyskawice rozświetliły niebo i zalały wiat niebieskobiałym olepianym blaskiem. Z radia dobiegł niewyraźny głos.

- Trafiał... piorun... elektryka poszła... spadamy... Black Hawk stracony. Black Hawk stracony...

I zapadła cisza.

Fleming wyrzwał przez szybę po prawej stronie. Drugi migłowiec obracał się wokół własnej osi w trzaskającym, naelektryzowanym powietrzu, usiłując wyrównać lot. Nad kabiną, pod wirnikami, które zdawały się zaciąć, kadłub przecinało czarne, osmalone popęknięcie. Black Hawk rzucił się naprzód i spadł po spirali jak jesienny liść.

Flemingowi serce podeszło do gardła. Odprowadził wzrokiem migłowiec ginący w bieli. Po chwili jasna ognista kula rozświetliła ciemnotę.

W kabinie zapadła cisza. Nie patrzyli na siebie. Wszyscy musieli poradzić sobie z tym, co się stało, na swój sposób i odpędzić paralizujący strach, że oni będą następni.

- Klapy otwarte. Schodzimy - powiedział pilot i wskazał co w dole przez tumany mgiełki; Fleming wypatrzył dwa stalowe szkielety, które

miały służyć do przechowywania wielkich zbiorników z ropą. - Zrzucacie liny.

Drzwi migłowca rozsunięły się i mroźny podmuch przeleciał przez kabinę. Kovac wypchnął nogi liny - po cztery z każdej strony.

- Spróbuj trzymać maszyn nieruchomo - oświadczył pilot - ale w tych warunkach niczego nie gwarantuję.

Kovac krzyknął do swoich ludzi i agentów FBI, by zjechali na dół w ustalonej kolejności.

- Po dwóch. Ju! Ju! Ju!

Kiedy po kolei chwycił linę, wychodził tyłem z kabiny i zsuwał się po rozkołysanym sznurze w stronę wirujących tumanów mgiełki - przy odrobienie szczęścia - pewnego gruntu.

Fleming wyciągnął rękę do Amber i czekał na swoją kolej. Czując, jak dłoń, objął ją ramionami i chwycił linę nad jej głowę.

- Bez obaw, trzymam cię - szepnął, przypiął swój kombinezon do jej kombinezonu i zasłaniając sobie widok szalejącej mgiełki, wysunął się tyłem z kabiny. Runął w otchłań.

## 67

Amber nie przypominała sobie, by kiedykolwiek tak bardzo się bała. Kotłowało jej się w ołdoku, serce waliło tak gwałtownie, że bała się, iż zemdleje. Ciężka lina kotłowała się jak nitka na silnym wietrze, od jej ciskania piekły jej dłonie. Sznur i migłowiec hułtały się tak mocno, że miała wrażenie, że wisi na wahadle. Ilekroć jednak lina wymykała jej się z ręki, czuła, jak Fleming przysuwa się bliżej, przyciska ją do siebie, przytrzymuje.

Zejście zdawało się trwać wieki całe; wszystko działo się w zwolnionym tempie. Patrząc w dół, Amber nie mogła dostrzec ziemi w najbliższym otoczeniu. Nagle po lewej stronie pojawił się prześwit, w którym przez chwilę zobaczyła, co jest w dole. Jeśli do tej pory tylko się bała, to teraz wpadła w przerażenie.

Wiatr zepchnął migłowiec nad krawędź góry. Pod liną zwieszającą się z drugiej strony kabiny nie było nic. Amber ostrzegła krzykiem zjeżdżającą -

cego po niej komandosa, ale w ród wichru sama ledwie słyszała swój głos. Bezradnie patrzyła, jak m czyzna zsuwa si na koniec liny i j puszcza. Przez chwil zdawał si wisie w powietrzu, jakby unosił si na wietrze, po czym w ciszy spadł w ciemno . Drugiego komandosa spotkał ten sam los. aden nawet nie krzykn ł.

Lina zakołysała si jeszcze gwałtowniej; Amber zauwa yła, e s ju blisko jej ko ca i Fleming rozmy lnie zmienia pozycj , by rozhu - ta j i zbli y si do zbocza góry.

- Ugnij kolana i si przeturlaj! - krzykn ł jej do ucha.

Uderzyła nogami w ziemi i skuliła si w kł bek. Fleming poturlał si z ni w bok. Zanim zd yła zaczerpn tchu, on ju podniósł j na nogi.

- Wszystko w porz dku? - usłyszała w gło niku.

Skin ła głow , by zaraz zgi si wpół z bólu.

- Co si stało?

- Nic - wydyszała.

Kovac przypadł do nich, odci gn ł ich od skraju przepa ci i poprowadził w stron rafinerii.

- Stało ci si co ?

Skrzywiła si .

- Zatkano mnie, to wszystko.

- Odetchnij. Nie mamy czasu.

Im bli ej rafinerii, tym lepiej byli osłoni ci od nie ycy.

- Ilu nas zostało? - spytał Fleming.

- Pi ciu mo e i dalej - odparł Kovac spokojnym głosem. - Dwóch spadło w przepa , jeden złamał nog .

Amber zobaczyła przed sob dwie postacie w ród sypi czego niegu; jedna pochylała si nad le cym na ziemi człowiekiem, którego noga wygi ta była pod nienaturalnym k tem. Ul yło jej, kiedy zauwa yła, e jeden z ocalałych ma na sobie czarny mundur agenta FBI. Ona i Fleming nie pozostali wi c jedynymi członkami zespołu o odpowiednich kwalifikacjach.

Fleming próbował zorientowa si w otoczeniu.

- Mo na si schroni wewn trz rury. Trzeba tam zanie rannego. Co zamierzacie z nim zrobi ?

Kovac nie wahał si nawet przez chwil .

- Uło ymy go wygodnie, ciepło okryjemy i zostawimy mu radio. Je- li nie wrócimy po niego za sze godzin, b dzie mógł przerwa cisz radiow i wezwa migłowiec rezerwowo. Wtedy b dzie ju wiadomo, czy nam

si powiodło czy nie. A to i tak mo e by bez znaczenia. - Podszedł do podkomendnego.

Pogoda si pogarszała. Zespół został mocno przerzedzony. Jakkolwiek Amber na to patrzyła, nie wró yło to nic dobrego. Wydawało si wr cz, e Bóg - czy kto tak naprawdę tym wszystkim rz dził - nie chciał, by powstrzymali Soamesa.

Fleming spojrzął na ni .

- Nie martw si , Amber, karta si musi odwróci . Gorzej ju by nie mo e.

Mylił si .

Po kilku minutach krzykn ł:

- Nie mog znale rury! nieg j zasypał. Chyba jest tam, ale trzeba si do niej dokopa .

- W porz dku - powiedział Kovac nauczony do wiadzeniem, e plany si zmieniaj , a los jest zło liwy.

- Jasne - zawtórowała mu Amber, cho wcale nie czuła si pewnie. My lała tylko o tym, e jak dot d sprawdziły si jej wszystkie najgorsze obawy. Kiedy uciekali, zamierzała wezwa na pomoc kawaleri ; nie wiedziała tylko, e to ona i Fleming s kawaleri .

Przypomniała sobie o ojcu chrzestnym, który czekał na pokładzie Czerwonej Arki. „B d si za ciebie modlił, dopóki nie powrócisz okryta chwał " - obiecał, przekonany, e ich misja zako czy si powodzeniem, bo taka jest „wola Bo a".

Zacisn ła z by i poszła po ladach Fleminga w niegu.

- Papo Pete, mam nadziej , e do tej pory si nie modlił – mrukn ła pod nosem - bo je li takie s skutki twoich modlitw, to mamy przesrane.

## 68

### Biały sektor

Carvelli potarł zwilgotniałe dłonie. Usiłował wymaza sprzed oczu obraz bicuj cego si Soamesa. Soames, ju kompletnie ubrany, stał w jednej z opustoszałych sal rekreacyjnych w białym sektorze; wilki cierpliwie czuwały przy nim. Nachy-

lił si i zjrzał przez drzwi z wytrawionego szkła do s siedniego pokoju. Wcze niej zadzwonił do Trippa i Bukowski, by sprawdzi , czy komputer jest gotowy. Wyra nie o ywiony w ci gu ostatnich kilku minut dwa razy spytał Carvellego o godzin . Na ka d odpowied reagował słowami: „Ju prawie czas, ju prawie czas”; powtarzał je jak mantr . Patrz c przez szyb , u miechn ł si szeroko.

- Dobra robota, Frank - powiedział. - Trudno było dosta t polis ubezpieczeniow ?

Carvelli wahał si , co odpowiedzie . Chciał zyska aprobat Soamesa, ale wolał go nie okłamywa , by nie narazi si na kar . Je li miał by szczery, zrobił niewiele. Zaczekał tylko, a jego ludzie odbior „przesyłk ” ze szkoły, a potem w czasie lotu musiał zapewnić dzieciaka, e bierze go na niespodziewan wycieczk do wujka.

- Trzyma si nie le, je li o to ci chodzi.

- Nawet troch si nie boi?

- T skni za babci i dziadkiem i nie jestem pewien, czy wierzy w moj historyjk o wycieczce. Ale jest twardy.

Soames gestem przywołał Carvellego do siebie. - Zobacz, co robi.

Carvelli podszedł do szyby, trzymaj c si jak najdalej od wilków. Dobrze wiedział, co chłopiec robi; bawił si z nim przez ostatnie pół godziny.

- Patrz, jak układa moje stare klocki - powiedział Soames z rozmazonym u miechem. - Tak starannie buduje ka d wie , zwraca uwag , by ka dy klocek był we wła ciwym miejscu. - Pchn ł drzwi. - Musz z nim porozmawia .

Chłopiec stał po rodku du ego pokoju, na parkiecie zawalonym starymi, sfatygowanymi zabawkami - klockami lego, ołnierzykami i niezliczonymi drewnianymi cegiełkami, z których zbudował metrowej wysoko ci wie e. Na d wi k otwieranych drzwi si odwrócił.

- Cze , Jake. Fajne wie e - pochwalił Soames.

- Gdzie wujek Milo? - spytał chłopiec. Z zaciekawieniem przyjrzał si pokrytej bliznami skórze Soamesa. - Co ci si stało w buzi ? Soames podszedł bli ej, nachylił si i zbli ył twarz do twarzy Jake'a.

- Nie lubi sło ca - powiedział - a sło ce mnie. Co ci si stało w nogi?

Jake nawet nie drgn ł.

- Nic.

- Nie s twoje, prawda? - spytał Soames drwi co.

Jake wytrzymał jego spojrzenie.

- Właśnie, więc tak. Dał mi je wujek Milo.

Soames wyprostował się i podszedł do jednej z wień.

- Kiedy lubiłem stawiać wień, najwyśze, jakie się dało, a potem je burzy. Może to zburzysz najpierw?

- Nie - odparł Jake cicho. Stał sztywno, ale choć Carvelli widział w jego twarzy strach, miał podniesioną głowę i patrzył prosto przed siebie.

- No, miało, może esz by niegrzeczny, rozrzucił klocki po pokoju. Nikt nie naskarzy - nalegał Soames. Wilki podeszły bliżej i usiadły z wywieszonymi ozorami półtora metra za plecami Jake'a. - Jak wolisz, może esz zacząć od tamtej wień.

Jake pokręcił głowę.

- A może zburzysz obie naraz.

Jake nawet nie drgnął.

- Myślę, że powinieneś to zrobić - powiedział Soames zniższym tonem. Wilki przysunęły się bliżej, ich oddechy niemal omiały kark Jake'a. Chłopcu trzęsły się kolana, warga mu drżała, ale wciąż stał nieruchomo. Carvelli wiedział, do czego zdolni są Soames i jego wilki, i wołał, by Jake ustąpił i zburzył wień, lecz w głębi duszy zagrzewał go, by wytrwał w oporze. Zazdrościł mu odwagi.

Soames nachylił się i znów zbliżył twarz do twarzy chłopca - nawet gdyby Jake chciał się cofnąć, nie mógł, bo za jego plecami stały warczące wilki. Soames był w ciekły; spod jego wykrzywionych, pokrytych bliznami warg wyłaniały się zaciśnięte, zaskakujące zdrowe zęby.

- Zburzył zasraną wień.

Chłopiec drżał na całym ciele, był blady, nie ruszył się jednak z miejsca.

- Mylisz, więc jest tu twój wujek - drażnił się z nim Soames. - Prawda, Jake?.

Chłopiec spojrział z wyrzutem na Carvellego; jego oczy lśniły od łez, lecz nie uronił ani jednej. Carvelli skurczył się w sobie.

- Nie - powiedział chłopiec. - Ale kiedy Milo po mnie przyjdzie...

- To co zrobi?! - ryknął Soames. - Kiedy Miles przyjdzie, zdechnie jak twój ojciec i ta kurwa, twoja matka, i spotka się z nimi w piekle, tak, w piekle, bo tam się wszyscy znajdziemy, z tobą właśnie!

Jake mocno zacisnął powieki i zakrył uszy dłońmi.

Soames poczerwieniał. Carvelli nigdy jeszcze nie widział go w takiej furii. Wilki dyszały, czekały na komendę do ataku. Ich lina kapała na kurtki i nogawki spodni Jake'a.

- Twój wujek Milo najpewniej już nie żyje! - krzyknął Soames. - Wkrótce umrą też twoi dziadkowie, a wtedy... a wtedy... - Soames ze złości

Pełen podziwu podszedł do chłopca i położył dłoń na jego ramieniu.

- Już sobie poszli.

Z palcami w uszach Jake potrząsnął ramieniem, by zrzucić dłoń Carvellego.

Carvelli poczuł głębię wstydu. Cofnął się i wyszedł.

Dopiero wtedy, pewien, że został sam, Jake rzucił się na podłogę i wybuchnął płaczem.

## 69

### Cztery godziny później

To tu - powiedział Fleming, mrużąc oczy od tańczących wiatów. Wirujące błyski wydobywały się z mroku odwiert.

- Boże, ale gorąco - powiedział agent FBI, wysoki Murzyn Howie.

- I jasno - dodał Kovac. - Lepiej załóżmy maski.

Fleming zrobił to i podniósł osłonięte oczy na wielki, obracający się wentylator, który wyciągał gorące powietrze z połoniego nad nim czerwonego sektora. Płynące z góry wiatło było tak jaskrawe, że nawet przez maskę nie widział za wirującymi łopatkami nic oprócz o wiele lepiej jasno.

- Czekać - powiedział. - Wentylator zwalnia.

- Jest połączony z termostatem - wyjaśniła Amber. - Tempo obrotów stale się zmienia. W czerwonym sektorze są inne, czulsze termostabilizatory. Wentylator odciąga rozgrzane powietrze od kuli. W zależności od temperatury otoczenia przyspiesza albo zwalnia, co jakiś czas włączy się zatrzymuje.

- Czyli jeżeli zaczekamy, a stanie, będziemy mogli przejść na drugą stronę? - spytał Fleming.

Amber kiwnęła głową.

- Skąd będziemy wiedzieli, kiedy znów przyspieszy? - zapytał drugi komandos z Delty, barczysty blondyn z niebieskimi oczami.

- Tego się nie da przewidzieć. Trzeba patrzeć, czy nie rusza - odparła Amber.

- W tej chwili przede wszystkim musimy doprowadzić Amber i Howarda do komputera, by mogli zrobić swoje, my będziemy ich osłaniać - oświadczył Fleming.

- Przejdź pierwszy - zaproponował Kovac. - Sprawdź, czy nic nam nie grozi, i zobacz, co jest po drugiej stronie. - Dał znak drugiemu D-boyowi. - Ty bierzesz strażnik, Olsen.

Fleming patrzył, jak Kovac przebiega po pomoście i wchodzi na drabinę przyspawaną do ściany odwiertu. U jej szczytu zatrzymał się, tu pod obracającymi się coraz wolniej łopatkami. Teraz, kiedy wentylator niemal znieruchomiał, Fleming zauważył, że składa się tylko z czterech łopatek, a przerwy między nimi są dość szerokie, by przecisnąć się przez nie człowiek.

Kovac wyciągnął prawą rękę do jednej z zatrzymanych się łopatek. Nagle rozległ się trzask i wentylator przyspieszył. Niezbyt gwałtownie, ale to wystarczyło, by Kovac i jego towarzysze przeżyli szok.

- Łopatkę chyba nie zatrzymaj się do końca - Fleming usłyszał w głębie głośny głos Kovaca. - Mimo to spróbuj przejść.

Zanim Fleming zdążył mu poradzić, by zaczekał, dowódca plutonu Delta Force skoczył ku jednej z łopatek i chwycił ją mocno. Podczas gdy obracała się wysoko nad dnem otworu, Kovac wdrapał się na jej zakrzywioną powierzchnię i zniknął w blasku. Flemingowi zakręciło się w głowie.

- Przeszedłem - powiedział Kovac jakby nigdy nic. - Wygląda to nieźle. Jest tu pomost dla obsługi, drabina prowadzi na górę. Kto następny?

Wszyscy popatrzyli na siebie, a potem na wentylator, który wciąż obracał się trochę za szybko; nie było to bezpieczne. Fleming zdecydował się: przebiegł po pomoście, wszedł na drabinę i u szczytu zatrzymał się, jak Kovac, tu pod wentylatorem. Z tak bliska nawet przy tym tempie obrotów łopatki zdawały się poruszać zbyt szybko. Czekał, zbierał odwagę. Czuł się jak pieszy, który próbuje przejść na drugą stronę toru wyścigowego Formuły 1. Łopatkę zwolniły, rozległ się trzask i wentylator znieruchomiał.

W jednej ze szpar ukazały się dłonie.

- Dawaj, wyciągnij na górę.

Podniósł rękę i poczuł, jak silne dłonie Kovaca chwytają jego ramiona i dźwigają go na drugą stronę wentylatora.

W połowie drogi usłyszał trzask i spoczywał na wysokości jego pasa łopatki drgnęły. Serce zamarło mu w piersi i w pierwszym odruchu chciał zeskoczyć na dół, ale wentylator ledwie się poruszył i pchnął go tylko bliżej pomostu, na którym stał Kovac.



Fleming rozejrzał się wokół. Wietlna kula Soamesa była zawieszona wewnątrz dwóch krzywych obracających się, nie widzących niestety nad jego głową. Wydawała się jaśniejsza i mniej stabilna, niż kiedy widział ją ostatnio, i choć miał osłonięte oczy, musiał zmrużyć powieki. Na prawo była drabina - piła się po cianie odwiertu do drzwi, za którymi znajdowały się sterownia i laboratoria otaczające wietlną kulę. Fleming wypatrzył przyciemniane szyby i zaczął się zastanawiać, czy tymi drzwiami można dostać się do laboratorium, w którym z Bukowski i Trippem skonstruował dla Soamesa ulepszony Neuro-Translator.

- Pospieszcie się - szepnął Kovac do mikrofonu.

Następna była Amber i ponieważ wentylator ani drgnął, jej drobna sylwetka łatwo przecisnęła się przez szpar między łopatkami. Za nią pojawił się agent specjalny Howie.

Został jeszcze tylko drugi komandos Delta Force.

Co trzasnęło i wentylator przyspieszył obroty.

- Cholera - szepnął Kovac. Spojrzał na zegarek i zerknął na Amber.  
- Zaczekamy kilka minut, ale jeśli nie zwolni, idziemy dalej bez niego. Stracili my już trochę czasu, a nie wiem, jak długo zajmie ci to, co musisz zrobić.

- Ja też nie wiem - powiedziała Amber.

I znów rozległ się trzask. Wentylator zwolnił.

- Chodź, Olsen - szepnął Kovac.

Fleming naprężył się i kiedy łopatki stanęły, razem z Kovacem sięgnął w dół. Złapał komandosa za prawe ramie, a Kovac za lewe. Mieczyczna był cięki, a do tego objuczony sprzątem, ale udało im się przeciągnąć go przez szczelinę. Był już prawie po drugiej stronie, kiedy znów rozległ się trzask.

I nic.

Olsen podniósł oczy na Fleminga i uśmiechnął się z ulgą.

Po chwili przestał się uśmiechać.

Stało się to tak szybko, że Fleming mógł tylko patrzeć z przerażeniem, jak wentylator gwałtownie przyspiesza i wyrzuca komandosa z ich ręk. Olsen przez kilka sekund wirował jak na karuzeli. Kiedy tempo obrotów wzrosło, został przecięty przez wentylator jak marchewka przez mikser. Przez cały czas, gdy wirujące łopatki szatkowały jego ciało, ze zdumieniem patrzył na Fleminga.

Trwało to sekundy i Fleming nawet nie usłyszał łoskotu, z jakim szczęki Olsena spadły na dno odwiertu. Pod wieloma względami to wlało nie

najbardziej zadziwiało i niepokoiło: mężczyzna nawet nie krzyknął, kiedy wentylator masakrował jego ciało.

Agent FBI zgiął się wpół i zwymiotował.

Kovac odwrócił się do Amber, wpatrzonej w wirujący wentylator. Drżał mu szczęk, ale poza tym nie widać było po nim żadnych uczuć.

- Teraz tym bardziej musimy zrobić to, po co tu jesteś my.

Amber wciąż patrzyła na wentylator.

Kovac ujął jej głowę w potną dłoń i odwrócił do siebie.

- Da pani rad, doktor Grant? Bo jeżeli nie, cała ta akcja okaże się jednym wielkim niewypałem.

Amber zamrugnęła.

Fleming położył dłoń na jej ramieniu.

- Chodź, Amber, bierzmy się do roboty.

Skin łąła głowę. Wciąż była blada, ale w oczach znów miała ogień.

- Idziemy. - Kovac odwrócił się do drabiny.

## 70

Drzwi u szczytu drabiny prowadziły do pustego laboratorium. Za przykładem Kovaca Amber przykucnęła i wsunęła się do rowka za nim i Flemingiem. Na lewo zobaczyła zastępce ciała, takie jak to, które Fleming pokazywał jej w Barley Hall. Jak je nazywał? Brian.

Obok manekina na łóżku stał warsztatowy leżący zmodyfikowany NeuroTranslator i szklany kask do wychwytywania duszy.

- Myślałam, że przewieźli to na Czerwony Ark - powiedziała.

- Skurwiel nie pozostawił niczego przypadkowi, zrobił duplikaty. - Fleming wbił ponury wzrok w urządzenie, jakby nad czymś zastanawiał. Spojrzał przez przyciemniany szyb na pulsujące światła kul. - Amber? - Jego oczy błyszczały z podniecenia.

- Tak.

- Ciii - syknął Kovac i wskazał na prawo.

Amber popatrzyła przez przyciemniany szyb na laboratorium po drugiej stronie świetlnej kuli. Pod rozsuwanymi drzwiami stał strażnik, a w rowku ktoś wpatrywał się w monitor. Poznała go po wysokim wzroście i łysinie:

to był Walter Tripp. Rozejrzała się po innych laboratoriach otaczających korydory, wypatrzyła Bukowskiego, ale nigdzie jej nie było.

- Tam muszą być główne układy sterowania - szepnęła. - Musimy odciągnąć go od pulpitu, zanim kogoś ostrzeże. Jak to zrobić?

Kovac spojrzął na nią.

- Chcesz go przesłuchać?

- Niekoniecznie. Wszystkie informacje, które są mi potrzebne, mogą znaleźć w komputerze. Poza tym i tak pewnie nie powiedziałby prawdy. Trzeba go tylko odciągnąć od konsoli. Da się to zrobić?

Dowódca plutonu Delta Force uśmiechnął się do niej - zimno, złowrogo.

- Jasne. Zaczekajcie tu.

Amber kucnęła obok Fleminga i agenta FBI i patrzyła przez przyciemniane szyby, jak Kovac przemyka przez pierścień czarnych laboratoriów, obok stopni prowadzących do windy. Na chwilę straciła go z oczu, zaraz jednak zobaczyła, jak strażnik po drugiej stronie odwiertu osuwa się na podłogę. Kovac zajął jego miejsce; kucnęła pod rozsuwanymi drzwiami do laboratorium, w którym stał Tripp.

Kiedy drzwi się otworzyły, Tripp odwrócił głowę. Był raczej zdziwiony niż wystraszony, pewnie czuł się bezpiecznie w tej niedostępnej fortecy. Amber zauważyła, że co powiedział, nie usłyszała jednak co. Odszedł od pulpitu i ruszył do drzwi. Chyba kogoś wołał.

Nagle zniknął pod szybą i Kovac przywołał ich gestem.

Amber podążyła tą samą drogą jak on i znalazła się w głównej sterowni. Strażnik i Tripp leżeli nieruchomo na podłodze z szeroko otwartymi oczami i nienaturalnie wygiętymi szyjami. Twarz Trippa wciąż wyrażała niepokój; Amber odwróciła się pośpiesznie: w ostatnich dniach widziała tyle osób, które umierały, że starczy jej na całe życie.

Sterownia nie zmieniła się od jej ostatniej wizyty przed kilkoma laty. Amber odetchnęła z ulgą, kiedy zobaczyła, że główny monitor jest wciąż czorny. Tripp nadzorował pracę komputera, wszedł więc do systemu, co oznaczało, że nie będzie musiała się do niego włączyć.

Nareszcie zaczęła dopisywać imię i nazwisko.

Dotknęła na monitorze ikony Datafile Manager i wcisnęła guzik szybkiego przeszukiwania. Po ekranie przebiegły listy plików tak szybko, że nie zdążyła przeczytać żadnej z nazw. U dołu widniała liczba złożona z co najmniej siedmiu cyfr.

- Co to? - spytał Fleming, zaglądając jej przez ramię.

- Tylko w tym momencie mam dost p do komputera o takiej mocy. Te raz albo nigdy.

Z westchnieniem wcisn ła mi kki klawisz u dołu monitora.

- Wł czyłam niemy terminal w laboratorium, w którym jest twój Neuro-Translator. Id tam i kliknij na ikon wyszukiwania. Wpisz swoje pytania, a komputer wyszuka dane na potwierdzenie twojej hipotezy albo jej przecz - ce. Je li nie dostaniesz odpowiedzi w minut , to ona nie istnieje. Jasne?

Fleming podszedł do niej i przez chwil my łała, e j pocałuje. Chciała, by to zrobił. On jednak tylko u miechn ł si , powiedział: „Dzi kuj ”, i szybko wyszedł.

- Jak tam? - spytała agenta siedz cego przy drugim terminalu.

- Wszystko ju prawie gotowe. Za kilka minut powinienem sko czy . A co u ciebie? Wiesz ju , czym b dzie trzeci i czwarty znak?

- Jeszcze nie, ale wła nie zaczynam przegl da bazowe komendy.

Zanim jednak zd yła wprowadzi parametry przeszukania, obraz na ekranie si zmienił. Pojawiła si na nim siatka południków i równole ników nał ona na map Indii i Pakistanu.

Nad Delhi i Lahore mrugały czerwone punkciki. W lewym górnym rogu trwało powolne odliczanie. Cyfra 100 zapaliła si na ófto. Przez jaki czas mrugała, by wreszcie przej w 99... a nast pnie w 98.

- O mój Bo e!

- Co si stało? - spytał Howie.

- Nie jestem pewna. - Amber usiłowała zachowa spokój. - Przypomnij mi co . Indie i Pakistan to mocarstwa nuklearne, które nie przepadaj za sob . Zgadza si ?

Agent FBI niepewnie pokiwał głow .

- Tak.

- Chryste. Kiedy przywrócili my skradzione dane, chyba jakim cudem wywołali my ostatnie dwa znaki.

- Wojn i mier ?

Obraz znów si zmienił. Tym razem ukazała si wi ksza mapa, mapa Azji i Europy. Czerwone punkty mrugały nad licznymi miastami Bliskiego Wschodu i du ymi połaciami Ukrainy, Rosji, Korei Północnej i Chin. Tu te trwało odliczanie.

- Cholera - zakł ła Amber i si gn ła do klawiszy. To działo si automa- tycznie. Musiała dosta si do programu i to zatrzyma .

Bum.

Huk wystrzału.

Potem trzy nast pnie.

- Co to było, do cholery? - spytał przera ony agent FBI.

Amber usłyszała zgrzyt przekładni i domy liła si , e winda ruszyła w dół.

- To pewnie Kovac - powiedziała, zerkaj c to na zegar odliczaj cy czas na monitorze, to na wind .

- Sprawdz - odparł agent FBI i wybiegł z laboratorium.

Amber spojrzała na ekran i wpisała kod programu. Odliczanie trwało: 92... 91... 90...

Usłyszała warkni cie, a po nim krzyk. Odwróciła si gwałtownie. Jeden z wilków Soamesa zeskoczył z podwy szenia, na którym była winda, i zatopił kły w gardle Howiego. Drugi wilk rzucił si do jego krocza.

I wtedy pojawił si Soames. Zszedł po schodach i przest pił przez rzucaj cego si po podłodze agenta. Bukowski pod ała za nim z pistoletem w r ku. Spojrzała na skulone ciało Trippa i przeszła Amber wzrokiem zimnym jak lód.

- Amber, odejd od terminalu i chod tutaj - rozkazał Soames z mro - cym krew w yłach spokojem.

Spojrzała na monitor. Pojawiały si kolejne, coraz to ni sze liczby. 88... 87... Nie mogła nic na to poradzi .

- Dotknij czegokolwiek, a Felicia z rozkosz ci zabije - przestrzegł Soames.

Amber ani drgn ła.

- Gdzie Miles? - spytał Soames. - Ostatnio stali cie si nierozł czni.

- Tu go nie ma. - Usiłowała nie patrze na ognist kul i laboratorium za ni .

Soames rozejrzał si z u miechem.

- Jaka szkoda. Jest tu kto , kto chce si z nim zobaczy .

## 71

Fleming wła nie sko czył wyci ga informacje z komputera, kiedy usłyszał strzały. Instynktownie odwrócił si i spojrział na drug stron otworu odwiertowego, w miejsce, gdzie pracowała Amber. Nie wierzył własnym oczom,

kiedy zobaczył wilki atakujące agenta FBI. Schylił się i rozejrzał po laboratorium w poszukiwaniu jakiejś broni, ale adnej nie znalazł - zobaczył tylko NeuroTranslatora i szklaną kulę do wychwytu duszy.

Patrzył bezradnie na Soamesa i Bukowskiego, która mierzyła z pistoletu do Amber.

Do licha, gdzie Kovac? Cholera, cholera, cholera.

Amber odsunęła się od pulpitu i ruszyła w stronę Soamesa, który wyszedł jej naprzeciw. W tej chwili Fleming zobaczył Carvellego - stał przed windą ... z Jakiem.

Co on tu robi?

Najwyszym wysiłkiem woli powstrzymał się, by nie rzucił się do ataku z gołymi rękami.

Soames nachylił się ku Amber i wsunął dłoń pod jej kołnierz. Fleming usłyszał jego głos w głośnikach w kasku.

- Witaj, Miles. Używam mikrofonu Amber, więc wiem, co mnie słyszysz. Wszystko po kolei. Wasza misja zakończyła się fiaskiem. Wkrótce ukażą się ostatnie znaki, zatem nie masz powodu zgrywać bohatera. Poza tym, jest ze mną twój bratanek. Wjeżdżamy teraz na pomost. Daj ci dwie minuty na to, by do nas dołączyć, w przeciwnym razie wystawię młode, wrażliwe oczy Jake'a na działanie wiatła. A potem, jeżeli nadal się nie pokażesz, nakarmię nim moich pupilów. Przepadaj za młodym miśsem. Wybór należy do ciebie.

Fleming zacisnął pięści. Patrzył, jak służusy Soamesa wprowadzają Jake'a i Amber do windy, i zrobiło mu się niedobrze z bezsilnej złości.

Wszystko stracone. Nie miał wyboru.

Skoro nie mógł ocalić wiatła, musiał uratować przynajmniej Jake'a i Amber.

Mijały sekundy. Sytuacja wydawała się beznadziejna. Amber musiała wrócić do głównej konsoli i znaleźć sposób, aby wstrzymać odliczanie. Teraz jednak tylko on mógł cokolwiek zrobić. A nie umiał przeprogramować komputera.

Stała przy windzie na odłoni tym pomoście. Zmrużyła oczy i zobaczyła Kovaca. Leżał na stalowej platformie, obok drugiego strażnika. Obaj nie żyli. Kovac miał rozszarpane gardło i rany od kul w piersi. Po lewej stronie stał Carvelli. Był chorobliwie blady, wyglądał, jakby chciał by gdziekolwiek, byle nie tu. Co innego Bukowski. Ona sprawała wrażenie, jakby palec jej się wzdął, aby nacisnąć cyngiel. Stała z Soamesem i Jakiem przy

barierce. Soames miał na sobie strój ochronny, Jake przy nim i Bukowski wydawał się mało nie mały.

- Wszystko w porządku, Jake? - spytała Amber.

Zerknęła ukradkiem na wilki - warowały przy windzie - i skinęła głową tak, że niemal nie spadły mu za duże okulary ochronne.

- Nic mu nie jest - powiedział Soames. - Na razie.

- Czemu to robisz, Bradley? - spytała Amber.

- Ja niczego nie robię - odparł. - Ja tylko pilnuję, by stało się to, co zostało przepowiedziane. O niczym nie decyduję, wypełniam tylko proroctwo. Dlatego nie miała szans mnie powstrzymać. Co z tego, że usunęła skutki drugiego znaku i przywróciła utracone dane? Przez to sprawiła tylko, że ostatnie znaki nabiorą wikszej mocy.

- Wystrzelisz pociski nuklearne i zniszczysz wiekszą część Azji?

Soames parsknęła śmiechem.

- Skądże znowu. To miałyby się zająć z celem. Zrobi to ludzie. Pierwszy znak, wywołanie prądu, nie wywołał zamieszania... sprawiła to reakcja ludzi. Drugi znak nie miał nic wspólnego z prawdziwym głodem, ludzkość nie została pozbawiona rzeczywistych środków do życia, straciła tylko to, od czego się uzależniła. Z ostatnimi znakami będzie tak samo. Ludzkość sprowadzi na siebie wojnę i śmierć z własnego wyboru, za sprawę swoich uprzedzeń. Obywatele niektórych państw zobaczą na monitorach komputerów, że wystrzelone zostały fantomowe rakiety. Pomyśleć, że to atak, ale będą mieli wybór. Będą mogli sprawdzić, czy zagrożenie jest rzeczywiste, i zaufa wrogom, kiedy uzyskają od nich zapewnienie, że żadnych pocisków nie odpalono, albo rozpocznie prawdziwą i kosztowną wojnę.

Uśmiechnęła się.

- Jak myślisz, co się stanie, Amber? Nie jestem hazardzistą, ale postawiłbym na wojnę i śmierć. Zwłaszcza że rzekłbyś otrzymaj tę informację zaraz po tym, jak bohaterko przywróciła wiatru wszystkie utracone dane. Będą się cieszyć, że odzyskali je w porę, by wykryć atak i na niego odpowiedzieć.

- Czemu tak bardzo chcesz wypełnić proroctwo Czerwonego Papieża, skoro wiesz, że to nie jedyna prawda?

Soames znów się uśmiechnęła.

- Bo się nie stanie. Wkrótce będzie to jedyna prawda.

Wskazała na windę. Zaczęła zjeżdżać. Kto przywołał ją na niższym poziomie. Miles Fleming miał lada chwila wjechać na górę. To koniec. Soames wygrał.

Amber zeszytniała, wbiła wzrok w drzwi windy. Podobnie jak Jake. I wilki.

- Uwa aj, Milo! - krzykn ł Jake.

Bukowski wymierzyła mu pot ny policzek i chłopiec run ł na podłog .

- Nie rób tego, Miles! - wrzasn ła Amber.

Nic to nie dało. Próbowwała si ł woli zmusi wind , by nie ruszyła z miejsc a, ta jednak zacz ła jecha w gór . Przez szyb widziała jego sylwetk . Kiedy drzwi rozsun ły si , podniósł r k i wyszedł.

Soames gardłowym głosem wydał komend i wilki rzuciły si na Fleminga. Przewróciły go na podłog , zacz ły rwa na nim ubranie. Jake krzykn ł, Amber przypadła do wilków, by je odci gn , lecz one, nie zważ a j c na ni , atakowały dalej - szarpały gardło Fleminga, ci gały mu kask z głowy.

Kiedy go zerwały, Amber wstrzymała oddech. Głowa była z plastiku. To było ciało zast pcz e. Odwróciła si do Soamesa i Bukowski i w tej samej chwili zza barierki wyłoniła si posta mrocznego m ciciela, który ci g n ł krzyzc Bukowski do otworu odwiertowego.

- We Jake'a i wracaj do głównej konsoli - polecił Amber Fleming i rzucił Soamesowi kaptur z głowy.

Amber złapała Jake'a za r k i ruszyła z nim do windy. Wilki zostawiły manekina. Jeden z nich skoczył na Amber - ale nadbiegaj cy Carvelli osłoni ł j własnym ciałem.

- Id cie! - krzykn ł i szamotał si z wilkiem, który drapał go po brzuchu i skakał do jego twarzy.

Amber nie trzeba było tego powtarza . Rzuciła si z Jakiem do windy i nacisn ła guzik ze strzałk w dół. Wtedy dopadł ich drugi wilk; wbił kły w lew nog Jake'a, kiedy drzwi zacz ły si zamyka . W ataku paniki Amber raz po raz wciskała guzik, ale noga chłopca blokowała drzwi, a kły wchodziły w ni coraz gł biej. Przez cały czas zwierz patrzyło na Amber złymi, ółtymi łepiami. Po lewej stronie, za przyciemnian szyb , widzia ła, jak drugi wilk zatapia zakrwawione szcz ki w gardle bezwładnego Carvellego.

Nagle Jake si gn ł do swojego lewego uda i co nacisn ł. Noga odpadła i wilk wraz z ni poleciał do tyłu, odblokowuj c drzwi.

Winda zamkn ła si z sykiem, ale kiedy zacz ła zje d a , Amber widziała, jak wilki biegn do barierki, przy której Soames szarpał si z Flemingiem.

Nie mogła jednak teraz o tym my le . Miała zbyt wiele do zrobienia.



## 72

Soames był zaskakująco silny i wytrzymały, a po tym, jak Fleming zerwał z niego strój ochronny i wystawił jego nadwrażliwą skórę na wiatro, walczył jeszcze bardziej zaciekle.

Fleming trzymał szklaną kulę z elektrodowym czepkiem. Za jej pomocą sterował poprzez NeuroTranslatora ciałem zastępczym, kiedy piął się po cianie odwiertu. Wilki były tuż obok.

Mocno uderzył Soamesa pięścią w twarz i wypchnął go za barierkę, tak że ten zawisł nad otchłaniem; trzymał się tylko nadgarstka Fleminga.

- Uspokój się! - krzyknął Miles. Kula pulsowała w dole jak małe słonce i skóra Soamesa przybrała czerwony odcień.

Wilki wyły i skomlały, ale nie podchodziły bliżej, jakby czuły, że atakują, naraziłyby życie swojego pana.

- Uspokój się - powtórzył Fleming.

Soames wydał polecenie gardłowym głosem i wilki się cofnęły.

- Miles, musisz powstrzymać Amber. Znaki muszą się ukazać. Fleming pokręcił głową z niedowierzaniem.

- Kawał skurwysyna z ciebie.

- Nieprawda - nie ustępował Soames. Jego słowa brzmiały szczerze.

- To waśnie. Kto jak kto, ale ty powinieneś to zrozumieć. Wszystko, co robi, ma swój powód, i nie wolno ci w tym przeszkodzić.

- O czym ty mówisz, do cholery?

- Objawienie Czerwonego Papieża ma swój cel, a ja muszę go zrealizować.

- Jego objawienie było kłamstwem.

- Tylko w połowie. To była jego prawda.

- Ale ty chcesz, żeby stała się jedyną.

- Nie mam wyboru. Muszę przekonać świat, że nie ma Boga, że istnieje tylko diabeł. To moja misja.

Fleming złapał Soamesa za drugą rękę. Jego skórę pokrywały pęcherze, ale zdawał się nie czuć bólu.

- Dlaczego masz taką misję, Bradley? Za kogo się uważasz? Za diabła?

- Sprawa jest dużo bardziej złożona, - Soames spojrzał mu prosto w oczy. - Jestem drugim synem Boga.

Fleming omal go nie puścił.

- Co takiego?

- Wysłuchaj mnie - błagał Soames. - Przed dwoma tysiącami lat Bóg zesłał swojego pierworodnego syna. On był dobrym człowiekiem, głosił potrzebę miłosierdzia i przebaczenia, i umarł nawet za ludzkość na krzyżu, by nauczyć ją, co to naprawdę znaczy życie po Bożemu. Ale poniósł porażkę. Religie zaczęły walczyć między sobą z powodu różnych interpretacji jego nauk. Wiara zesłała na dalszy plan. Nie liczyła się już wolna wola, tylko władza i wina. Co wspólnego z wolną wolą mają wspomnienia z ambony: „Róbcie, co wam każe, bo inaczej pójdziecie do piekła!” To nie wolna wola, tylko posłuszeństwo wymuszone strachem przed karą. Poza tym, kapłani są tylko ludźmi. Nie zależy im na tym, by zrozumieć Boga... bardziej interesuje ich doczesna władza. Bóg jednak nie chce wielkich kościołów ani czci. Nie takim jest ojcem. On chce was. Chce, by Jego najbardziej ambitne dzieło wreszcie dojrzało na tyle, by więcej Go nie potrzebował. To właśnie nie próbował wyjawić Jego pierwszy syn. Dobrze przemyśleć: życie samo w sobie jest nagrodą i na tym świecie nie ma nic poza tym. Nikt go jednak nie słuchał. Dlatego Bóg zesłał drugiego, mrocznego syna. Mnie. Tym razem nie po to, by głosił dobro i miłosierdzie, lecz żeby udowodnił raz na zawsze, że Bóg nie istnieje. Że światem rządzi diabeł. Dopiero wtedy ludzkość wyzwoli się z okowów religii i samodzielnie zrozumie wreszcie, czym jest dobro i zło. To właśnie nie jest rzeczywistość wolna wola. Przeciwnie prawdziwa cnota polega na tym, że dokonuje się wyboru, nie licząc na nagrodę. I dlatego Bóg chce wymazać się z waszej wiadomości. To jest Jego dar dla was. Z tego powodu wsparłem Accost. Arogancki, dogmatyczny, był idealnym symbolem religii. Kiedy ktoś taki jak on, przywódca największej religii na świecie, wypiera się Boga za grobu, ludzie słuchają. A po ukazaniu się zapowiedzianych przez niego znaków bóg musieli uwierzyć.

Umiechnął się do Fleminga.

- Zwłaszcza ty powinieneś to rozumieć, Miles. Nie znosisz napauszonych doktryn religijnych. Byłeś ateistą, który czynił dobro, nie licząc na nagrodę po śmierci. Weź tak Virginie Knight. Jako zwolenniczka Czerwonego Papieża była słaba i tchórzliwa, łatwo dawała się namówić do zdrady przyjaciół, zgodziła się na niezliczone zabójstwa, wmawiając sobie, że nie zrobiła nic złego, bo ofiarami byli miernie chorzy, a ona tylko wykonywała wolę Bożą. Dopiero kiedy straciła wiarę w Boga, uwierzyła w siebie i znalazła odwagę, by pomóc tobie i Amber w ucieczce. Gdy przestała wierzyć w obietnicę życia wiecznego, zdobyła niezależność w życiu do-

czesnym. Miles, musisz powstrzymać Amber, bo inaczej wszystko będzie stracone.

- Zwariowała! Zginą miliony ludzi.

- Ale ich dusze zostaną ocalone - przekonywał Soames. - Musisz zrozumieć. Jestem tym, za kogo się podaj. Wiedziałem, co powie Czerwony Papież. Dlatego tak bardzo mi zależało na projekcie „Dusza”. Wiedziałem, czym będą zapowiedziane znaki. Dlatego się do nich przygotowałem. Wierz mi, Miles, jestem Lucyferem i Synem Boga - tym jednocześnie. Jestem narządem w rękach Boga. Ogniem piekielnym, który niesie cierpienie i rozpacz, ale i oczyszczającym płomieniem, który przygotowuje ziemię do wydania obfitszego plonu. Miles, przyszło ci do głowy ludzkiego spoczywać w twoich rękach. Musisz pozwolić, by znaki ukazały się w pełni, musisz wypalić chwasty religii i pozwolić, by w ich miejscu zakorzeniła się wiara w siebie i autentyczna wolna wola.

Zamilkł, jakby czekał na reakcję, Fleming nie wiedział, co powie. Rozumowanie Soamesa było w pokrętny sposób logiczne.

Soames mocniej cisnął nadgarstek Fleminga. Jego pokryta pęcherzami skóra pękała, powstawały krwawe rany. Fleming próbował go podnieść, by Soames mógł się osłonić, ale im silniej ciął, tym bardziej rozrywał mu skórę.

- Proszę, Miles, proszę - błagał Soames, nie zważaj na ból. - Zabij mnie, ale pozwól, by znaki się wypełniły. Musisz wbić ostatnie gwoździe w trumnę religii. Jest tylko jedna szansa, Miles, i od ciebie zależy, czy zostanie wykorzystana. Musisz to zrobić! - krzyknął. - Musisz!

## 73

Rzut oka na ekran przekonał Amber, że się spóźniła. 09... 08... Odliczanie niemal dobiegło końca. Zaraz nastąpi pierwsze symulowane ataki.

Kazała Jake'owi obserwować windę na wypadek, gdyby zjawili się następnicy strażnicy, a sama dostała się do podstawowego oprogramowania komputera. Wkrótce stało się dla niej oczywiste, że Soames miał rację. Wszystkie skradzione dane wróciły na miejsce, ale skutkiem tego było wywołanie ostatnich znaków.

06... 05...

Spojrzała na mapę Indii i Pakistanu i widać na mapie Azji. Wszystkie czerwone punkty wciąż mrugały. Gdyby wprowadziła foniczny program implozji, mogłaby zniszczyć komputer, ale nie zdecydowałaby się na to przed wysłaniem właściwych informacji i wywołaniem Apokalipsy przepowiedzianej przez Czerwonego Papieża.

Musiła wpisać nowy kod.

04... 03...

Zaczęła od widoków mapy Azji. Otworzyła małe okienko u dołu ekranu, dostała się do oprogramowania bazowego i wyszukała instrukcję wysyłając informacji o symulowanym ataku. Natychmiast ją wyłączyła. Punkty przestały błyskać.

Doskonale.

02...

Przełczyła obraz na mapę Indii i Pakistanu i zrobiła, tak jak w przypadku pierwszej mapy. Otworzyła okienko, by dostać się do bazowego kodu programu. Zaczęła szukać instrukcji...

01... 00...

Cholera. Za późno.

Czerwony punkt nad Delhi przestał błyskać. Czerwona linia wystrzeliła po łuku z Delhi w stronę Pakistanu.

Amber sprawdziła oprogramowanie bazowe. Do centrum dowodzenia z Lahore poszła instrukcja z nieprawdziwymi informacjami, że Indie przeprowadziły atak nuklearny. Amber odetchnęła głęboko, zatarła spocznymi dłońmi i skasowała ją.

Linia zniknęła z ekranu.

Amber zwiesiła ramiona z ulgą. Odetchnęła i przygotowała się do wprowadzenia PIP-u, który miał zniszczyć komputer. Zanim jednak zaczęła, na mapie znów pojawiła się mrużąc ca kropka. Tym razem, bez odliczania czy ostrzeżenia, linia wyszła po łuku z Lahore w stronę Indii.

Amber gorączkowo przejrzała kod bazowy, by sprawdzić, czy czegoś nie przeoczyła, i zorientowała się, że tym razem nie miała do czynienia z atakiem symulowanym - to była zbrojna odpowiedź Pakistanu na wcześniejszy „atak” Indii.

Nie odrywając oczu od monitora, weszła z powrotem do oprogramowania bazowego najpotężniejszego komputera na świecie i zaczęła szukać cudu.

- Musisz j powstrzyma , Miles! - krzyczał Soames, którego opuścił dotychczasowy spokój. Skóra zwisała mu w płatach z czoła, oczy były przekrwione. - Pomó mi, a ja pomog ci pozna prawd o losie brata. Komputer jest kluczem. Istnieje zwi zek mi dzy sygnatur duszy a kodem genetycznym. Obraz interferencyjny jest skorelowany z intronami, mieciowym kodem w du ej mierze tworzy cym nasze DNA. Na podstawie genomu twojego brata komputer mo e odtworzy sygnatur jego duszy. Z moj pomoc móglby go przywoła , nawi za z nim kontakt.

Fleming ju to wiedział. To wła nie przyszło mu do głowy, kiedy zostawił Amber i poszedł szuka informacji.

- Wiem, co ten twój komputer potrafi - powiedział.

Usta Soamesa wykrzywiły si w u miechu szale ca.

- Wiesz wi c, e jest ci niezbdny, je li chcesz zaspokoić potrzeb wiedzy, udowodni , e z twoim bratem jest wszystko w porz dku. Bez komputera nigdy si z nim nie skontaktujesz. Nigdy nie zaznasz spokoju.

Fleming podj ł ju decyzj .

- Rob ma si dobrze - powiedział.

- Sk d wiesz?

- Nie wiem tego, Bradley. Musz przyj to na wiar - powiedział i ogromny ci ar spadł mu z serca.

Soames był chyba bliski paniki.

- Ale trzeba powstrzyma Amber. Tylko ona mo e zapobiec ukazaniu si znaków, musisz j powstrzyma !

- Nic nie musz - wycedził powoli. - Jak mówile , mam prawo do wolnej woli. Wła nie z niego korzystam.

- Nie! Nie! - krzykn ł Soames. - Popelniasz tragiczny b ł d! Tak nie miało by ! Musisz j powstrzyma !

- Za pó no, Bradley! - Fleming usłyszał za sob głos Amber. Odwrócił si . Stała przy windzie z Jakiem, wpatrzona w obserwuj ce go wilki. - Jedna rakieta mi uciekła, ale zdezaktywowałam j i wrzuciłam do morza. To koniec.

Soames spojrział na Fleminga ze zło ci .

- Głupcze! - wybuchn ł. - Bóg dał ludzko ci drug szans . Posłał na ziemi drugiego syna. A wy wszystko zawalili cie. Znowu. Nie warto was zbawia . Zwolnił u cisk. Fleming trzymał go tak d ługo, jak mógl, ale w r ku został mu tylko płat skóry. Soames run ł w g ł b odwiertu na pulsuj c szklan kul .

Fleming usłyszał za plecami skowyt wilków i odwrócił si w por , by zobaczy , jak spr aj si do skoku. Instynktownie osłonił twarz ramionami

i przygotował się na atak. On jednak nie nastąpił. Wilki ominęły go i wskoczyły do odwiertu za swoim panem. Fleming próbował zobaczyć, gdzie spadły, ale nie został po nich nawet ślad. Może niczym demony wróciły do otchłani, z której przybyły.

Za to ich pan wciąż był widoczny.

Fleming spojrzał na człowieka, który podawał się za Lucyfera i Syna Boga, i przeszedł go dreszcz. Soames leżał na wieciej szklanej kuli z otwartymi oczami. Jego ręce były rozrzucone na boki, jakby został ukrzywowany na ognistej kuli.

Fleming poczuł na ramieniu dłoń Amber.

- Mam dysk Trippa. Musimy się stąd jak najszybciej wydostać - powiedziała. - Zainstalowałam PIP-a, komputer zaraz wybuchnie.

Fleming spojrzał na Jake'a, który podniósł z podłogi swój pogryziony nog. Wziął go na ręce i wszedł do windy za Amber.

Ze złamanym kręgosłupem Bradley Soames oczekiwał śmierci. Skóra schodziła z niego płatami, całe ciało paliło go od ciepła i blasku szklanej kuli pod nim. Wiele wycierpiał, ale takiego bólu jeszcze nie zaznał.

Był na ognistym kole w piekle.

Ale to nie ból przysparzał mu najwięcej cierpienia.

Najgorsze było poczucie klęski.

- Wybacz, Ojczy! - krzyknął w rozpacz. - Próbowałem im pomóc.

Ognista kula pokryła się siatką pyłu i wybuchła supernową niebieskobiełego światła.

### **Kilka minut wczesniej**

Fleming wybiegł z VenTecu z Jakiem w ramionach. Zauważył, że niebo się przejaśniło. Na odległym horyzoncie kładła się nawet pomarańczowa smuga. Potem zobaczył migłowiec nadlatujący ze wschodu.

Nie minęły dwie minuty, a znaleźli się na pokładzie. Był tam już komandos Delta Force ze złamaną nogą. To on wezwał Black Hawk'a do siebie, a potem kazał pilotowi polecieć do VenTecu, żeby sprawdzić, czy ktoś ocalał.

- Nikt oprócz was nie przeżył? - spytał, kiedy Fleming posadził Jake'a między sobą a Amber.

Fleming pokręcił głową.

- A wy jak si trzymacie?

Amber cisl ła dło Fleminga.

- W porz dku - powiedziała. - Nic nam nie b dzie.

- Na waszym miejscu odleciałbym jak najdalej od VenTecu. I to ju !  
- zawołał Fleming do pilota.

- Słysz gło no i wyra nie. Bior kurs na południe, do Fairbanks.

Kiedy maszyna oderwała si od ziemi, Jake si odwrócił.

- Zobacz, wujku!

Fleming si obejrzał. Biały słup wiatła wystrzelił z wierzchołka góry, rozerwał paj cz konstrukcj VenTecu i rozdarł ciemniej ce niebo jak reflektor.

Nast piła druga eksplozja i w wietlist smug wdarty si płomienie. Fleming domy lił si , e wybuch musiał uwolni pokłady ropy ukryte gł - boko wewn trz góry, tworzc słup ognia, który zdawał si ł czy niebo z piekłem.

- To co, uratowali my wiat? - Komandos u miechn ł si znu ony.

Fleming skin ł głow , ale kiedy cisl ła dło Amber i przytulił Jake'a, przed oczami miał tylko Soamesa rozpi tego na ognistej kuli i jego pogardliwe spojrzenie.

- Pewnie, e tak - powiedział cicho i zmierzwił włosy Jake'a. - Pewnie.

## EPILOG

### **Jezuicki o rodek Miła Ronda na północ od Rzymu Półtora roku pó niej**

Przyj cie wydano w jednym z najlepszych letnich o rodków Towarzystwa. To była prawdziwa uroczystość ; wi towano nic tylko mianowanie nowego generała jezuitów, ale i odrodzenie Kościoła katolickiego w ogóle.

Go cie w lnianych garniturach i szatach duchownych s czyli drinki na chłodnych, ozdobionych łukami tarasach palladia skiej willi i przechadzali si po zalanych sło cem ogrodach.

Amber pomogła Jake'owi zawiązać sznurowadła. Wstał c, położyła dłoń na zakrwawionym brzuchu i poczuła budzące się w niej nowe życie. mówiła tylko, że jej matka nie dożyła narodzin pierwszego wnuka.

Wróciła pamięć do czasów, kiedy nie potrafiła żyć pełnią życia, bo zawsze myślała o Ariel i swoim poczuciu winy, nigdy o sobie. Jak inaczej wyglądało jej życie od czasu, kiedy z Ariel uwolniły się od siebie. Jak to kiedy powiedziała jej matka? „Jesteś myślnikiem naszych relacji z innymi”. Miała rację, uświadomiła sobie Amber. Tak było i z życia, i po śmierci. Spojrzała ku ogrodowi i zobaczyła, że grupka osób otaczających ojca Petera Riggo przywołuje Fleminga.

Pomyślała o wiecie kwantów, który tak ją absorbował. Pod wieloma względami Miles był „człowiekiem”: trzymał się na uboczu, unikał zwizualizacji, szukał w nauce i racjonalizmie ratunku przed cierpieniem i chaosem.



Ona za to była „fal ”: tak skoncentrowała si ę na wi ęziach i uczuciach z siostrami, ale nie umiała zbliżyć się do nikogo innego, a praca z Soamesem stała się dla niej ucieczką i pozwalała zaspokoić potrzebę zrozumienia świata. Teraz jednak, kiedy już wszystko rozumiała, nie musiała dłużej uciekać. Ona i Fleming dopełniali się nawzajem, byli zarówno odrębnymi osobami, jak i jedno ciało, czuła się jak część siebie, i była sobą. Idealny dualizm.

Uśmiechnęła się i znów pogładziła po brzuchu. Praca, która tak skutecznie ją zapracowała, teraz była tylko jednym z elementów jej życia. Optrix radził sobie na tyle dobrze, że nie musiała wszystkiego doglądać, i sama była zaskoczona tym, jak łatwo zrezygnowała z wielu obowiązków.

Trzymając Jake'a za rękę, patrzyła, jak Fleming podchodzi do papieża Pete'a. Jej ojciec chrzestny wyglądał wspaniale w czarnych szatach symbolizujących jego nową funkcję: jako przełożony Towarzystwa Jezusowego był generałem jezuitów, tak zwanym Czarnym Papieżem. Fleming nie chciał przyjąć na przyjęcie i zgodził się towarzyszyć Amber tylko przez wzgląd na dług wdzięczności wobec Rigi.

Na widok dumnego papieża Pete'a, co jakiś czas przerywając jego rozmowę, by przyjąć wyrazy uszanowania od gości, pomyślała o ostatnich słowach Soamesa skierowanych do Fleminga. Czemu rozmawiali o rzekomej misji jej byłego współnika, który chciał zniszczyć religię i wiarę, by człowiek odnalazł prawdziwą wolność, do tej pory jednak nie potrafiła go jednoznacznie ocenić. Soames wywarł duży i tak naprawdę pozytywny wpływ na jej życie. Zawsze był i na zawsze pozostanie zagadką. I mimo że tyle złego się stało, ilekroć myślała o nim, nie mogła wzbudzić w sobie gniewu czy nienawiści - tylko współczucie.

Miles Fleming nie podchodził do tego wszystkiego tak filozoficznie, jak Amber, ale kiedy widział ją z Jakiem, nie mógł się nie uśmiechnąć. Razem wydawali się tacy szczęśliwi, wyglądali tak naturalnie. Jake stał się członkiem ich rodziny i Fleming nie miał już wątpliwości, że opiekując się nim, spełnia obietnicę daną bratu. Wszyscy troje, on, Jake i Amber, byli jedno ciało.

Jego życie właściwie niewiele się zmieniło. Kiedy komputer Soamesa został zniszczony i wszystko mniej więcej wróciło do normy, media usiłowały zidentyfikować „zbawców cywilizacji”. W następnych miesiącach panował jednak taki chaos, krążyło tak wiele plotek, że z pomocą FBI udało mu się zataić przed dziennikarzami swój i Amber udział w sprawie i wrócił do Barley Hall, by kontynuować swoje prace. Teraz, jako kierownik, miał

ju wi cej do powiedzenia i dostawał wi ksze fundusze, poza tym jednak ycie toczyło si jak dawniej.

Zmienił si jednak pod innymi wzgl dami. Pami tał, jak kiedy , usiłuj c zwalcza cierpienie, nie tylko pomagał zdruzgotanym pacjentom doj do siebie, ale i zachowywał wobec wszystkiego dystans; teraz, kiedy patrzył na Jake'a i kobiet , która miała urodzi jego dziecko, zdał sobie spraw , e to oni s całym jego wiatem. Mo e kiedy przysporz mu cierpie , ale dzi ki nim był spełniony, jego ycie nabrało sensu.

Cz sto my tał o Robie, ale nie czuł ju wyrzutów sumienia, nie niepokoił si te o jego dusz . Pr dzej czy pó niej i tak dowie si , czy Rob jest bezpieczny na tej zalanej sło cem równinie, któr Amber widziała we nie. Do tego czasu skupi si na tym, by y .

Wci dr czyły go jednak my li o Soamesie - dzi szczególnie.

Kiedy nie ukazały si znaki zapowiedziane przez Czerwonego Papie a, wiat odetchn ł z ulg . Fakt, e Armageddon jednak nie nast pił, sprawił, e wielu uznało całe zdarzenie za wielk mistyfikacj , wybryk szalonego geniusza. Tyle e nikt nie potrafił wyja ni , jak to si stało, e ten szalony geniusz przewidział tre przepowiedni Czerwonego Papie a. Cho przeprowadzono liczne analizy i dochodzenia, nikt nie zdołał tego przekonuj - co wytłumaczy .

Mimo to w nast pnych miesi cach tłumy oblegały wi tynie; tak jakby wszyscy chcieli odpokutowa za to, e pozwolili, by Czerwony Papie zachwiał ich wiar . Atei ci, którzy nigdy nie my leli o religii, teraz stawiali j na piedestale. Upadek Ko cioła Prawdy Duchowej pozostawił po sobie ogromn pustk , a wszelkie nowe, post powe Ko cioły stały si obiektem ataków. Wystarczy, e ludzie raz dali si oszuka .

Szczególnie jeden z Ko ciołów mógł zaspokoi powszechn e zapotrzebowanie na powrót do fundamentalnych, stabilnych warto ci; ten sam Ko - ciół, który przed wyst pniem Czerwonego Papie a chylił si ku upadkowi. Otworzył drzwi wszystkim zbł kanym owieczkom, dogmatycznie ogłosił si wył cznym posiadaczem prawdy i ustanowił surowe zasady reguluj ce praktyki religijne. Przez tyle wieków swojego istnienia Ko ciół katolicki nigdy jeszcze nie był tak pot ny.

Kolejni go cie składali gratulacje ubranemu w uroczyste szaty Ridze i całowali jego dło . Podchodz c do niego, Fleming my tał o ostatnich słowach Bradleya Soamesa.

„Dlatego Bóg zesłał drugiego, mrocznego syna. Mnie. Tym razem nie po to, by głosił dobro i miłosierdzie, lecz eby udowodnił raz na zawsze,

e Bóg nie istnieje. e wiatem rz dzi diabeł. Dopiero wtedy ludzko wyzwoli si z okowów religii i samodzielnie zrozumie wreszcie, czym jest dobro i zło. To wła nie jest rzeczywista wolna wola. Przecie prawdziwa cnota polega na tym, e dokonuje si wyboru, nie liczy c na nagrod . I dlatego Bóg chce wymaza si z waszej wiadomo ci. To jest Jego dar dla was".

To był bełkot szale ca, ale na wspomnienie widoku Soamesa zawieszonogo nad ognist kul , krzycz cego: „Nie warto was zbawia !", Fleming zadr ał, cho sło ce ogrzewało mu plecy.

Zło ył gratulacje Ridze. Rozmy lnie zwrócił si do niego po imieniu, zadaj c pytanie:

- Peter, czy Dzie Prawdy Duchowej czego nas nauczył?
- Oczywiście, Miles - odparł Riga bez wahania.
- Czego?

Riga zmarszczył brwi, jakby odpowied była oczywista.

- Nauczyli my si , e ludziom potrzeba przewodnika. e nie mo na liczy na to, e sami znajd Boga. Jak owce, musz mie silnego pasterza, któremu mog zaufa i który otworzy im oczy na prawdziw chwał Bo .

Fleming zadr ał.

- I tym pasterzem jeste ty?

Riga u miechn ł si - jego u miech wyra ał t sam błog pewno , któr Fleming widział na twarzy Accosty.

Przez jedn surrealistyczn chwil w jaskrawym, białym sło cu Fleming nie potrafił odró ni ich od siebie; gdyby nie kolor szat, mo na by pomyle , e Czerwony i Czarny Papie to ta sama osoba.

## PODZI KOWANIA

*Jak zawsze najwi kszy dług wdzi czno ci mam wobec ony, Jenny. To przede wszystkim dzi ki niej Kod Lucyfera ujrział wiatło dzienne. Zebrane przez ni materiały i jej twórcze pomysły byty nieocenion pomoc w budowie postaci i konstruowaniu fabuły.*

*Najwi cej cennych informacji zawdzi czam nast puj cym ksi kom: The Quantum Self (Ja kwantowa) Danah Sohar (Flamingo 1991), Q is for Quantum (Kjak kwant) Johna Gribbina (Weidenfeld & Nicolson 1998), Eiger Dreams (Sny o Eiger) Jona Krakenera (PAN 1990) oraz Tybeta skiej Ksi dze Umarłych.*

*Jestem ogromnie wdzi czny wszystkim pracownikom Transworld Publishers za ich ciepłe słowa i nieustaj ce wsparcie, a szczególnie mojemu znakomitemu redaktorowi Billowi Scottowi-Kerrowi.*

*Wielkie podzi kowania nale si mojemu przyjacielowi i agentowi Patrickowi Walshowi oraz agentowi filmowemu Samowi Northowi.*

*Pragn równie podzi kowa za pomoc: komandorowi Jerry'emu Plantowi z Królewskiej Marynarki Wojennej, Gilesowi Palmerowi za jego pomysły zwi zane z fizyk kwantow i Pete'owi Tylerowi za spostrze enia dotycz ce teologii i Ko ciola katolickiego. Za wszelkie bł dy odpowiadam tylko ja.*

*Na koniec chciałbym podzi kowa rodzicom za ich niewyczerpany entuzjizm i wsparcie. Tak jak niezrównany personel działu sprzeda y Transworlda s najlepszymi specjalistami od sprzeda y, jakich pisarz mógłby sobie za yczy .*